

MAGDALENA

KOZAK

FI  LET

MCGRATH



# Magdalena Kozak

## FIOLET

[Bellona; Runa, 2010]

The logo for 'Torres' is displayed in a bold, black, italicized serif font. A thick, red, wavy underline is positioned beneath the text.

Copyright © by Magdalena Kozak, Warszawa 2010

Copyright © by Bellona SA, Warszawa 2010

Grafika oraz projekt okładki: Dark Crayon / Piotr Cieśliński

Okładka została wykonana na podstawie stopklatki z filmu reklamowego  
Stanisława Mąderka

Redaktor prowadzący serii: Anna Brzezińska

Redakcja: Karolina Pawlik

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Agencja Wydawnicza Runa

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnictw Naukowych Sp. z o.o.  
ul. Wydawnicza 1/3, 92-333 Łódź

*Serdecznie dziękuję zespołowi redaktorów merytorycznych w składzie:*

*Wojciech „Magister” Artych  
Justyn „Vilk” Łyżwa  
Tomasz „Godryk” Marcinkowski  
Staszek „Szybki jest” Mąderek  
Agnieszka „Acerola” Repka  
Bartłomiej „Szczypior” Repka  
Czesław „Czester” Romek  
Arkadiusz „Pingwin” Wantoła  
Paweł „Wolf” Wereski  
Remigiusz „Remov” Wilk  
Zbyszek „X-76” Włóka  
Krzysztof „Kiler” Wronka*

*Dziękuję koleżankom i kolegom spadochroniarzom, którzy pokazali mi niebo. Blue skies!*

*Dziękuję również ś.p. Tomkowi Pacyńskiemu, który pierwszy uwierzył w tę książkę - oraz tym, którzy nigdy w nią wierzyć nie przestali*

**Magda Kozak**

# Prolog

*Mam tak samo, jak ty  
Miasto moje, a w nim  
Najpiękniejszy mój świat  
Najpiękniejsze dni  
Zostawiłem tam kolorowe sny*

*Kiedyś zatrzymam czas  
I na skrzydłach jak ptak  
Będę leciał co sił Tam,  
gdzie moje sny  
I warszawskie kolorowe dni*

*Gdybyś ujrzyć chciał  
Nadwiślański świt  
Już dziś wyruszaj ze mną tam  
Zobaczysz, jak przywita pięknie nas  
Warszawski dzień*

Czesław Niemen  
*Sen o Warszawie*

## 1.

Przytłumiony, terkoczący dźwięk, przypominający serię strzałów z karabinu maszynowego, rozdarł ciszę pokoju.

- *Hej Robokop! Jesteś tam?* - Na ekranie pojawiło się kilka słów.

Brak odpowiedzi.

Po dłuższej chwili kolejna linijka zamigłała zniecierpliwieniem.

- *Znowu śpisz? Poobiednia drzemka? Wstawaj, leniu!*

Do pokoju wszedł starszy, siwiejący mężczyzna, w dłoni trzymał kubek parującej herbaty. Spojrzał na ekran i od razu twarz pojaśniała mu uśmiechem. Ustawił herbatę na stoliku, zasiadł na fotelu przed komputerem.

- *Nie śpię!* - wystukał pośpiesznie. - *Za to byłem pewien, że ty śpisz :-P Miałeś być na wykładzie z pediatrii...*

Wysłał wiadomość. Odchylił się w tył, opierając się wygodnie o fotel. Obserwował nagle zamilkłe Gadu-Gadu z nieco kpiącym uśmieszkiem.

- *Urwałem się* - padła wreszcie lakoniczna odpowiedź.

Mężczyzna zwany Robokopem nie zareagował. Niech kolega Cyrulik poczuje wyrzuty sumienia, chociaż tyle. Powinien chodzić na wykłady, zwłaszcza z pediatrii, z którą ma kłopoty.

- *Mam dla ciebie nową kosmiczną historyjkę.* - W okienku komunikatora pojawiła się kolejna linijka.

Ech, drań! - westchnął Robokop w duchu, wie, czym zanęcić.

Siedział bez ruchu jeszcze przez chwilę, wpatrując się w ekran. Rozmówca jednak również się nie odzywał, najwyraźniej pewien swego. Mężczyzna zawiesił palce nad klawiaturą, wytrzymując przez chwilę tę swoistą próbę sił.

- *Całkiem nową?* - poddał się w końcu.

- *Zabójcze, kosmiczne rośliny.* - Odpowiedź Cyrulika pojawiła się niemal natychmiast, widocznie też był już bliski przegranej. - *Prosto z dżungli peruwiańskiej.* Robokop westchnął.

- *Chupacabra już się znudziła?* - rzucił sceptycznie. - *No, ale dawaj.*

- *Wielkie, fioletowe rośliny. Wyrastają w nocy, a rano już są ogromne.* - Cyrulik opatrzył tekst emotikoną, przedstawiającą wybałuszone ze zdziwienia oczy. - *Na kilkadziesiąt metrów.*

Robokop pokręcił głową z rozbawieniem. Oczyma wyobraźni zobaczył chłopaka po drugiej stronie sieci, jak siedzi pochylony nad klawiaturą i śmieje się z niego w kułak.

- *No i co te rośliny? Jak zabijają?* - Postanowił sprawić młodemu trochę przyjemności i wejść w tę grę, chociażby na chwilę.

- *Tego nie wiadomo.* - *Na ekranie pojawiła się ikonka ludzika, kręcącego głową.* - *Nikt z tych, co je widzieli z bliska, nie przeżył, żeby opowiedzieć. Świadkowie wydają donośny okrzyk i padają trupem na miejscu.*

- *Zalewasz!* - nie wytrzymał Robokop. - *Naprawdę sądziłeś, że to kupię? Taki stary, doświadczony gliniarz, jak ja...* - Wcisnął enter, posyłając niedokończone zdanie.

Cyrulik natychmiast odpowiedział emotikoną przedstawiającą główkę, na którą spadały liczne ciosy. Najwyraźniej był rozzłoszczony podawaniem w wątpliwość jego nieskalanych intencji.

- *Sprawdź sam* - dorzucił zaraz potem i podał linka: - *www.HCNzabija.pl.*

Robokop kliknął w adres strony internetowej.

- *Sprawdzę. Ale jeżeli mnie oszukujesz, biada ci!* - ostrzegł rozmówcę. - *Wiesz oczywiście, co zrobię?*

- *Tak, wiem. Wyślesz do mnie swoich chłopaków-* odparł tamten, *raczej mało przejęty.* - *Jeden mnie spali, a drugi zastrzeli. Albo odwrotnie.*

- *Śmiej się, śmiej!* - pogroził policjant. - *Nadejdzie godzina prawdy.*

- *A jak tam twoje podzespoły, Robo? Działają?* - zatroszczył się chłopak *nieco złośliwie.*

Mężczyzna dotknął skóry na piersi, pod palcami poczuł prostokątny kształt wszczepionego kardiowertera-defibrylatora.

- *Owszem, tak* - wystukał w odpowiedzi. - *Coś nawet mało mnie trzepią ostatnio.*

- *Jakby co, pamiętaj: wołaj fachowców!* - poradził Cyrulik *dobrodusznie.* - *Nie dzwoń już na pogotowie. Wiesz, co zrobili z Jurandem...*

- *Wiem* - odparł Robokop *natychmiast, nie chcąc po raz setny zapoznawać się ze starym kawałem.* - *Dobra, idź się uczyć, wschodząca gwiazdo polskiej kardiologii. Ja sobie pogrzebię w Internecie.*

- *Kosmiczna Inwazja Zabójczych Fiołków.* - *Tekst opatrzone był serią uśmieszków* -

*Pamiętaj. Jakby co, mój patent.*

*- Twój, twój. Czyń swoją powinność, młody człowieku.*

Cyrulik pomachał wirtualną łapką na do widzenia, żółte słoneczko przy jego nicku zmieniło barwę na czerwone. Wylogował się.

Robokop odpalił przeglądarkę internetową, po czym kliknął w podany przez chłopaka adres. Wziął do ręki kubek z wystygłą już nieco herbatą i popijał płyn małymi łykami, czekając, aż strona załaduje się w całości. W pewnej chwili drgnął, słysząc kolejną serię z karabinu maszynowego. To komputer obwieszczał, że Cyrulik znowu jest dostępny na Gadu - - Gadu.

Muszę zmienić te ustawienia, pomyślał Robokop niechętnie, nie nadaje się już do takich niespodzianek.

*- Spójrz jeszcze tu.* - Cyrulik podał kolejnych kilka linków.

Mężczyzna przyjrzał się drugiemu z nich z niekłamany zduśnieniem. Był to odnośnik do strony NASA.

*- No coś takiego...* - wklepał na szybko w odpowiedzi.

Cyrulik przysłał wyszczerzone w szerokim uśmlechu słoneczko.

*- To ty poluj, a ja idę się ryć. Powodzenia!* - napisał i zniknął.

*- Tak jest!* - odparł Robokop odruchowo.

Otworzył w przeglądarce kilka okien i powpisywał podane adresy. Dorzucił jeszcze jedno, zapuścił w nim Google'a.

W miarę jak czytał kolejne doniesienia, twarz jaśniała mu coraz bardziej, a oczy błyszczały niekłamany ożywieniem.

Odkąd inspektor Stanisław Kępiński przeszedł na emeryturę, zaczął kolekcjonować historie o UFO. Ta zaś zapowiadała się wyjątkowo interesująco.

## 2.

Eleonora Kępińska patrzyła na męża z niepokojem.

Błady, niewyspany, popijał poranną kawę w milczeniu. Nie śmiał się, nie dowcipkował, nie podszczypywał jej, nie klepał po tyłku, jak to miał w zwyczaju. Po tylu latach spędzonych wspólnie, czytała w nim jak w książce. Wiedziała więc od razu: coś go gryzło.

Zastosowała zwyczajową próbę biologiczną: nie posoliła jajecznicy. To był jego czuły punkt, jajecznicą musiała być dobrze doprawiona. W przeciwnym wypadku robił dziką awanturę, a przy okazji wyjaśniały się i inne rzeczy. Nie posoliła więc, ani szczypty... i patrzyła z rosnącym zdenerwowaniem, jak je bez protestów. Westchnęła raz, potem drugi. Nic. Mąż wpatrywał się gdzieś w przestrzeń pomiędzy nimi, myślami błędząc zdecydowanie gdzieś indziej. Ma kogoś! - ogarnęła ją nagle popłoch. Po tylu latach... A jednak!

Popatrzyła na zdjęcia synów na kredensie: prężyli się dumnie. Starszy Zygmunt, w mundurze Pierwszego Pułku Komandosów, i młodszy Arnold, w nowiutkim mundurze strażaka. Westchnęła jeszcze raz, oczy zasły jej łzami.

*- Po tylu latach...* - wyszeptała bezgłośnie.

Nagła fala gorąca zawładnęła jej ciałem, uderzyła do głowy. Może czas zacząć

brać te plastry na menopauzę, przemknęło jej przez głowę. Może będę młodsza... piękniejsza...

Pociągnęła nosem, połykając łzy. Mąż oderwał się wreszcie od swoich myśli, popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Co ci jest? - zapytał z nutą czułości w głosie.

Pocieszyła się od razu. Skoro jeszcze jest dla niej miły, może sprawy nie stoją tak źle.

- A nic... - odpowiedziała, poprawiając kosmyk siwych włosów - Takie tam... Babskie sprawy.

Pokiwał głową, najwyraźniej tłumaczenie trafiło mu do przekonania. Babskie sprawy. Najbardziej tajemnicza tajemnica na świecie. Nawet nie próbuj zrozumieć, kolego.

- Ale ciebie też coś gryzie? - natychmiast skorzystała z okazji.

Westchnął ciężko, z poważnym wyrazem twarzy. Wbiła w niego uważny wzrok. Zaraz powie. Zawsze mówi. No, chyba że...

- Bo widzisz... znalazłem w Internecie - powiedział powoli, jakby z oporem. - A właściwie Cyrulik mi nadał namiary...

Zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Znajomość z Internetu? Kontakt od Cyrulika? Ach, te studentki medycyny... Zaczęła w duchu przygotowywać się na najgorsze.

- Słuchaj, to jest prawdziwa inwazja! - wybuchnął wreszcie. - Tak myślę, no bo skąd by się wzięły, jeśli nie z kosmosu... Niesamowite!

Zamrugła, starając się ukryć wciąż napływające łzy. Stasiek - jej Stasiek! - patrzył na nią jakoś tak dziwnie, jakby pytał, skąd ona się tu wzięła. I mówił o jakichś kosmicznych przeżyciach.

- No nie przejmuj się aż tak - rzucił z lekkim rozdrażnieniem w głosie. - Ja wiem, że ostatnio jesteś nadwrażliwa, lecz to może się jeszcze okazać jakimś złudzeniem. - Upił kolejny łyk kawy. - A może jednorazowy przypadek, w sumie niegroźne.

Popatrzyła na niego z wyraźną nadzieją w oczach.

- Ale że się tak przejmujesz... - Pokręcił głową ze zdumieniem. - Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że samolot rozwalił wieżowiec w Nowym Jorku, to śmiałaś się jak głupia. Myślałaś, że żartuję. Dopiero potem było ci wstyd. A jak było tsunami... - Zamilkł na chwilę, jego mina sugerowała, że dla dobra sprawy powstrzyma się od wypominania kompromitujących szczegółów. - Tragedie zdarzają się na świecie, mała. - Zreflektował się, dodając pojednawczo: - Każdemu. Cierpią miliony, tak to już jest.

- Przestań, proszę - wyszeptała. - Tak, ja wiem. Ludziom zdarzają się prawdziwe tragedie... To, co teraz, to niewarte nawet łzy. - Zwiesiła posępnie głowę, wbrew zapowiedziom zaczęła płakać.

Odstawił kawę, wstał. Podeszedł do niej i objął ją od tyłu. Przytulił policzek do włosów upiętych w kok.

- No nie rycz - mruknął pojednawczo. - Się ostatnio przewrażliwiona robisz i to strasznie. Przecież nic się nie musi zdarzyć.

- Nie musi? - Podniosła głowę, patrząc na niego z wyraźną ulgą. - Naprawdę?

- No nie jest powiedziane, że te rośliny wyrosną u nas koniecznie - odparł z przekonaniem. - Tutaj, w Warszawie? Spokojnie, mała! - powiedział, przybierając



żartobliwy ton. - Opatrzność czuwa, te rośliny zwiędną, zanim jeszcze wykiełkują!  
Zamrugnęła, wpatrując się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.  
- Rośliny? - zapytała słabo. - Jakże rośliny? - Potrząsnęła głową.  
- A o czym ja trąbię od pół godziny! - Puścił ją i wyprostował się gwałtownie. -  
Kosmiczne rośliny! Fioletowe! Zabójcze!

Wrócił na swoje miejsce, złapał za kubek z kawą, wychylił zawartość jednym haustem. Postawił go na stole z głuchym łupnięciem. Popatrzył na nią najpierw gniewnie, potem z coraz bardziej rosnącym zdziwieniem.

- Ach, te rośliny! - powiedziała swobodnie, na jej twarzy malował się coraz szerszy uśmiech. - A więc to o rośliny ci chodzi. O te fioletowe, tak... Opowiedz mi o nich, proszę, kochanie! - Popatrzyła na niego uszczęśliwionym wzrokiem.

Kobieta... - jęknął w duchu ze zgrozą. Kompletnie nieprzewidywalny twór!

Zaczął jednak opowiadać o wszystkim, czego się dowiedział, co do joty. Oprócz spraw służbowych, nie miał przed żoną żadnych tajemnic. A ona słuchała, choć wciąż uśmiechała się dziwnie.

### 3.

Właściwie kto wymyślił przezwisko Cyrulik? Paweł nie był w stanie sobie przypomnieć. Ktoś, kiedyś, jeszcze w ogólniaku, tak do niego powiedział, a potem się jakoś przyjęło. Tym łatwiej, że dla nikogo nie było tajemnicą, iż młody Czelański o niczym innym nie marzy, jak tylko o pójściu na medycynę. Nosił więc z dumą ten przydomek i nie porzucił go nawet, kiedy już dostał się na studia i zaczął on brzmieć trochę głupio.

Teraz ślęczał nad kolejnym egzaminem. Zakuwał już od miesiąca, na skutek czego był tak zdołowany i wściekły, że miał ochotę strzelać. Do kogokolwiek, czy to wrogów czy przyjaciół, osób neutralnych bądź zgoła nieznajomych, słowem do wszystkiego, co tylko się ruszało. Najwyżej potem będzie żałował, no już trudno.

Rzucił drugi tom podręcznika pediatrii w kąt, książka zafurkotała w powietrzu.

- To nie jest medycyna, to weterynaria! - krzyknął rozzalony. - Takiego gnojka zawsze boli tylko brzuch albo ucho, i bądź tu mądry, człowieku!

Zerwał się z łóżka, podszedł do okna. W oddali mrugał niebieskimi oknami Szpital Bródnowski.

- Może mnie te kobity z Litewskiej puszczy, jak im przysięgnę, że nigdy w życiu nie zostanę pediatrą? - spytał sam siebie z nadzieją. - Podobno zdarzały się takie przypadki...

Urwał, pokręcił smętnie głową. Westchnął, nie siląc się już dłużej na zgrywanie jakiegokolwiek wesołości.

- Uwalę to cholerstwo, nie ma co - mruknął. - Wyjątkowo tego przedmiotu nienawidzę.

Pogrzebał w kieszeni, wyjął komórkę. Wszedł w kontakty, kolejnymi kliknięciami przesuwając listę nazwisk. Do kogo by tu zadzwonić w tej czarnej godzinie?

Przestań się oszukiwać, durniu! - przemknęło mu przez myśl. Wiesz, że tak naprawdę chcesz zadzwonić... do niej. Odrzucił komórkę na łóżko, jednym,

zdecydowanym ruchem. Zresztą do Renaty i tak nie dzwoni się w weekend. Ona jest wtedy z rodziną.

Pochodził chwilę po pokoju. Spojrzał na ciemny ekran monitora i przysunął krzesło do biurka. Usiadł, wciskając palcem włącznik komputera. Począł, aż wystartują Windowsy.

- Pogadasz ze mną, Robokopie? - powiedział cicho. - Pogadaj, stary... co? Jak się mają twoje zabójcze Fiołki?

System odpalił. Cyrulik otworzył Gadu-Gadu, zaraz jednak pokręcił głową z rozczarowaniem. Robokop był niedostępny.

- A niech cię. Gdzie jest policja, kiedy jej potrzebujemy? - warknął ze złością. - Pewnie śpi. Poobiednią drzemką, stary drań!

Wzruszył ramionami. Wstał, wrócił do łóżka, podniósł komórkę. Przez chwilę przebierał palcami po liście, zastanawiając się, do kogo by tu zadzwonić. Wreszcie zatrzymał się na Milenie, kuzynce, którą znał od dziecka. Wcisnął OK, potwierdzając wybór, przez chwilę czekał na połączenie.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! - rozległ się jej głos w słuchawce. - Paweł? Ty żyjesz?

- A coś ty się taka pobożna zrobiła? - odparował podejrzliwie. - Poznałaś jakiegoś księdza? Czy tak cię na tym lotnisku nawrócili?

- Owszem, skacze tu z nami jeden kapelan wojskowy - odrzekła ze śmiechem. - Bardzo fajny gość. Ma ksywę Gabryś. Kurczę, nie wiem, jak się nazywa naprawdę... - zafrasowała się nagle.

- Dobra, nieważne - przerwał jej. - Słuchaj, obiecałem sobie właśnie, że jak zdam pediatrię, skoczę ze spadochronem. Tam u ciebie, w Chrcynnie. Jak tylko się zacznie sezon. Co ty na to?

- A ja na to jak na lato - ucieszyła się od razu. - Będę spadać obok ciebie, chcesz?

- Chcę - potwierdził z przekonaniem. - I tak będę się bał. Ale z tobą... Może jakby trochę mniej.

- Nie licz na to. - W głosie Mileny zabrzmiała spora dawka złośliwości. - Będę cię straszyć, aż się porzygasz, zobaczysz. No cóż, mój drogi. Nadejdzie godzina prawdy.

- Już drugi raz to słyszę. - Skrzywił się. - Wczoraj wieczorem Robokop mówił to samo.

- Robokop? - zdziwiła się. - He?

- Aaa, taki tam. - Machnął ręką, zupełnie bezsensownie, nie mogła przecież widzieć tego gestu. - Pomagałem Kocherowi wszczepić mu kardiowerter, w szpitalu na Szaserów. I jakoś tak się zgadaliśmy. Fajny pacjent z niego, emerytowany gliniarz. To mu powiedziałem, że właśnie został Robokopem. Ucieszył się jak kto głupi, on lubi fantastykę. A teraz gadamy sobie na GG.

- Ooo, to miłe - powiedziała Milenka, ziewając ukradkiem. - Wzruszające, taka więź z pacjentem. Widzisz, a mówiłeś, że nie masz powołania.

- Dupa tam - warknął, zły. - Powołanie to jest do wojska. A z Robokopem gadamy, bo on zbiera opowieści o UFO. Wiesz, co jest na topie ostatnio? - Ożywił się, zaczął trajkotać jak najęty. - Słuchaj, laska. W Peru wyrastają gigantyczne, trujące rośliny. Całe fioletowe. Ci, co podejda za blisko, krzyczą głośno i padają jak ścięci. Ci, co tylko trochę się przybliżą, umierają dłużej, w męczarniach. Godzinami może to trwać,

zanim się człowiek przekręci.

- Hm, tia. A dużo ich już wyrosło? - zapytała z wyraźnym niedowierzaniem w głosie. - Tych fioletowych killerów?

- Na razie nie wiadomo - odparł całkiem poważnie. - Kto tych martwych Indiańców w dżungli policzy? No i oczywiście, odpowiednie władze utajniają sprawę, bo liczą na wykorzystanie tych roślin w charakterze broni biologicznej. Dlatego niewiele jeszcze o tym wiadomo.

- Bujda na resorach, kolejna Strefa 51 - skomentowała z przekonaniem. - Ludziska muszą od czasu do czasu wyskoczyć z nową sensacją. Zdaje się, *chupacabra* się już znudziła. I białe aligatory w ściekach też.

- O aligatorach to prawda! - zaperzył się. - No nie mów, że nie wierzysz...

- Wierzę w mój spadochron - stwierdziła trzeźwo. - Zwłaszcza jak go sama złożę.

- Ech, zboczona! - rzucił z lekką dezaprobatą, siadając na łóżku. - No to powiedz chociaż, co u ciebie. Pokazywał się ostatnio w spadochroniarni twój obiekt westchnień?

W słuchawce zapanowała momentalna cisza.

- Nie - usłyszał wreszcie po przedłużającej się chwili milczenia. - Ostatnio nie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Tak to jest zakochać się głupio i bez wzajemności. Zresztą, zdaje się, jest to u nich rodzinne.

- A u ciebie? - padło w końcu oczywiste pytanie. - Jak tam twój obiekt?

- Nie ma na co liczyć - odparł pośpiesznie. - Przecież wiem.

- No, tak. - W głosie Milki brzmiało szczere współczucie. - No, tak... - Milczała przez chwilę, po czym dorzuciła: - Niedługo zaczynamy sezon. Przyjdź skoczyć. To pomaga. Zobaczysz, jak bardzo.

- Przyjdę - obiecał z przekonaniem. - Jak zdam pediatrię. Prędzej czy później, w końcu ją zdam.

Pomilczeli przez chwilę oboje.

- No to trzymaj się - powiedziała Milena ciepło. - Będzie dobrze, zobaczysz.

- Jasne - odparł. - Ty też się trzymaj. Pa!

Rozłączył rozmowę, po czym zapatrzył się w ekran komputera. Nic nie będzie dobrze, pomyślał nagle. Nic a nic.

Ruszył do kąta, podniósł nienawistną pediatrię. Wrócił na łóżko i zapatrzył się niewidzącym wzrokiem w pogniecione kartki. Nie uczył się jednak. Nie był w stanie.

Z całych sił walczył z obezwładniającym niczym narkotyk pragnieniem, żeby zadzwonić do Renaty.

#### 4.

Stary zwariował już całkiem, myślał inspektor Milarek, patrząc na byłego przełożonego.

- Myślisz, że zwariowałem. - Kępiński westchnął, przyglądając mu się z rozczarowaniem. - No, tak. Mogłem się tego spodziewać.

Siedzieli w kafejce w kinie Muranów. Milarek wyrwał się na chwilę z pobliskiego gmachu Komendy Stołecznej Policji, kiedy jego były szef zadzwonił z prośbą o pilne

spotkanie. A teraz patrzył na rozmówcę i już zaczynał żałować, że się w ogóle na nie zgodził. Przykro być świadkiem czyjegoś upadku, zwłaszcza jeśli kiedyś się tę osobę szczerze podziwiał.

- Posłuchaj, Stasiu - powiedział więc spokojnie. - Byłeś najlepszym szefem, jakiego miałem. I zostawiłeś po sobie zadziwiająco dużo dobrych wspomnień. Udało ci się nie zostać kutasem, a to rzadkość.

Przelotny uśmiech pojawił się na twarzy Kępińskiego, znikł jednak dość szybko. Milarek pokiwał głową.

- Ale posłuchaj sam siebie, stary - poprosił. - Przychodzisz i opowiadasz o kosmicznej inwazji. Tak, wiem. Oglądałem *Wojnę światów*, *Dzień Niepodległości* i wszystkie te inne bajery. Też się lubię odprężyć czasem - tłumaczył. - Ale to, że oglądałem i niektóre nawet mi się podobały, nie spowodowało, że zacząłem w nie wierzyć!

Kępiński przesunął po stoliku stertę papierów jednym, zdecydowanym ruchem. Milarek popatrzył na nie uważnie. Nie miał wyboru, zatrzymały mu się bowiem tuż pod nosem.

- Poczytaj sobie - zaproponował Kępiński. - Niektóre doniesienia to bzdety, fakt. Nawiedzeni ufolodzy, pismaki wężące w poszukiwaniu sensacji. Ale parę tekstów, parę zdjęć robi wrażenie. O, proszę, tutaj blog podróżnika, który widział Fiołka. - Wskazał palcem na adres: <http://tobisztrip.blogspot.com> - Co powiesz o jego fotografiach? Okej, może to tylko fotomontaż. Ale patrz tutaj! - Przejechał po literkach <http://mysliciolka.blog.pl>. - Dziewczyna szukała chłopaka, który zginął w Peru, w zadziwiająco zbliżonych warunkach. Zmówili się, jaja sobie robią? Może. Ale jest takich znacznie więcej, nawet sobie osobną stronę internetową założyli: [www.HCNzabija.pl](http://www.HCNzabija.pl). - Przechylił się przez stół, przewrócił kartkę, zapisaną adresami internetowymi. - Oczywiście, to się dzieje nie jedynie u nas w Polsce, to są doniesienia z całego świata! Tylko nie znam tych wszystkich języków... - Przerzucił kilka kolejnych stron.

- A teraz popatrz na to zdjęcie z NASA. O, to.

Milarek popatrzył na fioletowy kształt, wybijający się ponad morze zieleni. Wyrażna czerń dookoła niego mogła odzwierciedlać martwą strefę. Mężczyzna popatrzył zdumiony, po czym przeczytał podpis pod zdjęciem.

- Piszą, że to może być artefakt - oznajmił triumfalnie. - Nakierują satelitę i sprawdzą jeszcze raz.

- Tak, a na drugi dzień zdjęli to zdjęcie ze strony - stwierdził Kępiński z naciskiem. - I nie pisnęli ani słówka, co z tym satelitą! Jak myślisz, kto mógł mieć na to wpływ?

- Skoro to artefakt, nie chcieli się wygłupić - odparował Milarek natychmiast. - Uprzedzając twoją kolejną kwestię: byłbym daleki od wnioskowania, że jakaś złowroga organizacja, rządowa czy pozarządowa, próbuje wykorzystać Obcego jako śmiertcionośną broń biologiczną i tuszuje ślady. To byłoby dobre, owszem: na scenariusz kiepskiego filmu fantastycznego klasy C!

Kępiński zacisnął gniewnie wargi. Milarek znalazł ten grymas, teraz jednak nie przestraszył się: stary był już na emeryturze, nie mógł mu rozkazywać. Pokręcił więc głową w geście odmowy.

Kępiński sięgnął po filiżankę z kawą, upił łyk.

- Sposób, w jaki obca forma życia przybywa do nas, nie jest znany - powiedział, z demonstracyjną obojętnością patrząc na ścianę za rozmówcą. - Dotychczasowe zeznania są bardzo fragmentaryczne. Z wycinków informacji uskładałem jednak pewien scenariusz. Masz ochotę go wysłuchać? - Skierował wzrok na Milarka, patrząc nań chłodno i uprzejmie.

Tamten skinął głową.

- Zapewne najpierw dostają się tutaj jakieś zarodniki. W jaki sposób? Nie wiemy. - Kępiński mówił rzeczowo, niczym na odprawie. - Te kiełkują, rozwijając się pod ziemią. Po jakimś czasie, nocą, wychyla się pojedyncza łodyżka. Nocą, zanotuj dobrze, na parę godzin przed świtem. Łodyżka ma około jednego metra, zdaje się, że jest sztywna i połyskująca. Wspominano, że ktoś uznał ją za kawałek metalu. W momencie, w którym padnie na nią światło słoneczne, rozpoczyna się katastrofa. Cała roślina, przyczajona pod ziemią, jakby zwinięta tam w kłębek, wyprostowuje się znienacka, osiągając od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu metrów wysokości. Zaraz po wykiełkowaniu zaczyna zabijać. Podobno czuć zapach gorzkich migdałów, więc może wytwarza jakieś cyjanki. - Zamilkł, obserwując rozmówcę.

Tamten nie zamierzał się poddać.

- Taka jest twoja wersja wydarzeń - zaoponował ostro. - Owszem, niejeden raz byłem świadkiem, jak twoje najbardziej pokręcone koncepcje okazują się prawdziwe. Ale teraz... Przykro mi to mówić, stary, ale posłuchaj sam siebie, jeszcze raz. Złowrogie rośliny z kosmosu?! Ziejące cyjanowodorem?! - prychnął zezłoszczony. - Kosmiczna bzdura! Nie kupuję tego. Sorry!

Milczeli obaj przez chwilę, mierząc się spojrzeniami.

- Ja tylko chciałbym, żeby chłopcy byli ostrożni, kiedy zobaczą fioletową łodyżkę - oznajmił Kępiński z urazą. - I żeby dali znać najszybciej, jak się da. To wszystko.

- No i jak ty to sobie niby wyobrażasz, że jak mam to zrobić? - wybuchnął Milarek, zaciskając dłonie w pięści i uderzając lekko w blat stolika.

Kelnerka odwróciła się ku nim, zaniepokojona. Obdarzyli ją uspokajającymi uśmiechami, po czym zwrócili się z powrotem ku sobie.

- Człowieku, nawet jakbym chciał to zrobić dla ciebie, po starej znajomości - powiedział Milarek ściszone głosem - to co sobie wyobrażasz? Że na odprawie powiem: aha, słuchajcie, i jeszcze popatrzcie, czy gdzieś nie wyrasta fioletowy kosmita? Bo, wiecie, nasz były Stary prosił, żeby mu takiego przynieść do kolekcji. Chłopaki zabijają mnie śmiechem!

- Rozumiem. - Kępiński wstał od stolika, popatrzył na niedopitą kawę, wzruszając ramionami. - Obiecaj mi jedno. Że zrobisz to, o co cię proszę... Kiedy będę miał bardziej przekonujące dowody.

Tamten skinął głową, powoli, bez słów.

Robokop odwrócił się i wyszedł z lokalu. Zapinając suwak kurtki, wspiał się po kilku schodkach, wiodących na ulicę. Popatrzył w prawo, na plac Bankowy. Tłumy ludzi i pojazdów mrowiły się, każdy śpieszył w swoją stronę. Roztopiony śnieg bryzgał brązową breją.

- Kiedy już będę miał dowody... - mruknął półgłosem. - O ile wtedy nie będzie za późno, bo rozpęta się tu fioletowe piekło. *I żywy stąd nie wyjdzie nikt...* - zanucił za



Perfectem, dość makabrycznie.

Piosenka wciąż kołatała mu się po głowie, kiedy szedł z powrotem do domu. Po prostu nie mógł się od niej uwolnić.

*...I żywy stąd nie wyjdzie nikt*

## 5.

Opowieść o Zabójczych Fiołkach stała się dosyć popularna w niektórych kręgach, w znakomitej większości przypadków stanowiąc temat do żartów. Rozbawiona młodzież spreycowała napisy „HCN ZABIJA” na ścianach i chodnikach, ostrzegając przed rychłym Armageddonem. Nawet Arnold, dzwoniąc do domu, zapytał matkę, czy przypadkiem nie hoduje jakiegoś fioletowego obcego w doniczce. Ta jednak ofuknęła go ostro. Zawsze stawiała lojalnie po stronie męża, a skoro ten uważał, że zagrożenie jest jak najbardziej prawdziwe, reszta rodziny powinna solidarnie dzielić jego przekonania.

- Ależ mamó! - powiedział Ari, bynajmniej nieprzejęty. - Wiesz doskonale, że ojciec będzie szczęśliwy dopiero, kiedy zobaczy przynajmniej jedno UFO. Wtedy będzie mógł umrzeć w spokoju, z poczuciem, że jego życie jest spełnione. Sam tak mówił niedawno. Dlatego się bardzo stara zobaczyć to UFO, oczywiście.

- Jak on zobaczy właśnie to UFO, to umrze nie tylko sam, ale i my wszyscy - odparła Eleonora ponuro. - Zginie cała nasza rodzina - dodała mrocznym tonem, jakby wygłaszała straszliwą przepowiednię.

- Wiesz co? Zaczniij stosować te plastry - poradził syn trzeźwo. - Straszego łapiesz doła, to chyba przez tę menopauzę.

- Kupiłam cukier - stwierdziła wymijająco. - I mąkę. I trochę puszek...

- No coś ty! - Ari się roześmiał. - Czy aby trochę nie przesadzacie z tą kosmiczną inwazją?

- Ojciec w to wierzy - odparła z naciskiem. - Zobaczysz: prędzej czy później te rośliny pojawią się i u nas. A wtedy trzeba być przygotowanym. Tata spakował już najpotrzebniejsze rzeczy do plecaków, a ja zaszyłam biżuterię w torebce... Ty też powinienes się przygotować, na wszelki wypadek. Wybierz trochę pieniędzy z bankomatu, noś je przy sobie. I wiesz, chciałabym, żebyś częściej dzwonił. Tak dla pewności. Zygmunt, zresztą, też.

- Nie jest mu łatwo stamtąd dzwonić - zauważył syn z powątpiewaniem. - Poza tym niedługo wraca. Zjedziemy się wszyscy. Nie ma co histeryzować na zapas.

Westchnęła ciężko. Pewnie Arnold ma rację. To mądry dzieciak, zawsze był taki zdolny.

- Szkoda, że wybrałeś zawód strażaka - powtórzyła po raz chyba tysięczny. - Mogłeś przecież zostać księgowym i zarabiać prawdziwe pieniądze.

- Muszę już kończyć, mamó - powiedział Ari chłodno. - Spotkamy się za dwa tygodnie, jak Zygmunt wróci z Afgana. Przyjadę do was i ja. Pa! - Odłożył słuchawkę.

- Pa! - rzuciła w milczący już telefon.

Odwróciła się do męża, patrząc nań bezradnie.

- No i co tu zrobić z takim? - uzalała się. - Robi, co może, życie sobie zmarnuje,

żeby tylko dogonić Zygmunta. Bez sensu, zawsze był słabszy. A przecież mógłby być takim dobrym księgowym albo prawnikiem. I kobietę wtedy sobie znalazłby jak trzeba...

- Tylko nie zaczynaj znowu - rzucił Kępiński zza gazety. - Daj spokój, dorosły jest, wie, co robi. - Podniósł na nią oczy i wtedy dopiero zobaczył jej skurczoną z bólu twarz.

Odłożył gazetę, wyciągnął ramiona do żony.

- Chodź, przytul się - powiedział. - Co ty taka nieszczęśliwa jesteś ostatnio, co? Marudzisz i marudzisz, wytrzymać z tobą nie można.

Podeszła natychmiast, wgramoliła mu się na kolana niczym mała dziewczynka. Przytuliła policzek do jego brody.

- Straszne sny mnie męczą, już od jakiegoś czasu - zwierzyła się. - Przykre takie. Dziś w nocy śniło mi się, że nadepnęłam przypadkiem psu na łapę, a ta trzasnęła od razu. Krew na podłodze, pies piszczy i kuleje, stawia tę złamaną łapę na ziemi i wyje z bólu...

- No, dobrze już, dobrze - przerwał jej czym prędzej, zawsze był bardzo wrażliwy na krzywdę zwierząt. - Ale przecież to tylko sen.

Potrząsnęła głową.

- Ja myślę, że odbieram emocjonalne echa jakiejś wielkiej tragedii - wyszeptała nieśmiało. - Tak jak wtedy po powodzi, pamiętasz? Przez parę tygodni chodziłam przygnębiona, przybita, zupełnie nie do życia. I też takie straszne rzeczy mi się śniły... Trupy, topielce... Zupełnie jak teraz. Też trupy, mnóstwo trupów mi się śni.

- Możliwe - zgodził się z nią, wzdychając. - Zresztą, krew się leje codziennie na tym świecie, wojen wszędzie pełno. Ot, chociażby... - urwał czym prędzej, za późno, i tak oboje zdążyli już pomyśleć o tym samym.

Zygmunt za dwa tygodnie wraca z Afganistanu. Aż za dwa. Dopiero za dwa.

Właściwie wystarczy jeden dzień, żeby coś poszło nie tak. A nawet jedna chwila.

I życie już nigdy nie będzie takie samo.

## 6.

- O ja pierdole! - powiedział Cyrulik, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran komputera.

Czuł się jak we śnie. Jak lata temu, kiedy widział na onecie płonące wieżowce World Trade Center i za nic nie mógł uwierzyć, że to prawda.

Kamera pokazywała obraz umierającego miasta.

Kair, a właściwie Giza. Plac, który dość dobrze pamiętał.

Siedział wtedy w KFC, w lokalu z klimatyzacją i widokiem na piramidy, i przeżuwał niesmak. Że akurat tu, z kompletnym brakiem pokory wobec tysiącleci zaklętych w tych kamiennych ostrosłupach, załęgła się nieubłagana popkultura. KFC, Pizza Hut, co tam jeszcze było? Nie pamiętał już.

Teraz był tam Fiołek.

Wielki, opalizujący fioletowy twór, wysoki przynajmniej na kilkadziesiąt metrów. Pokryty dziwną, jakby węzową łuską o metalicznym połysku. Jego liście na

wierzchniej stronie płonęły krwistą czerwienią.

A miasto dookoła umierało. Setki trupów zaścielały plac.

Cyrulik wyobraził sobie tę scenę. Turyści pośpieszyli oglądać piramidy rankiem, kiedy nie ma jeszcze tak straszego upału. Nagle spośród pogruchotanych płyt, dotychczas pokrywających ziemię, wyłonił się ten olbrzym. I zaczął zabijać.

Chłopak zerwał się, przebiegł do dużego pokoju, włączył telewizor. Rodzice oderwali się od scrabble'a i popatrzyli na niego zdziwieni: nie lubili telewizji i rzadko ją oglądali. Przełączył szybko na CNN i w milczeniu wskazał im ekran palcem. Spojrzeli i krzyknęli głośno. Oboje.

Fiołek prezentował się dumnie na tle piramid. Okoliczna ludność słała się przed nim pokotem.

Za chwilę obraz zmienił się. Fiołek jakby pozostał ten sam, ktoś tylko zmienił dekoracje. Zamiast pustyni i piramid drapacze chmur... Londyn, pojawił się napis na dole.

Potem kolejna zmiana dekoracji i podpisu. I znowu. Odessa. Bagdad. Ateny.

I tylko Fiołek ciągle taki sam.

- Chyba nie muszę się już uczyć pediatrii - powiedział Cyrulik, osuwając się na dywan przed telewizorem.

Matka zaczęła krzyczeć.

## 7.

Robokop zobaczył Obcego.

Przez myśl przemknęło mu krótkie wspomnienie momentu, w którym deklarował, że taki widok uszczęśliwi go do końca życia.

W jednej chwili zmienił zdanie.

Oślupiałym wzrokiem wpatrywał się w telewizor, przekazujący wiadomości z kolejnych katastrof. W każdym ujęciu dominował wyniosły, fioletowy, obcy twór.

Kępiński potoczył wzrokiem wokół, po pokoju. Wszystko było jak najbardziej na swoim miejscu. Codzienna, zwykła, szara rzeczywistość.

Popatrzył z powrotem na ekran. Nagle pomyślał, że to może tylko trick? Ktoś nasłuchiwał się opowieści o Zabójczych Fiołkach i postanowił zrobić wielki show. Jak Orson Welles z *Wojną światów* przed laty. Tak, ten numer z pewnością wymagał odświeżenia.

Robokop przyjrzał się uważnie. Przedstawiane sceny wyglądały bardzo realistycznie, widocznie inspicjent zadbał o szczegóły. Ludzie pokładli się na ulicach. Wokół piętrzyły się rozbite samochody. Tu i ówdzie płonęły już budynki. Jasne, jeżeli ktoś umarł, jak stał, na pewno nie zadbał o to, by wyłączyć żelazko. Albo zdjąć garnek z gazu. Robokop zobaczył, jak jednym z wieżowców targnął potężny wybuch. Potem, powoli, budowla osunęła się na ziemię, jakby padając przed Fiołkiem na kolana. Bardzo realistyczna scena, doprawdy. Ale w dzisiejszej dobie animacji komputerowej... Zresztą może rzeczywiście wysadzili jakiś stary budynek, czego to się nie robi dla podkreślenia oglądalności.

Kępiński wstrząsnął się. Przypomniawszy sobie, jak przed laty był na pokazach

lotniczych w Góraszce. Ludzie przechadzali się, jak to na pikniku, pojadając grillowane kiełbaski, popijając je colą albo piwem. Samoloty huczały nad głowami, wykonując przeróżne ewolucje. Wreszcie duński śmigłowiec zrobił zbyt nisko ranwers, na dodatek rotor znad skarpy i lasu przydusił go do ziemi. Maszyna zaczęła opadać gwałtownie, łopaty wirnika aż się wygięły od przeciążenia. A ludzie natychmiast ruszyli w tamtym kierunku, chłonąc widok szeroko otwartymi oczami. Trawa zafalowała od raptownego podmuchu, gdy helikopter uderzył w ziemię, kilkanaście metrów od tłumy. Wirnik roztrzaskał się momentalnie, odłamki poleciały w publiczność, raniąc kilka osób. Gdyby pilot nie zdołał w ostatniej chwili wyprowadzić maszyny w bok, przemieliłby zgromadzonych śmigłem niczym krwawą kosiarką. Ale ci, nieświadomi jakiegokolwiek zagrożenia, tłoczyli się przy barierkach, zachwyceni. Przecież są tylko widzami, nic im się nie ma prawa stać. O, jaka piękna katastrofa, na dodatek w cenie biletu.

W tej chwili Robokop czuł się dokładnie tak samo nierealnie jak oni. To się przecież nie dzieje naprawdę. To tylko kolejny telewizyjny trik.

Zaczął przebierać palcami po przyciskach pilota, zmieniając kanały. Fiołek, Fiołek, wszędzie ta pieprzona roślina, w jakże miłym dla oka otoczeniu. To niemożliwe, pomyślał. Czyżby wszyscy kupili ten show? Wtedy dopiero dotarło do niego, że to jednak nie może być przedstawienie. Że nie da się namówić wszystkich telewizji świata, żeby jednocześnie pokazywały to samo. Choćby ze względów ideowych, zawsze któreś stacje się wyłamią.

Poczuł się dziwnie, nawet bardzo dziwnie. Spędził tyle godzin na Internecie, zbierając informacje o fioletowej inwazji. Był przekonany, że to wszystko prawda... ale tylko teoretycznie. W momencie, gdy zobaczył tę swoją prawdę na ekranie telewizora, nie mógł, nie chciał w nią uwierzyć.

Wstał, podszedł do okna. Popatrzył w dół na zębaty dach Rotundy, powiódł wzrokiem po placu Defilad. Wreszcie spojrzał na Pałac Kultury, wyprostowany dumnie na tle bladego, styczniowego błękitu nieba. Wszystko było w jak najlepszym porządku.

Nagle jakiś szczegół przykuł jego wzrok. Poczuł, jak skóra cierpie mu na plecach, a ciało pokrywa się lodowatym potem.

W oddali majaczyła jakaś niewyraźna, fioletowa kreska.

Pochwycił natychmiast lornetkę, zaczął przepatrywać okolicę w poszukiwaniu groźnego pręta. Wreszcie znalazł. Ręce mu zadrżały.

Z trawy przy chodniku wystawał metalowy, fioletowy słupek, mniej więcej metrowej wysokości.

Robokop przełknął ślinę.

- Zaraz zaraz, przecież jest dzień! - zaprotestował cicho. - Powinny wyrastać w nocy, co jest?

Przyjrzał się jeszcze raz, dokładniej. Tuż obok słupka leżał przewrócony kosz, również w atrakcyjnym, fioletowym kolorze.

- Chuligani rozwalili śmietnik - stwierdził na głos, czując, jak zalewa go fala przemożnej ulgi.

Odłożył lornetkę. Spojrzał w stronę sypialni.

Ellen spała jeszcze. Zastanowił się, czy powinien ją budzić. Pokręcił głową. Przy

cechującej żonę nadwrażliwości to może być ostatni z jej w miarę spokojnych snów.

Wrócił do telewizora i zasiadł przed nim, coraz bardziej ponury, w miarę jak przed oczami przesuwały mu się kolejne obrazy tragedii.

## 8.

- Uciekamy stąd! - zarządził ojciec Cyrulika, ręce mu drżały.

Syn spojrzał na niego z kamiennym spokojem.

- Przestań, tato - powiedział powoli. - Dokąd chcesz uciec? Przecież one mogą wyrosnąć wszędzie!

- Dokądkolwiek, byle dalej stąd! Z daleka od tego pieprzonego miasta!

Matka pokiwała głową. Potem potrząsnęła nią. Potem pokiwała znów.

- Rób co chcesz - powiedziała. - Ja się stąd nigdzie nie ruszam. To moje miasto. Tu się urodziłam i tu umrę. Zresztą Paweł ma rację. One mogą wyrosnąć wszędzie. Ucieczka nie ma sensu.

- Ale przynajmniej będę żył gdzieś, gdzie mogę być szczęśliwy! Nigdy nie polubiłem Warszawy, tegopanoszącego się wszędzie motłochu, tego wszechobecnego wyścigu szczurów! A teraz wracam! Tęsknię do morza...

Matka zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, była już inną osobą.

- Twoja sprawa, co zamierzasz zrobić z własnym życiem, mnie w to nie mieszaj! - wybuchnęła nagłym gniewem. - Ależ proszę. Pakuj walizki, proszę bardzo. Ja też mam dość.

Popatrzyli na nią obaj, ojciec i syn, z nagłym zdumieniem. Anna podnosząca głos? Mówiąca przykre rzeczy wprost? To się dotąd nie zdarzało. Zawsze była przecież oazą spokoju, mistrzynią dyplomacji.

- Pieprzę to! - oznajmiła z mocą. - Niczego już nie muszę udawać. Niczego wytrzymywać dla dobra sprawy. Oto koniec świata. Reszta mojego życia należy do mnie. Wypchajcie się! - Wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Stali w osłupieniu, słuchając, jak ona miota się, klnąc. Po chwili ukazała się w drzwiach, ubrana w czarną półdługą spódnicę i czerwoną bluzkę z wyzywającym dekoltem. Zdarła kurtkę z wieszaka jednym zdecydowanym gestem. Wyszła z mieszkania, wybierając jakiś numer na komórce. Drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

Paweł popatrzył na ojca.

- Zawsze wiedziałem, że kiedyś przegniesz - rzucił bezlitośnie.

Tamten spojrzał na niego, osłupiały. Milczał i wręcz jakby kurczył się w oczach, wyglądając coraz bardziej żałośnie. W ciągu zaledwie jednego poranka zawałił się cały jego świat.

Paweł odwrócił się, pomaszerował do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Zdecydowanym ruchem wyciągnął komórkę z kieszeni.

- Cześć, to ja - powiedział, kiedy uzyskał połączenie z Renatą. - Muszę się z tobą zobaczyć.



Kępińskiego ogarniała coraz większa złość.

Wpatrywał się w ekran telewizora od ładnych paru godzin. Świt zawitał już do Ameryki, kładąc pokotem kolejne miasta. Buenos Aires, Meksyk, Chicago... I ciągle tylko obrazy tragedii. Ani śladu żadnego przeciwdziałania, akcji, nic.

- Kiedy te kutasy ruszą wreszcie dupę i zaczną coś z tym robić? - zawarczał.

- Podobno Anglicy wysiali grupę w strojach ochronnych, żeby pobrała próbki do analizy - powiedziała Eleonora, stając w drzwiach. - No i potwierdzili, że to, co zabija, to cyjanowodór. Fiołek wydziela go w ilościach hurtowych. - Splotła ramiona. - Założę, się, że wiedzieli już wcześniej. Te wszystkie plotki w Internecie... Te napisy na mieście: HCN ZABIJA... Nie wzięły się znikąd. Ktoś musiał wiedzieć.

Odwrócił głowę, zaskoczony. Popatrzył na żonę, na swoją Ellen. Była całkowicie spokojna, opanowana, jak nigdy dotąd.

- Nie śpisz? - zapytał słabo.

Potrząsnęła głową.

- Grzebię w Internecie - rzuciła. - Tam się więcej dowiesz. Więcej masz niezależnych źródeł.

Był naprawdę zdumiony. Patrzył na nią, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Uaktywnił się Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego - ciągnęła dalej. - Premier zwołał jego nadzwyczajne posiedzenie, celem przedyskutowania składu i sposobów działania Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. - Uśmiechnęła się cynicznie. - Mamy więc przed sobą przynajmniej parę tygodni politycznych przepychanek, nim ktokolwiek zacznie działać.

Przełknął ślinę.

- Ale przecież Rządowe Centrum Bezpieczeństwa działa od dawna - zaprotestował. - Zgodnie z ustawą o zarządzaniu kryzysowym. Po co mają tworzyć coś, co już istnieje? Albo rozmontowywać i składać to z powrotem do kupy właśnie teraz, w sytuacji nagłej, kiedy trzeba działać i to jak najszybciej?

- Sytuacja jest niestandardowa, doszli do wniosku - przerwała mu bezceremonialnie. - I wcale nie tak nagle, przecież u nas się jeszcze nic nie wydarzyło. No to muszą ustalić, komu się należy który kawałek tortu. Czyj znajomy obejmuje jaki stołek, bo przecież teraz to są zupełnie inne stołki niż te, na które się umawiali przy obsadzaniu nie najważniejszej, bądź co bądź, instytucji. A skoro instytucja nabrała na znaczeniu, to proszę, trzeba reorganizować... - Machnęła ze zniecierpliwieniem ręką. - Zresztą co ci będę tłumaczyć. Przecież wiesz. Politycy.

Skinął głową.

- No, tak - powiedział. - No, tak.

- Goś się dzieje. - Wskazała na ekran. - Patrz!

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, kraje próbowały sobie jakoś radzić.

Pierwsza do boju poderwała się Odessa.

Dookoła Fiołka krążyło kilka śmigłowców Mi-24, wspieranych przez jeden Mi-2 rozpoznania. Nieco dalej zawisły Bell JetRangery stacji telewizyjnych.

Wreszcie w szyku bojowym nadleciały Hindy i plunęły ogniem, odpalając w kierunku Fiołka chmurę rakiet. Kamery, przekazujące obraz, były dość oddalone od

miejsca akcji, pomimo to można było doskonale usłyszeć wizg rozcinanego powietrza, a potem donośny huk wybuchu. Wokół Fiołka rozpętało się gwałtowne piekło. Kłęby ognia i dymu pokryły nieomal całą roślinę, dookoła zafalowało rozżarzone powietrze.

- Mają go! - oznajmił Robokop z zadowoleniem. - Szast-prast i po sprawie.

Fiołek w przeciągu paru minut podskoczył o dobrych kilkanaście metrów, jakby poczęstowany wyjątkowo silną i skuteczną odżywką. Niemalże natychmiast strefa śmierci pomknęła na boki, pożerając kolejne ofiary. Kamery pokazywały obraz rzeki ludzi, która zatrzymała się i zamarła, zlodowaciała pod podmuchem cyjanowodoru.

Mi-24 czmychnęły z zagrożonego obszaru. Ale Mi-2 najpierw czekał w zwisie, by przekazać triumfalny obraz roztrzaskanego Fiołka, a potem nie zdążył odlecieć. Zabójczy gaz wdarł się pilotom do płuc, maszyna runęła w dół, by w sekundy później eksplodować z hukiem, posyłając w powietrze kłęby czarnego dymu.

Robokop i Ellen milczeli, patrząc posępnie na szarpane płomieniami miasto. Fiołek rozpościerał nad nim czerwone liście. Wiatr i dym poruszały nimi nieco, wyglądało to, jakby Obcy potrząsał triumfalnie licznymi ramionami.

Obraz zmienił się. Kolejne miasto wkroczyło na scenę.

Niebo nad Atenami przecięły białe kreski smug kondensacyjnych. Komentatorzy objaśniali, że oto lecą myśliwce Eurofighter Typhoon, uzbrojone między innymi w pociski taktyczne Storm Shadow. Ze względu na dość wysoki pułap myśliwców nie było widać, na placu boju trwał tylko samotny Fiołek. Wnet ekran rozbłysnął, zalany oślepiającym światłem. Robokop z żoną przygryźli wargi w napięciu.

Fiołek wyłonił się z pożogi nieco ukruszony. Zabliźniał jednak rany błyskawicznie, niemalże w oczach, pokrywając je nową, opalizującą łuską. Wzbijał się w niebo radośnie, tak samo jak jego odeski pobratymiec. Najwyraźniej roślinki lubiły ciepło.

Na tym telewizje zakończyły szczegółowe relacje. Pokazano jeszcze parę urywków: Amerykanów, próbujących naszpikować Fiołka przeciwpancernymi pociskami podkalibrowymi z rdzeniem ze zubożonego uranu, angielski zespół saperów w przeciwchemicznych kombinezonach, wreszcie pakistańską próbę użycia broni nuklearnej, która od razu wywołała rozległy skandal dyplomatyczny.

Wszystkie akcje zakończone fiaskiem. Fiołki trzymały się mocno.

Kępiński uśmiechnął się pod nosem, widząc zdesperowanego Araba, jadącego w kierunku Obcego ciężarówką wypchaną trotylem. Kandydat na męczennika skończył misję zbyt wcześnie: pierwszy wdech cyjanku załatwił go, zanim jeszcze zdążył dotrzeć do celu. Poniekąd dobrze się stało, gdyby odpalił cały ten szajs, dostarczyłby roślince cennej energii. Robokop westchnął, kręcąc głową z nieco kpiącą dezaprobatą, zaraz jednak uśmiech spełził mu z twarzy.

Jego syn, gdzieś tam w górach, widział zapewne wielu takich desperatów.

Kępiński spojrzał na żonę ukradkiem. Czy pomyślała o tym samym? Chyba nie. Owszem, miała napiętą, zamyśloną twarz, ale w oczach nie zakręciły się jej łzy.

- Ale po co ta inwazja? - zapytała Ellen, marszcząc brwi. - Jak myślisz, ktoś chce nas wymordować, a potem przejąć martwą planetę?

Mąż odwrócił się ku niej, pocierając brodę w zamyśleniu.

- Może to taki terraforming - rzucił z powątpiewaniem. - Może, na przykład, Obcy

oddychają cyjanowodorem. Gdybyśmy kolonizowali Marsa, też byśmy zaczęli od zasadzenia roślin i wytwarzania tlenu.

Wstrząsnęła się lekko.

Zamyślili się oboje.

- No, nic - westchnęła wreszcie Ellen. - Fiołki Fiołkami, a jeść trzeba. Biorę się do obiadu. - Wstałaz dywanu, rześko i prężnie, jak za młodych lat. - Dobrze, że zrobiłam zapasy. Pewnie w sklepach już są makabryczne kolejki. I będą takie, przynajmniej przez najbliższych parę dni.

Patrzył na nią, wciąż nie mogąc otrząsnąć się ze zdziwienia. Zawsze była taka krucha, delikatna, oczekująca pomocy... Lubił myśleć, że żona jest niczym porcelanowa laleczka, którą on troskliwie się opiekuje. A teraz, kiedy przyszło prawdziwe zagrożenie, zmieniła się nie do poznania. Tuż pod porcelaną kryła się stal.

- Nie siedź tak, zadzwoń do Zygmunta, może go zrotują wcześniej - poradziła mu jeszcze, stojąc już w drzwiach. - Aha, i skontaktuj się z Arim, niech nam skombinuje jakieś maski przeciwcyanowodorowe, czy jak się tam nazywają. No i nie martw się. Co ma być, to będzie - dorzuciła filozoficznie. - Nie ma co rozdzierać szat.

Określiła się na pięcie i podreptała do kuchni. Słyszał, jak łomocze garnkami.

Poszedł do małego pokoju, zasiadł przed komputerem i zaczął telefonować do synów. Cały czas niespokojnie spoglądał na ekran. Może przynajmniej uda się wykryć, skąd się biorą te fioletowe cholery?

## 10.

Cyrulik zaczął już marznąć.

Umówił się z Renatą w Parku Skaryszewskim. Po pół godzinie czekania uznał, że to był błąd. Powinien był zaprosić ją do jakiejś kafejki. Nie zmarzłby wtedy aż tak. Mógł to przewidzieć. Był styczeń, kilka stopni poniżej zera, a ona zawsze się spóźniała.

Ale ten park kojarzył mu się tak romantycznie... To przecież tutaj oni pierwszy raz...

- No, czego chciałeś? - Jej głos wyrwał go ze wspomnień.

Jak zwykle, zaszła go od tyłu, znienacka. Odwrócił się i popatrzył na nią. Nie widział jej już dobrych parę miesięcy i jej obraz powoli zaczynał się zacierać wśród wspomnień. A raczej sublimował, dążąc do ideału... W rzeczywistości nie była może tak piękna, jak ją sobie zapamiętał, jednak wciąż migotało w niej to coś. Sama jej bliskość sprawiała, że w środku rozlało mu się dziwne, błogie, pełne czułości ciepło. Miał ochotę klęknąć i błagać o jeszcze.

Opanował się jednak. Odchrząknął, speszony.

- Wiesz, bo w tej sytuacji... - zaczął niezręcznie.

- W jakiej sytuacji? - zapytała sucho.

Speszył się jeszcze bardziej.

- No, koniec świata i w ogóle... - Dopiero kiedy usłyszał własne słowa, zrozumiał, jak idiotycznie zabrzmiały.

Rozejrzał się dookoła. Śnieg zaścielał trawniki. Bezlistne gałęzie drzew i krzewów pokryte były lekką warstwą białego puchu. I nigdzie niczego fioletowego. Ależ skąd.

- Paweł, oprzytomniej wreszcie. - Westchnęła z dezaprobatą. - Świat nie kończy się tak od razu we wszystkich miejscach naraz. Jak widzisz, jeszcze żyjemy. A ty co, liczysz na mały romantyczny podryw z tej okazji? - Skrzywiła się lekko.

Stał bez słowa, czując, jak narasta w nim głuchy, rwący ból.

- Powiedziałaś ci przecież - odezwała się niechętnie, z oporem. - Nie masz na co liczyć, zresztą to był błąd.

- Ale... Ale ja cię... - wyjąkał tylko, dalsza część zdania nie chciała mu przejść przez zaciśnięte gardło.

Przerwała mu gniewnym machnięciem ręki.

- Obie strony wiedziały, w co wchodzi - stwierdziła stanowczo. - Zdawałeś sobie sprawę z tego, że mam rodzinę, i obiecałeś nie robić problemów. - Obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Nie robiłem - warknął przez zaciśnięte zęby. - Zresztą to ty pierwsza powiedziałaś, że mnie... że... - Znowu się zaciął.

- Różne rzeczy się mówi w uniesieniu postkoitalnym. - Roześmiała się, odrobinę sztucznie. - Jako prawie lekarz, powinieneś wiedzieć.

Zebrał się w sobie natychmiast.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że wciąż mi jesteś droga - rzekł opanowanym głosem. - I, że gdyby jednak koniec świata zawitał i do nas, i zastał cię w kłopotach, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

Milczała, jakby zbита z tropu.

- Cokolwiek by się działo, przyjdę - dodał spokojnie. - Możesz być pewna.

Zacisnęła wargi, jakby chcąc siłą zatrzymać wzbierający gdzieś wewnątrz potok słów.

- A teraz uciekaj do rodziny - rzucił swobodnie. - Naprawdę. Nie zamierzam ci sprawiać żadnych kłopotów.

...Bo za bardzo cię kocham, dodał w myślach, niesłychanym wysiłkiem powstrzymując się od wypowiedzenia tego na głos.

- Dziękuję - powiedziała po prostu.

Okręciła się na pięcie i zaczęła iść w kierunku swojego przystanku. Odwrócił się więc również i ruszył w przeciwną stronę. Oczy paliły go od mrozu, napełniając się łzami.

Żadne z nich nie obejrzało się za siebie.

## 11.

Robokop surfował po sieci, rozmyślając zawzięcie.

Logicznie rzecz biorąc, Fiołki powinny przylatywać z kosmosu. Mogły się zalegnać w jakimś cholernym laboratorium, owszem. Ale w takiej sytuacji jak można by wytłumaczyć fakt, że się tak równomiernie rozsiały po całej kuli ziemskiej?

Terroryści odpadali. Rzadko która organizacja ma na pieńku z całym światem, zazwyczaj wszędzie są jacyś my i jacyś oni.

Ekolodzy ekstremiści też raczej nie wchodzili w grę. Nawet jeżeli ktoś naoglądał się *Matriksa* i nabrał przekonania, że ludzkość to plaga tej planety, dlaczego miałyby przy okazji zabijać również psy, koty i wielbłądy? Robokop pokręcił głową. Kosmiczna inwazja - do tej idei nabierał coraz większego przekonania.

Ale jak one się tu dostają? Ląduje UFO, cichcem zasiewa roślinkę, a potem dyskretnie znika w oddali? Nie, zdecydowanie nie. Niektóre miejsca były zbyt publiczne, zbyt widoczne na taki numer. Dżungla peruwiańska, owszem. Ale nie plac przed piramidami, gdzie zawsze są jacyś ludzie. Nawet nocą - przedstawienie „Światło i dźwięk” trwa do bardzo późna.

A zatem coś musiało wysiać zarodniki, pozostając w ukryciu - a może w znacznej odległości?

Inspektor Kępiński zabrał się do poszukiwania doniesień o upadkach jakichkolwiek obiektów w bezpośrednim otoczeniu miejsc katastrofy.

Mimo że ślęczał nad tym dobrych parę godzin, nie znalazł nic.

Albo nic takiego nie spadło, albo nikt nie zatroszczył się, by wspomnieć o tym w Internecie.

Westchnął ciężko, rzucił okiem na wystygły obiad. Żona postawiła talerz na stoliku jakiś czas temu, po czym odeszła bez słowa i zajęła się czymś w swoim pokoju. Chyba porządkowała stare ubrania. Wiedziała doskonale, że mąż zje dopiero, kiedy się oderwie od pracy, zostawiła go więc w spokoju.

Westchnął ponownie, wziął do ręki widelec, zaczął dłubać w zimnych ziemniakach. Nie chciało mu się jeść ani trochę.

Odłożył sztuciec, wrócił do klawiatury. Postanowił rozszerzyć zakres poszukiwań, zwiększając odległość od miejsca zdarzenia. W internetowe szlaki, które zdążył już przetrzeć, wpisał pięćdziesiąt kilometrów, potem, po namyśle, zmienił na sto.

Wrócił do jedzenia zimnego już całkiem obiadu. Rozgniewał widelcem klopsy w sosie pomidorowym, wpatrując się w ekran. Jadł powoli, uważnie obserwując pojawiające się dane.

Nagle przerwał, zamierając w bezruchu. Widelec brzęknął o talerz.

W dwóch europejskich przypadkach, w odległości raz siedemdziesiąt, raz dziewięćdziesiąt pięć kilometrów od celu, widziano dziwny obiekt, roztrzaskujący się tuż nad ziemią.

Jak mówili świadkowie zdarzenia, obiekt był obsydianowoczarny, miał około dwóch metrów średnicy i kształt łudząco podobny do owocu dzikiej róży.

Kępiński odstawił talerz natychmiast. Zapisał obie strony, po czym zaczął tworzyć maila. Wyjaśnił po angielsku wszystkie swoje spostrzeżenia, załączył oba pliki i wysłał wiadomość do wszystkich agencji i centrów kryzysowych, jakie tylko udało mu się zidentyfikować.

To było właściwie wszystko, co mógł zrobić. Tamci mają lepsze komputery, sztab specjalistów, dostęp do tajnych informacji. Może ktoś potraktuje poważnie jego doniesienie i zacznie szukać, kto wie.

Odchylił się do tyłu, oparł plecy o fotel. Jedno, czego mógł być absolutnie pewien: nie powinien liczyć na żadne „dziękuję”. Ktokolwiek skorzysta z tej wiadomości, zgarnie całą chwałę dla siebie. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?



Wstał, podszedł do okna. Ulice świeciły pustkami, jakby większość ludzi bała się wychylić nosa z domu.

Zapewne czepiali się złudnego poczucia bezpieczeństwa, jakie daje krąg własnych czterech ścian.

Zadzwoił telefon. Robokop wyjął komórkę z kieszeni, spojrzał na identyfikator rozmówcy, uśmiechnął się z lekką satysfakcją.

- Taaak? - rzucił swobodnie.

- Szefie... - Głos Milarka był przepełniony głębokim szacunkiem. - Właściwie jak wygląda to fioletowe coś, czego mają szukać chłopaki?

## 12.

Cyrulik oglądał telewizję z narastającym zniecierpliwieniem. Wieczorne dzienniki podawały pośpieszne podsumowania. Trzydzieści obcych form życia, z czego dwadzieścia w miastach, reszta rozłożona równomiernie po polach i lasach. Być może roślinki upodobały sobie jakieś składniki podłoża, występujące w danym otoczeniu. Naukowcy rozpoczęli prace nad wyjaśnianiem istoty problemu.

Poza tym informacje były wyjątkowo przygnębiające. Jak na razie, wszystkie próby zniszczenia Fiołków (ta nazwa przylgnęła do tworów niemalże automatycznie) skończyły się fiaskiem, roślinki bowiem okazały się wyjątkowo trwałe i odporne. W wysokich temperaturach rosną w oczach i żyje im się wyraźnie dostatniej.

Rządy wszystkich krajów apelowały o zachowanie spokoju, próbując przekonać obywateli, że wszelkie zmiany miejsca zamieszkania nie mają sensu, jako że nie sposób przewidzieć lokalizacji kolejnej katastrofy.

Zapowiadały też zamrożenie cen, celem nie dopuszczenia do nadmiernej spekulacji.

Około północy telewizory rozkrzyczały się wydaniem specjalnym. Jakiś chłopak w Ameryce dodał dwa do dwóch i wyszperał w Internecie prawdopodobną przyczynę wydarzeń. Zgłosił to czym prędzej do NASA, gdzie pośpieszna analiza zdawała się potwierdzać domysły. Okazało się, że kiełkowanie obcych form życia poprzedzone jest upadkiem na ziemię przetrwalników, wielkości około dwóch metrów, z których następnie wydobywają się mikroskopijne zarodniki. Te dryfują z wiatrem i wodą, rozprzestrzeniając się na olbrzymiej przestrzeni. Wreszcie, gdy trafią na sprzyjające warunki, zaczynają kiełkować.

- Wiedzieli o tym od dawna, mógłbym się założyć - warknął Cyrulik. - I wciskali ludziom jakieś głupoty o artefaktach, ta cała NASA. Dopiero teraz się przyznali.

Wstał przed telewizora, nie patrząc na zastygłych w lodowatym milczeniu rodziców. Burknął niewyraźne dobranoc, po czym zamknął się w swoim pokoju.

- Hej, Robokop, trzeba poszukać, czy taka cholera nie wałnęła gdzieś w naszym kochanym kraju! - wpisał od razu w Gadu-Gadu.

- Róża? - nadeszła natychmiastowa odpowiedź. - Właśnie sprawdzam.

- Róża? - zapytał zdumiony, po czym pomachał wirtualną łapką z wyobrażeniem kwiatka. - Taka jak ta?

- Nie - odparł krótko Robokop. - Czarna. O kształcie jak owoc dzikiej róży. Tylko taki większy, co najmniej metrowy. I z nieopadłymi płatkami. Też czarnymi, zdaje się.

Cyrulik pomilczał chwilę.

- OK, rozumiem - odpisał w końcu. - No to do roboty!

Zaczął gorączkowo stukać w klawisze. Przerwał na moment, wyjął z kieszeni uwierającą go komórkę. Obrzucił ją ponurym spojrzeniem.

Teraz nic już nie ma znaczenia. Skończone, powiedział jej przecież wszystko. Jeżeli Renata będzie cegogokolwiek chciała, sama zadzwoni. Ale spójrz prawdzie w oczy, człowieku: jest to bardzo mało prawdopodobne.

Spojrzał za okno. Jemu osobiście było wszystko jedno, czy gdzieś tam nie czyha fioletowa śmierć.

## 13.

Renata Spychoń siedziała w samochodzie przed centrum handlowym, obserwując z przerażeniem kotłujący się tłum.

Kilkudziesięciometrowe węże kolejek wypełzały przez drzwi wejściowe, wijąc się na parkingu. Co chwila wybuchały kłótnie, ludzie bili się i popychali.

Posiedziała jeszcze parę minut w samochodzie, po czym wysupłała z torebki komórkę.

- Wiesz co? Przyjedź i mi pomóż - poprosiła drżącym głosem. - Tu jest istne piekło.

- Wiesz dobrze, że nienawidzę zakupów! - odburknął Krzysztof gniewnie. - To twoja działka!

- Ale tu może być naprawdę niebezpiecznie! - zaprotestowała. - Ci ludzie chyba poszaleli.

- Poradzisz sobie - oznajmił stanowczo i rozłączył się.

Chcąc nie chcąc, wygramoliła się z samochodu i podeszła do końca kolejki. Popatrzyła na ludzi wokół, wodząc po nich przerażonym wzrokiem. Poradzisz sobie, kobieto, jasne. Chciałyście emancypacji, no to ją macie. Idź, żołnierzu, i walcz.

Tłum dookoła niej zgęstniał, a potem zafalował, pociągając ją za sobą. Poczuła jakieś przypadkowe uderzenie łokciem, prosto w żołądek, momentalnie zabrakło jej tchu. Zgięła się w pół. Zawracać! - pomyślała w popłochu. Do domu!

Tak, do domu, jeszcze czego. A z czego zrobi obiad? Pracowała cały tydzień, nie starczyło czasu na zakupy. A Krzysztof, cóż. Siedzi przed komputerem i strzela do Obcych. Należy mu się przecież odrobina wypoczynku.

Znowu przesunęła się o kilka metrów. Trzeba to wytrzymać, no trudno.

Cholera, Paweł alarmował na Gadu-Gadu, żeby zrobiła wcześniej zakupy. Nie odpowiedziała, oczywiście. Ale powinna była go posłuchać.

Zamknęła na chwilę oczy w nagłym, bolesnym skurczu. Paweł. Głupi gówniarz, ot co.

I co on sobie właściwie wyobrażał, że ona rzuci wszystko, zostawi dom i rodzinę, tylko po to, żeby móc się z nim poprzytulać czasem?

Że zerwie z siebie wszystkie te cholerne pijawki! Jednym, silnym ruchem...

Przestań! - zganiła się w myślach, do oczu napłynęły jej łzy. Jesteś dorosła. Ponosisz konsekwencje własnych decyzji. Tak, właśnie tak. Dziewczynki się na ten świat nie prosiły. To się teraz nimi zajmij jak należy.

Paweł by ją wziął razem z dziećmi, powiedział przecież.

Eee, takie tam, męskie gadanie. Oni zawsze na początku są mili i cudowni, potem im przechodzi. Czy Krzysiek od razu był potworem? Ależ skąd.

A jeśli nawet... jeśli miałyby odwagę spróbować, rzucić to wszystko i zacząć raz jeszcze... Z mężczyzną siedem lat młodszym, chłopcem właściwie? Studenciakiem bez grosza? Jej praca nie starczyłaby na utrzymanie ich obojga, nie mówiąc już o dzieciach. Poza tym zjedliby ją. Równy, wszyscy. Krzysiek pierwszy. A potem armia bogobojnych ciotek. W imię Ojca i Syna.

Łzy potoczyły się po policzkach, tłum popchnął ją znowu o paręnaście metrów dalej. Docierała już do drzwi.

Przysięgałaś przecież, prawda? No to się teraz tego trzymaj. Zostań przy mężu, aż śmierć was rozdzieli.

A jeżeli przytulisz się do Pawła, odpoczniesz na chwilę przy kimś bezinteresownie bliskim... pójdziesz do piekła, oczywiście. To grzech przecież. I to jaki grzech!

To nieprawda z tym piekłem. Ono jest tutaj. Codziennie, dzień w dzień.

I nie ma stąd wyjścia, nie dla niej. Nie ma na to żadnych szans.

Podniosła oczy. Może dobry Bóg zlituje się i ześle jej fioletowego anioła, przybranego w adwentowy kolor pokuty, żeby skończył z tym wszystkim nareszcie. Raz na zawsze, amen.

## 14.

Zaraz po śniadaniu Robokop i Ellen zasiedli przed telewizorem, chłonąc kolejne wiadomości. Na wszystkich kanałach ogłaszano triumfalnie, że udało się zidentyfikować pierwszą Różę. Spadła w Stanach, w okolicach Atlanty. Służby specjalne skrzętnie zebrały jej pozostałości i popędziły co tchu do laboratoriów.

Spikerzy pałali entuzjazmem, co było co najmniej zastanawiające. Zdaniem Robokopa mieszkańcy Atlanty powinni zacząć wiać, gdzie pieprz rośnie, albo przygotowywać sobie gustowne trumny. Wraz z okolicznymi sąsiadami mieli bowiem wszelkie szanse na wizytę kosmicznego gościa, bez żadnej możliwości wyproszenia go z domu. Jak na razie, Fiołki wciąż pięły się w górę, a strefa śmierci wokół nich poszerzała się coraz bardziej.

Najwyraźniej jednak służby propagandowe zaczęły stosować swoją odwieczną metodę: skoro nie możemy nic na to poradzić, poudawajmy przynajmniej, że to wcale nie jest aż takie straszne. A najchętniej: że tego w ogóle nie ma.

Stacje telewizyjne znacznie ograniczyły transmisje ze stref śmierci. W odpowiednich sektorach zaatakowanych miast odłączono wodę, prąd i gaz. Wokół obszarów skażenia rozpostarto zasieki z drutu kolczastego. Jednym słowem: zminimalizowano straty.

Pojawiła się idea stworzenia systemu SKYWATCH, mającego na celu jak

najwcześniejsze wykrywanie Róży i śledzenie jej lotu. Wtedy można by było zestrzelić ją nawet za pomocą większości zestawów przeciwlotniczych. O zniszczeniu obiektu jeszcze w przestrzeni międzyplanetarnej nie można było nawet marzyć. Żadne dostępne systemy wojen gwiazdnych nie były w stanie trafić w tak mikroskopijny cel, w dodatku poruszający się z dużą prędkością. Ponadto przeprowadzanie wybuchów jądrowych na orbicie ziemskiej nie było najlepszym pomysłem, zważywszy na nieprzewidywalną liczbę Róż.

W Polsce, na nadzwyczajnym posiedzeniu Sejmu i Senatu, politycy debatowali nad zmianą ustawy o zarządzaniu kryzysowym. Na początek zaproponowano utworzenie specjalnej sejmowej Komisji Kryzysowej i rozpoczęto negocjacje dotyczące jej składu. Niestety żadna z partii nie godziła się nawet na minimalne ustępstwa, nie było też mowy o wejściu w jakąkolwiek koalicję.

W sklepach pojawiły się gigantyczne kolejki. Ludzie masowo wykupywali zapasy żywności i wody. Również sklepy ze sprzętem turystycznym przeżywały istne oblężenie. Dochodziło do częstych scen przemocy, które gdzieś tam przeradzały się w lokalne zamieszki. Policja tłumiała je dość zdecydowanie, używając środków bezpośredniego przymusu, gazów łzawiących i amatek wodnych. Rząd oczywiście apelował o zachowanie spokoju, jednakże było to niczym wołanie na puszczy.

Z banków zaczęto masowo wycofywać pieniądze, zamieniając je czym prędzej na przedmioty trwałe, biżuterię i kosztowności. Akcje na giełdzie leciały na łeb, na szyję. Gospodarka zaczęła chwiać się w posadach, jednak nawoływania do zachowania spokoju nie przyniosły żadnego efektu.

Wreszcie, w samo południe, pojawił się prezydent na tle narodowych flag. Mówił długo i bardzo poważnie.

Wprowadzono stan wyjątkowy.

## 15.

Komórka dzwoniła i dzwoniła, aż dopięła swego: Cyrulik w końcu się obudził. Ruszył niemrawo ręką, podnosząc ją z wyraźnym trudem. Pomacał wokół siebie, natrafił wreszcie na aparat. Wtedy ten przestał dzwonić.

Chłopak z wysiłkiem otworzył oczy. Prawie całą noc bobrowali z Robokopem po sieci. Bez rezultatów, Pierwsza Polska Róża okryta była całkowitą tajemnicą, co przynosiło niejaką nadzieję, że być może nie było jej wcale.

Podniósł komórkę, popatrzył, na wyświetlający się numer. Oprzytomniał od razu: Kocher, kardiolog z Wojskowego Instytutu Medycznego na Szaserów, jego niekwestionowany guru zarówno w sprawach medycznych, jak i życiowych.

Oddzwonił natychmiast.

- Witaj, wschodząca gwiazdo polskiej kardiologii! - oznajmił lekarz, jego głos pełen był szczerzej sympatii. - Odsypiałem imprezkę? Ech, to studenckie życie! Kiedyś też byłem „piękny i młody”, teraz mi tylko „i” zostało...

- Mistrzu, oprzytomniej! - rzucił Cyrulik z niesmakiem. - Imprezka? W tych okolicznościach?

- No, no, no! - rzekł Kocher z żartobliwym uznaniem. - A jednak nasza młodzież

nie jest ogarnięta taką znieczulicą, jak to się powszechnie uważa.

Paweł zaniepokoił się. Kocher najwyraźniej miał coś bardzo trudnego do powiedzenia, zawsze wtedy bowiem starał się pokryć zmieszanie żartami. Zgrywał twardziela, zupełnie bez potrzeby, bo chłopak zawsze podziwiał go szczerze.

- Przejdź do rzeczy, Mistrzu - zaproponował krótko. - O co chodzi?

Kocher milczał przez chwilę.

- Organizujemy ochotnicze oddziały ratunkowe - powiedział wreszcie. - Polska Rada Resuscytacji jest jednym z prowadzących tę podstępnej akcji. A skoro działasz w niej tak aktywnie, pomyślałem, że może też byś chciał. Wchodzisz w to?

- Jasne - odparł Cyrulik natychmiast. - Ty też?

Kocher znowu milczał, widocznie słowa przychodziły mu z niejakim trudem.

- Nie - rzekł w końcu. - Ja nie.

Cyrulik nie powiedział nic. Cisza przedłużała się.

- W razie czego będę miał mnóstwo roboty w szpitalu - wyjaśnił wreszcie lekarz. - Zgłosiłem się do zabezpieczenia. Ale ty... przemyśl to jeszcze. Bo wiesz, trzeba będzie wejść w strefę skażenia i szukać tych, co jeszcze żyją...

- Wiadomo - odparł Cyrulik spokojnie. - Od tego są oddziały ratunkowe.

- Nie mam najmniejszej ochoty cię tam wysyłać, *my young padawan* - westchnął Kocher. - Masz talent do interwencji, szkoda byłoby go głupio zmarnować. Ale wiem, że nie wybaczyłbyś mi, gdybym ci o takiej imprezie nie powiedział.

- Oczywiście, *my Master* - przyznał Cyrulik natychmiast. - Czegoś takiego nie odpuszczę, dobrze wiesz.

Milczeli obaj przez jakiś czas.

- Przyjdź dziś o siedemnastej do Zakładu Medycyny Katastrof - powiedział lekarz cicho. - Dowiesz się wszystkiego o cyjankach.

- Tak jest, *my Master* - potwierdził student, równie niegłośnie. - Będę.

- No to do zobaczenia. Niech Moc będzie z tobą - rzekł Kocher i wyłączył się.

- I z tobą też, Mistrzu - wyszeptał Cyrulik, odkładając komórkę.

Zwłókł się z łóżka, przecierając oczy. Podszedł do półek, zawalonych książkami. Poszukał chwilę, wyciągnął *Toksykologię*. Spojrzał na datę wydania: 1990. Stare, cholera. Ale z drugiej strony, co się przez ten czas mogło zmienić w cyjankach?

Rzucił książkę na łóżko i poszedł do łazienki.

## 16.

Po trzech dniach sytuacja ustabilizowała się nieco.

Większość ludzi powróciła do pracy, zdawszy sobie w końcu sprawę z tego, że wykiełkowanie Fiołka w ich bezpośrednim otoczeniu jest jedynie prawdopodobieństwem, nie pewnością. Dzieci z powrotem pojawiły się w szkołach. Rodzice otrzymali informacje, jak będą przebiegały ewentualne drogi ewakuacyjne i gdzie, w razie czego, mają szukać swych pociech. Znajomi zaczęli się umawiać, kto u kogo zamieszka w razie konieczności. Wymieniano się telefonami, ustalano miejsca i sposoby kontaktu.

Kolejki w sklepach zmaleły. W końcu ludzie uświadomili sobie, że w razie



nadejścia katastrofy nie będą uciekać z domu z torebką cukru w dłoni. A o parę kilometrów dalej świat znów będzie taki sam.

Telewizja trąbiła bezustannie o sposobach zabezpieczenia się na wypadek wszelkich zdarzeń. Objąsniiano objawy i przebieg zatrucia cyjanowodorem. W szkołach dzieci uczyły się rozpoznawania zapachu gorzkich migdałów.

Społeczeństwo zaczynało wracać do w miarę zorganizowanego trybu życia. Mijały dni, a kolejne Fiołki na szczęście się nie pojawiały.

Szef komisji kryzysowej został wreszcie wybrany, teraz zaczęto z mozołem komponować pozostały skład zespołu. Na szczęście partie okazały się już nieco bardziej ugodowe. W tym momencie i tak już nie było o co walczyć, wszelka władza wykonawcza spoczywała, wraz z wprowadzeniem stanu wyjątkowego, w rękach prezydenta.

SKYWATCH zaczynał działać, i to z niejakimi sukcesami. Co prawda oprogramowanie systemu co chwilę siadało, a poszczególne komponenty haniebnie gryzły się pomiędzy sobą, jednak wreszcie udało się namierzyć parę Róż. Zdarzyło się to zbyt późno, by móc podjąć jakąkolwiek skuteczną akcję, ale operatorzy systemu byli dobrej myśli. Róże zachowywały się, jak przyzwoite meteoroidy: w zależności od kąta wejścia w atmosferę podążały jak najśpieszniej ku Ziemi albo mitrężyły nawet do kilku godzin nad jej powierzchnią. Operatorzy zarzekali się, że wkrótce będą w stanie wyśledzić każdy z obiektów i dokładnie informować o przebiegu jego lotu. Ale, oczywiście, wciąż jeszcze potrzebują odpowiedniej liczby prób i, co najważniejsze - czasu.

Prasa, radio i telewizja trąbiły bezustannie o tym, że jeśli ktokolwiek zobaczy Różę bądź przedmiot podobny do niej, ma natychmiast zgłosić ten fakt odpowiednim władzom. Wyznaczono nawet całkiem sporą nagrodę. Społeczeństwo zareagowało na wezwanie we właściwy sobie sposób, to znaczy zgłoszenia napływały gromadnie, permanentnie okazując się mniej lub bardziej zręcznymi podróbkami.

Życie toczyło się w dziwnym, jednocześnie przyśpieszonym i zwolnionym tempie. Tak jakby wszyscy trwali w zawieszeniu, egzystując na kredyt, który się przecież kiedyś musi skończyć.

## 17.

Odkąd Cyrulik zaciągnął się do ratowników, szkolenia zajmowały mu prawie cały wolny czas. Robokop pozostał osamotniony w poszukiwaniu Pierwszej Polskiej Róży. Wciąż węszył, szukał śladów, przeglądał doniesienia z lokalnej prasy.

Nic z tego. Róża nie spadła wcale albo jej szczątki wały się gdzieś po polu czy lesie, wśród stert śmieci. Pies z kulawą nogą się nimi nie zainteresował. Do pędzenia bimbru i tak się nie nadawały.

Kępiński wstał od komputera, podszedł do okna, przecierając oczy. Spojrzał na plac Defilad, powoli pogrążający się w ciemnościach.

Niespodziewanie odwrócił się i wypadł z pokoju. Zerwał kurtkę z wieszaka, trzasnął drzwiami i popędził po schodach, ubierając się po drodze. Wypadł z bloku,

przebiegł pomiędzy Rotundą a Domami Towarowymi Centrum, wreszcie zniknął w przejściu podziemnym pod Marszałkowską. Wynurzył się po chwili po drugiej stronie, na placu Defilad. Wyszarpnął z ziemi fioletowy słupek, pozostałość po zdemolowanym śmietniku.

- Uff - odetchnął z ulgą. - Jeszcze by się ktoś pomylił.

Postał przez chwilę, w napięciu wsłuchując się w swoje serce. Będzie migotać mięsień, strzeli defibrylator? Na szczęście, nic się nie stało.

Ruszył do domu wolnym krokiem, wymachując fioletowym słupkiem. Chłodny dotyk metalu przywołał wspomnienia, spowodował, że zatęsknił do swej starej klamki.

*A w dłoni zamiast płaskiej butelki znany kształt kolby od Parabelki... - zaśpiewał mu w głowie Kazik tekstem swego Taty.*

*- I w końcu palca wibruje skrycie, jak łaskotanie, tu śmierć, tu życie - mruknął Robokop półgłosem.*

Postanowił, że zaraz, jak tylko wróci do domu, zadzwoni do Milarka i poprosi o kolejną przysługę. Być może czekają ich ciężkie czasy. Jego stara tetetka może się jeszcze przydać, po co ma leżeć bezużytecznie w depozycie.

No i należałoby koniecznie załatwić maski... Koniecznie!

## 18.

Róża okazała się równie twardym orzechem do zgryzienia, co Fiołek.

Jak tylko SKYWATCH zaczął działać w miarę stabilnie, wykrywalność przetrwalników obcej formy życia przestała być problemem. Naukowcy przebąkiwali jednak, że Róże nie zachowują się jak zwykłe ciała kosmiczne i prostą mechaniką ruchu nie da się wytłumaczyć tego, w jaki sposób opadają. Wciąż podkreślano, że przeprowadzono za mało obserwacji, by móc pokusić się o podawanie jakichkolwiek rozwiązań bądź wskazówek dotyczących ich ewentualnego pochodzenia.

Na wczesnym namierzaniu obiektów kończyły się sukcesy, związane z powstaniem SKYWATCH-a. Niesamowicie wytrzymała powłoka chroniła Różę podczas podróży przez ziemską atmosferę, spalając się wyjątkowo powoli i nie reagując na żadne zaczepki ze strony broni konwencjonalnej. Dopiero na wysokości tuż powyżej pięciu tysięcy metrów zaczynała się zachowywać jak zwykły meteor, w którym zewnętrzna, rozgrzana skorupa pęka na skutek zbyt wielkiej różnicy temperatur w stosunku do zmrożonego w próżni wnętrza.

Ośłona ablacyjna Róży rozpadała się, uwalniając właściwy przetrwalnik.

Ten można było zestrzelić, szybko i łatwo. Rozpadał się pod trąceniem byle pocisku.

Początkową euforię, wywołaną tym faktem, zastąpiło wnet przerażenie. Kilka mądrych głów rzuciło uwagę, że rozpadnięcie się Róży oznacza jedynie rozsianie znajdujących się wewnątrz niej zarodników. Im wyżej to nastąpiło, tym większy teren miały do dyspozycji.

Próbowano więc poradzić sobie z problemem inaczej: złapać przetrwalnik w

gigantyczne siatki, starając się nie dopuścić do jakiegokolwiek uszkodzenia. Niestety, Róża rozpadała się samoistnie po niecałych dwóch minutach od uwolnienia z otoczki. I pomimo licznych prób i wielkiego zaangażowania sił lotniczych wielu państw, nic nie udało się na to zaradzić.

Sytuacja wyglądała na beznadziejną. Fiołki były niezniszczalne. Róże też.

Prezydent znów wystąpił w telewizji. Mocą specjalnej ustawy powołano bezpośrednio podlegające prezydentowi Dowództwo Nadzwyczajne, w skład którego miały wchodzić wytypowane jednostki wojskowe. Dowódcą nowo powstałej instytucji został generał Michałowski, osoba - przynajmniej teoretycznie - niezwiązana z żadnym z ugrupowań politycznych. To akurat stanowiło raczej dobry znak na przyszłość.

## 19.

- *Oglądasz telewizję?* - zakrzyczał Cyrulik na Gadu-Gadu. - *Włącz szybko!*

Robokop pobiegł co tchu do dużego pokoju, wołając Ellen po drodze. Pstryknął pilotem, ekran pojaśniał natychmiast.

Bohaterski Jean-Pierre Gardiner był we wszystkich wiadomościach. Uśmiechał się, siedząc przy stoliku podczas pośpiesznie zwołanej konferencji prasowej. Z tyłu za nim stała grupka skromnie uśmiechniętych ludzi. Na ścianie wisiał płaski ekran, na którym w kółko puszczano krótki film.

Grupa spadochroniarzy spadała dookoła Róży, trzymając ją za płatki. Jeden z nich nadleciał z góry, przesunął się na wierzch obiektu. Zatrzymał się tam, wbijając coś w zagłębienie na środku przetrwalnika. Róża zachybotwała gwałtownie, pozostali skoczkiem utrzymali ją jednak w równowadze, pociągając za płatki z całych sił. Cała formacja spadała przez jakiś czas w tym stanie, podczas gdy ten środkowy mocował się z jakimś przedmiotem, wbitym w obcy kwiat. Wreszcie spadochroniarz wyciągnął przedmiot, po czym odepchnął się od przetrwalnika, odchodząc w bok. Za jego przykładem poszli pozostali, puszczając płatki Róży i rozsypując się na wszystkie strony. Pomknęli po niebie w różnych kierunkach, byle znaleźć się jak najdalej od siebie. Nagle obraz zatrząsł się, zapewne kamerzysta, filmujący zdarzenie, otworzył spadochron. Poniżej i po bokach wykwitły kolejne czasze. Róża malała, aż znikła w dole.

Przed dziennikarzami brylował Jean-Pierre Gardiner z zespołem.

- Jak wpadliście na taki pomysł? - powtarzano wciąż to samo pytanie.

Jean-Pierre uśmiechał się skromnie.

- Mam znaczne udziały w jednej z firm, wchodzących w skład systemu SKYWATCH - objaśniał. - Spadochroniarstwo to tylko moje hobby. Razem z zespołem - powiódł ręką po kolegach, wciąż uśmiechających się nieśmiało - przejrzelśmy wszystkie nagrania dotyczące spadających przetrwalników. Zauważyliśmy, że jak i u ziemskich owoców, na samym środku Róży występuje znamię. Założyliśmy, że to może być jej słaby punkt. - Był wyraźnie zadowolony.

- Ale wasza akcja nie zniszczyła przecież przetrwalnika! - wyrwała się któraś z dziennikarek.

- Owszem, Róża pozostała nietknięta. - Jean-Pierre promieniował entuzjazmem. - O to przecież chodziło.

Dziennikarze pokręcili głowami z widocznym brakiem zrozumienia.

- Przebiłem się przez zamię i zassałem zarodniki - oznajmił Gardiner triumfalnie. - Teraz trafiły do zespołu najlepszych naukowców.

- Sorbona? - rzucił ktoś.

Gardiner skinął. Spojrzał na siedzącego obok starszego, nobliwie wyglądającego mężczyznę.

- Musimy się dowiedzieć, co je karmi, a co zabija. - wyjaśnił tamten, napis na dole ekranu poinformował, że jest to profesor Daultier z Instytutu Paleobiologii.

- Jeżeli zidentyfikujemy substancję, działającą toksycznie na zarodniki, kolega Jean-Pierre z zespołem znowu ruszy do dzieła.

- Jak tylko SKYWATCH wytropi Różę, dopadniemy ją. - W głosie Gardinera pobrzmiwały nutki triumfu.

- Wstrzykniemy truciznę, nie naruszając przetrwalnika. Zarodniki dolecą do ziemi... martwe!

Dziennikarze zaczęli bić brawo. Gardiner wstał i zaczął się kłaniać na prawo i lewo, w ślad za nim podążył jego zespół. Tylko profesor pozostał przy stoliku, obserwując owacje w milczeniu. Bohaterski Jean-Pierre zapowiadał zaś rychłe napisanie podręcznika niszczenia Róż, opartego na własnych doświadczeniach.

- Nareszcie mamy jakąś szansę! - zaczęli się przekrzykiwać uszczęśliwieni dziennikarze. - Czynniki ludzkie, jak zwykle czynniki ludzkie!

Robokop ściszył telewizor. Popatrzył na żonę pytająco.

- Czy myślisz o tym samym, o czym ja myślę? - zapytał poważnie.

Popatrzyła na niego z namysłem.

- Na całym świecie utworzą oddziały spadochroniarzy, ganiające za tymi cholernymi kwiatkami do samej ziemi. - Westchnęła. - Nowi kamikadze, daj spokój...

- Zygmunt nie odpuści. - Robokop pokiwał głową. - Zrobi wszystko, żeby tam się dostać. Przecież wiesz, jaki on jest. Im więcej adrenaliny, tym lepiej. No i kocha ten sport, bez dwóch zdań.

Jej twarz markotniała coraz bardziej.

- Dobrze, że chociaż Ari przestał skakać - powiedziała. - Ale teraz może znowu zacznie.

- Nie zacznie - uspokoił ją. - Na tym polu nie będzie już konkurował z Zygmuntem. Znalazł sobie swoje. Ogień. Przecież wiesz.

- Po tobie są tacy zwariowani, jeden z drugim! - rzuciła ze złością, wstając. - Utłuką się w imię nie wiedzieć czego. Wypisz wymaluj, cały ojciec. Czemu nie miałam dziewczynki?

Wymaszerowała do kuchni, trzaskając drzwiami.

Robokop został przed telewizorem. Absolutnie nie zamierzał za nią biec. Sama wróci, kiedy się uspokoi. Wtedy pogadają.

Przed telewizorami pojawił się generał Michałowski, przedstawiając pułkownika rezerwy Zbigniewa Indię, dotychczasowego kierownika Sekcji Spadochronowej Aeroklubu Warszawskiego. Wojacy zgodnie zapowiedzieli utworzenie Oddziałów Spadochronowej Awioprotekcji w całym kraju. Warszawski zespół miał pozostawać

pod komendą pułkownika Indii. Pozostałe oddziały miały być stworzone w kolejnych miastach dysponujących aeroklubami i w miarę pręźnie działającymi sekcjami spadochronowymi bądź strefami zrzutu.

- Zygmunt nie odpuści - westchnął Kępiński ponownie. - Zrobi wszystko, żeby się tam dostać. Cholerny kamikadze.

Ma to po mnie, pomyślał z idiotyczną dumą.

## 20.

Cyrulik zadzwonił do Milenki zaraz po konferencji prasowej bohaterskiego Jean-Pierre'a i komunikatach Dowództwa Nadzwyczajnego.

- I co? Wchodzisz w to? - zapytał ciekawie. - Będziesz łapać Różę?

- No coś ty! - zaprotestowała z zażenowaniem. - Chciałabym, pewnie, że bym chciała... Ale do tego wezmą najlepszych z najlepszych, rozumiesz. Gdzie ja się będę pchać, z tą moją mizerną cyferką dwustu z czymś skoków.

- Wasz Wódz został mianowany szefem tego całego interesu - stwierdził Cyrulik. - Nie weźmie cię? Przecież cię lubi.

- Wódz się nie będzie kierował sympatią czy antypatią - oznajmiła Milka stanowczo. - On nie z takich, co to po znajomości... Weźmie tych, którzy są dobrzy, i już.

- No to jak myślisz, kogo weźmie? - zainteresował się szczerze. - Do tych Oddziałów Spadochronowej Awioprotekcji... Do Os?

Przedłużające się milczenie z jej strony zasugerowało mu, że chyba wszedł na drażliwy temat.

- Ahaaa - powiedział. - Bez wątplenia na scenie pojawi się kolega Drakkar, tak? I to zapewne jako numer jeden, jak znam życie?

- Mhm - przytaknęła niechętnie. - Na pewno. Dobry jest. Według mnie najlepszy. Wódz też tak uważa, zresztą wszyscy mówią, że on się już ze spadochronem urodził.

Paweł nie pytał więcej. Milka zawsze posępniała, kiedy temat schodził na osobę Drakkar. Cyrulik widział go kiedyś i tak naprawdę nie dziwił się jej fascynacji. Wysoki, dosyć przystojny facet, za którym ciągnęła się aura GROM-u i niezwykłej przeszłości. Do tego introwertyczny na tyle, że dziewczyna od biedy mogła uznać go za romantycznie tajemniczego. Cyrulik nie widział w tym żadnego romantyzmu. Według niego Drakkar był chodzącym workiem problemów, z którymi na dodatek nie radził sobie zbyt dobrze. Ale cóż, Milena nijak nie dawała się o tym przekonać. Zaślepiona, ot co. Nie nalegał więc.

Zresztą co on się będzie mądrzył, specjalista od szczęśliwych związków i odwzajemnionej miłości. Wspomnienie Renaty przywołało falę kłującego bólu. Zaciśnął zęby, opanowując się czym prędzej.

- Ech, babo, babo - rzucił Milce z czułością w głosie. - Tylko się tam nie rozklejaj, dobrze? Zobaczysz, jeszcze ci się wszystko ułoży.

- Jak znam życie i to środowisko - powiedziała, ignorując jego wypowiedź - Wódz będzie miał w najbliższym czasie przesrane. Będą go naciskać ze wszystkich stron. Każda firma: wojsko, ABW, policja zechcą mieć w tym zespole swoich ludzi. I swój

przyczynek do chwały, ma się rozumieć. Potem będą się puszyć przy byle okazji: proszę, oto nasz człowiek w Osach. Nasz własny pies, najlepszy bernardyn wystawy.

- No to faktycznie, ty się lepiej w to nie pchaj. - Roześmiał się lekko. - Nie ma co. Dobra, słuchaj, mała. Muszę kończyć. Zaraz lecę na zajęcia z tego całego ratownictwa. Dzisiaj trenujemy chodzenie w kombinezonach ochronnych. Strasznie niewygodne cholerstwo, mówię ci.

- Jesteś naprawdę wspaniały, wiesz? - powiedziała z nieskrywanym podziwem. - Robisz wielką rzecz... Zazdroszczę ci.

- Mowa! - odparł nieskromnie. - A najważniejsze, że to samo powiedziały pediatrzyce i puściły mnie w pierwszym terminie, nie zważając na moją nader nikczemną znajomość przedmiotu. Co prawda, tylko tróję mi postawiły - zabiadolił żartobliwie. - Ale dobre i to.

- No to świetnie - odrzekła z zadowoleniem. - Trzymaj się. Tobie też jeszcze się wszystko ułoży. Zobaczysz. No, pa.

- Pa, Milka - powiedział i przerwał połączenie.

Wyszedł do przedsionka, zaczął wkładać kurtkę i buty. Rzucił okiem w głąb dużego pokoju. Starzy tkwili przed telewizorem i ciągle nie odzywali się do siebie. Ojciec siedział na fotelu z wyjątkowo nabzdyczoną miną, a matka leżała na wersalce, czytając książkę. Najwyraźniej nic sobie nie robiła z coraz bardziej ostentacyjnej irytacji męża.

Paweł pokiwał głową. Tak trzymaj, matka! - pomyślał. Może ten stary dureń nareszcie zmądrzeje.

Wyszedł z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Zajęcia w kombinezonach okazały się niezwykle zajmujące. Nawet nie zauważył, kiedy zapadł zmierzch.

## 21.

Patrol straży miejskiej przechadzał się po placu Defilad.

Była czwarta nad ranem, mężczyznom kleiły się oczy. Kawa już nie pomagała, a na Red Bulle, czy nawet ich tańsze zamienniki, szkoda było pieniędzy. Przecież ledwo co można wyżyć z takiej psiej pensji.

Strażnik obrzucił beznamiętnym spojrzeniem fioletowy pręt, wystający z trawnika.

- Ej, patrz - rzucił do kolegi. - To jakby to. Fioletowe, metalowe, metr wysokie. Robimy alarm?

Tamten ziewnął.

- Ta, jasne - odparł niechętnie. - Rób alarm, znowu się będzie z kogo pośmiać. Prawie codziennie tędy przechodzisz i dopiero dzisiaj zauważyłeś, ślepy palancie. Ten kołek stoi tu od miesiąca. Chuligani rozwalili śmietnik, tylko nóżka została.

- Trzeba by to usunąć - powiedział ten pierwszy. - Jeszcze ktoś się natnie.

- Zgłosiliśmy MPO, niech oni się tym zajmą - burknął partner. - Chyba że masz ochotę sam posprzątać miasto. Chce ci się? Płacą ci za to?

- Eee tam...! - Rozmówca pokręcił głową. - Nic a nic.

- No to chodź. - Drugi wtulił twarz w kołnierz i podreptał przed siebie.

Kolega westchnął, po czym podążył za nim. Szli razem, skuleni z zimna, z rękami w kieszeniach. Psia wachta, byle się wreszcie skończyła.

Zostało jeszcze parę godzin do świtu.

## 22.

Renata obudziła się ze złego snu, którego nie pamiętała już wcale. Tylko serce łomotało jej jak szalone, a po policzkach płynęły łzy.

Spojrzała w bok, na męża. Leżał na wznak, chrapiąc głośno.

Zerknęła w górę, na zegar. Fosforyzujące, zielone wskazówki obwieszczały piątą nad ranem.

Wstała, ocierając mokre oczy. Zajrzała do pokoju obok. Dziewczynki oddychały równo, spokojnie, tuląc zaciśnięte pięstki do twarzy.

Poszła więc do kuchni. Przez chwilę pottrzymała palce nad wyłącznikiem, wahając się. Wreszcie zrezygnowała, opuściła dłoń i w ciemnościach usiadła na ławie. Oparła łokcie na stole kuchennym i wtedy dopiero pozwoliła sobie na głęboki szloch. Czuła się tak potwornie, tak przeraźliwie samotna.

Niebezpieczeństwo nadchodziło wielkimi krokami, a ten cholerny palant u jej boku nie zamierzał nawet kiwnąć palcem, by uchronić ją i dzieci. Dla niego Obcy to ośmiorniczki do zestrzeliwania z ekranu gwałtownymi ruchami dżojstika. A kiedy mówiła o prawdziwym niebezpieczeństwie i prosiła, by pomógł jej załatwić niektóre rzeczy, wzruszał ramionami i mówił, że to babskie sprawy albo że histeryzuje.

Została więc zupełnie sama z wszystkimi problemami.

Sama tłumaczyła dziewczynkom, jak się mają zachować w razie potrzeby. Kazała nosić na szyjkach woreczki, do których włożyła po parę pierścionków i adres babci w Bydgoszczy. Uczyła rozpoznawać zapach gorzkich migdałów. Obdzwoniła przyjaciół, umawiając się z nimi, tworząc krąg wsparcia: w razie czego, ty się zajmiesz moja trzódka, ja się zajmę twoją. Wydobyła ze spółdzielni akt własności mieszkania, włożyła go do plastikowej koperty, zaszyła w torebce. Wyjęła z bankomatu gotówkę, żeby w razie czego zawsze mieć jej trochę przy sobie. W sklepie z bronią kupiła pistolet wiatrówkę, na który nie trzeba było mieć pozwolenia. Strzelał jedynie małymi stalowymi kulkami 4,5 mm, ale dobre i to.

Niektórych rzeczy jednak nie była w stanie przeskoczyć. Najgorsze, że zupełnie nie wiedziała, jak miałyby załatwić maski przeciwgazowe. Znikły z rynku błyskawicznie. Krzysiek miał ponoć jakieś wejścia, obiecywał, że załatwi, ale potem każdego wieczoru dowiadywała się, że zapomniał spytać, bo był zmęczony. I siadał znowu do gry, a ona miała ochotę wyrzucić komputer za okno... tylko dostępu do Internetu było jej szkoda. A mąż krzywił się, że znowu czegoś od niego chce.

Jeśli chodzi o niego, mogłaby powoli umierać na raka albo mieć legion kochanków, nie zauważyłby nawet. O ile zupa nie byłaby za słona.

Prawda aż kłuła w oczy. Nie mogła na niego liczyć, nic a nic. Sama musiała ciągnąć ten wózek. Tylko że coraz mniej miała już sił.

A teraz łkała rozpaczliwie, jak mała, zagubiona dziewczynka.

*Send me an angel to love, I need to feel a little piece of heaven... - zabrzmiał jej w głowie stary Garbage. Send me an angel to love; I'm afraid I'll never get to heaven.*

Skuliła się, jak pod niespodziewanym ciosem. Uporczywie odpychane wspomnienia pojawiły się z powrotem, atakując z całych sił.

Paweł.

Zapra gnęła znaleźć się w jego ramionach. Żeby przytulał, wspierał, głaskał po głosach. Kiedy był przy niej, świat od razu wydawał się jaśniejszy. Wystarczyło, że był.

I kochał ją, wiedziała o tym.

Głupi główniarz.

Czasami myślała, że ona też go kocha. Ale bała się takich myśli, bała panicznie.

Rzuciła go, jak tylko zrozumiała, że to nie jest niegroźna zabawa, że sprawy wymykają się spod kontroli. Nie chciała go trzymać w takim związku bez przyszłości, bez szans. Powinien znaleźć sobie dziewczynę w swoim wieku, a nie zadawać się ze znerwicowaną mężatką. Urwała więc wszystkie kontakty zdecydowanym gestem. Dobrze zrobiła, była tego pewna. Tak to się robi: raz a porządnie, trzeba zerwać i nigdy nie wracać. Nie ucina się kotu chorego ogona po kawałku, żeby mniej bolało.

Sięgnęła na półkę, schwyciła komórkę. Przebiegła palcami po przyciskach, odnalazła numer Pawła. Wcisnęła zieloną słuchawkę, wyobrażając sobie przez chwilę, że rzeczywiście z nim porozmawia. Przerwała połączenie, zanim jego komórka zdążyła zadzwonić.

Nie wolno. Po prostu nie wolno.

Zwiesiła bezsilnie głowę i wpatrzyła się w stół. Łzy spływały powoli, skapywały z czubka nosa. Na blacie rosła coraz większa, słona kałuża.

*Send me an angel...*

## 23.

Anioł Śmierci wynurzył się z ziemi z hukiem, przypominającym głos pioruna. Kamienne płyty placu Defilad rozstały się z trzaskiem, kiedy Fiołek rozprostowywał się w pierwszych promieniach słońca. A potem zionął cyjanowodorem z całych sił.

W styczniu słońce wstaje późno, około siódmej rano. Większość mieszkańców stolicy była już więc na nogach. Śpieszyli do pracy, zalewając ulice Centrum równym, mrówczym strumieniem. Rondo Dmowskiego, przystanki autobusowe i tramwajowe, stacja metra, okolice Dworca Centralnego, dworce Śródmiejski i WKD to główne węzły komunikacyjne stolicy. Tłum warszawiaków odwiedza je codziennie, napełniając ruchem i gwarem. Samochody zaś ciągną nieustępliwym sznurem, tłocząc się we wszechobecnych korkach.

Teraz wystarczyło kilka minut, żeby cała ta masa znieruchomiła, a potem zaścieliła ziemię, padając przed Fiołkiem na twarz.

Samochody, tramwaje i autobusy powpadały na siebie z trzaskiem. Jakaś ciężarówka zjechała na chodnik, przetoczyła się po ludziach, przez roztrzaskaną szybę wjechała do Galerii Centrum. Po chwili pojawiły się pierwsze płomienie. W



obecności HCN w powietrzu wszystko pali się o wiele łatwiej.

Pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się w sklepach, potem przeskoczył na sąsiednie bloki. Wkrótce dołączyły doń wybuchy gazu.

Fiołek stał pomiędzy zniszczeniami, wyciągając triumfalnie liście ku słońcu.

W zaledwie parę minut krajobraz w Centrum zaczął przypominać widok z innej planety.

## 24.

Robokop obudził się natychmiast, jak tylko usłyszał grom wydzierającego się z ziemi Fiołka.

Zerwał się na równe nogi. Podbiegł do szafki, gdzie położyli załatwione im przez Ariego maski.

Półka była pusta.

Kępiński spojrzał na żonę. Stała, blada, usta jej drżały.

- Po...życzyłam... - wyjąkała.

Obrzucił ją błyskawicznym, pytającym spojrzeniem.

- Sąsiadka na parterze ma dziecko z zespołem nadpobudliwości ruchowej - Eleonora zaczęła sypać rozpaczliwymi słowami. - Mała miała prezentację w szkole, jak zakładać maskę, ale oczywiście nie słuchała, nic a nic. Nie mogła się skupić, ten typ tak ma. Jej matka pożyczyła więc obie maski, żeby dzieciaka nauczyć, na niej i na sobie. Miała oddać wczoraj wieczorem, pewnie coś ją przytrzymało...

Pokiwał powoli głową, nie mówiąc nic. Podeszedł do okna, spojrzał w dół na piekło, jakie rozpętało się w tak dobrze znanej okolicy.

Cyjanowodór nie dotarł jeszcze do nich na jedenaste piętro, nieco cięższy od powietrza najpierw rozpełzał się po ziemi. W miarę jednak, jak Fiołek dorzucać będzie nowe partie, trucizna dotrze i tu.

Suche trzaski i kłęby dymu pojawiły się przed szybą. Robokop spojrzał w dół. Zrozumiał natychmiast. To płonął blok.

Nie mieli żadnych szans.

Nawet jeżeli mieliby maski, wątpliwe, czy udałoby im się przedrzeć przez płomienie, rozszalałe na dole. Ale przynajmniej mogliby próbować.

A teraz nie mieli żadnych szans. Jedynie na spłonięcie żywcem.

Kępiński podeszedł do zamarłej w milczeniu żony. Objął ją, poklepał po plecach. W jej oczach pojawiły się łzy. Pociągnął ją za sobą do dużego pokoju. Poszła za nim bez słowa.

Podeszedł do szafki, wyjął z szuflady małe pudełko. Otworzył je, uniósł w górę łańcuszek, na którym zakołysał się medal za wojnę bolszewicką, spuścizna po ojcu. Omotał pamiątkę na zdjęciu Zygmunta. Potem wyjął z tej samej szuflady tetetkę.

Spojrzał żonie prosto w oczy.

Powoli skinęła głową.

Usiadł więc na fotelu, wykonując w jej kierunku zapraszający gest. Podeszła od razu, usiadła mu na kolanach.

Powietrze zaczynało już falować gorącem, pożar wspinał się ku nim

błyskawicznie.

Stanisław Kępiński pogłodził powoli żonę po włosach. Potem ujął jej twarz lewą ręką, przytrzymując pod brodę.

Spojrzeni sobie w oczy.

- Zawsze cię kochałem - powiedział spokojnie.

Wtedy ona odzyskała głos.

- Ja ciebie też, najdroższy - odparła. - Ja też.

Przesunął lewą dłoń na jej czoło, po czym przyłożył wylot lufy pistoletu pod brodę.

Nacisnął spust.

A zaraz potem, szybko, włożył sobie lufę w usta i strzelił, zanim jeszcze zdążył zobaczyć, jak jej ciało wali się na podłogę.

## 25.

Paweł Czelański obudził się nagle. Huk, docierający ze Śródmieścia słyszalny był aż na Bródnie, po drugiej stronie Wisły.

Chłopak zerwał się z łóżka i podbiegł do okna. W pogodne dni widział stąd zazwyczaj Pałac Kultury i sylwetki okolicznych wieżowców.

Teraz tuż przy PKiN-ie majaczył jakiś niewyraźny kształt. Fioletowy?

Nie sposób było rozróżnić z tej odległości.

Zaczął się ubierać szybko, drżącymi rękami. Na dźwięk telefonu wypuścił z rąk spodnie. Podbiegł czym prędzej do komórki. Aparat przestał jednak dzwonić już po pierwszym sygnale.

Paweł spojrzał na wyświetlacz.

Liczba nieodebranych połączeń - 1.

Sprawdził pośpiesznie, kto dzwonił, i zamarł na chwilę.

Renata.

Wcisnął więc klawisz z zieloną słuchawką, oddzwaniając czym prędzej. Abonent czasowo niedostępny.

Zaklął. Przebiegł do dużego pokoju. Włączył telewizor.

Fiołek panoszył się na placu Defilad, okolony setkami trupów. Dantejską scenę zwieńczały płomienie, wydobywające się z okolicznych budowli.

Świat wokół Cyrulika zawirował i wszystko zaczęło się jakby dziać w zwolnionym tempie. Podniósł do oczu komórkę, wybrał numer do matki. Abonent czasowo niedostępny. Potem do ojca. To samo.

Rodzice o tej porze powinni być właśnie tam. Ojciec odwoził matkę do pracy w Alejach Jerozolimskich, potem sam jechał na Kasprzaka. O siódmej rano zazwyczaj stali w korku pod Rotundą, kłócąc się zawzięcie.

Ciekawe, czy się zdążyli pogodzić.

Paweł poczuł, jak po twarzy powoli spływają mu łzy. Jak gdyby miał lat trzynaście, a nie dwadzieścia pięć.

Komórka zadrgała mu w ręku, dzwoniąc. Upuścił ją na ziemię, przestraszony. Schylił się zaraz, pochwycił aparat, przyłożył do ucha. Serce zaczęło mu walić, jak

oszalałe, czas przyspieszył znów.

- Oddziały ratunkowe na miejsce zbiórki! - usłyszał wezwanie. - Jesteś gotów?
- Tak - odpowiedział natychmiast. - Tak jest!
- Najdalej za pół godziny na placu Bankowym - powiedział dowódca oddziału. -

Ruszaj!

Cyrulik natychmiast chwycił za przygotowany wcześniej plecak stojący w korytarzu i pobiegł do swojego pokoju.

Wyrzucił strój roboczy na podłogę i zaczął czym prędzej się weń ubierać.

## 26.

Cyrulik szedł przez swój kwadrat miasta niczym automat. Rozglądał się, analizował dane, podejmował decyzje.

Mężczyzna leżący na chodniku, rozerwany brzuch, wytrzewione jelita. Ciężki, nieregularny oddech, chory nieprzytomny. Wokół kałuża krwi.

Zaraz umrze, szkoda czasu, zostawić. Następny.

Kobieta, półprzytomna. Rzadkie i głębokie wydechy, zaczerwieniona twarz, wytrzeszczone gałki oczne, rozszerzone źrenice. Objawy zatrucia HCN, poza tym zdrowa. Bierzemy ją! Prędko!

Nosze. Szybki transport do granicy strefy. Tam przechwytyują ją inni, zabierają do szpitala polowego.

Z powrotem w strefę, systematycznie, ulica po ulicy, blok po bloku.

Chłopiec. Złamana noga. Szok pourazowy. Dziecko rozgląda się przerażonymi, bezmyślnymi oczami.

Bierzemy go! Już!

Opatrunek, nosze, transport.

I z powrotem. Do strefy.

Krok za krokiem, uważne rozglądanie się w poszukiwaniu ocalałych. Czas, najważniejszy jest czas!

Kolejni ludzie, kolejne decyzje.

Krwotok, zatamować, odtransportować.

Złamanie, usztywnić, odtransportować.

Stan terminalny. Zostawić.

Wszystko automatycznie, niczym robot. Nie ma czasu na jakiekolwiek emocje. Trzeba ratować, kogo tylko się da.

## 27.

Po paru godzinach selekcja była skończona. Kto miał umrzeć, umarł, kto miał przeżyć, przeżył. Cyrulik usiadł, zmęczony, przy namiocie szpitala. Wychodząc ze strefy, dobrze opłukał pomarańczowy gazoszczelny kombinezon. Rozpiął go teraz, zdjął maskę nadciśnieniowego aparatu. Odczytał pomiar na manometrze, niewiele powietrza mu już zostało, tak na pół godziny, nie dłużej. A butle się skończyły, zużyli już wszystkie. Zakręcił zawór i podniósł głowę, wbijając wzrok w zasnucone czarnymi

smugami dymu niebo.

I nagle zaczął się trząść.

Telefon od Renaty nie dawał mu spokoju.

Do tej pory odkładał tę myśl. Zobowiązał się, że weźmie udział w akcji ratunkowej, i dotrzymał słowa.

A teraz myślał już tylko o tym telefonie.

Owszem, wyjaśniono im, że w momencie katastrofy niektóre bazy danych zwariowały i wykonały jeszcze raz połączenie z ostatnio wybieranym numerem. I że to o niczym nie świadczy, bo właściciel telefonu zapewne już nie żyje.

Dla niego znaczyło to tyle, że ona jednak dzwoniła do niego. Albo przynajmniej próbowała.

Mówiono im jeszcze, że każdy zespół dostaje swój kwadrat i nim tylko się zajmuje. To oczywiste, że każdy pragnąłby ocalić przede wszystkim swoich bliskich, ale żeby nie wchodzili sobie wzajemnie w paradę, bo koledzy i tak zrobią swoją robotę najlepiej, jak potrafią. I uratują, kogo tylko się da.

To wszystko rozumiał, rozumiał dobrze.

Ale ona dzwoniła do niego, a on obiecał, że jej pomoże. Za wszelką cenę, choćby nie wiem co. Nawet jeżeli ona nie żyje, on musi być tego pewien.

Zrobił swoje. Nic już nikomu nie był winien. Tylko jej.

Wstał. Założył maskę na twarz, dopasował paski. Odkręcił zawór.

Wyłączył alarm, piszczący o rychłym końcu zapasów powietrza. Niech mu nie przeszkadza bez potrzeby. On i tak pójdzie, nie będzie czekał godzinami, aż dowiozą nowe butle. Mimo wszystko, nadal najważniejszy jest czas.

Zapiął kombinezon i szybkim, zdecydowanym krokiem wrócił do strefy śmierci.

## 28.

Renata nie zdążyła wyjść rano z mieszkania.

Zaspała pewnie, a potem poganiała całą rodzinę. Mieszkanie nosiło ślady wyraźnego pośpiechu. Rozsypane płatki kukurydziane w kuchni, rozchlapane mleko. Porozrzucane ubrania.

Paweł rejestrował każdy szczegół chłodnym, pozbawionym emocji spojrzeniem.

Dziewczynki leżały w przedpokoju, cyjanek dmuchnął im w twarz, kiedy biedziły się przy wkładaniu butków.

Mąż Renaty został w dużym pokoju przed telewizorem. Widocznie chciał się jeszcze załapać na odrobinę porannych wiadomości przed wyjściem.

Cyrulik przeszedł powoli do dalszej części mieszkania. Czuł, że serce wali mu jak opętane, a nogi ciężą niczym z kamienia.

Renata leżała na chłodnych kafelkach łazienki. W rękę trzymała szminkę. Rozmazana, czerwona smuga biegła od lustra, poprzez ścienną glazurę aż do jej dłoni.

Widocznie poprawiała makijaż, kiedy...

Paweł zamknął oczy.

Stał tak nad nią przez chwilę, oddychając głęboko. Z coraz większym trudem

chwycił do płuc rzednące powietrze.

Wreszcie odwrócił się na pięcie. Przeszedł do przedpokoju.

Wziął na ręce Anielkę, tę młodszą. Przeszedł z małą w ramionach do pokoju dzieciennego, położył ciało w łóżeczku. Zawrócił po Ewelinkę.

Potem zaciągnął Krzysztofa do przedpokoju i wypchnął ciało na korytarz brutalnym kopniakiem. Zatrzęsął drzwiami z hukiem.

Wrócił do łazienki. Delikatnie, ostrożnie zaniósł Renatę na łóżko w sypialni. Położył się obok i objął ją, uśmiechając się i gładząc kobietę po włosach.

Patrzył zachwycony na jej nareszcie spokojną twarz, podczas gdy strzałka manometru sunęła nieubłaganie w dół.

# Rozdział 1

**Spadochron** - statek powietrzny, który wykorzystując opór powietrza do zmniejszenia prędkości opadania w atmosferze, pozwala na bezpieczne wylądowanie podwieszonego skoczka, sprzętu lub ładunku.

Spadochrony ze względu na przeznaczenie dzielimy na: ratownicze, desantowe, treningowe, wyczynowe, zapasowe, towarowe oraz specjalne (np. spadochrony hamujące).

Ze względu na system otwarcia istnieje podział na: spadochrony z samoczynnym systemem otwarcia, spadochrony z wolnym systemem otwarcia i kombinowanym systemem otwarcia.

Ze względu na rozmieszczenie spadochronów na skoczku dzielimy je na: plecowe, piersiowe, siedzeniowe, plecowo-plecowe, plecowo-piersiowe.

Ze względu na właściwości aerodynamiczne funkcjonuje podział na: spadochrony o małej sterowności, sterowane i szybujące.

Spadochron, Wikipedia

## 1.

*READY!*

Serce terkocze z częstotliwością przynajmniej stu uderzeń na minutę. Płuca chwytają powietrze: raz-dwa, raz-dwa, wdech-wydech, głęboko, maksymalnym skurczem przepony. Włókienka mięśni nóg drżą w oczekiwaniu na...

*SET!*

Uda spinają się i rozluźniają rytmicznie. Usta zasychają w nagłą pustynię.

Szereg osób, stłoczonych przed tobą w ciasnym korytarzu samolotu AN 28, zastyga na ułamek sekundy...

*GO!*

Sylwetki pędzą naprzód, ty wraz z nimi, niechętne nogi zginają się posłusznie, prawa, lewa, prawa, lewa, ułamki sekund trwają wieczność Wreszcie plecy poprzednika znikają, osuwają się w dół jak spowolniona klatka starego filmu. Pod stopami otwiera się przepaść.

Pięć tysięcy metrów w dół.

Wyciągasz ręce lekko do przodu, pochylasz ciało. Szybki rzut, wybicie z prawej nogi...

I już jesteś w ogrodzie Pana Boga wśród chmur.

Pędzisz w miękkim powietrzu, głową w dół, śmiejąc się jak dziecko: strach został gdzieś w górze, na pokładzie samolotu - a może nigdy go nie było?

Rozkładasz ręce, wyginasz kręgosłup do przodu, żeby nie wywinąć salta. Zaraz po odzyskaniu równowagi cofasz dłonie, lekko układając je wzdłuż boków. Rozłożone ręce hamowałyby cię zbyt, a przecież nie chcesz marnować czasu?

Makieta Róży majaczy poniżej, wokół niej uwijają się ciemne sylwetki zespołu wsparcia. Nie marnuj czasu na podziwianie oślepiająco białych chmur i błękitnego

nieba, robota czeka. Masz tam być, przy Róży, i to jak najszybciej!

Dociskasz ręce do boków, łączysz nogi. Prostujesz plecy, układając ciało w strzałę i tak pikujesz w dół. Powietrze świszczy w szczelinach kasku, prędkość: dwieście kilometrów na godzinę - i rośnie!

Ejże, nie przesadzaj: formacja z Różą tuż-tuż. Hamuj, bo przestrzelisz: przelecisz poniżej wszystkich i to będzie koniec twojego udziału w skoku. Przyśpieszyć zawsze można: wygniesz się, zmniejszysz powierzchnię ciała, a za tym i opór powietrza, i będziesz śmigać, jak chcesz. Ale jeśli spadniesz zbyt nisko, to już wyżej nie zdołasz podlecieć.

Rozkładasz więc ręce, rozszerzasz nieco nogi, plecy wyginasz w przód. Przechodzisz do płaskiej - idealnej sylwetki do pracy zespołowej w powietrzu. Korygujesz wygięcie, aż do dostosowania własnej prędkości do szybkości spadania formacji, co tworzy złudzenie, jakby się zastygło w powietrzu - i patrzysz, co się dzieje, patrzysz uważnie.

Róża tnie w dół równo, stabilnie. Niestety ponad nią szaleje spadochroniarski chaos.

Eli i Manior owszem, dotarli do celu, utrzymują swoje pozycje, ale cóż z tego, skoro pozostałych nosi po niebie niemalże jak podstawówkę. Nie potrafią wyrównać poziomu: jedni są za wysoko, drudzy za nisko, a kiedy zaczynają zbyt nerwowo korygować pozycję, tracą symetrię sylwetki, obracają się i spływają to tu, to tam.

No, cóż, musisz się jakoś przedostać przez ten bałagan.

Ostrożnie doginasz się, przyśpieszasz. Sterujesz oszczędnymi ruchami rąk i nóg. Niżej. W prawo. Teraz do przodu. Uważaj na Nika, zapieprza przed siebie niczym szarżujący byk, zaraz pozamiata wszystkich i wszystko. Zejdź mu z drogi. Twoja pozycja jest tam, obok Eli, widzisz ją?

Ślepy by nie zauważył. Na tle śmigających białą cumulusów Eli tkwi niczym wykrzyknik. Wściekłość zdaje się promieniować z jej nienagannie płaskiej, stabilnej, symetrycznej sylwetki. Bez mała można usłyszeć myśli spadochroniarki: nie powinno jej tu być, w tym całym nieporadnym, bezładnym syfie. Powinna spadać paręnaście kilometrów stąd. Biec do prawdziwej Róży, wśród prawdziwych Os.

Polska do góry! - krzyczał przed półgodziną SKYWATCH czerwonymi literami. Głosy z dowództwa powtarzały pośpiesznie: cała Polska do góry! Osy do boju, start!

Potem dorzucały z coraz większym napięciem: Kraków, siadaj. Wrocław, siadaj. Na dół, Gdańsk.

Warszawa do góry! Warszawa!

Rzut oka na wysokościomierz.

Trzy tysiące metrów.

Zaciskasz wargi. Na tej wysokości prawdziwe Osy już wiszą na płatkach, stalowa igła, wbita w znamię, sączy zielonkawy siarczan miedzi. Żegnajcie, roślinki, nie zadamowicie się na naszej Ziemi.

A tu we wsparciu co za burdel, panie kochany. Syf, malaria i korniki. Z pięciu osób, potrzebnych naraz do przytrzymania kwiatka, na miejscu są raptem trzy.

Trzy - bo i ty dokujesz elegancko, pokonując ostatnie metry delikatnymi, wyważonymi kopnięciami nóg. Przechodzisz do płaskiej, tniesz w dół równo jak po sznurku. I czekasz. Chociaż wiesz dobrze, że czekasz tak naprawdę na nic, ten skok

nie uda się, nie ma na to szans. Bałagan staje się coraz bardziej nerwowy, skoczkowie latają to tu, to tam, nie mogąc odnaleźć swoich pozycji. Równie dobrze moglibyście wszyscy odwrócić się i odtrackować w siną dal. Marnujecie tylko czas.

Gdzieś tam walczą ci, którzy potrafią latać precyzyjnie i bezbłędnie: Drakkar, Neon, Filozof, Żuczek, Kokos, Star, Gabrys, Kocher, Pinio i Iks.

Któryś z nich może nie wrócić. A może nie wróci żaden. Któż to wie?

Powracasz wzrokiem do wysokościomierza. Dwa tysiące metrów. Spoglądacie po sobie z Eli i Maniorem. I powoli, bardzo wyraźnie, kręcicie głowami. Nic z tego.

Porażka. Zwalony ten skok.

No nic, poczekacie jeszcze siedem sekund, z każdą z nich kolejne pięćdziesiąt metrów poleci w dół. Zgodnie z planem, na tysiąc trzystu metrach, zamachacie do rozejścia.

Gdzieś tam leci prawdziwa Róża, wwierca się w mózg niespokojna myśl. Ktoś nie wróci ze skoku. Jeszcze nigdy nie wrócili w komplecie.

Tysiąc siedemset.

Lecą za Różą prawie do samej ziemi, by podać cały zapas trucizny, aż do końca. Otwierają się późno, na ostatnich metrach. Czasze spadochronów zapasowych startują szybciej niż głównych, więc Osy ciągną za zapas, ostatnią i jedyną szansę wyjścia cało z tej awantury.

Czasem się to udaje...

Tysiąc pięćset.

...a czasem nie.

Tysiąc trzysta. Rozejście.

Protrack, wysokościomierz akustyczny, potwierdza tę wiadomość głośnym pik pik pik! Wyciągasz ramiona, krzyżujesz je przed sobą w charakterystycznym geście. Patrzysz, jak pozostali machają przed sobą rękami. Tysiąc trzysta metrów, kończymy ten skok. Łatwizna. Bezpiecznie, wysoko. Tysiąc trzysta.

Odwracasz się przez prawe ramię, ustawiasz ciało w tracku: dłonie ułożone płasko, równoległe do ziemi, ręce wzdłuż boków, nieco rozstawione, nogi szerzej. Ta sylwetka pozwala przemieszczać się do przodu znacznie lepiej niż strzała, która głównie wbija cię w dół.

Odlatujesz na rozsądną odległość, wracasz do płaskiej, rozglądasz się uważnie na boki, w górę i w dół. Gdzie są pozostali? Okej, nikogo w pobliżu. Machasz więc lewą dłonią przed sobą, to sygnał dla pozostałych: otwieram się teraz! Jeśli ktoś pozostał niezauważony powyżej, ma szansę umknąć przed twoją napełniającą się czaszą. Inaczej zderzycie się i może pójdziecie do piachu oboje.

Tysiąc metrów. Protrack odzywa się znów, ale teraz inaczej, nagłaco: pikpikpik, otwieraj się, otwieraj!

Wyciągasz w przód i górę lewą rękę zgiętą w łokciu, a prawą sięgasz w tył, do pilocika skrytego w kieszonce pokrowca. Chwytasz skórzaną piłeczkę wystającą z kieszonki, ciskasz ją zdecydowanym ruchem. Wraz z nią wychodzi pilocik, napełnia się powietrzem. Jego opór wysuwa taśmę łączącą, ta wyciąga zawleczkę z pokrowca.

W międzyczasie wyrzucasz obie ręce do przodu, starając ustawić ciało jak najbardziej wzwyż, jak to się mówi: nad horyzont. Otwierająca się czasza wyhamuje cię zaraz ze stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę do zaledwie kilkunastu i



postawi do pionu. Jeśli ustawisz sylwetkę pod horyzont, będzie bolało. Oj, tak.

W ślad za zawleczką wychodzi paczka, w której złożona jest czasza spadochronu. Linki nośne wyplatają się z jej gumek niemalże błyskawicznie, wreszcie: szuuut! - wyslizguje się materiał czaszy. Bach! - czujesz mocne szarpnięcie, ciało podrywane jest do góry z przeciążeniem kilku G. Ćssss pstryk, wyrównuje się ciśnienie w uszach.

Zadzierasz głowę, sprawdzając czaszę: wszystko w porządku, komory całe, prawidłowo napełnione, bez uszkodzeń czy pęknięć. Slajder właśnie zjeżdża po linkach, pomógł uporządkować proces otwierania się czaszy, a teraz wisi tuż nad tobą i czeka na ściągnięcie. Wszystko gra.

Sięgasz wzwyż, do kołków sterowniczych. Odhamowujesz je czym prędzej, rozglądasz się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Wpaść w czyjąś czaszę, splątać się z nią i zrobić tak zwaną kanapę podczas skoku treningowego do Róży, hm, to nie byłby najlepszy pomysł.

Czysto!

Puszczasz kołki, zaciągasz linki slajdera, niech nie furkocze nad głową. I znowu chwytasz kołki. Zaciągasz jeden, na maksa. Czasza pochyla się na bok, wpada w obroty, coraz szybciej i szybciej. Spadochron po spirali pędzi w dół.

- Heja! - krzyczysz na cały głos, nogi wirują nad horyzontem.

Krew huczy w uszach, bum, bum. Oto karuzela, jakiej nie ma żadne wesołe miasteczko!

Łup!

Makieta Róży wali w ziemię, wzbijając fontanny piachu.

Osy wkrótce będą wracać ze swojego skoku. Ciekawe, czy...

Euforia znika niczym zdmuchnięty płomień świecy. Opuuszczasz kołek, wyrównujesz lot. Zerkasz na wysokościomierz. Pięćset metrów. Wypadałoby przymierzać się do lądowania.

Zabudowania Bemowa rosną w oczach. Zielona płyta lądowiska jest tuż pod tobą, Eli jako wyrzucająca spisała się doskonale.

Biało-czerwony rękaw, wskazujący kierunek wiatru, unosi się w poziomie: równo, bez żadnych trzepotów ni zawirowań. Idealne warunki do lądowania.

Kręcisz się chwilę w strefie oczekiwania, a potem lewym skretem nachodzisz nad cel. Aj, pochrzała się odległość, trzeba trochę poesować: spadochron skręca wprawo, w lewo, wprawo, w lewo... Wreszcie jest dobrze, podchodzisz do lądowania, spokojnie, rozważnie, z długiej prostej. W stosownej chwili zaciągasz kolki, czasza wypływa do góry, odpuszczasz zaraz i lądujesz elegancko, przebiegając parę kroków po trawie. Witamy na ziemi, jak przebiegał skok?

Beznadzieja, proszę Państwa, beznadzieja. A jak tam u Os?

Odwracasz się spieszenie, zwijas linki, zarzucasz na ramię zwiotczalą czaszę. Biegniesz na start.

## 2.

- Bardzo dobrze, Milka! - oznajmił Ślimak, rozparty na fotelu w kwadracie, czyli stanowisku lotniczego dowodzenia.

Wpatrzyła mu się w twarz w poszukiwaniu choćby ochłapów informacji. Wiesz coś o Osach, Ślimaku? Wiesz? Żyją?

Ale Kierownik Skoków przesunął po niej beznamietnie wzrokiem i wrócił do śledzenia lądowań pozostałych członków zespołu.

- No proszę, kolejny kandydat na ofiarę! - zawarczał, widząc Gnoma, wyjątkowo dynamicznie podchodzącego do lądowania. - Kiedyś przywali, prędzej czy później...

Milka obróciła głowę. Gnom wykonywał właśnie ulubiony manewr doświadczonych spadochroniarzy: haktern. Dość ryzykowny, ale imponujący, jeśli się go wykona prawidłowo. Najpierw trzeba napędzić spadochron za pomocą kilku gwałtownych skrętów, a potem w ostrym półkolu zacząć schodzić w dół. Przedstawia się to niewątpliwie atrakcyjnie: człowiek spada z nieba, powietrze świszczy dookoła, a obserwatorzy wytrzeszczają oczy z przerażeniem: zaraz uderzy w glebę! W odpowiednim momencie skoczek hamuje, podkulając nogi, jeszcze przez chwilę mknie tuż nad ziemią... a potem czasza zwalnia, unosi się, wreszcie delikatnie opada. Trzeba tylko przebiec parę kroków i już się wylądowało, widzowie oddychają z ulgą, a potem zazwyczaj klaszczą z podziwem. Bardzo efektowny manewr, jeśli wyjdzie.

Tym razem nie wyszedł.

W ułamkach sekund Gnom pojął, że jest za nisko i nie zdąży płynnie wytracić prędkości. Nie dokończył więc zakrętu, zaczął gwałtownie hamować, zbyt gwałtownie. Czasza straciła siłę nośną i zamiast wypłynąć, zwała się w dół. Spadochroniarz uderzył w ziemię, przekoziółkował... i został na miejscu. Nie ruszał się.

- Gnom, czy ty wierzysz w grawitację? - wydarł się Ślimak i ruszył ku niemu co sił, wysupłując z kieszeni komórkę, by połączyć się z pogotowiem.

Wszyscy poderwali się do biegu. Ktoś pochwycił ciężką torbę medyczną, drugi dołączył do niego, złapał za drugi uchwyt, ponieśli ją razem.

Gnom leżał na trawie, niemal zupełnie przykryty materiałem czaszy. Ślimak zerwał go błyskawicznie, obrzucił skoczka badawczym spojrzeniem. Błada twarz, zamknięte oczy. Lewa noga zgięta w kolanie pod bardzo niepokojącym kątem. Krew? Nie, ani śladu.

Klęknął przy rannym, zbliżył ucho do jego ust, wychwycił szmer oddechu. Nieco uspokoiony, namacał puls na tętnicy szyjnej.

- Żyje - obwieścił głośno. - Weźcie się tutaj nie tłóczcie, dajcie mu trochę powietrza.

Rozległy się pełne ulgi westchnienia, zgromadzeni skoczkowie cofnęli się parę kroków, rozluźniając krąg. Gnom zamrugał oczami, uniósł nieco twarz i popatrzył na nich z miną pełną skruchy. Jęknął boleśnie. Głowa opadła mu z powrotem na wilgotną trawę.

- Nie ruszaj się - polecił Ślimak. - Poczekamy, aż Niko wyląduje.

Milka odwróciła wzrok ku paramedykowi, podchodzącemu do przyziemienia. Lubiła patrzeć, jak ten spokojnie, z niesamowitą gracją zatrzymuje spadochron tuż nad trawą... a potem dotyka jej stopami, niedbale, jakby schodził z rozbujanego hamaka.

Niko wylądował tuż obok nich, niewątpliwie jeszcze będąc u góry zauważył, co się

wydarzyło. Czym prędzej wypłatał się z upręży i podbiegł do rannego.

- Oho - powiedział, ledwo rzuciwszy okiem. - Noga złamana.

- Tyle to i ja wiem - mruknął Ślimak. - Wezwałem pogotowie, zaraz tu będą. Mamy przecież priorytet...

Medyk przyklęknął przy Gnomie. Zajrzał mu w oczy, zakrył raz jedno, raz drugie, sprawdzając źrenice. Przeciągnął palcem po prawej łydce skoczka.

- Czujesz?

- Mhmmm...

- Dajcie kołnierz ortopedyczny, na wszelki wypadek. Nieźle przywalił, nie wiemy, co się z tego wykluje.

Ślimak wyciągnął sprzęt z torby, pomógł założyć go rannemu. Dopinali ostatnie rzepy, gdy rozległo się wycie karetki.

Pędziła ku nim po trawie lotniska, błyskając światłami. Lekarz z pogotowia już stał w na wpół otwartych drzwiach. Wyskoczył z pojazdu, zanim ten jeszcze na dobre się zatrzymał.

- Ohoho - powtórzył nieświadomie po koledze. - Noga złamana.

- Zawieźcie go do szpitala na Szaserów - zarządził Ślimak. - Nieźle przywalił. Nasz medyk podejrzewa...

- Taaa... - Ratownicy wysypali się z karetki, wyciągnęli nosze. - Na Szaserów. Jak priorytet, to priorytet. Jasne.

Odsunęli Nika i Ślimaka, ostrożnie pochwycili Gnoma. Wyswobodzili go z upręży, położyli na nosze, wstawiali do środka samochodu. I pomknęli czym prędzej do szpitala, zostawiając za sobą wyraźne ślady opon.

Ślimak pochylił się. Zaczął zwijać porzuconą, wypiętą czaszę.

- No i pięknie! - Teraz, kiedy pogotowie odjechało, pofolgował sobie na całego. - Pięknie, kurwa, pięknie! Pe ka pe! O jednego we wsparciu mniej. Ale najwyraźniej wszystkim wam tu śpieszno do piachu. Otwarcia, jak zwykle, poniżej wszelkiej krytyki. Manior!

Wezwany wyprostował się, z wysokości swoich prawie dwóch metrów wzrostu popatrzył w dół na znacznie niższego Ślimaka. Na twarzy miał wyraz niekłamanego zdziwienia, jakby oto właśnie obserwował jakieś niezwykle rzadkie zjawisko.

- Tak, kierowniku? - powiedział powoli. - Słucham?

Ślimak nie dał się nabrać na tę demonstrację. Znał Maniora nie od dziś.

- Oświeć mnie, proszę, ile to jest: ponad dziewięćdziesiąt sekund opóźnienia z pięciu tysięcy metrów? - zapytał ze zjadliwą uprzejmością. - Bo mi się chyba matematyka popsuła. Na ilu metrach wisiałeś? Dawaj wysokościomierz, już!

Skoczek wzruszył ramionami. Wyjął z kasku wysokościomierz akustyczny, podał go na wyprostowanej ręce. Ślimak pochwycił komputerkę gniewnym ruchem, pogmerał wśród przycisków. Sprawdził wysokość otwarcia spadochronu.

- Kurwa mać! - zaklął przez zaciśnięte zęby i odrzucił sprzęt właścicielowi.

Manior schwycił urządzenie i schował je z miną niewyrażającą żadnych uczuć.

- Koniec treningów na dzisiaj - oznajmił dobitnie Ślimak. - Zbiórka za pół godziny w spadochroniarni. Ja dzwonię do Komisji Badania Wypadków Lotniczych. O ile, oczywiście, nie są zajęci gdzie indziej... - Odwrócił się i pomaszerował w kierunku zabudowań. Wściekłość wylewała się z niego każdym porą skórą.

Milka popatrzyła w ślad za nim, a potem wbiła wzrok w ziemię. Nie odzywała się, czując wyraźnie napięcie, buzujące w zespole pozostałym na płycie lotniska. Nikt nie chciał odezwać się pierwszy. Każde słowo mogło okazać się wstępem do awantury.

- No i co tu się, kurwa, dzieje? - wybuchnęła wreszcie Eli. - Czy wyście już kompletnie poszaleli? Bohaterowie zasrani, sodowa wam do głowy uderza. Prawie nikt nie doszedł do Róży, latacie gorzej niż podstawówka! Gnom przyjebał, aż miło. Popisowy haktern, nie ma co. A ciebie, Manior, nie będę nawet pytała, na ilu metrach wisiałeś. Mnie wystarczy wiedzieć, że jak Ślimak jedzie telemetrem po horyzoncie, to już jest nisko. Za nisko!

- Wyluzuj, Eli! - zawarczał gniewnie Manior. - Osy też lecą do samej ziemi, kiedy trzeba! Oglądasz filmy z ich skoków, nie? Poproś Filozofa, niech ci przegra, jeśli chcesz sobie coś utrwalić. Albo nie wrzeszcz, tylko spytaj, skoro nie rozumiesz.

- To są ćwiczenia! - wrzasnęła oburzona. - Tylko ćwiczenia, na litość boską! W odróżnieniu od Drakkara nie musisz ładować pełnego zasobnika! Gównu zdziałasz, jeżeli rozwalisz się teraz! A utłucz się, jeśli ci tak na tym zależy, proszę bardzo, ale w akcji, przy prawdziwej Róży, jasne? Może to ty powinienesz spytać, skoro nie rozumiesz? Czy to do ciebie przemawia, czy mam ci może narysować schemacik?

Oczy Maniora rozjarzyły się niczym u wściekłego wilka. Niewiele było osób, od których był skłonny przyjmować pouczenia, i Eli z pewnością nie była jedną z nich.

- Nic nie zrobisz podczas akcji, nic a nic, jeżeli nie zrobisz tego przedtem na treningu! Dlatego też nawet na szkoleniach zamierzam się zachowywać tak, jakby to była akcja. I mam w dupie, czy to do ciebie przemawia! Tak samo jak wisi mi, czy to przemawia do generała, kabewuelki, ministra, prezydenta czy kogokolwiek. To Drakkar będzie mnie przyjmował do Os i wybacz, moja droga, ale nie sądzę, żeby się sugerował akurat twoim zdaniem!

Eli spłoszowała, odwróciła twarz. Nie odpowiedziała nic.

Manior poprawił czaszę, zsuwającą mu się z ramienia.

- Chodźmy do spadochroniarni - rzucił wciąż drżącym z gniewu głosem. - Ślimak wzywa. A może Wódz już dzwonił i dowiemy się, co i jak u Os?

Odwrócił się i ruszył do budynków Aeroklubu.

Milka spuściła głowę, wraz z pozostałymi powędrowała do spadochroniarni, w całkowitej ciszy, dudniącej w uszach głośniejszą niż ryk silników lądującego Skytrucka.

### 3.

Czarny, ubłocony szereg dotarł na stołówkę późnym wieczorem, kiedy w telewizji ogłoszono już pierwsze informacje i w zasadzie wszystko było wiadomo.

Weszli powoli, jeden za drugim, jak zwykle: brudni i zmęczeni, o powolnych, oszczędnych ruchach.

Jak zwykle: nie wszyscy.

Tym razem bez Stara.

Oczekujący powstawali z miejsc. Niko, tkwiący za barem, sięgnął do lodówki. Taca z wódką wyjechała błyskawicznie na blat, rozchlapując nieco po drodze zawartość kieliszków.

Dowódca ruszył do baru, w ślad za nim reszta Os.

- *Ave Maria* - powiedział Drakkar, unosząc szkło. - Za tych, co na górze!

- *Ave Maria* - niczym echo powtórzyli pozostali.

Wypili. Stuknęli odwróconymi kieliszkami o blat.

- *Blue skies, black death!*

Odwrócili się i przeszli do części mieszkalnej, w całkowitym milczeniu. Nikt nie zagadnął ich choćby pytaniem.

Bo i po co, skoro w zasadzie już wszystko wiadomo.

Załatwili kwiatka. Jutro Filozof pokaże film.

Star nie zdążył. Pogrzeb w czwartek. A potem pożegnalny skok.

Idźcie już spać, koleżanki i koledzy. Z nadzieją, że rano żaden fioletowy kształt nie błysnie wam za oknem. Idźcie już spać.

Milka przytuliła policzek do flanelowego oparcia fotela. Przymknęła oczy, wódka buzowała jej ogniem w pustym żołądku. Star nie żyje, szkoda go, cholernie szkoda...

Drakkar wrócił. *Ave Maria*, Drakkar wrócił, znów.

#### 4.

Wódz czekał.

Wiedział, że i tak przyjdą do niego, prędzej czy później. Porozmawiać, zrzucić z siebie część ciężaru pod pozorem ważnych, niecierpiących zwłoki spraw.

Siedział w gabinecie, słuchając, jak miarowo pracuje stary zegar. Tik, tak, tik, tak. Dostał go od żołnierzy z ówczesnej Szóstej Brygady Desantowo-Szturmowej, sprzęt był kropka w kropkę jak ofiarodawcy: nie do zdercia. Od trzydziestu lat ani jednej naprawy. Gapa kołysała się równomiernie: tik, tak, tik, tak.

Już dawno mógł go zastąpić jakimś nowoczesnym, kwarcowym cudeńkiem. Prezentem z jednej ze stref zrzutu Ameryki, który wskazywał aktualną godzinę w prawie wszystkich miastach świata, dokonywał pomiarów wilgotności, temperatury, siły wiatru i Bóg wie czego jeszcze. Ale Zbigniew India, pułkownik Wojska Polskiego, był dosyć staroświecki. Wkrótce on sam, jak ten stary zegar, stanie się niepotrzebny. Wychowankowie przestaną go nawiedzać po nocach, z niemymi pytaniami, na które nikt nigdy nie znalazł odpowiedzi. Przyjdą nowi, błyszczący, modni i nowocześni, i odstawią go do lamusa, razem ze starym zegarem.

A wtedy skończą się długie godziny nocnych oczekiwań.

Wódz westchnął, zabębnił palcami po porysowanym blacie. Cóż, jeśli tym razem nikt się nie pojawi, on i tak pozostanie w gotowości w tę ciężką noc.

Drzwi skrzypnęły wreszcie. Wódz poderwał głowę.

Błada twarz Drakkara pojaśniała krótkim uśmiechem. I zaraz zapadła z powrotem w zwykły mrok.

- Wiedziałem, że tu będziesz, Szefie - mruknął dowódca Os. - Sypiasz czasem?

Wszedł do gabinetu, opadł ciężko na poplamiony fotel. Tuż za nim wmaszerowali Neon, Filozof i Żuczek. Porozsiadali się na krzesłach, widocznie ponadgryzanych zębem czasu.

- Star nie zdążył? - rzucił Wódz.

Potaknęli ze smutkiem.

- Cholera, długo z nami nie poskakał - mruknął smętnie Neon. - I dopiero pierwszy raz wszedł na płatek...

- Kogo weźmiecie na jego miejsce?

Popatrzyli po sobie smętnie.

- Na płatka wejdzie Pinio - powiedział Drakkar.

- Ale na jego miejsce z kolei... - Wzruszył ramionami, rozłożył ręce.

- Nie został już nikt, kto by w miarę dobrze latał - rzucił Neon. - Wsparcie strasznie kaszani robotę. No, chyba że... - zerknął na Drakkara, umilkł, odwrócił twarz ku oknu.

- Odbylem bardzo długą i poważną rozmowę z generałem Michałowskim - powoli, spokojnie, oznajmił Wódz. - Pouczając, jak zwykle.

Drakkar zacisnął wąskie wargi w niemal niewidoczna nitkę. Nie odezwał się.

- Sejm i Senat, oświecił mnie pan generał, prześcigają się w coraz to nowszych pomysłach naprawienia sytuacji. I, oczywiście, cały czas trzymają nas pod lupą, żeby naskoczyć na prezydenta, jeśli by się okazało, że pieniądze strwożonych podatników nie są właściwie zagospodarowywane.

- Niech Sejm i Senat skoczą sobie za Różą - zaproponował Żuczek. - Na ten jeden raz ustąpię im miejsca. Radośnie.

- Daj spokój, Żuku - machnął ręką Neon. - Sam wiesz, co to za kraj. O ile się orientuję, obecna opcja polityczna wywiera naciski, byśmy stanęli bardziej frontem do klienta? - Popatrzył pytająco na Wodza.

- Już w poprzedniej pracy chcieli zrobić ze mnie małpę na drucie - wzdrygnął się Drakkar. - Prasa, radio, telewizja, nasi dzielni chłopcy to tu, to tam. Dziękuję, postoję. Mam skakać, skaczę, ale za Różą, a nie w Big Brotherze! - Podniósł się z fotela, przeszedł do okna.

Przystanął tam, bębniąc lekko palcami po parapecie.

Wódz milczał przez chwilę.

- Gorzej - mruknął wreszcie. - Teraz wzięły się do nas różne organizacje feministyczne. Popiera je obecna koalicja, jak również całe NATO, pytając, czemu u nas nie ma równouprawnienia. Chyba domyślacie się, jaka była propozycja pana generała.

Drakkar poderwał głowę. Na twarzy zagościł mu dziwny rumieniec: czerwone plamy na kredowobiałym tle.

- Wykluczone! Baba w zespole to nic dobrego. Za chwilę któryś zacznie z nią sypiać i zamiast zająć się robotą, nic tylko będzie zerkał, czy aby panienska nie skaleczyła się w paluszek. Nie wyobrażam sobie...

- A wyobrażasz sobie, że zwali ci się na łeb komisja sejmowa? - Neon pokręcił głową. - Pułkownik Kamieńczyk z DN będzie miał używanie. Wreszcie poustawia wszystko po swojemu.

- Jak na razie udało nam się zdjąć wszystkie kwiatki - warknął Drakkar. - Nie uważam, by ktokolwiek mógł mieć zastrzeżenia do naszej pracy...

- Możesz sobie nie uważać, ale to nie będzie miało żadnego znaczenia! - zirytował się Wódz. - Zarzucą ci, że za każdym skokiem ktoś ginie, na pewno jest to efektem złego wyszkolenia czy prowadzenia zespołu. I w dupie będą mieli, że się nie da

inaczej. Poustawiają klocki wedle swojego widzimisię i wrócą do domu, zadowoleni z dobrze wypełnionego obywatelskiego obowiązku. Otrzeźwiej, Drakki!

- Dobrze jest czasem pójść na jakieś niewielkie ustępstwa - przyznał niechętnie Filozof.

Wstał, podszedł do Drakkara, oparł się o parapet tuż obok niego. Stojąc obok siebie wyglądali jak półtorej osoby: obaj mierzyli prawie po dwa metry, ale na tle i tak dość szczupłego Drakkara Filozof był przeraźliwie chudy, wręcz patykowaty.

- Po mojemu, za tym wszystkim stoi właśnie Kamieńczyk - stwierdził Żuczek. - Robi, co może, i wciska generałowi znacznie więcej, niż się dzieje naprawdę, byle tylko wypromować Eli do Os. Wiadomo, że z nią sypia, drań.

- Może i tak - odrzekł z westchnieniem Wódz. - Ale generał nie odpuści, wiecie, jaki to typ. Jak już wbije sobie coś do głowy, nie ma przebaczyć. Będzie tak długo drażył, póki nie dopnie swego. Prędzej czy później będziemy musieli ją przyjąć.

- Z pewnością nikt z nas nie będzie z nią sypiał - oznajmił Neon, zaplatając z przodu swe potężne przedramiona. - Trzeba by być idiotą, żeby wchodzić Kamieńczykowi w parade.

Zwrócili się wszyscy ku Drakkarowi. Ten zacisnął pięści.

- Eli rozwali nam zespół - odparł gniewnie. - Owszem, dobrze lata, jest instruktorem i te de. Ale zawsze, wszędzie i na każdy temat ma własne zdanie. Tym chętniej je wygłasza, im bardziej nie zgadza się ono ze zdaniem pozostałych.

- No chyba nie powiesz, że się obawiasz o swój autorytet - prychnął Żuczek. - Też coś...

- Będą kwasy, Żuku - przemówił Drakkar nieco łagodniej. - Eli ma dość ekspresyjny charakter, przecież wiesz. A i tak trzeba będzie pilnować, żeby się nie zadrasnęła w ten cholerny paluszek. Bo nas zjedzą, jeśli coś jej się stanie.

- Nie przekonasz generała, Drakki - oznajmił Filozof beznamietnie. - Ja też uważam, że obecność Eli dostarczy nam samych kłopotów. Ale nie bardzo widzę wyjście.

Neon zatrzeszczał kostkami palców.

- Ustawimy ją w rezerwie - zaproponował po namyśle. - Będzie sobie spadać ponad minutę w płaskiej, rozejście, pięć sekund tracka, lądowanie. Czysto, sucho, pewnie i bezpiecznie. A potem prasa, radio, telewizja: nasza dziewczynka w Osach. Będzie zachwycona. Charakter poprawi jej się od tego w try miga, zobaczysz.

- Ale Kamieńczyk będzie miał wtykę! Coraz częściej będzie nam mówił, co mamy robić, w razie konfliktu z łatwością się nią posłuży, napuści na nas wszystkie media, o które teraz tak zabiega generał. W końcu będzie rządził wszystkim, jak chce!

- Miałem z nim do czynienia w Iraku - rzucił pośpiesznie Żuczek. - Pod wieloma względami to nie jest miły pan. Ale fachowiec świetny, co tu kryć.

Zapadła cisza. Tik tak, tik tak, powtarzał niezmordowany zegar Szóstej Desantowo-Szturmowej. Tik, tak.

Wtem Żuczek podniósł twarz. Potoczył rozradowanym wzrokiem po kolegach.

- Mądrość napęliła moją zazwyczaj pustą głowę - oznajmił triumfalnie. - Cieszcie się, że nastąpiło to właśnie teraz, panowie!

Popatrzyli nań pytająco. Mądrość?

- Wywiniemy Kamieńczykowi podły numer. Owszem, przyjmimy kobietę do Os, skoro sobie tego życzy generał. Takie czasy i nie ma co z tym dyskutować, Drakki! - Machnął ręką w kierunku znów szykującego się do protestu kolegi. - Oszłamiająca chytrłość nasza polegać będzie na tym, że weźmiemy nie tę, na której panu pułkownikowi zależy!

- A mamy jakąś inną do wyboru? - spytał nieco ogłupiały Neon. - Bo Eli jest przecież dość oczywistym...

- Weźmiemy Milkę!

Zamilkli, popatrzyli po sobie w zdumieniu... I wybuchnęli cichym, pełnym złośliwej satysfakcji śmiechem.

- Ty masz łeb, Żuku! - zaaprobował Filozof. - Mała całkiem dobrze lata, do tego jest grzeczna, posłuszna, nie będzie z nią żadnego problemu.

- O to chodzi! - potakiwał radośnie Neon. - Zrobi, co tylko zechcemy. Jak się dowie, że dostała się do Os, wypełni każdy rozkaz, nawet najgłupszy. To jest to!

Tylko Drakkar siedział cicho, ponury wśród powszechnej wesołości.

- Kobieta w zespole... - zaczął nawet, ale uciszyli go zaraz, machając rękami niczym przekupki na dworcu:

- Nie rób scen, Drakki! Żuczek ma rację. Trzeba przyjąć Milkę, podlizać się generałowi, a panu pułkownikowi pokazać palec. To jest to!

Umilkł więc i zapatrzył się za okno.

Padał chłodny, kwietniowy deszcz.

## 5.

Milkę obudziło pukanie do drzwi.

Wyciągnęła zaspaną dłoń, namacała włącznik. Zapaliła nocną lampkę; łagodne, złociste światło zalało jej maleńką klitkę. Rzuciła okiem na zegar: czwarta rano.

Pukanie powtórzyło się. Ziewając, Milka podniosła się z łóżka i podreptała do drzwi. Otworzyła, nie pytając kto tam. Tu, na lotnisku, mógł to być tylko swój.

Na progu stał Drakkar i patrzył na nią z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Skurczyła się, jak po niespodziewanym ciosie w żołądek. Stała osłabła naprzeciwko niego, wydawało jej się, że nie może złapać tchu, a jednocześnie z pewnością ten dech łąpała, wciągając chciwie przez nos ten jedyny, niepowtarzalny w świecie zapach, jego zapach...

Opanowała się czym prędzej, cofnęła, wykonała dłonią zapraszający gest. Nie zauważył, przekonywała się niezdarnie w myślach, na pewno niczego nie zauważył.

- Wejdz - wybełkotała śpiesznie. - Coś się stało, Drakki?

Wskazała mu fotel, sama wycofała się do łóżka. Siadła, patrząc zachłannie, jak sunie przez jej maleńki pokój tym swoim elastycznym, kocim krokiem, jak uginają się pod nim sprężyny, kiedy siada, wreszcie jak opiera szerokie plecy o poźółkły materiał fotela.

- Przyszedłem cię o coś spytać - powiedział spokojnie, ani mięsień nie drgnął mu w twarzy. - Wybacz, że o tak idiotycznej porze, ale rano wszyscy będą oczekiwali



gotowych decyzji.

Pokiwała głową gorliwie. Opanuj się, sarknął z niesmakiem wewnętrzny głos. Wgapiasz się w niego jak sroka w gnat.

- Milka, czy zechciałabyś dołączyć do Os?

Zamknęła oczy, wypuszczając powietrze z płuc z gwałtownym sapnięciem.

Masz wszystkie klucze do mojego szczęścia, Drakki, pomyślała z nagłym skurczem w piersiach. Ale przyszedłeś ofiarować mi właśnie ten.

- Rozumiem, że to niełatwa decyzja - rzekł, wciąż tym samym, bezosobowym tonem. - I olbrzymia zmiana. We wsparciu jest pod wieloma względami... inaczej.

Pokiwała głową, wciąż skrywając myśli za zasłonami powiek. Drakkar zapraszał ją do udziału w zbiorowym samobójstwie. We wsparciu nikt jeszcze nie zabił się przy skoku. A z pierwotnego składu Os zostali już tylko on sam, Żuczek i Neon. No i Filozof, oczywiście, ale ten, jako kamerzysta, ma obowiązek żyć.

Wreszcie zdobyła się na odwagę, otworzyła oczy. Odetchnęła najgłębiej, jak tylko potrafiła.

- Oczywiście, Drakki - odparła silnym, pewnym głosem. - Oczywiście, że chciałabym dołączyć do Os. Każdy z nas by chciał. Po to tu jesteśmy, prawda?

Właśnie podpisałaś cyrograf, dziewczynko, uśmiechnęła się w duchu. Oświadczyłaś: panie kapitanie, skoro pan sobie tego życzy, to ja bardzo chętnie umrę, zaraz, już. Dla pana wszystko, zapomniałaś dodać. Umrę ten, jeszcze jeden i nawet kolejny raz. Tylko niech mnie pan wreszcie zauważy, dobrze?

- Wobec tego jesteś przyjeta. Na razie będziesz latać w rezerwie - powiedział Drakkar, wyraz twarzy nie zmienił mu się ani na jotę.

To dla niego żadna nowość, pomyślała z odrętwieniem. Ciągłe chodzi po różnych ludziach i namawia ich, żeby zginęli dla sprawy. I ot, przyzwyczaił się.

- Aha. - Spróbowała wymyślić coś mądrego, jakiś błyskotliwy komentarz, ale głową zawładnęła nagła pustka.

Pałętały się w niej tylko jakieś banalne wykrzykniki: ku chwale Ojczyzny, dowódco! - które brzmiałyby zgoła idiotycznie w tej sytuacji.

Zapadło ciężkie, niezręczne milczenie.

- Kiedy zaczynam? - przerwała je w końcu, byle tylko coś powiedzieć, cokolwiek. Co noc wyobrażała sobie wizytę Drakkara w swym pokoiku... Ale to przecież nie tak miało być, prawda? Nie z tą złowrogą ciszą, zastygłą w powietrzu. Zupełnie nie tak.

- Jutro.

Siedział w fotelu i patrzył na nią wciąż nieobecny wzrokiem, z tą swoją wyjątkowo bladą cerą, upiornie jasnymi, szarymi oczami i czarnymi, króciutkimi włosami - jak jakiś wampir albo duch.

- Drakki... - wyszeptała prawie. - Dziękuję za zaufanie. W głowie mi się nie mieści, dlaczego ja. Ale na pewno miałeś swoje powody. Dziękuję za zaufanie.

Podniósł się z fotela błyskawicznie.

- Daj spokój - rzucił sucho. - Sama wiesz, co idzie za tym zaufaniem. Ale cóż: chcesz, bierzesz. Wiesz dobrze, co i jak.

Odwrócił się, ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na progu.

- Oficjalnie dziękuję za chęć dołączenia do zespołu. Ku chwale Ojczyzny i takie tam.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wpatrzyła się w nie machinalnie: ostatni ślad jego bytności w tym pokoju. Dopiero teraz serce ośmieliło się przypomnieć sobie o obowiązkach i zaczęło łomotać, nadrabiając chwilę przerwy.

- Drakkar przyjął mnie do Os... - wymówiła półgłosem, a potem zaczęła powtarzać, coraz szybciej i szybciej: - Drakkar przyjął mnie do Os, Drakkar-przyjął-mnie-do-Os, DrakkarprzyjąłmniedoOs, DrakkarprzyjąłmniedoOs!

Podniosła dłonie do drżących ust, stłamsiła dźwięki. Znowu przymknęła oczy.

Czy może kryć się za tym chociażby cień nadziei? Nikt nie dostanie się do Os bez zgody Drakkara, to pewne jak amen w pacierzu. A skoro zaproponował to właśnie jej... To może jednak chce mieć ją bliżej, przy sobie?

Byłoby to dziwne, niezrozumiałe, zaskakujące. Drakkar nigdy dotąd nie zdradzał żadnych oznak zainteresowania jej skromną osobą. Znali się od paru lat, chociaż co to była za znajomość: pojawiał się czasem w aeroklubie, pomiędzy jedną misją a drugą. Poskakał trochę, poprowadził jakiś obóz i zaraz znowu zniknął. A ona obserwowała go z dystansu wymuszonego szacunkiem gówniarza, prawie nielota, do niemalże półboga z kilkutysięczną cyfrą na koncie. Niewątpliwie już wtedy ją kojarzył - trudno byłoby przegapić tę burzę ognia na głowie - ale nie była pewna, czy pamięta jej ksywkę, a imienia i nazwiska nie znał na pewno. Dopiero kiedy udowodniła, że potrafi latać i dostała się do wsparcia, zaczął w ogóle odpowiadać na jej ciche, nieśmiałe „cześć”. I nadal utrzymywał dystans, co też w sumie nie było niczym dziwnym: wszystkie Osy trzymały się na uboczu, jakby znajdowanie się jedną nogą na tamtym świecie zobowiązywało do bycia półprzezroczystym dla reszty śmiertelników.

A może i nie, może powody ich dziwnego zachowania były inne, na razie nieznane, wszak trudno kogokolwiek oceniać, nie będąc w podobnej sytuacji. Bo jak to jest: żyć z dnia na dzień, z pełną świadomością, że być może jutro wszyscy znajomi, przyjaciele, krewni i wrogowie zostaną tu na dole?

Dowiesz się, dziewczynko, zaszeptał trochę smutny, trochę rozgorączkowany wewnętrzny głos. Już zaraz, za chwilę się dowiesz.

I dowiesz się, czemu on cię wziął. Sięgnęła do lampki, zgasiła światło. Położyła się na wznak, naciągnęła kołdrę i wbiła niewidzący wzrok w sufit, wciąż szepcząc to nowe zaklęcie, któremu nie mogła się oprzeć:

- Drakkar przyjął mnie do Os!

# Rozdział 2

*Małe mieszkanko na Mariensztacie  
To moje szczęście, to moje sny  
Małe mieszkanko na Mariensztacie  
A w tym mieszkanku, przypuśćmy: my!*

*I już w nim tapczan i radio Tesla  
Biurko, firanki, fotele dwa  
I jakiś kredens, pies, cztery krzesła,  
Wszystko na raty z PeCeHa  
Niech będzie jakiś kilim i kwiaty na kominku  
Kupimy jakiś serwis, kupimy jakieś szkło  
Zegara się nie kupi, bo zegar jest na rynku  
Pan to rozumie: „Akcja O”*

*A kiedy nocą księżyc-przyjaciel  
Będzie od Pragi przez Wisłę szedł  
Będziemy z okna na Mariensztacie  
Patrzeć na trasę WuZet*

*Ja nie mam żadnych manii, kompleksów ni przerostów  
I mnie nie imponuje, że ktoś coś ma czy chce  
Ja nie chcę, żeby ktoś tam mi skarby rzucał do stóp  
Ja nie chcę mieć brylantów, milionów i te pe  
Jeżeli coś mam chcieć, to chcę po prostu mieć  
Małe mieszkanko na Mariensztacie  
To moje szczęście, to moje sny  
Małe mieszkanko na Mariensztacie  
A w tym mieszkanku, przypuśćmy: my!*

*Wacław Stępień  
Małe mieszkanko na Mariensztacie*

## 1.

Kajman i Artysta leżeli wśród gruzów, które kiedyś były hotelem Polonia. Na bladoniebieskim, rozjaśnionym świtem niebie ponad nimi powoli przesuwał się bezzałogowy samolot rozpoznawczy Orbiter.

Spięli się, w oczekiwaniu na rozkaz czy choćby słowo komentarza z dowództwa, ale w hełmofonach panowała cisza. Widocznie samolot nie pokazał w pobliżu żadnych Hien, jak popularnie nazywano zorganizowaną działalność przestępczą operującą na tym terenie. Może kryją się w kanałach? A może ich wcale tu nie ma?

Wszystko wskazywało na to, że mafijni szabrownicy wyprowadzili się ze Śródmieścia. Jednak czujność trzeba zachować, wiadoma to rzecz.

- Kurrwa, ale gorąc! - westchnął Artysta. - Te pierdolone kamizelki chłodzące w ogóle nie działają. Nic a nic!

- Moja działa - odpowiedział Kajman spokojnie. - Przestań się ciskać, nieraz było o wiele gorzej i jakoś dawaliśmy radę.

Artysta przekręcił głowę. Przez częściowo zaparowaną szybę kombinezonu gazoszczelnego typu 700 popatrzył na zęby Rotundy, sterczące żałośnie na umarłym skrzyżowaniu.

- Ile masz wiatru? Sprawdź! - rzucił do Kajmana, zupełnie bez sensu, pytał go o to niespełna pięć minut temu.

Ale coś musiał powiedzieć, cokolwiek.

- Zachowujesz się jak ostatni dupek - odparł tamten spokojnie. - Wiesz?

- Znalazł się psychiatra... - Artysta przycisnął szybkę do karabinu i spróbował dopatrzeć się czegokolwiek w błyskającym tuż przed nim oku lunety. - Wypchaj się, koleś.

Kajman nie zareagował. Wiedział dobrze, co tak zszargało nerwy zazwyczaj wyjątkowo spokojnego kolegi. Wczoraj wieczorem telewizja pokazała, co prawda amatorski, wykonany w kiepskiej jakości i z oddali, ale jednak, sfilmowany skok Os. Dowodzonych przez bohaterskiego kapitana Żelańskiego, w niektórych kręgach zwanego Drakkarem.

Nie powinni byli iść na nocny patrol, nie po czymś takim. W ogóle nie powinni ruszać się z Bemowa, trzeba było zostać w bazie, jarać skręty i popijać zimne piwo z lodówki. I oglądać jakieś głupoty na DVD. Ale Artysta nie chciał nawet o tym słyszeć. Mełł w zębach przekleństwa i parł do przodu niczym czołg. I marzył - tak, Kajman, widział to doskonale: marzył, by pod lufę karabinu nasunęło mu się choć kilka Hien.

Zamiast tego przybiegły szczury. Szara masa przesunęła się koło nich, zanim zdążyli wymyślić choćby wstęp do reakcji, i pomknęła w dół, do podziemi. Kajman odetchnął głęboko, z niedowierzaniem. Jak te przekłete gryzonie dają sobie radę tutaj, niemalże u stóp Fiołka? Owszem, mówiono mu, że szczury znacznie lepiej metabolizują cyjanki do nieszkodliwych rodanków czy czegoś tam w podobie, naukowe blablabla. Ale nie sądził, że aż tak!

- Trzeba było strzelać! - zrugął przyjaciela. - Kiedyś nas zeżrą, zobaczysz!

Tamten wzruszył ramionami.

- Jestem tutaj, by strzelać do ludzi - rzucił zgryźliwie. - Na zwierzęta nie mam kontraktu.

Kajman westchnął tylko, postanawiając wziąć na przeczekanie zły humor Artysty. Ależ gościa wzięło. Zjadło go z butami.

A żeby cię jasna kurwa strzeliła, kapitanie Żelański, żeby ci nigdy, do końca życia chuj nie stawał. A niech cię szlag!

Dowództwo zapikało w hełmofonach, nakazało przenieść się na drugą stronę ulicy. Obejść Fiołka i obserwować szykujących się do pracy Drwali.

Podnieśli się więc posłusznie i zaczęli schodzić po gruzach, ostrożnie, powoli. Gazoszczelne kombinezony ochronne całkiem wypełniły się powietrzem i sprawiały dodatkowy kłopot, zachowując się jak baloniki. Przystanęli więc, pomogli sobie

wzajemnie pospuszczać powietrze przez zawory na plecach. Ruszyli dalej, z bronią podniesioną do strzału.

Wtem Artysta przykłęknął za płataniną drutów wokół zwałonej latarni. Nie musiał niczego wyjaśniać, Kajman przywarował za nim natychmiast. Po tych paru latach spędzonych razem w jednostce zaczynał wierzyć w telepatię.

Choć, Bogiem a prawdą, w tej telepatii to właśnie Drakkar był najlepszy...

Kątem oka Kajman spostrzegł ruch. I już go miał na przyrządach: dziwny, szary cień.

- Obiekt na piątej! - zameldowali jednocześnie z Artystą.

Orbiter śmignął nad nimi, zaczął węszyć nad Domami Centrum.

- Szczuuury - oznajmił dyżurny z Dowództwa, ze śladem rozczarowania w głosie.

Może też miał zły dzień i marzyła mu się krew. Albo zwyczajnie nudził się w ten piękny kwietniowy poranek.

Podnieśli się z westchnieniem. Powędrowali wzdłuż opalizującego pnia rozpychającego się beczelnie na placu Defilad.

Żaden z nich nie spojrzał wzwyż. Błyskawicznie się to przyjęło wśród Stróżów: dziwaczna mania ignorowania cholernego ufoka. Inaczej niż Drwale, którzy potrafili godzinami rozprawiać o nim z pełnym niezdrowej fascynacji zachwytem, omawiać niesłychaną odporność metalicznej kory, opowiadać niestworzone historie o nagłych, spektakularnych wzrostach, spowodowanych samozapłonami cyjanowodoru. Dla Stróżów Fiołek nie istniał. Ofiarowali mu, co mieli najgorszego: pełną nienawiści pogardę. I udawali, że nie liczy się jako przeciwnik, bo tylko na tyle było ich stać. Drwale mieli poniekąd łatwiej, truli drania dzień i noc, ich wiertła wbijały się weń nieustępliwie w potokach płynnego HCN, pozostawiając po sobie siarczanowe prezenty, nim zdążył pozasklepić rany.

Ale Stróże nie mogli mu zrobić nic poza skrupulatnym, dziecinnym udawaniem, że kosmita po prostu nie istnieje. W podświadomym odwecie przemierzali więc zakazaną strefę w niewygodnych, gazoszczelnych strojach i strzelali do wszystkiego, co nie odmeldowało się jako przyjaciel. Przynosiło to pewną ulgę, a jednocześnie wzmagало ślepą wściekłość na tego cholernego wroga, który nie dawał się zastraszyć ani nie chciał negocjować, który górował nad nimi majestatycznie i zupełnie lekceważył groźne istnienie ich i ich broni.

- Charlie trzy, wracajcie do bazy - zarządził dyżurny. - Koniec wycieczki.

- Wilco - rzucił Kajman odruchowo, obserwując, jak oczy Artysty, skryte za szybą kombinezonu i maską aparatu, nabierają złowrogiego, ponurego blasku.

Nie postrzelasz dzisiaj do Hien, kolego, pomyślał ze współczuciem, nie zaznasz tej chwilowej ulgi. Będzie cię tak nosiło cały wieczór, a może i dwa.

A może i do końca życia, kto wie.

- Tak jest! - Kajman poprawił się poniewczasie, uzmysłowivszy sobie, że przecież są w kraju.

Dyżurny nie skomentował, pewnie sam wciąż nie mógł przywyknąć do tej myśli. W kraju, a jednak na robocie. Ich jednostka dotąd operowała przecież wyłącznie poza granicami. Teoretycznie wyłącznie.

Dotarli do ronda Dmowskiego, gdzie już czekał na nich oliwkowy Rosomak. Odmeldowali się, wtarabanili do środka, zatrzasnęli drzwi. Maszyna potoczyła się z

chrzęstem, mijając wraki samochodów, pościągane na boki w beładnych stertach, by otworzyć drogę Drwalom i Stróżom.

*Małe mieszkanko na Mariensztacie...* - zabrzmiało na zasłanej trupami Marszałkowskiej. Kajman westchnął gniewnie: Artysta znów marnuje powietrze, nucąc w kółko tę głupią melodię.

Nie chcąc się z nim kłócić, odwrócił wzrok. Minęli skrzyżowanie z Królewską: poczerniałe, wypalone, częściowo zrujnowane budynki. Okna, niektóre ziejące wybitymi szybami, niektóre nieskazitelnie gładkie, jakby nic się tutaj nie stało.

Ogród Saski. Czarne, martwe kikuty drzew, żałośnie wyciągnięte ku niebu. Poszarzała trawa, suche badyle krzewów.

*Małe mieszkankoo na Mariensztataaaacieeee...*

Parli w przód, do placu Bankowego, gdzie stały śluzy i mieściło się najbliższe, obwarowane po zęby wyjście ze strefy.

## 2.

Tamdaradam-tam, zagrzmiała komórka *Cwałem Walkirii*. Nikt po nią nie sięgnął, zaczęła więc ponawiać zew, coraz głośniej i głośniej. Wreszcie zapikała, kiedy zrezygnowany rozmówca pozostawił wiadomość na poczcie głosowej.

Eli wydała z siebie coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, wypłatała się z męskich ramion, zaczęła niemrawo macać po nocnym stoliku. Wreszcie znalazła komórkę, podniosła do ucha. Usiadła na łóżku, podciągając kołdrę pod brodę. W miarę jak odsłuchiwała nagrane wieści, jej twarz wydłużała się, nabierała niebezpiecznego blasku.

Leżący obok mężczyzna uniósł się lekko na łokciach, mrugając zaspanymi powiekami. Świt wlewał się niechętnie poprzez grube, ciężkie zasłony.

- Co jest? - rzucił leniwie.

- Sssskurwysyny - wyrwało jej się z trudem, wściekłość tłumiła dech. - Przyjęli nową Osę. W środku nocy!

Poderwał się natychmiast, patrząc na nią bystro, poważnie.

- Bez szemrania dostosowali się do zaleceń generała. Wzięli kobietę.

Otworzył szeroko oczy. To znaczy, że wszystko poszło zgodnie z planem? Ale wtedy Eli nie byłaby taka wściekła!

- I od dzisiaj Milka jest w Osach! - wydyszała z trudem, rwąc słowa. - Ta głupia... mała... ruda pinda! Wyobrażasz sobie?

Wypuścił z siebie powietrze gwałtownym skurczem przepony.

- Ożeż kurwa mać!

Odwróciła się ku niemu gwałtownym ruchem. W zielonych oczach błysnęły łzy, nie był pewien, co właściwie wyгнаło je na zewnątrz: upokorzenie, żal czy gniew. A może wszystko naraz?

- No i co teraz? - powiedziała gwałtownie.

Pułkownik Kamieńczyk wiedział, jak prawdziwy dżentelmen powinien się zachować w takiej sytuacji.

Usiadł, objął kobietę swym potężnym ramieniem, przyciągnął do siebie. Przytulił.

- Pokombinujemy jakoś inaczej - oznajmił spokojnie. - Nie ma sytuacji bez wyjścia, czasem tylko trzeba się bardziej postarać, przecież wiesz.

Wtuliła się weń, dygocząc jeszcze, ale już spokojniejsza.

- Wiem, wiem. - Westchnęła, otarła oczy wierzchem dłoni. - Przepraszam, że się tak rozkleiłam. Ale trafiło mnie, i to mocno.

- Nic dziwnego - potaknął kojącym tonem. - Wywinęli nam paskudny numer. Ale i z tym sobie poradzimy. Nie tak, to inaczej - powiedział, dźwigając się z łóżka.

W przelocie cmoknął jej nagie ramię.

- Luzik, mała. Luzik.

Potaknęła w milczeniu, rozcierając dłońmi twarz. Pozbierała się zadziwiająco szybko jak na kobietę, pomyślał z uznaniem. Moja wadera... Bok w bok, kieł w kieł, popędzimy razem przez świat.

### 3.

Filozof przetarł przekrwione oczy. Oderwał zmęczony wzrok od ekranu, wyjrzał za okno, za którym pastelowo wstawał świt.

Wyciągnął długie, chude ręce w górę, przeciągnął się, wydając z siebie głębokie westchnienie.

Nic, ciągle nic.

Że też sprawy potrafią się tak masakrycznie spierdolić, westchnął w duchu. A przecież dopiero co wreszcie zaczęły iść gładko jak po maśle...

I to już powinno było cię zaniepokoić, chłopie. Bo tak to jest. Przewidzisz wszystko, ustawisz numer, że mucha nie siada, taki z ciebie full profeska przechuj skurwysyn, patrzcie Państwo i podziwiajcie, jak James Bond strzela sobie w łeb ze wstydu, a Sejm z Senatem ustanawiają święto państwowe dla uczczenia dnia, w którym ty, właśnie ty, wstąpiłeś w szeregi Agencji.

A tu na piętnaście minut przed Wielkim Finałem wyrasta ci ta pieprzona kosmiczna roślina, niczym wyjątkowo paskudny prztyczek w nos ze strony Losu. Myślałeś, że wszystko przewidziałeś, kolego super - agencie? No to teraz patrz, co ty na to? Ta-dam!

Filozof pokręcił głową, w której po raz sto setny przewalał się wciąż ten sam temat. Próbował odegnać głupie myśli, ale powracały jak bumerang i nic ale to nic nie potrafił na to poradzić.

Jeden gość, kolega nikt, zwykły transporter, jeden z tych, co to zawsze pozostają w cieniu i tylko od czasu do czasu dorzucają swój kamyczek do Wielkiego Mount Everestu Glorii i Chwały Prawdziwych Oficerów Wywiadu, tenże ktoś zrobił, co miał zrobić, cudownie profesjonalnie. Dostał pendrive'a z prezentacją w Power Poincie: ot, kwartalny raport wyników sprzedaży fabryki serków homogenizowanych Pokusa. Jak nakazano, wraz z netbookiem wsadził go w plecak Adidasa, włożył zieloną kurtkę. Tak przygotowany wyruszył z domu tuż przed świtem. Miał stanąć o konkretnej porze na Dworcu Centralnym przy kasie numer cztery i oddać przesyłkę człowiekowi, który wygłosi ustalone hasło.

Filozof już zacierał ręce: kaszka z mleczkiem w porównaniu do tego, ile istnieć

zakosił wcześniej ten pendrive. Wreszcie nadchodził czas na Wielki Finał, czerwony dywan, orkiestrę i dziewczęta z kwiatami.

Koleś nigdy nie dotarł na miejsce spotkania. Piętnaście minut przed czasem na drodze wyrosła mu, cóż za kurwa mać niespodzianka, Wielka Fioletowa Kosmiczna Roślina. Ciekawe, co w takiej sytuacji doradzają podręczniki CIA. Albo podręczniki zdrowia psychicznego, do wyboru. Cokolwiek by zalecały, Filozof zwał sobie całą karierę, w mgnieniu oka, ot tak. I nic na to nie mógł poradzić.

Mógł tylko stać, osłupiały, na przystanku kolejki WKD i patrzeć na fioletowego anioła zagłady, jak wyłania się z hukiem spośród płyt placu Defilad. A potem bezradnie odmaszerować w swoją stronę, by nie wepchnąć się nikomu niepożądanemu przed oczy, no i, przede wszystkim, nie przeszkadzać ratownikom.

Ale teraz, choćby skały srały, te dane muszą się znaleźć. Po prostu muszą. Bo inaczej fabryka Pokusa nie sprzeda już więcej ani jednego serka. I, szczerze mówiąc, będzie to jej najmniejszy problem.

Więc zamiast pławić się w glorii i chwale, nie wspominając już o wyjątkowo konkretnej forsie jak na tę robotę, Filozof siedział zdrętwiałym tyłkiem na twardym drewnianym krześle w baraku i przeglądał satelitarne obrazy Śródmieścia, szukając, hehe, trupa w strefie śmierci. Trupa w zielonej kurtce, czego oczywiście nie było widać na monochromatycznym obrazie, i z czarnym plecaczkiem Adidasa - co mogło być widać, o ile szanowny kurier raczył upaść w odpowiedniej pozycji.

Czas kurczył mu się w zastraszającym tempie, bo zwłoki zalegające ulice zaczynały się już poważnie psuć. I trudno było przewidzieć, jak na integralność danych może zadziałać półpłynna masa, która kiedyś była człowiekiem.

Od czasu do czasu Filozofa łąpała desperacja. Korzystając z dostępnego Osom pozwolenia, ubierał się w gazoszczelny strój i wybierał na spacer w strefę. Metodycznie, kwadrat po kwadracie, szukał trupa w zielonej kurtce z leżącym nieopodal plecaczkiem Adidasa; z jakże oczywistym, gryzącym poczuciem, że walczy w przegranej z góry sprawie.

Co gorsza, wielce prawdopodobne było, że świętej pamięci kurier zapamiętał to i owo z zajęć i bynajmniej nie zdążał do celu prostą drogą. W tych krótkich chwilach, kiedy czuł się naprawdę ważny i potrzebny - a oni wszyscy tak bardzo potrzebują czuć się ważni i potrzebni czasami - dawał z siebie wszystko. Więc pewnie i tym razem kluczył i zwodził, jak tylko mógł. I nawet gdy Filozof włamał się do sieci przekaźników i chamsko zaczął kraść Stróżom obrazy z Orbiterów, nie był w stanie odnaleźć gościa. Być może szanowny OMC (O Mało Co) szpieg zszedł do metra i przyczaił się w toalecie, żeby sprawdzić, czy nie jest obserwowany. A teraz leżał tam i śmierdział sobie w najlepsze, już bez żadnych kłopotów ni zmartwień na głowie, podczas gdy Filozof sprawdzał całą centralną Warszawę, przejście po przejściu, chodnik po chodniku i kibel po kiblu. I coraz bardziej nienawidził kosmicznego przybysza. Oraz siebie, za głupi pomysł umówienia się na spotkanie o tej a nie innej porze. Piętnaście, no, może dwadzieścia minut wcześniej i nie byłoby sprawy. Proste, nieprawdaż?

Firma, gdyby chciała, mogłaby poprosić Stróżów i Drwali o pomoc. Wiecie, panowie, jest taka sprawa: potrzebujemy pewnego pendrive'a. Ale Firma nie chciała, a Filozof tym bardziej. Operacja była tak tajna, że wiedziało o tym parę osób to tu, to



tam i Filozof stawał na głowie, żeby nikt tak naprawdę nie wiedział wszystkiego. Na pendrivie znajdowały się informacje zdobyte w wyjątkowo nieetyczny sposób: wszak nie wypada okradać armii jednego z państw kontaktowych NATO. A tak trzeba byłoby ujawnić troszkę, potem jeszcze troszkę i ciut więcej, i jeszcze więcej, aż w końcu nastąpiłyby nieuniknione przecieki i Śródmieście zaroiłoby się od poszukiwaczy fanta. I niekoniecznie znaleźliby go ci, którzy powinni. A gdyby już znaleźli, rozszyfrowanie prezentacji byłoby może niełatwe, ale bynajmniej niewykluczone. I wtedy ta sama fabryka serków miałaby równie poważne, o ile nie poważniejsze kłopoty.

To już lepiej niech tam leży i nasiąka, czym mu się żywnie podoba: kadaweryną, putrescyną, czy co się tam teraz w tych cyjankach wytwarza, teraz i na wieki wieków, amen.

Chyba że tak jak złośliwy los spieprzył sprawę tuż przed metą, teraz odwdzięczy się, zsyłając zwyczajny, ludzki fart. Bo zawsze się może okazać, że to już następny trup będzie strzałem w dziesiątkę, prawda?

Filozof dźwignął się zza biurka, spojrzał na pościel, zmiętą na połówce. Trzeba się będzie wreszcie postarać o jakieś porządne łóżko, obiecał sobie, jak milion razy wcześniej, i jak zwykle natychmiast o tym zapomniał.

Może zabiera się do tego od złej strony, powróciła myśl natrętna niczym giez. Zaczął w ścisłym centrum, teraz rozszerza krąg, po kolei. Ale może to nie tak, może istnieje jakaś szczególna metodyka szukania igły w stogu siana? Chaos chaosem zwalczaj, a więc może, na przykład, powinien ustalać obszar kolejnych poszukiwań za pomocą rzutu monetą albo kością?

A może, pojawiła się nieśmiała myśl, może najwyższy czas przestać zgrywać chojraka i poprosić o pomoc?

Kładł się, wciąż mimowolnie wyświetlając pod powiekami obrazy tysięcy trupów, zaścielających Śródmieście. Ale to nie był horror. To był problem, który należało rozwiązać.

I to jak najszybciej.

#### 4.

Zrobię to dla niej, myślał Kamieńczyk, wchodząc do Połączonego Centrum Operacyjnego, przez wszystkich byłych misjonarzy potocznie zwanego JOC-kiem. Zrobię to dla nas, dla naszej przyszłości. Zrobię.

- Witaj, Tomek! - rzucił do wymizerowanego battle captain'a, najwyraźniej odliczającego już minuty pozostałe do zakończenia zmiany. - Co słychać po nocce?

Tamten wyprężył się odruchowo, w karkołomnej próbie stanięcia na baczność, przy jednoczesnym pozostawianiu na krześle. Kamieńczyk, szef Oddziału Operacyjnego J-3, znany był z wyjątkowo nielekkiej ręki i nawet, gdy pytał o pogodę, można się było spodziewać problemów.

- A co ma być, panie pułkowniku - swobodny ton podwładnego zgrzytał sztucznością. - Cisza i spokój. Nie to, co na dzionku, tam się przynajmniej coś dzieje. O, wie pan? Osy znów skakały.

- No co ty nie powiesz - uśmiechnął się Kamieńczyk wzgardliwie.

W pamięci błysnęły mu drżące wargi Eli, znowu skakali bez niej!

- Faktycznie, pan to wie - zreflektował się kapitan. - Poza tym... W nocy mieliśmy w strefie dwa patrole, o ósmej rusza następny.

- W porządku - uciął sucho szef trójki. - Masz gotową prezentację na przekazanie?

- Radek już ją kończy sklejać. - Battle captain machnął głową w kierunku drobnego podoficera w okularach, pochylonego nad klawiaturą komputera.

- Co jest, sierżancie! - Kamieńczyk zwrócił się ostro do infomanagera. - Czy to takie niewykonalne, by prezentacja była gotowa na czas?

Znowu skakali, bez niej, pałętało mu się po głowie. Zrób tu karierę w kochanej ojczyźnie. Możesz sobie żyły wypruć, nikt nie zauważy.

- Ale panie pułkowniku, czy to moja wina, że dwójka dopiero co wrzuciła swoją wstawkę?

Na słowo „dwójka” oficer oddelegowany do JOC-u z oddziału rozpoznawczego wychylił głowę zza ekranu komputera.

- Sorry, ale jakiś młody rozpieprzył Orbitera przy lądowaniu. Nic poważnego, jutro już będzie latał, ale musiałem wymyślić ściemę dla Starego.

- Taaa - dociął mu z boku znudzony oficer łącznikowy Stróżów. - Nie ma jak to w zwiadzie, się siada i się jadzie...

- Chcesz się zamienić? - rozpoznawczy podjął rękawicę.

- Pojechało cię chyba, siedzę tu jeszcze tylko dwa tygodnie, a potem wracam do swoich, do linii. A wy, sztabole, bawcie się dalej w wojenkę.

- Panie kapitanie, bardzo proszę o spokój! - stłamsił Kamieńczyk rozpoznawczego; co prawda jemu samemu również nie podobała się ironiczna uwaga szturmowca, ale nie chciał podsycać konfliktu. - Przejdźmy do spraw ważnych. Kawa gotowa? Nie mam zamiaru siedzieć tu dwanaście godzin o suchym pysku.

- Nie no, panie pułkowniku, jak moglibyśmy o kawie zapomnieć. - Infomanager uśmiechnął się przymilnie.

Zerknął na drzwi: zmiana, niech już przyjdzie dzienna zmiana i weźmie na siebie część kąśliwości szefa. Czy ten cholerny kutas zawsze musi być pierwszy w pracy?

- A co świat trąbi? Bez TV zanudziłobyście się tu na śmierć.

- Ano kwiatki kwiatkami, a życie się toczy. Niektórym to już całkiem odpierdala, w CNN pokazywali Paris Hilton z pieskami. Oczywiście wszyscy w ślicznych, różowiotkich gazoszczelnych kombinezonikach. Pojechało babę, jak nic.

- Nie filozofuj, młody. Jakbyś miał tyle forsy, też by ci na łeb biło. Sprawdziłeś miotacz slajdów? Żeby znów nie było obciachu przed Starym.

- Gra i buczy. Dosłownie, bo wentylator chyba siada. Ale jeszcze trochę pociągnie.

Drzwi zaczęły otwierać się i zamykać rytmicznie: nadciągali oficerowie dziennej zmiany, przygotowujący się do objęcia dyżuru. Siadali obok swoich odpowiedników z nocki, wymieniali pierwsze uwagi. Na szczegółowe wprowadzenie przyjdzie czas po prezentacji dla Dowódcy.

Kamieńczyk obserwował wchodzących, czując, jak mija poranne rozdrażnienie, błędnie obraz Eli pod powiekami, a mózg przestawia się w tryb cyborga. Sprawnego, chłodnego, błyskawicznie analizującego dane cyborga. Praca, moja praca. Mój świat.

- No, panowie! - rzucił sucho. - Kończyć te pogaduchy, zaraz zaczynamy. Za pięć minut będzie generał. Nie życzę sobie żadnych wtop.

# Rozdział 3

*Losy cyjanów w organizmie. Cyjanowodor i zdecydowana większość jego połączeń wchłania się szybko przez skórę, płuca i z przewodu pokarmowego. Wolne jony cyjanowe są w organizmie metabolizowane do rodanów z udziałem enzymu siarkotransferazy tiosiarczanowej. Aktywność enzymu jest duża, np. u królików i szczurów 80% cyjanów metabolizuje do rodanów (ok. 200 razy mniej toksyczne, niż cyjanki) i w tej postaci wydala się w ciągu 24-48 h. Pozostała część cyjanów jest utleniana do dwutlenku węgla i mrówczanów. Dwutlenek węgla, wraz z niedużą ilością cyjanowodoru, wydalany jest przez płuca. Cyjanki w niewielkiej ilości łączą się również z cystyną, tworząc kwas 2-iminotiazolidyno-4-karboksylowy. Stwierdzono również obecność grup cyjanowych w cyjanokobalaminie (wit. B12).*

*Kwestia kumulacji cyjanów w organizmie jest dyskusyjna i nie została dotychczas jednoznacznie wyjaśniona. W zwłokach stwierdzono stosunkowo duże ilości cyjanów pochodzenia endogennego, które powstają w czasie gnicia materiału biologicznego.*

*Toksykologia, PZWL 1990*

## 1.

Drzwi pokoju Milki zatrzęsły się od krótkiego, gwałtownego łomotu, którego nawet przy najlepszych chęciach nie można by określić mianem kulturalnego pukania.

Dziewczyna podniosła pobladłą twarz. Przełknęła ślinę. Czas na sprawdzian.

- Zbieraj się, mała! - Żuczek wtargnął do środka z prędkością tornada. - Masz kombinezon?

W pierwszym odruchu pomyślała o swoim kombinezonie do skoków w charakterystycznym kolorze opakowania alpejskiej czekolady, któremu zawdzięczała ksywkę. Ale zaraz potem zachnęła się, Żuczek przecież nie o to pyta. Niewątpliwie chodzi mu o gazoszczelny.

Obrzucił ją krótkim, badawczym spojrzeniem i od razu przystopował. Zaplótł przedramiona na piersiach, uśmiechnął się pojednawczo. Dziewczynka się boi. A zatem, panowie, spokojnie, powoli...

Milka podeszła do szafy, wyciągnęła okazałą torbę. Niezdarnymi ruchami zaczęła wygrzebywać pomarańczową „siedemsetkę”. Jak tam, Kopciuszku? Mak od grochu odsiany, suknia gotowa, pantofelki na nóżkach? No to jedziemy na bal!

Róża może przywalić wszędzie, również i w strefę. Osy muszą być przygotowane na taką ewentualność i w razie czego móc wykonać skok w gazoszczelnym sprzęcie. Stąd też mają nieograniczone pozwolenie na przebywanie w Zakazanej - w celach szkoleniowych, rzecz jasna.

Westchnęła ukradkiem. We wsparciu owszem, od czasu do czasu tuptali sobie w ćwiczebnych kombinezonach, ale o wizycie w strefie nawet nie było mowy.

Ślimak sądził, że to niepotrzebne narażanie życia i zdrowia.

Natomiast Drakkar uważał inaczej.

- Naprawdę myślisz, że jakaś Róża kiedyś przywali w samo centrum Warszawy? - spytała i zaraz ugryzła się w język.

Niewątpliwie Żuczek pomyśli, że ona tak ze strachu... Cholera, będzie miał rację.

- Szczerze w to wątpię. - Powędrował do tego samego fotela, w którym Drakkar siedział jeszcze tej nocy, rozwalił się w nim wygodnie. Splótł palce. - Na pewno o tym wszystkim wiesz, ale na wszelki wypadek podkreślę to i owo. Kiedy skaczemy do prawdziwej Róży, pięciu łapie za płatki, by ustabilizować jej lot. Dzięki temu Szerszeń, jak pieszczotliwie nazywamy tę pozycję, może wślizgnąć się na znamię i władować w kwiatka pełen magazynek siarczanu miedzi.

Siadła na podłodze, nie spuszczając wzroku z jego ust. Niby znała temat doskonale, ale... Czy jedna historia widziana na dwa sposoby, z zewnątrz i od środka, jest wciąż ta sama? Czy może są to dwie zupełnie różne opowieści?

- To oczywiście trwa - ciągnął niewzruszenie. - Lecą sekundy, lecą metry. Tak gdzieś od pięciuset robi się naprawdę gorąco.

Pokiwała głową. Pięćset metrów to już prawie wysokość ratownicza. Przy normalnym skoku na czterystu pięćdziesięciu metrach nie ma się czasu na zastanowienie, trzeba działać błyskawicznie i ratować życie: w zależności od awarii wyczepić czasę główną i otworzyć zapas lub tylko otworzyć zapas.

- Ale Drakkar wciąż podaje esencję, a my zapieprzamy w dół razem z nim - ożywił się Żuczek, oczy mu błysnęły. - Nie można puścić płatka, ponieważ jakakolwiek asymetria źle się skończy dla Drakkiego, białego w Różę, oraz dla tych, którzy zdecydowali się trzymać do końca. Wszyscy mogliby dostać obrotów, stworzyć coś w rodzaju śmigła. I przywalić w glebę z fasonem.

Otworzyła szeroko oczy.

- Czekamy więc, aż kolega Drakkar skończy, a metry lecą.

Umilkł, na twarz przybłąkał mu się pełen niezdrowej fascynacji uśmiech. Milka westchnęła lekko. Wtem pojęła, że uśmiecha się dokładnie tak samo, a po plecach spaceruje jej dobrze znany ni to rozkoszny, ni to straszny dreszcz.

- Sama widzisz - oznajmił Żuczek z triumfem. - W tej sytuacji nie można skakać z byle kim. Facet musi mieć psychę: ciąć w dół i nie puszczać płatka, nawet gdy już trawa kłuje w oczy. A przecież na zwykłych skokach mógł sprawować się doskonale, i tylko kiedy przyszło co do czego...

Potaknęła gorliwie. Tak samo bywało ze spadochroniarzami uczącymi się latać w tunelu aerodynamicznym. Po iluś tam spędzonych w nim godzinach mieli doskonałą sylwetkę, robili wszystko, co trzeba: salta, spływy, obroty... A jak przychodziło do prawdziwego skoku i Kostucha zaczynała uśmiechać się prosto w oczy, natychmiast zapominali wszystko, co potrafili, wypadali z samolotu jak gówno w przerębел i kwargliło ich jak zwykłą podstawówkę.

- Jak to sprawdzisz? - rzucił niedbale komandos.

- Ot, na przykład zabierasz gościa między cyjanki i patrzysz, co on na to. Tam, w strefie, już nie ma ścierny. Śmierć jest prawdziwa, dogadasz się z nią albo nie.

Milka pochyliła głowę.

- Czyli możecie jeszcze ze mnie zrezygnować? - bąknęła cicho.

Niby nic nowego: szeptane sensacje z crash testów były niemalże obowiązkowym punktem towarzyskich wieczorków wsparcia. A jednak nagle te same wieści stały się

zupełnie czymś innym, czymś tak niewiarygodnie innym, kiedy wreszcie dotyczyły jej samej.

- Jeżeli się okaże, że powinniśmy...

- Chyba się nie zdarzyło, żeby ktoś spękał?

Żuczek westchnął głęboko. Milczał przez chwilę.

- Dotąd mieliśmy samych konkretnych gości na pokładzie - mruknął wreszcie, nieco niechętnie, jakby nie chciał o tym mówić czy myśleć. - Ale nie martw się, dla ciebie strefa to będzie ledwie spacer. Ustaliliśmy z Drakkarem, że będziemy cię obstawiać we dwóch, więc nic ci nie powinno grozić. - Uśmiechnął się wyrozumiale. - I nie zrobimy ci żadnego z paskudnych numerów, które zazwyczaj mamy w zanadrzu.

- Nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć - parsknęła z rozdrażnieniem. - Czuję się jak dziecko specjalnej troski!

Uśmiech umknął z jego nagle zaciśniętych ust.

- Bo jesteś - rzekł Żuczek, raptem śmiertelnie poważny; nigdy przedtem go takim nie widziała. - Pod tym względem jesteś jak dziecko specjalnej troski i zawsze nim będziesz. Z całym szacunkiem dla twoich umiejętności w powietrzu, jest mnóstwo spraw tak dla ciebie odległych, jakby działa się na innej planecie. Milka, zrozum, nie możesz się z nami równać, choćbyś nie wiem, jak bardzo chciała. A proszę, nie rujnuj mi wiary w twoją inteligencję tekstami rodem z filmów z Bruce'em Willisem. Same dobre chęci bez wyszkolenia nie wystarczą.

Przełknęła ślinę, nie mówiąc nic. Żuczek ma rację. Oczywiście, że ma rację.

- Poza tym chodzi nam również o własne tyłki - dodał bezlitośnie. - Na przykład: obaj z Drakkarem poczujemy się o wiele bezpieczniej, kiedy będziesz bez broni.

Zaczerwieniła się po same cebulki rudych włosów. Nie umiała strzelać, fakt.

- Chcę tylko skakać - odparła zdławionym głosem. - Jasne, nie stałam się nagle nie wiadomo jakim komandosem. Rozumiem.

- Grzeczna dziewczynka! - skwitował jej rejteradę.

Wstał, wyciągnął rękę.

- Zapraszamy do Krainy Fioletu!

Znów uśmiechał się ciepło, życzliwie, znów był tym samym miłym, ciepłym Żuczkiem: jedynym spośród starszyny, który zawsze witał się serdecznie z małolată. A jednak, pomyślała z drżeniem, zawsze będę pamiętać, jak potrafi być inny...

Moja droga, szepnął wewnętrzny głos, tego, jak bardzo Żuczek potrafi być inny, nigdy nie widziałas. I najprawdopodobniej nigdy nie zobaczysz.

Podniosła się również. Z namaszczeniem podała mężczyźnie dłoń.

- Ho'ka hej! - wysiliła się na ripostę. - Dzień w sam raz na śmierć, to zdaje się jakoś tak brzmiało?

Zmarszczył się, z teatralnym ubolewaniem.

- Błagam, nie częstuj mnie tym hollywoodzkim kiczem. Stary Siuks krzyknął: do roboty, panowie! A białasy jak zwykle poprzekręcali. Dzień w sam raz na śmierć to było dopiero kolejne zdanie, ale za długie i nikomu nie chciało się zapamiętać. Obciach i zgroza.

- Ale widzisz, i tak w końcu wszyscy bardziej wierzą Hollywood - rzuciła

przekornie.

Spoważniał znów.

- Do czasu, moja droga. Aż Anioł Śmierci dobierze im się na serio do dupy. Do czasu.

Przeszedł do drzwi, zgarniając jej torbę po drodze. Wskazał uprzejmie ręką:

- Panie przodem!

Przemknęła pokornie, nie pisnąwszy ani słówka o równouprawnieniu i podobnych bezeceństwach. Pewnie to też jakiś hollywoodzki kicz.

## 2.

Czarny volkswagen bus połyskujący złotymi emblematami Os, skłębionych wokół Róży, zatrzymał się przed bramą strefy na placu Bankowym. Żuczek szturchnął przyjacielsko w bok pobladłą, spiętą Milkę, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. Podszedł do wartownika, błysnął legitymacją, zaczął coś mu klarować gorliwie. Drakkar westchnął, przekręcił kluczyk w stacyjce.

- To może chwilę potrwać - rzucił bezosobowym tonem.

I zaczął przypatrywać się umarłemu miastu.

Przymknęła oczy. Strach podchodził do gardła żółtą, cierpką goryczą. Owszem, we wsparciu nieraz chodziła w gazoszczelnym kombinezonie, nawet próbowali grać w nim w kosza. Po dziesięciu minutach odpadli wszyscy, tak było gorąco i duszno. Ale teraz... Teraz to będzie zupełnie co innego.

Milka spojrzała w kierunku bramy. Przełknęła gwałtownie ślinę. Zaczęła oddychać coraz szybciej.

Drakkar przekręcił się lekko na siedzeniu, popatrzył na nią.

- Ano, bój się - powiedział spokojnie. - Tylko głupi się nie boi.

Spróbowała się uśmiechnąć w odpowiedzi, ale wyszło jej tylko nieporadne skrzywienie drżących warg.

- Od ciebie zależy, co z tym strachem zrobisz - rzucił krótko. - Poddasz się i cofniesz albo pokonasz go i pójdziesz dalej. Ot i cała filozofia.

Pokiwała głową, znów przełykając ślinę.

- Możesz zrezygnować - zaproponował, znienacka miękko i łagodnie. - Jeszcze niczego nie obwieściliśmy oficjalnie. Przyjmiemy kogoś innego i zapomnimy o sprawie. To żaden wstyd.

Zdało się jej, że oczy błysnęły mu nadzieją. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem: Drakkar wcale jej nie chciał w Osach? To dlaczego, po co ją zaprosił?

Zacisnęła zęby.

- Przynajmniej pozwól mi spróbować, dobrze? - wydusiła z trudem.

Skinął głową, po żołniersku, zdecydowanie.

- Jasne. - Skierował spojrzenie na bramę. - O, już są.

Żuczek zbliżał się ku nim z... Zamrugnęła z niedowierzaniem: z drugim Żuczkiem? Skserował się w tej strefie czy co?

Kiedy podeszli bliżej, zaczęła wypatrywać różnic pomiędzy dwoma klonami. Obaj wysocy blondyni z niebieskimi oczami, nienaganny nordycki typ urody. Ale Żuczek

bis był nieco szczuplejszy i chyba sporo młodszy: miał znacznie mniej pooraną zmarszczkami twarz. I oczy mu błyszczały inaczej: jaśniej i bardziej radośnie.

- Ari, przedstaw się, tłumoku! - zakomenderował Żuczek, otwierając drzwi. - I zważaj na maniery. Mamy damę na pokładzie, nie przynoś wstydu rodzinie.

- Młodszy sekcyjny Arnold Kępiński - skłonił głowę przybysz. - Drwał. - Obrzucił Milkę ciekawym, drobiazgowym spojrzeniem, taksując ją niemalże od stóp do głów.

- Nie patrz tak na tę kobietę, bracie - oznajmił Żuczek surowo. - Ona jest moja. Jeszcze o tym nie wie, co prawda, ale tylko dlatego, że czytania z gwiazd nieuczona.

- Jedziemy? - burknął Drakkar zza kierownicy. - Czy jeszcze pogadamy?

- Jedziemy. - Ari szurnął tylnymi drzwiami, wgramolił się do pojazdu.

Zaraz za nim spieszenie wszedł Żuczek. I od razu dał młodemu po łapach, profilaktycznie.

- Ruszaj, Drakki. Ja tu będę kukał, czy gówniarz czego nie urwie ani nie popsuje. - Westchnął żałośnie. - Wódz się kapnie, żeśmy mu wóz zniekształcili i nieszczęście gotowe!

Przejechali przez pierwszą rogatkę, skręcili zaraz w prawo, zaparkowali na zatłoczonym podjeździe. Milka rozglądała się, nieco zdezorientowana. Wokół przedziwnych maszyn krzątało się mrowie żółtopomarańczowych postaci.

- Zabierzemy się na wycieczkę z zaprzyjaźnionym oddziałem Drwali - objaśnił jej szybko Żuczek. - Ma się te znajomości... - Błysnął dumnym uśmiechem.

- Awansowałem na znajomość! - Ari splótł dłonie w zachwycie. - O piękna nieznajoma, przyjeżdżaj tu częściej!

Nie przedstawiłam się, zreflektowała się natychmiast.

- Milena Czelańska - naprawiła błąd. - Trochę jestem... - zaczęła tłumaczyć nieskładnie, ale machnęła ręką i zamilczała.

A co tu gadać.

- Pierwszy raz w strefie, to widać. - Drwał uśmiechnął się wyrozumiale, ale zaraz spoważniał: - Najważniejsze przesłanie na dziś: w strefie jesteście jako te dzieciątka bezradne, a jam waszym ojcem i matką. Słuchacie mnie uważnie i wykonujecie każde polecenie, bez dyskusji. - Spojrzał przelotnie na Drakkara.

- Wziąłem was sobie na głowę, wyłącznie na własną odpowiedzialność. Jeżeli cokolwiek się stanie jakiejś bohaterkiej Osie, Drwale zlinczują mnie jeszcze dzisiaj, przed zachodem słońca. Wnoszę więc do kolegów uprzejmą prośbę: oszczędźcie mi tego haniebnego losu.

- Niby żartował, ale coś w jego spojrzeniu mówiło, że traktuje sprawę śmiertelnie poważnie. - Dobra, towarzystwo, wskakiwać w ciuchy!

Pozakładali sprzęt, pomagając sobie wzajemnie. Kamizelki chłodzące. Upręże, butle z powietrzem.

- Szanowna wycieczko, nasz kod to sześć, jakby ktoś się zainteresował ja jestem sześć jeden, Drakki sześć dwa, koleżanka sześć trzy. Ostatni numer wiadomo do kogo należy. - Wykrzywił się złośliwie.

- Prosi się o lanie - westchnął Żuczek. - Ktoś go kiedyś w końcu musi wychować...

- Tu masz chromatograf. - Ari wskazał na tarczę zamontowaną przy kombinezonie na wysokości lewego nadgarstka, spojrzał pytająco na Milkę. - Znasz się na tym, oczywiście?



- Zupełnie jak wysokościomierz - potaknęła. - Owszem, uczyli.

- Pokazuje stężenie cyjanowodoru w powietrzu - dookreślił na wszelki wypadek. -

Jeżeli dojdzie do pięć koma cztery, jest to pole czerwone, ewakuujemy się natychmiast. W tym stężeniu cyjanowodor tworzy z powietrzem mieszaninę wybuchową. Oczywiście, wycofujemy się z akcji przy znacznie niższych stężeniach. Jak widzicie, już przy stężeniu trzy procent objętości wskazówka wchodzi na pole żółte, co znaczy, że najwyższy czas...

- ...się otwierać - weszła mu w słowo Milka, odnosząc się do wysokościomierza.

Roześmieli się.

- Tak - pokiwał głową strażak. - Czas kończyć zabawę. Dokładnie tak.

- Od razu widać, kto tu nagminnie przeciąga opóźnienia - mruknął Żuczek. - Przy żółtym to już powinnaś dawno wisieć na otwartym, młoda damo.

- Właściwie to tutaj też tak jest - poprawił się Ari.

- Przy żółtym nie powinno już was być w zakazanej strefie. Macie się ewakuować, zanim wskazówka nawet pomyśli o wjechaniu na żółte. Milka, na wszelki wypadek, parę faktów dla przypomnienia. - Mruknął okiem, ale spoważniał zaraz i zaczął trąkotać z pamięci:

- Wydzielanie cyjanowodoru: przybliżona strefa stężenia pięciu dziesiątych promila objętości powietrza otacza pozaziemską formę życia okręgiem o promieniu około dwustu metrów. O ile pamiętasz, jest to stężenie skutkujące natychmiastową śmiercią. Dalej. Stężenie jedna piąta promila, zabijające po kilku minutach: do pięciuset metrów wokół Fiołka. W przybliżeniu są to granice strefy pierwszej, wyznaczonej przez ulice Świętokrzyską, Nowy Świat, rondo de Gaulle'a, Aleje Ujazdowskie, Pięką, Koszykową, Chałubińskiego, rondo ONZ. Z kolei zasięg stężenia pięciu setnych promila, czyli kilkugodzinnego oczekiwania na śmierć, jest bardzo zmienny i w zależności od warunków atmosferycznych waha się od kilometra do trzech. Pozostaje jednak w granicach strefy drugiej, której granice przebiegają następująco: Aleja Solidarności, Trasa W-Z, Wybrzeże Kościuszkowskie, Solec, Aleja Armii Ludowej, Wawelska, Raszyńska, Towarowa. Pamiętaj też, że nie tylko lotny kwas pruski stanowi zagrożenie, ale i wszystkie powstające z niego cyjanki, których pełno dookoła w postaci stałej...

- Ale lans! - Żuczek przewrócił demonstracyjnie oczami. - Milka, wiesz, że każą im się tego uczyć na pamięć i odpytują codziennie przed śniadaniem? Jak któryś nie zda, to nie zje...

Strażak prychnął z wyraźnym oburzeniem. Przez chwilę patrzył na brata, ewidentnie zastanawiając się, jak by mu dopiec, ale w końcu odpuścił, machnął ręką:

- Dobra, do dzieła!

Założyli maski, dopięli hełmofony, żeby przylegały jak najściślej.

- Sprawdź!

Wykonali rutynowe czynności. Psyknęły zawory butli, rozległ się szmer miarowych oddechów. Wszystko w porządku.

- Okej, zapinamy.

Suwaki pomknęły ze zgrzytem. Odcięły ich od powietrza na zewnątrz.

Milka przymknęła oczy. To już, pomyślała z drżeniem zupełnie niepodobnym do tego radosnego spięcia przed skokiem. Ten strach był inny, oślizgły, paskudny. Miała

wrażenie, że się zaraz udusi. Ten kombinezon krępował ją niczym sieć!

- Oddychaj sześć trzy - usłyszała w hełmofonie głos Ariego. - Po prostu oddychaj. To normalne: zawsze w praktyce jest inaczej niż na ćwiczeniach.

Potaknęła, schylając głowę. Kątem oka zauważyła, jak Drakkar z Żuczkiem ładują sobie na ramiona czarno połyskującą broń.

Jednolite szeregi pomarańczowych postaci skierowały się ku maszynom.

- Ruszaj! - zakomenderował Ari.

Wóz, do którego ich poprowadził, miał wymalowane z boku wielkie czarne cyfry: pięć i sześć. Nie zdziwili się więc, gdy do tego samego pojazdu skierował się jeszcze jeden zespół, z dużą, czarną piątką jako pierwszą cyfrą na plecach. Drwale zasiedli szeregiem po jednej stronie, popatrując na gości z nieskrywanym zainteresowaniem. Odpowiedzieli im lekkimi skinieniami głów.

- Wnętrze kabiny jest dość bezpieczne - zaczął objaśniać Ari, ledwo wszedł do wozu. - Po pierwsze, uszczelnione zostały wszelkie możliwe szpary. Po drugie, jak tylko dojeżdżamy do strefy, otwieramy butlę z powietrzem, które, wydostając się, przez cały czas generuje lekkie nadciśnienie. Dzięki temu gazy wciąż wydostają się na zewnątrz, blokując drogę dostępu tym zewnętrznym. - Stał nad Milką, popatrując na nią z góry. - Jakbyś miała jakieś pytania, mów od razu - zaproponował. - Mój brat i jego drogi przyjaciel to straszne mruki, na dodatek o umysłach wypaczonych przez służby. Zanim ci odpowiedzą, która godzina, piętnaście razy się zastanowią, czy nie ujawniają tajemnicy państwowej.

Namacała i wdusiła okrągły przycisk umocowany na piersi.

- Dzięki - wychrypiała nieśmiało.

- Jesteśmy na częstotliwości zastępu, czyli, jak mówimy, na kanale wewnętrznym. I tego się trzymajmy. Inaczej usłyszą nas wszystkie sekcje i nie opędzicie się od komentarzy. - Ari uśmiechnął się lekko. - Panowie mogą być aż nazbyt uczynni dla nowej Osy, tak odmiennej od wszystkich poprzednich.

Poczuła lekkie drżenie, wyrzała więc czym prędzej przez okno. Wóz ruszył z miejsca, potoczył się w kierunku bramy. Jechali w kolumnie pięciu pojazdów, jako przedostatni z nich.

Dotarli do drugiego krańca placu Bankowego, zatrzymali się na chwilę, czekając, aż posterunkowi otworzą bramę.

Serce znów przyspieszyło. Przełknęła ślinę w oczekiwaniu na niewiadome. Oto przed nią strefa śmierci. Jak tam jest w środku? Czy bardzo strasznie? Czy bardzo... niebezpiecznie?

Wóz ruszył. Powoli, dostojnie przekroczył granicę. Drwale popatrzyli po sobie, wyszczerzyli zęby, zaczęli uderzać się wzajemnie w otwarte dłonie. Potem wyciągnęli ręce do Os, przybili piątkę również i im.

Dołączyła do ceremoniału z entuzjazmem. Dokładnie tak samo zachowywali się przecież na pokładzie samolotu, tuż przed skokiem w Wielkie Nieznane. Adrenalinoholicy wszystkich krajów, łączcie się!

Wóz znowu przystanął.

- Czekamy na wiertnice - wyjaśnił Ari i machnął ręką wstecz, wskazując na dwie potężne maszyny, zaparkowane na placu pod Ratuszem. - Mają podwozia czołgów, więc nie opłaca się nimi jeździć aż do bazy. Zryłyby cały asfalt gąsienicami.

Zostawiamy je tutaj i tylko zabieramy załogę.

Milka przywarła do tylnego okna, chłonąc chciwie widok. Olbrzymie, dziesięciometrowe wiertła sterczały groźnie z czołgów, z których zdjęto wieżyczki, pozostawiając jedynie pancerze. Pomarańczowe postacie pośpieszyły ku maszynom, wprawiły je w ruch.

- Z czego są te wiertła? - spytała z uznaniem. - Diamentowe?

- Węglik spiekany - objaśnił Ari natychmiast. - Najtwardsze cholerstwo, które daje radę Fiołkowi.

Wiertnice zachręściły gąsienicami po gruzie, dotarły na czoło kolumny. Podążyły w przód Marszałkowską.

Kawalkada ruszyła powoli. Na samym końcu dołączył do niej oliwkowy Rosomak Stróżów.

### 3.

Milka rozglądała się po Śródmieściu ponurym, osłupiałym wzrokiem. Niby widziała już to wszystko w telewizji, ale dopiero teraz koszmarnie przemawiał do niej wprost. Wzdęte ciała, rozpostarte na chodnikach. Porozbijane samochody. Wypalone domy.

Drwale, siedzący naprzeciwko, popatrywali na nią spokojnie. Zdążyli się przyzwyczaić do tych upiornych klimatów, jednak każdy z nich dobrze pamiętał, jak to przeżywał za pierwszym razem. Milczeli więc.

Na skrzyżowaniu ze Świętokrzyską kawalkada skręciła w prawo, podjechała kawałek, skręciła w lewo. Wjechali w strefę półmroku i zatrzymali się pod głównym wejściem do Pałacu Kultury.

- Dobra, panowie, wysiadka! - zakomenderował dowódca na kanale ogólnym. - Do roboty!

Drwale i Stróże natychmiast wysypali się z pojazdów. Osy ruszyły za nimi.

- Gdzie?! - szczeknął Ari. - Pozwoliłem?

Zatrzymali się zawstydzeni.

- Jeszcze jeden taki numer i nie wyjdziecie z wozu do końca akcji - zapowiedział poważnie. - Nawet na krok.

Drakkar i Żuczek pokiwali głowami z zaskakującą jak na nich pokorą.

- Siadać - dorzucił ostro i wyszedł z wozu.

Usiedli.

- Uff, małaś da nam popalić - westchnął Żuczek na kanale wewnętrznym. - Odkuje się za wszystkie swoje niezdarne skoki.

- Jest tu za nas odpowiedzialny - rzekł krótko Drakkar.

Milka spojrzała w kierunku drzwi. Serce zaczęło jej bić coraz szybciej, ręce drżały. Nagle zapracowała wyobraźnia. Tam, na zewnątrz, w powietrzu jest pełno trucizny. Odgradzać ją od niej będzie tylko cienkie ubranko, po którym śmierć spływa kroplami. Jedno rozdarcie i koniec. Zgon na miejscu, cześć.

Przełknęła gwałtownie ślinę. Zaczęła oddychać coraz szybciej, coraz rozpaczliwiej. Właściwie to te cyjanki mogą być nawet i tu. Przecież tamci,

wychodząc, mogli ich trochę napuścić. Pieprzyć nadciśnienie, czy ktoś kiedykolwiek sprawdzał, czy to naprawdę działa?

Przełknęła ślinę jeszcze raz. Odwróciła wzrok, zaczęła obserwować piętrzący się nad nimi twór.

Fiołek porażał swoim ogromem. Z obecnej perspektywy wyglądał jak gigantyczna, jaskrawofioletowa ściana, pokryta czymś w rodzaju gładkiej, węzowej, opalizującej łuski. Wybijał się z ziemi szeroką, rozlaną podstawą, potem zwężał się w pień, by na wysokości jakichś dwudziestu metrów oddzielić pierwszy liść. Następne liście odchodziły tuż nad pierwszym, wyciągały się promieniście ponad budynkami Centrum, całkowicie przysłaniając słońce. Tuż pod Fiołkiem panował głęboki cień.

Czasami z liści spływały krople cieczy. Ulatniały się jednak, zanim zdążyły dotknąć ziemi. Cyjanowodór. Błyskawiczna śmierć.

Milka pomyślała, że zaraz zacznie krzyczeć. Nie wyjdzie na zewnątrz, za żadne skarby świata. Już tutaj prawie się dusi, a co dopiero tam? Wtuliła się w kąt, wiodąc dookoła przerażonym spojrzeniem.

Drakkar i Żuczek siedzieli na ławce naprzeciwko. Ich oczy, skryte za podwójnymi szybami, promieniowały spokojem. Luz, mała, luz.

Wszedł Ari, pochylił się nad Milką.

- Sześć trzy, co jest? - zapytał niespokojnie. - Jakies problemy?

- Boję się - odpowiedziała drżącym głosem. Oddychała płytko, pośpiesznie. - Boję się wyjść!

Zerknął na wciąż milczących Drakkara i Żuczka.

- Nigdzie nie musisz wychodzić, dziewczynko - powiedział poważnie. - I tak jesteś niesłuchanie dzielna, że w ogóle zdecydowałaś się tu przyjść. Możesz sobie zostać w tym wozie aż do samego końca akcji i tylko wyglądać przez okno.

Pokiwała głową, uspokoiwszy się nieco. No, może to nie jest najgorsze rozwiązanie.

- Ile razy tu byłeś? - zapytała, z całych sił opanowując drżący głos.

- Sto piętnaście. Taką mam tutaj liczbę. - Uśmiechnął się łagodnie.

- Też się laszujecie? - zaciekała się od razu.

- No, masz - potwierdził, kiwając głową. - I to równie bezlitośnie.

Odetchnęła głęboko, rozejrzała się. Skoro Ari był tu sto piętnaście razy i przeżył, może to nie jest aż tak bardzo niebezpieczne. Ale pierwsze wrażenie jest naprawdę okropne.

Powoli, jeden za drugim, zaczęła rozluźniać napięte mięśnie.

- Już dobrze - westchnęła. - Chyba dam radę. Dzięki, Ari. Znaczący, sześć jeden - poprawiła się.

Uśmiechnął się jeszcze raz pokrzepiająco i wyprostował. Patrzył z góry, jak zbiera z powrotem rozproszone siły, jak opanowuje strach. Uśmiechnął się z uznaniem. Da radę kobita.

- No to co, idziemy? - rzucił pytająco.

Drakkar i Żuczek wstali z miejsc.

- Zastęp sześć, do szeregu - zakomenderował Ari.

- Zostaniesz, sześć trzy? - zapytał, patrząc na Milkę łagodnie.

- Pójdę. - Przemogła się, wstała z miejsca. - Skoro dotarłam aż tutaj... -

Uśmiechnęła się, blado.

- Zuch dziewczyna - stwierdził z aprobatą. - Pójdziemy teraz do bazy roboczej w Pałacu Kultury - zarządził. - Po drodze zatrzymamy się na chwilę, żebyście mogli popatrzeć na prace przy Fiołku. Ale uwaga: stajecie tam, gdzie wam kazano, i ruszacie na rozkaz. Jasne?

- Tak jest! - odpowiedzieli chórem.

- W takim razie ruszaj! - Ari odwrócił się i wyszedł z wozu.

Zstępowali po schodkach powoli, ostrożnie, krok za krokiem. Wreszcie stanęli w równym rzędzie. Zadarli głowy.

Ogromny liść zwieszał się nad nimi niczym potężne ramię jakiejś kosmicznej ośmiornicy. Opalizująca, gładka, węzowa powierzchnia odbijała refleksy światła w dojmująco obcym, nieziemskim odcieniu fioletu.

Milka poczuła się jak mała, bezradna mrówka. Gdyby ten liść opadł na nich, rozpadając się na miliardy ostrych, twardych drzazg.

Przełknęła ślinę, z trudem obracając językiem w zaschniętych ustach.

- Ruszaj! - powtórzył komendę Ari, prowadząc ich w kierunku wejścia do Pałacu.

Poszli za nim posłusznie. Wreszcie zatrzymał się, wybierając dogodnie miejsce do obserwacji.

Teatr Dramatyczny zawalił się, jego ruiny wykorzystano dla przygotowania podjazdu. To wtedy właśnie, pochyłym nasypem, dostawały się do pnia Fiołka wiertnice. Nie zdołałyby dotrzeć doń po szerokiej, śliskiej podstawie, usypano więc im drogę wwyż.

Obie maszyny pracowały już pełną parą. Wbijały wiertła w obcy twór, napierając weń co sił. Gruz pod gąsienicami pojazdów chrząścił, wizg obracających się wiertel rozdzierał uszy. Fiołek opierał się dzielnie, cyjanowodór, tryskający z nawiercanych otworów spływał kroplami po wypełnionych azotem kapturach. Dookoła krzątało się kilkanaście pomarańczowych postaci, zbierających truciznę do specjalnych pojemników z absorbentem. Zapewne przetransportują je potem do spalarek, znajdujących się w bezpiecznej odległości.

Stróże przepatrywali bacznie okolicę z bronią gotową do strzału.

- Z jednej strony to dobrze, że ten cyjanowodór tak tryska, bo jest chłodzenie na wiertłach - skomentował Ari. - Ale sekcja wiertnicza to wyjątkowo ciężka robota. Tego kawałka najbardziej nie lubię. Wiertło wchodzi z trudem, ledwo milimetr po milimetrze, a człowiek skąpany jest w tych cyjankach po szyję. No i trzeba strasznie uważać, bo przy tym stężeniu byle iskra i nieszczęście gotowe. Musimy zabezpieczać otwory, odcinając tlen i pompując azot, inaczej byśmy tam wybuchali co pięć minut, nawet przy nieiskrzących narzędziach.

- Wybuchali? - zapytała Milka, blednąc.

Jeszcze tego brakowało.

- Spokojnie, używamy wyłącznie materiałów nisko iskrzących - pocieszył ją Ari. - Nie może tam być, na przykład, niczego z aluminium... - urwał, popatrzył na nią uważniej. - Chodźmy do Pałacu - zaproponował. - Tam jest zupełnie bezpiecznie - dodał po chwili, z odrobiną sztucznym uśmiechem.

Weszli więc po wygryzionych schodach. Przeszli przez hall, wspięli się do sali marmurowej, w głębi której pobłyskiwał jakiś dziwny, plastikowy twór.

Milka zachwiała się, kręciło jej się w głowie. Oddychała szybko, coraz szybciej, mimo to wciąż czuła, że się dusi. Powoli zaczęła osuwać się na podłogę. Drakkar zauważył to pierwszy, podskoczył do niej, zdążył złapać tuż nad popękaną posadzką.

Ari powiedział coś szybko przez komunikator. Natychmiast przybiegło paru Drwali z czerwonymi krzyżami na plecach, pochwycili dziewczynę, zanieśli w kierunku plastikowej konstrukcji. Drakkar z Żuczkiem ruszyli za nimi.

- Zostańcie tu! - zakomenderował Ari, po czym popatrzył na ich spięte twarze i zmienił zdanie. - Albo nie, chodźcie wy też.

Weszli do środka, wszyscy razem. Postali przez chwilę w śluzie, splukującej i neutralizującej cyjanki. Wreszcie przeszli przez drugie, hermetycznie zamykane drzwi. Plastikowe ściany odgraniczały pokój wypełniony materacami i sprzętem medycznym. Szpital polowy.

- Możecie się rozpiąć - zezwolił Ari.

Wykonali polecenie, rozsuwając sobie wzajemnie suwaki. Westchnęli głęboko, rozkoszując się przestrzenią wypełnioną czystym powietrzem.

Medycy podskoczyli ku Milce, rozpięli kombinezon, zdjęli hełm. Położyli ją na materacu, bładą jak ściana. Oddychała szybko, rozglądając się w panice dookoła.

- Cyjanki? - zapytał Drakkar, patrząc na nią z niepokojem.

- Nee, nie sądzę. - Medyk pokręcił głową. - Nie te objawy. Po prostu strach. Zdarza się każdemu, w tych okolicznościach...

Drakkar z Żuczkiem pokiwali z ulgą głowami. Przystanęli nad Milką, przyglądając się jej z z troskaniem.

- Nie zdałam, prawda? - powiedziała słabo. - Rany, ale wstyd. - Zamknęła oczy.

Pokręcili głowami gorliwie.

- Jaki tam wstyd - orzekł spokojnie Drakkar. - Każdy ma swoje ograniczenia, po prostu jeden bardziej boi się tego, drugi czegoś innego. Ale nie wycofałaś się, to się liczy.

- Medycy! - krzyknął ktoś w śluzie. - Szykujcie się! Do szpitala wpadło kilku Drwali, niosąc kolegę.

Wstrząsały nim drgawki, oddychał rzadko, raptownie. Nawet przez hełm widać było jego zaróżowioną twarz i wytrzeszczone oczy z szeroko rozwartymi żrenicami.

Ratownicy rozpięli mu kombinezon, zerwali hełm. Położyli na materacu z drugiej strony sali. Jeden z nich natychmiast nałożył mu na twarz maskę z tlenem, drugi zaczął wkłuwać się do żyły. Trzeci przygotowywał jakiś roztwór, przez chwilę na opakowaniu zamigłała nazwa leku: Cyanokit. Skończył błyskawicznie, wręczył strzykawkę drugiemu. Tamten zaczął podawać lek, pośpiesznie, w skupieniu. W sali zaczął unosić się wyraźnie wyczuwalny zapach gorzkich migdałów.

Chory oddychał coraz wolniej i słabiej i coraz bardziej nieregularnie. Stracił już przytomność, słabł z chwili na chwilę. Pierwszy medyk, badający puls, pokręcił przecząco głową.

- Trzydzieści na minutę - powiedział. - I zwalnia. Stracimy go.

- Co się stało? - zapytał trzeci medyk, patrząc na Drwali.

- Odprysk - zgrzytnęli zębami. - To już trzeci w tym tygodniu. Odłamał się z liścia... i rozciął mu kombinezon.

Zapadło ponure milczenie. Drwał na materacu wiotczał coraz bardziej, przerywał

oddech, spowalniał puls... aż zgasł.

Wszystko zajęło zaledwie kilka minut. Był człowiek i nie ma go. Ot tak, po prostu. Szast-prast i już.

Medycy wstali, zaczęli zwijać sprzęt. Spojrzeli milcząco na strażaków. Ci założyli maski, zapięli kombinezony. Dźwignęli z materaca zmarłego kolegę i zabrali go ze sobą na zewnątrz.

- A jak tam nasza Osa? Już lepiej? - rzucił medyk do Milki, która siedziała na materacu, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem i łykając łzy.

Gorliwie potaknęła, wstydząc się swojej hysterii, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Dobrze. To bardzo dobrze - powiedział lekarz.

- Dać coś na uspokojenie?

- Nie, dziękuję - wychrypiała, wstając. - Już dobrze. Już możemy iść. - Popatrzyła na Ariego, poruszającego cicho ustami, ze wzrokiem wbitym gdzieś w dal.

Otrząsnął się szybko, popatrzył po gościach.

- To teraz pójdziemy na taras widokowy i popatrzymy na Fiołka z boku - zaproponował. - Co wy na to?

Pokiwali zgodnie głowami.

- W Pałacu jesteście całkowicie bezpieczni, ten budynek jest niczym schron. - Odwrócił się do medyków.

- Dzięki wielkie! - rzucił.

- Nie ma sprawy - odpowiedzieli i wrócili do swoich zajęć.

Ari wyprostował się, zaczął zapinać maskę i hełm. Poszli w jego ślady.

Milka wychodziła z namiotu, wciąż nieco drżąc. Z powrotem w to zatrute powietrze... Ale nie będzie się mazać, nie po tym, co zobaczyła przed chwilą. Nie pozwoli już sobie na żadną histerię, co to, to nie.

Poszli za Arim do klatki schodowej, zaczęli się mozolnie piąć.

#### 4.

Dotarli na taras... i zamarli w podziw, wręcz zachłystując się widokiem.

Fiołek wyciągał ku nim jedną ze swych lśniących dłoni.

Na górnej powierzchni liścia widniało pęknięcie, pokryte żywoczerwoną substancją, przypominającą surowe, skrwawione mięso. Gdzieś tam pojawiały się na niej krople cyjanowodoru, wyparowujące natychmiast albo spalające się wąskimi, fioletowymi płomyczkami.

- To czerwone jest cholernie gorące - wyjaśnił Ari. - Najprawdopodobniej w wyniku własnej przemiany materii. Dlatego też cyjanowodór spala się, zamiast parować.

- A próbowaliście spalać go sami? - zapytała Milka, chcąc jak najszybciej wytrzeć z mózgu scenę sprzed kilkunastu minut. - Może by tak nie zatruwał miasta.

- Owszem, próbowaliśmy. - Strażak westchnął. - Ale to bez sensu. Po pierwsze, produkty spalania cyjanowodoru są również trujące. Powstaje tlenek azotu, w ilościach hurtowych. Dlatego po zreabsorbowaniu HCN stosujemy odpowiednio dobrane spalarki, wyposażone w skraplacz oraz katalityczny lub termiczny reduktor

NOX... - Urwał, zdając sobie sprawę, że chyba zagalopował się zbyt, przechodząc do fachowych detali. - Po drugie zaś - przerzucił się na bardziej przystępny temat - roślina była tym wręcz zachwycona. Zrobiło jej się miłutko i ciepłutko i natychmiast podskoczyła o paręnaście metrów. - Rozejrzał się po towarzyszach. - Zazwyczaj Fiołek rośnie nocą, podobnie jak ziemskie rośliny. Dlatego wtedy nie wiercimy, zakleszczyłyby nam sprzęt od razu.

- A właściwie po co wy go tam wiercicie? - zapytała Milka, marszcząc brwi. - Bo coś macą w telewizji, ale ja nie bardzo...

- Trujemy go - wyjaśnił. - Robimy najgłębszą dziurę, jaka się tylko da. Na wiertło nawleczona jest rura, która zostaje wewnątrz Fiołka. Wycofujemy wiertło, pakujemy w rurę siarczan miedzi w ilościach hurtowych, pod ciśnieniem, i plombujemy co sił. I tak zostawiamy, niech się wchłania. - Machnął ręką w kierunku pnia. - Jak będziemy wracali, przyjrzyjcie się. Zobaczycie już ładnych kilkanaście ładunków - oznajmił z wyraźną satysfakcją. - To działa, jak widać. Drań przestał rosnąć, rozpada się nawet. - Zamilkł raptownie, przypominając sobie kolegę trafionego odłamkiem.

Opanował się szybko. Podeszedł do barierki, wzywając ich za sobą ruchem ręki. Zbliżyli się ostrożnie do okien i wpatrzyli z fascynacją w nieziemski twór.

- Niewiele osób na świecie podziwiała ten widok - szepnął Ari, niewątpliwie przejęty. - Tutaj, na tarasie, sam jestem pierwszy raz.

Fiołek zagarnął dla siebie całą panoramę miasta, przytłaczając ją swoim ogromem. Był tak niewiarygodnie blisko, Milce zdawało się, że mogłaby go dotknąć, jeśli tylko dobrze wyciągnęłaby rękę. I wyglądał zupełnie inaczej niż z oddalonej perspektywy lotniska na Bemowie. Teraz był tak namacalnie, przeraźliwie prawdziwy. Gładka, twarda, węzowa powierzchnia, po której migotały odbłaski światła, do tego fioletowe płomyki, dobywające się z węzowatych liści... Wszystko to tworzyło zapierający dech w piersiach, fascynujący, niesamowity obraz.

Przeszli w prawo, próbując odszukać wzrokiem jakiegokolwiek inne znane budowle. Dopiero w samym rogu zdołali się przebić wzrokiem przez splety liścia. Spostrzegli dach Dworca Centralnego, a tuż za nim smukłą sylwetkę hotelu Marriott i z tyłu, za nim, wieżowiec LOT-u.

- Pamiętacie, jak Baumgartner zrobił *base jump* z Marriotta? - odezwał się Żuczek w rozmarzeniu.

- Sobie wyobraźcie, jak by to wyglądało teraz, w tych cyjankach... Ej, Drakki, wchodzisz w to? A może by zrobić ten numer któremuś z kandydatów?

- Byłoby o tyle łatwiej, że policja by się nie czepiała - odparł Drakkar z ożywieniem. - Ze Stróżami byśmy się jakoś dogadali.

- Byle tylko nie na mojej zmianie! - zaprotestował Ari. - Nie chcę was zeskrobywać łopatką z asfaltu, a wiadomo, kogo do tej roboty wezwą: przecież nie panów wojowników, tylko zwykłą, skromną straż pożarną.

- Nie marudź, młody - zgromił go Żuczek niedbale.

- Siejesz defetyzm, ot co.

- Defetyzm to sieją nasze upgrade'owane butle - parsknął tamten w odpowiedzi. - Czas wracać, panowie i panie. W tych nowych wynalazkach wiatr starcza na długo... ale kiedyś się skończy.

Wrócili do klatki schodowej, odprowadzając Fiołka pełnym podziwu wzrokiem.



Schodzili, wciąż mając jego obraz przed oczami.

Potem wszystko działało się na przyśpieszonych obrotach, gdzieś poza nimi, niczym w transie.

Odmeldowali się dowódcy. Przemknęli z powrotem do wozu, serce Milki znów łomotało strachem. Gdyby właśnie spadł kolejny odłamek...

Jechali przez miasto milcząc, pogrążeni w myślach. Drwale, siedzący naprzeciwko, również nie byli zbyt rozmowni. Wymienili tylko parę banalnych uwag o przytłaczającym ogromie Fiołka i zamilkli. W ich oczach malowało się wyraźne zmęczenie.

Dotarli wreszcie na plac Bankowy. Przejechali do granic zakazanej strefy, poczekali, aż neutralizatory spłuczają truciznę z wozów. Potem przeszli do służ osobistych, wyszorowali się porządnie, zdjęli kombinezony. Podziękowali Ariemu, zaprosili go na wieczór. Pokiwał głową i wrócił śpiesznie do swoich, zdać sprzęt.

Wracali samochodem w całkowitym milczeniu. Dopiero tuż przed bramą lotniska Drakkar zatrzymał samochód. Wraz z Żuczkiem obrócili się ku Milce, skulonej na tylnym siedzeniu.

- Zdałaś - oznajmił krótko dowódca. - Gratuluję. Witamy wśród Os.

Machinalnie skinęła głową. Siedziała z szeroko otwartymi oczami, wbijając w szybę niewidzący wzrok.

Jej myślami wciąż władał ten gigantyczny, obcy, niesamowity, śmiercionośny twór.

# Rozdział 4

## **JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA WYPADEK NAGŁEGO ZDARZENIA**

*Zdarzenia takie mogą wystąpić szybko i bez ostrzeżenia. **Planowanie na wypadek jakiegokolwiek niebezpieczeństwa - w tym także katastrof wszystkich klęsk żywiołowych - wymaga rozważenia wszystkich możliwych scenariuszy.** Jeśli będziesz mógł pozostać w domu, pamiętaj, że elektryczność, woda, ogrzewanie, usługi telekomunikacyjne i transportowe mogą funkcjonować z przerwami albo wręcz nie działać przez długi czas. Specjaliści sugerują, by zaopatrzyć się w odpowiednią ilość jedzenia, wody, lekarstw i innych niezbędnych artykułów, z których będzie mogła korzystać Twoja rodzina. W obliczu bardzo poważnych zagrożeń może dojść do ewakuacji Twojego domu lub całej społeczności lokalnej.*

*Gdyby kiedykolwiek doszło do takiej sytuacji, pamiętajmy, aby posiadać plany ewakuacji i przygotowane rzeczy pierwszej potrzeby, które możemy szybko ze sobą zabrać:*

***Plan ewakuacji** obejmujący co najmniej dwa miejsca spotkania w czasie niebezpieczeństwa. Wybierz jedno miejsce poza domem na wypadek nagłego niebezpieczeństwa, takiego jak np. pożar. Wybierz co najmniej jedno miejsce poza najbliższym sąsiedztwem, na wypadek gdybyś nie mógł wrócić do domu.*

***Plan kontaktowania** się podczas niebezpieczeństwa. Wybierz jedną osobę spoza swojej miejscowości, by była punktem kontaktowym dla członków rodziny i Ciebie, na wypadek gdybyście byli rozdzieleni. Upewnij się, czy wszyscy posiadają informacje ułatwiające kontakt, takie jak: numery telefonów, adresów.*

*Bądź bardziej bezpieczny- Przewodnik MSWiA*

### 1.

Sześć godzin przerwy to stanowczo za mało, westchnął smętnie Kajman, wpełzając w głąb Rosomaka. Zgodnie z SOP-em, czyli Standardową Procedurą Operacyjną, powinni posiedzieć w bazie przynajmniej dwanaście godzin przed kolejnym spacerkiem do strefy. Ale Artysta parł w te cyjanki jak wariat, dowódca zaś podpisywał każdy rozkaz wyjazdu bez mrugnięcia okiem. I tak mieli ciągłe braki i za mało ludzi do roboty. O ile bowiem miłość bliźniego swego nie była zbyt popularnym uczuciem wśród Hien, o tyle o brak jaj stanowczo nie dało się ich posądzić. Było więc oczywiste, że prędzej czy później coś się musi wydarzyć.

Dowództwo w mądrości swojej wzmocniło więc patrole: teraz zamiast jednego Rosomaka jechały trzy, z wozem dowodzenia na czele. Wszystko ładnie pięknie, ale - być może wbrew oczekiwaniom Generalicji - Stróże nie rozmnożyli się przez pączkowanie z dnia na dzień, toteż dowódcom poszczególnych sekcji pozostawało jedynie napinanie regulaminu i wysyłanie żołnierzy do roboty jak najczęściej. Na ich własną prośbę, oczywiście.

Kajman spojrzał na Artystę siedzącego tuż obok z wyjątkowo zaciętą miną i chłodnym, metalicznym spojrzeniem wbitym gdzieś w dal. Znaczy, dziś mamy dzień

desperado, pojął Kajman od razu i odwrócił wzrok. Nie lubił tego wcielenia przyjaciela, nie lubił aż za bardzo. Artysta w wersji desperado parł do przodu jak czołg, a nieśmiertelność włączała mu się przy byle okazji. Kajman wolałby bardziej rozważne podejście do strzelająco-wybuchającej rzeczywistości, ale z drugiej strony, do cholery, może i dobrze, że w takich chwilach szedł ślad w ślad za Artystą, odrzucając bardziej zachowawczą, czy może powiedzmy wprost, uczciwie: tchórzliwą stronę swojej natury. Bo co jest, panowie, chcecie żyć wiecznie?

Trzasnęły drzwi, Rosomak poturlał się do przodu. Zamykali kolumnę, podążającą najpierw Marszałkowską, potem w lewo Świętokrzyską, znów w lewo w Jasną...

Wiznęło, huknęło, świat zrobił salto. Wnętrze wozu zatańczyło - grawitacja zgłupiała - Kajman zobaczył nad sobą wielkie oczy spadającego Kani - spał się odruchowo - tamten walnął w Miśka - cyjanki, pojawiła się przerażona myśl - i już leżeli spokojnie na boku, stłoczeni jeden na drugim, spokojnie, spokojnie... Świat przycichł, jakby został otulony szczelną, przezroczystą watą. Z wieżyczki wyzierały strzepy żółtego kombinezonu uwalanego mięsem i krwią. U kierowcy kłębił się czarny dym.

- Wypierdalać! - Ktoś szarpnął drzwi; otworzyły się, wpuszczając złoty snop słońca, niczym drabinę do nieba. - Co to, kurwa, było? Ajdik?! Erpegie?!

- Charlie dwa, Charlie dwa odbiór! - zatrzeszczał dowódca w hełmofonach. - Charlie trzy?

Kombinezon, zaczął modlić się Kajman, wypełzając z wozu, mój kombinezon, wytrzymał?

- Charlie trzy - zabrzmiał spokojny głos Artysty. - Mamy rannych. Misiek, Kania nieprzytomni. Alek, Czarny nie żyją.

- Charlie dwa?

Cisza.

Wyrwali się z Rosomaka, przycupnęli, kłęby dymu tańczyły na zewnątrz, jest jak w Karbali, pomyślał Kajman, kurwa mać, to Warszawa, a jest jak...

Dowódca zasuwał już dziewięciolinijkowcem, wzywając MedEvac i wsparcie. Jedzie schematem, błysnęło Kajmanowi, co jest, nigdy nie był w...

- Szefie, stop! - wydarł się nagle. - Jeśli to ajdik, a nie strzelają, to tylko czekają, żeby przypunktować, kiedy nas będzie więcej!

Tamten zamilkł, a potem spokojnie, czysto wydał rozkaz:

- Wyjmujemy rannych. Odskakujemy.

I już nadawał: zmiana punktu podjęcia, plac Powstańców Warszawy, over.

- Kajman, Marko, obstawiacie! Reszta do mnie, spróbujemy ich wyciągnąć - zarządził Artysta. - Nie damy rady, zakleszczeni na amen - zameldował po chwili. - Potrzebni Drwale i ciężki sprzęt!

- Charlie jeden do Charlie trzy, spróbujemy pomóc.

Przybiegli koledzy z pierwszego wozu, wraz z dowódcą. Dym zgęstniał, zaczął się kłębić gorliwie. Ładunki kierunkowe, myślał Kajman, patrząc na szare ściany budynków, zawężające ulicę do klaustrofobicznych rozmiarów. Miny Claymore, rrrraz! Ogarniał otoczenie wzrokiem, zespolony w jedność ze bronią. Jest tam kto? Cisza, spokój, ani jednego ruchu. I tylko coraz gęstszy dym.

Miny Claymore, rrrraz!

Wyciągajcie ich, kurwa, jak najszybciej, zatrajkotał w duchu. I spierdalajmy! Śmierdzi mi tu, chociaż nie ma prawa, oddycham powietrzem z butli. Ale śmierdzi, jak tylko śmierdzieć potrafi śmierć.

- Kombinezony uszkodzone - zameldował Artysta, śmiertelnie spokojny. - Obaj prawdopodobnie nie żyją.

- Zostawić - padł rozkaz. - Ruszamy!

Kajman odetchnął z ulgą, widząc, jak koledzy wypełzają z Rosomaka jeden po drugim, jak formują dookreżną. Słusznie, myślał, zlizując cienką strużkę potu z zaschniętych ust, słusznie, tamtych jest tylko dwóch i pewnie nie żyją, a tu zaraz jak pierdolnie...

- Kosa, wychodzisz! - wydarł się dowódca.

- To jest Warszawa - zakrzyknął tamten ze środka. - Nie Karbala!

Nic nie pierdolnie, zamrugnął Kajman, to ja mam nasrane w głowie i jestem pełen gówna ze strachu, chcę ich tutaj zostawić pod byle pretekstem, a to przecież Warszawa, nie Karbala. Tutaj IED, improwizowane urządzenia wybuchowe, nie wydzierają się raptownie spod asfaltu ulic...

- Wychodzisz!

Kosa wychynał posłusznie, dołączył do formacji. Oczy błyskały mu wściekłością.

- Naprzód!

Ruszyli w krótkich odskokach. Kajman zerknął na środkowy wóz, odwrócił głowę czym prędzej: miazga. Zakurwiście silny ten ajdik. Żegnajcie, Charlie dwa.

Wycofywali się Jasną, trzeci Rosomak tkwił wciąż na chodniku, przewrócony na bok, w kłębach dymu, z Miśkiem i Kanią uwięzionymi w środku. Jeżeliby któryś przeżył, myślał Kajman, jeżeliby odzyskał przytomność... Tu akurat wcale nie musi być tak dużo cyjanków, silny wiatr wieje dziś od Wisły. Mieliby szansę, obaj.

Przyklęknął przed skrzyżowaniem, wraz z Artystą stworzyli bramkę, osłaniającą przejście przez Świętokrzyską. Dalej, zamachał ręką w górę i w dół. Koledzy pomknęli do przodu, przycupnęli pod hotelem Warszawa. No, ruszać się, machnęli do Kajmana i Artysty. Teraz wy!

Pobiegli razem, skuleni, jak należy, choć bynajmniej nikt nie zasypywał ich gradem kul. To przecież Warszawa, panowie, spoko, luz.

Nie odwracać głowy w tył. Nie patrzeć na trzeciego Rosomaka. Tam są... tylko trupy.

Ale przecież nie wybucha! Nic nie wybucha!

Bo to jest Warszawa, nie Karbala. I nie wybuchnie, a my, skurwysyny, po prostu żeśmy sobie poszli. Zostawiliśmy ich tak.

Głuchy, tętniący odgłos gromu przetoczył się po Jasnej, wyzwolił westchnienia ulgi. Resztki szyb sypały się z okien, a Kajman dyszał z od dawna niepamiętaną częstotliwością, choć przecież nieraz bywał w znacznie gorszym gównie.

Wybuchło. Kurwa mać, wybuchło.

Nareszcie.

Spadochroniarnia była pełna ciekawskich spojrzeń i pośpiesznych, urywanych szeptów.

Słyszeliście już? Już wiecie?

Podobno przyjęto nową Osę - ale to nic dziwnego, Star nie żyje, ktoś go musiał zastąpić.

Ale... Podobno na jego miejsce Drakkar wziął Milkę!

Już byli w strefie, już zrobili młodej crash test. Jak poszło, nie wiadomo do końca, Drakkar z Żuczkiem milczą jak zakłęci. Ale chyba dobrze? Bo nic się nie mówi o zmianie decyzji.

Spojrzenia gorliwie omiatały Eli, w głębi fotela zakłętą w niemy słup soli. Co ona na to? Przecież od zawsze było wiadomo, że jeśli jakakolwiek kobieta trafi do Os, to będzie nią właśnie pani instruktor, bez dwóch zdań. A tu Drakkar wywinął jej taki podły numer. Dlaczego?

Cindy z Szarotką poszeptywały po kątach zazdrośnie, że pewnie Milka przysłużyła się Drakkarowi w wiadomy sposób. Ale nikt nie traktował poważnie ich uwag, Drakki niejednokrotnie udowodnił, że potrafi oddzielać pracę od prywaty. Tym samym nie wchodziło w grę, że pożarł się o coś z Eli i po złości nie dopuścił jej do zespołu. Więc o co tu mogło chodzić, co się właściwie stało?

Eli milczała z niezłomną wyższością, jakby w ogóle nie zauważała jakiegokolwiek problemu. No ale czegoż można by się po niej spodziewać w takiej sytuacji: publicznych szlochów i rozpacz? Wiadomo, że nie.

Kiedy więc Osy weszły do telewizyjnej równym szeregiem, w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Wódz podniósł się ze kanapy przed telewizorem, wymienił z Drakkarem parę znaczących spojrzeń: no to już? Już.

Spadochroniarze wstrzymali dech.

- Na miejsce opuszczone przez świętej pamięci Karola Mieniaka przyjęliśmy Milenę Czelańską, Milkę. Tym samym Krzysztof Zerczyk, Pinio, wchodzi na płatek - oznajmił Drakkar: głośno, krótko, beznamietnie. Odwrócił się do Milki, wyciągnął dłoń. - Witamy wśród Os!

Ścisnęła ją gorliwie, potrząsnęła parę razy, policzki jej pały.

- Gratulacje! - Wódz podszedł, uścisnął jej dłoń.

Wnet za nim ustawiła się kolejka. Gratulacje, gratulacje, brzmiało echo. Gratulacje!

Milka uśmiechała się, kiwała głową, odpowiadała - wszystko machinalnie, jak we śnie. Oprzytomniała dopiero, kiedy tuż przed nią stanęła Eli, omiotana chciwymi, żądnymi sensacji spojrzeniami zebranych.

- Gratuluję! - powiedziała instruktorka spokojnie. - Zazdroszczę i nie zazdroszczę zarazem. - Skinęła jej głową, przeszła dalej.

Gdzieś w tle Cindy i Szarotka wydeły z rozczarowaniem wargi: eee, a taka ładna mogła być awantura...

- Dziękuję! - wybełkotała Milka z trudem.

Spełniające się marzenia wyglądają cholernie nierealnie, wirowało w myślach. Jakby złośliwy świat nie mógł się nadziwić, że sprawy przybrały tym razem tak korzystny obrót.

Wnet kolejka dobiegła końca, ludzie porozdzielali się na podgrupy wśród kanap, krzesełek, stolików, ktoś pogłośnił telewizor. Król nie żyje, niech żyje król, gratulacje, dziękujemy, a teraz do widzenia.

A przecież na początku rekrutacja do Os przebiegała z niesłychaną pompą: przyjmował osobiście prezydent, składano przysięgę. Potem prezydenta zastąpił generał, w końcu głowie państwa nie można tak zawracać gitary co parę tygodni, a czasem nawet i dni. Szybko i generał się znudził, delegował obowiązek na Wodza. Ten z kolei nienawidził serdecznie wszelkiego blichtru, Milka nie zdziwiła się więc ani trochę, kiedy cały ceremoniał odbył się w biurze i potrwał może z piętnaście sekund: tu podpisz, dziewczynko. Tak, tutaj. A to twoja legitymacja. Dziękuję.

Drakkar stał jak zwykle przy oknie, co chwila przez nie wyglądając. Filozof i Neon tkwili w fotelach pod ścianą, z marsowymi minami, wodząc wzrokiem to po nowo przyjętej, to po pozostałych. Ci z kolei - Kokos, Gnom, Gabryś, Kocher, Pinio - wszyscy jak jeden mąż wydawali się patrzeć gdzieś w dal. Może w przeszłość, a może w przyszłość, której nie było. Nawet Żuczek, zazwyczaj sypiący żartami jak z rękawa, milczał i patrzył wraz z nimi.

Milka stała, nie mówiąc nic. Bo i cóż tu gadać, przyrzekać, obiecywać: ano, wyskoczmy, zobaczymy. Więc może lepiej, że nie kazali jej niczego donieść i patetycznie przysięgać. Tak, na pewno lepiej. Zdecydowanie. Nie zamieniłaby tej bezceremonialnej ceremonii na cały ten prezydencki szpan.

Dopiero teraz, w telewizyjnej, dotarło do niej drugie dno tego posępnego milczenia Os: nie będziemy się bezsensownie zaprzyjaźniać, i tak przecież zaraz odchodzisz.

*Nam jedna szarża: do nieba wzwyż...* przyczepiło się do głowy Lao Che wierszem Baczyńskiego i nie chciało odpuścić, za nic. *I jeden order: nad grobem krzyż.*

A tam na zewnątrz głowy, w spadochroniarni, życie potoczyło się swoim zwykłym torem. I bez sensu byłoby tak stać i przeżywać, ileż można? Skoro wszyscy już wyszli z imprezy, a orkiestra dawno przestała grać.

Uśmiechnęła się więc bezbarwnie i podeszła do wielkiej kanapy Os.

### 3.

Usiadła na pierwszym wolnym miejscu, obok Żuczka.

- Co słyhać, moja piękna? - zareagował natychmiast, przygarniając ją ku sobie. - Jak się czuje nasza gwiazda?

- Sam jesteś gwiazda. Spadająca... - Pokazała mu język, uwalniając się od uścisku. - A ja jestem Osą, wiesz?

- Witamy wśród owadów! - odparował uprzejmie. - Pokazać ci moje żądło? - ściszył porozumiewawczo głos, przybierając wyjątkowo sprośną minę.

Założyła ręce na piersiach i wykrzywiła się w żartobliwym, odmownym geście. Niedoczekanie twoje, Żuczek, oznajmiła bez słów.

- Nie to nie. - Westchnął i demonstracyjnie odwrócił się do niej plecami. - Jeszcze będziesz się kiedyś prosić, zobaczysz... Ale wtedy będzie za późno.

- Ciiicho tam! - Pinio odwrócił się do tłumu, pogroził palcem. - Program będzie, o

UFO! Kto chce gadać, niech idzie na stołówkę!

Gwar ścichł. Część skoczków posłusznie skierowała się do sali jadalnej, pozostali zasiedli na fotelach i krzesłach rozrzuconych po sali.

Drakkar skończył konferencję z Wodzem, ruszył wprost do kanapy. Usiadł tuż koło Milki. Serce zabiło jej żywiej.

- No i co ma być dzisiaj w pudle? - rzucił, zakrywając dłonią lekkie ziewnięcie.

- O UFO - poinformował go Pinio. - Podobno się czegoś dowiedzieli.

- Dowiedzieli się? - mruknął Filozof z powątpiewaniem. - O UFO? Skąd?

- Złapali ufoludka - oznajmił Neon konspiracyjnym szeptem, przychyliwszy się ku nim lekko. - Ja wiem, mam swoje dojścia. Wszystko wyśpiewał na torturach.

- Eee tam, nie wierzę w to całe UFO - wmieszał się Kokos. - Kaczka dziennikarska i tyle.

- No właśnie, czemu akurat miałoby w to być wmieszane jakieś UFO... - Żuczek udał, że się namyśla. - Czyżbyśmy mieli kosmiczny problem? Nie, to niemożliwe, takie rzeczy się nie zdarzają w naszym milutkim, poukładanym świecie.

- Poszczuję cię bratem, jeśli nie przestaniesz - zagroził Filozof. - Był tu przed chwilą i upierał się, że został zaproszony na dziś wieczór. Na razie powiedziałem, że wyjechałeś do Afryki śladami Stasia i Nel, w hołdzie ich pamięci, i uważam, że to właśnie tam powinien cię szukać... ale zawsze mogę zmienić zdanie.

Żuczek natychmiast zacisnął usta, podniósł ku nim prawą dłoń i wykonał gest, jakby przekręcał w nich klucz.

- Uhuhuhuhu - wybełkotał przez nos.

- No - stwierdził Filozof, usatysfakcjonowany.

- Pilnuj go - rzucił do Milki. - Jak się odemknie, zaklej mu usta na stałe Kropelką albo jakimś innym Super Glue.

- Hehe! - przypomniał sobie Neon. - Kumpel sobie kiedyś tak skleił dwa palce, jak się nudziliśmy na dyżurze. Musieliśmy rozcinać skalpelem...

- Cicho, zaczyna się! - powiedział Pinio i wbił wzrok w telewizor.

- A teraz zapraszamy na zapowiadaną wcześniej dyskusję ekspertów - powiedziała panienka z okienka, uśmiechając się do niewidzialnej publiczności.

- Dzisiejszy temat to „Fiołki i Róże: międzyplanetarne formy życia czy wstęp do kosmicznej inwazji?” W dyskusji udział wezmą: docent Zofia Kolosińska - z Międzynarodowego Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk, profesor Andrzej Milcarz z Instytutu Paleobiologii PAN, doktor Kazimierz Achnio z Zakładu Teledetekcji Centrum Badań Kosmicznych PAN oraz doktor Jan Piekarski z Zakładu Medycyny Ratunkowej Warszawskiej Akademii Medycznej. Już za chwilę, a teraz krótka przerwa na reklamy. Zostańcie z nami!

- Znowu gadające głowy - powiedział Filozof, lekko rozzarowany. - Pinio, skąd wiesz, że będzie o UFO?

- Pokazywali zapowiedzi - zachnął się Pinio. - Ktoś tam miał gadać o kosmicznej inwazji.

- I kto o tym będzie mówił, jajogłowcy? - rzucił Neon z niesmakiem. - Żadnego mundurowego, znaczy cały ten program jest kompletnie bez sensu. Więcej się dowiesz od własnych kolegów. Popytaj u źródła.

- Jeżeli nie ma żadnego wojskowego w telewizji, to znaczy, że sprawa jest tajna! -

odparł Pinio wzburzony. - Skoro nic nie mówią, to znaczy, że już zaczęli coś robić. A według mnie inwazja to najbardziej logiczne wytłumaczenie. Szykują się na nas, wykańczając od środka. Ale może ja jestem zawodowo zboczony, co o tym myśli nasz cywil? Milka, co ty na to? Milka... Milka!

Odwróciła się ku niemu, popatrzyła niewidzącymi oczami, jakby zbudzona ze snu. Myślała właśnie o tym, jak to Drakkar rewelacyjnie pachnie, i że ramię, którym jej dotyka, nieomal ją parzy, i czy kiedykolwiek mogłaby tak zarzucić mu rękę na szyję, a potem...

A potem wtrącił się Pinio z jakimś bezsensownym pytaniem.

- Ale o co chodzi? - zapytała, wciąż jeszcze niezbyt przytomnie.

- Kobieta! - skwitował Kokos z pogardą. - My tu o przyszłości planety, a ona śpi.

- Ej, przegapiliście początek - poinformował ich Drakkar. - Oglądacie czy sami wszystko ustalicie we własnym gronie?

Umilkli natychmiast, wpatrując się w telewizor.

- Koncepcja, że obce formy życia są przygotowaniem do inwazji, nie jest pozbawiona pewnych podstaw - mówiła elegancko ubrana brunetka w wieku około czterdziestu lat, napis na ekranie informował, że jest to doc. Kolosińska z Międzynarodowego Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN. - Nie chodzi mi oczywiście o pomysły rodem z filmów science-fiction, wielkie UFO nadlatujące nad miasta i niszczące je promieniami laserowymi czy jakąkolwiek inną kosmiczną bronią. *Dzień Niepodległości, Marsjanie atakują* i tym podobne pomysły należy między bajki włożyć, proszę państwa. Spójrzmy na to raczej w ten sposób: a jak postąpilibyśmy my sami? Jeśli przygotowywalibyśmy się do zasiedlenia jakiejś planety, od czego byśmy zaczęli?

- Od zbudowania bazy! - wyrwał się ktoś z publiczności.

Kolosińska pokiwała głową.

- Z pewnością tak - potwierdziła. - Niemniej jednak zaraz po zbudowaniu bazy, a może nawet jeszcze - zanim byśmy to zrobili, zabralibyśmy się do wytwarzania przyjaznej życiu atmosfery. Zaczęlibyśmy uprawiać rośliny, wytwarzające niezbędny nam tlen, i to w jak największych ilościach. Założmy, że Obcy są istotami opierającymi oddychanie nie na tlenie cząsteczkowym jak my, lecz na cyjanowodorze. Oczywiście, nie jesteśmy w tej chwili w stanie prześledzić hipotetycznych szlaków metabolicznych. Ale wiemy na pewno, że pozaziemskie formy życia wychwytyują wolny azot z atmosfery, po czym wiążą go z węglem i wodorem, wytwarzając cyjanowodór. Zabójczy dla nas i dla wszystkich ziemskich organizmów, lecz być może życiodajny dla Obcych? W tej sytuacji, logicznym posunięciem z ich strony byłoby zasianie jak największej liczby Fiołków, jak je potocznie nazwę, na naszej Ziemi.

- Ale jakież byłby to dla nich szczęśliwy zbieg okoliczności! - wtrącił się starszy, szpakowaty mężczyzna, podpisany na ekranie jako profesor Andrzej Milcarz z Instytutu Paleobiologii PAN. - Aż nazbyt szczęśliwy, moim zdaniem. Spójrzmy na biologię rozrodu tych roślin. Jak wiemy, przetrwalniki, skryte w otoczkach, doświadczają skrajnie niskich temperatur podczas ich podróży przez próżnię, by następnie niemalże spłonąć na skutek wtargnięcia w naszą atmosferę. Spala się jednakże tylko otoczka, uwalniając przetrwalnik niemal tuż nad powierzchnią Ziemi.



Mówię tuż nad powierzchnią, bo przecież w skali kosmosu wysokość pięciu kilometrów to tyle, co nic. Co więcej, pozostały przetrwalnik, popularnie zwany Różą, jest niezmiernie delikatny i kruchy, rozpada się po około półtorej minuty na skutek wzrostu ciśnienia, nawet jeżeli nie uderzy w ziemię, i uwalnia miliony mikroskopijnych zarodników. Te z kolei rozprzestrzeniają się po olbrzymim terenie, szukając sprzyjających warunków. - Profesor rozłożył gwałtownie obie ręce i zatoczył nimi szerokie koło, jakby chciał zobrazować, jak rozprzestrzeniają się obce zarodniki. - Do tej pory nie wiemy, jakie są czynniki decydujące o tym, gdzie i po jakim czasie wykiełkują. Może po miesiącu, dwóch, może po roku, a może wcale? Czy decyduje o tym skład gleby? Fiołki często wyrastają w miastach, więc może jest to kwestia obecności kanalizacji? - Pokiwał z powagą palcem.

- Rośliny te są zatem idealnym narzędziem do spełnienia zadania kolonizacji planety, nie sądzi pan? - oznajmiła Kolosińska. - Wręcz wymarzonym narzędziem. Być może specjalnie modyfikowanym genetycznie?

- Ależ proszę spojrzeć na liczbę Róż znajdujących się w strumieniu! - odparł Milcarz gniewnie. - W styczniu, kiedy zaczęły wyrastać pierwsze Fiołki, Ziemia znajdowała się w peryhelium. Nie wiemy, ile czasu potrzeba, by zarodnik zdołał wykiełkować, ale zakładam roboczo, że około miesiąca, więc pierwsze Róże pojawiłyby się w grudniu zeszłego roku. Mamy kwiecień, w tym czasie Ziemia przemieściła się w korytarzu o szerokości stu dwudziestu dwóch milionów kilometrów. A Róże wciąż do nas trafiają! Szczerze mówiąc, nie sądzę, by jakakolwiek placówka była w stanie zrealizować finansowo podobny plan. Pani hipotetyczni Obcy mogą nasoczywiście przewyższać pod każdym względem, również i tym, tu jednak kłania się zasada brzytwy Ockhama, droga pani. - Uśmiechnął się sarkastycznie. - Najbardziej prawdopodobne jest rozwiązanie najprostsze. Moim zdaniem, rośliny te są naturalnymi mieszkańcami międzyplanetarnej przestrzeni. Charakterystyka ich rozrodu wskazuje wyraźnie na ich doskonałe przystosowanie do takiego właśnie sposobu wegetacji i rozmnażania się. Bez międzyplanetarnej podróży, przemrożenia, a później poddaniu działania wysokich temperatur zarodniki z pewnością nie byłyby w stanie wykiełkować. To ewolucja, nie laboratorium Obcych, jest źródłem naszych obecnych kłopotów!

- Być może jedno i drugie - upierała się, ani odrobinę nie przekonana, biologka. - Panie doktorze, w swoim Instytucie śledzi pan najdalsze gwiazdozbiory - zwróciła się do młodego człowieka, ubranego w dżinsy i sweter, wyraźnie kontrastujące z eleganckimi strojami pozostałych gości. - Czy byłby pan w stanie założyć istnienie planety charakteryzującej się podobnie skrajnymi warunkami atmosferycznymi?

- Musiałyby krążyć wokół jakiejś gwiazdy po bardzo eliptycznej orbicie - odparł zagadnięty, tuż pod nim pojawił się napis informujący, że jest to dr Kazimierz Achnio z Zakładu Teledetekcji Centrum Badań Kosmicznych PAN. - Przy czym różnica pomiędzy jej odległością od swego słońca w peryhelium i w aphelium musiałaby być znaczna... Tak, taka planeta może istnieć. Czy mogłoby jednak na niej pojawić się życie? Cóż, mogę tylko pokusić się o stwierdzenie, że nic nie jest niemożliwe. Jeśli się weźmie pod uwagę temperatury rzędu milionów stopni Celsjusza powszechnie występujące w kosmosie, my sami jesteśmy dość nieprawdopodobnym zjawiskiem. Na skali temperatur znajdujemy się tuż obok zera absolutnego, bo czymże jest te

śmieszne dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie wobec, jak już wspomniałem, milionów? Być może Obcy, zamieszkujący wnętrza gwiazd, dyskutują właśnie nad możliwością istnienia życia w tak zmrożonych warunkach jak nasze? - Uśmiechnął się.

- Czyli przychyła się pan do tezy, że mamy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym? - Kolosińska wyglądała na zawiedzioną.

- Nie do końca, pani docent, nie do końca. Kilka dni temu referowałem to zagadnienie na konferencji w Londynie i może wyjaśnię to lepiej, używając materiałów z prezentacji. - Młody człowiek zwrócił się do pozostałych uczestników programu, jakby przepraszając, że jest lepiej przygotowany.

- Otóż Róże zachowują się jak zwykły rój międzygwiazdnych meteorów: wszystkie nadlatują z tego samego kierunku na sferze niebieskiej. To zresztą wydaje się zrozumiałe: gdyby pochodziły z różnych planet, w różnych układach gwiazdnych, to przy kosmicznych odległościach ich równoczesne dotarcie na Ziemię jest praktycznie niemożliwe.

Podczas tej wypowiedzi na środku ekranu pojawił się obraz kilku kropek, symbolizujących Słońce i okoliczne gwiazdy, z rozchodzącymi się kolistymi falami czerwonych punktów Róż. Widać było, że poszczególne fale dochodzą do kropki symbolizującej Słońce z różnych kierunków.

Filozof pokiwał głową, reszta wytrzeszczyła oczy.

W następnej chwili kropki symbolizujące gwiazdy rozjechały się na boki, a wokół Słońca pojawiły się planety krążące po swoich orbitach. Po kilku sekundach schemat układu słonecznego przesunął się w lewo, a przy prawej krawędzi zaczęły się pojawiać chaotycznie rozrzucone czerwone punkciki, przesuwające się w stronę Słońca i planet.

- Gdy Róże zbliżają się do Słońca, są przez nie przyciągane, tak jakby na nie spadały. Dlatego przyśpieszają, tak samo jak kamień spadający na ziemię.

- Czerwone punkty zaczęły się zbiegać w stronę centralnej żółtej kropki. - Ale muszą państwo zwrócić uwagę, że odległości między planetami są, no cóż, kosmiczne. - W głosie prelegenta wyraźnie słychać było uśmiech. - Róże przez cały czas poruszają się w pierwotnym kierunku. I dlatego nie spadają na Słońce, tylko przelatują obok. - Czerwone punkty przepływające przez ekran ułożyły się w klepsydrę, a układ słoneczny znalazł się w jej przewężeniu. - Dlatego ogromna większość Róż ominęła Słońce i podąża w tej chwili ku odległym układom gwiazdnym.

- Wielkie mi pocieszenie - parsknął Pinio.

Filozof natychmiast uciszył go spojrzeniem i przywarł wzrokiem z powrotem do ekranu.

- Nas oczywiście interesują te Róże, które dolatują w pobliże Ziemi. - Klepsydra kropek rozbiegła się na wszystkie strony, aż w centrum pojawiło się zielone kółko, omywane przez strumień czerwonych punktów. - I tu, proszę państwa, dochodzi do pierwszego przedziwnego zbiegu okoliczności. - Kamera ponownie pokazała młodego astrofizyka.

Obok niego Kolosińska i Mielcarz odsuwali się nieco od siebie, jakby właśnie skończyli się nad czymś naradzać.

- Zbieg okoliczności polega na tym, że Róże doganiają Ziemię w jej ruchu wokół Słońca. Gdyby strumień Róż pojawił się za pół roku, prawdopodobnie nie mielibyśmy o czym mówić! - Achnio zwrócił się do pozostałej dwójki z triumfującym wyrazem twarzy.

- A to dlaczego? - zapytała zaskoczona biolożka.

- Dlatego że wówczas Róże nie miałyby jak wyhamować swojej prędkości i omijałyby Ziemię.

- ...Albo rozbiłyby się - wszedł mu w słowo paleobiolog.

- No właśnie nie - Achnio promieniał, jakby tylko czekał na tę ripostę. - To jest właśnie drugi przedziwny zbieg okoliczności. Otóż wszystkie Róże, które napotykają na swojej drodze Ziemię, omijają jej tarczę! Zamiast tego wpadają prawie płasko w warstwę atmosfery otulającą naszą planetę. - Obraz ze studia ponownie zastąpiła animacja, na której czerwone punkty uderzały w tarczę Ziemi, znacząc każde zderzenie miniaturowym czerwonym rozbłyskiem.

- Jak państwo widzą, mamy tu symulację roju meteorów. Ogromna większość, ponad dziewięćdziesiąt siedem procent, uderza w tarczę planety. Tylko trzy procent z nich wpada w warstwę atmosfery i może wyhamować. I tak samo powinny się zachowywać Róże. Powinny dotrzeć do powierzchni Ziemi w ciągu kilku-kilkunastu sekund i albo wybić krater na lądzie, zgniatając swoją zawartość, albo utonąć w oceanie, gdzie również na pewnej głębokości zapewne uległyby zgnieceniu pod wpływem wielkich ciśnień. Gdyby ich zawartość mogła przetrwać taki upadek, to akcje spadochroniarzy byłyby niepotrzebne. Utrzymywanie takich na przykład Os powinno się mijać z celem.

- Mądrała! - warknął Kokos, ewidentnie rozzłoszczony. - A może sam jesteś niepotrzebny? Ty i cała ta twoja mechanika orbitalna? Bo wiesz, te Róże spadają, chcesz tego, czy nie...

- Weź przestań - ofuknął go Manior. - Się podniecasz niezdrowo. A chociaż rozumiesz coś z tego wykładu?

- Ni cholery. Ale jedzie po nas i mi się to nie podoba! Niech tu przyjdzie i sam skoczy za Różą, zamiast rzewnie pierdzielić o naszej bezcelowości!

- Cisza, panowie - zarządził Drakkar spokojnie. - To tylko program. Gość się stara. Mówi, co wie.

Umilkli natychmiast. Ale reakcja uczestników programu była podobna. Kamera ponownie pokazała obraz ze studia, gdzie Milcarz właśnie atakował astrofizyka.

- Co za bzdury pan opowiada! Gdyby było tak, jak pan mówi, to życie na Ziemi nie miałoby szans się rozwinąć! - Rozzłoszczony profesor gestykulował żywo.

- Ależ oczywiście, panie profesorze - Achnio nie dał się zbić z tropu. - Tylko że nigdy dotąd nie mieliśmy do czynienia z rojem meteorów o takiej masie.

- A gdzie tam! - zachnął się Milcarz. - Przecież od dawna wiadomo, że w historii życia na Ziemi co najmniej kilkakrotnie doszło do wymierania prawie całego świata zwierzęcego i roślinnego.

- Tak, tylko proszę zauważyć, jak często dochodziło do takiego wymierania. A raczej jak rzadko. - Riposta astrofizyka w pół słowa ostudziła zapał profesora.

Milcarz odchylił się, poprawiając klapy marynarki. Achnio kontynuował:

- Tak wielkie katastrofy zdarzają się bardzo rzadko, raz na kilkadziesiąt milionów

lat. Ale proszę sobie wyobrazić, że codziennie na kulę ziemską spada około stu ton meteorów. - Ta informacja wyraźnie przestraszyła docent Kolosińską, lecz młodzieniec machnął uspokajająco ręką: - Tyle że są to miliardy drobnych okruchów, o masach rzędu ułamków grama. Nawet nie mają szans dotrzeć do powierzchni Ziemi, bo spalają się w atmosferze. Te, które widzimy jako spadające gwiazdy, są trochę większe, ważą po kilka, kilkadziesiąt gramów. Ale one też spalają się, zanim dotrą do powierzchni Ziemi. Te, które jako meteoryty spadają na powierzchnię Ziemi, są jeszcze większe, ale też trafiają się odpowiednio rzadziej. Im większe, tym rzadziej - podkreślił. - Statystycznie rzecz ujmując, meteoryty o średnicy około pół metra zdarzają się raz dziennie, pięciometrowe raz w roku, a tylko raz na stulecie trafiają się okazy dwudziestometrowe. Dlatego możemy spać spokojnie - zakończył triumfująco, ale zaraz spoważniał:

- Oczywiście tak było, dopóki nie pojawiły się Róże. To zjawisko nie mieści się w naszym dotychczasowym rozumieniu wszechświata. Masa Róży razem z osłonką wynosi około tony, co w oczywisty sposób kłóci się z przedstawionym wcześniej schematem. Gdyby Róże zachowywały się jak zwykłe meteory, mielibyśmy codziennie gdzieś na świecie widowiskową katastrofę: wielki błysk, huk i kilkudziesięciometrowy krater. Tymczasem w niewyjaśniony sposób Róże omijają tarczę Ziemi, wpadając bokiem w atmosferę, i łagodnie lądują. - Na ekranie na moment pojawiła się przerwana wcześniej prezentacja, ale znikła, gdy realizator zauważył, że Achnio zmienia temat.

- Muszę tu dodać, że meteory, proszę państwa, poruszają się w przestrzeni międzyplanetarnej z bardzo dużymi prędkościami, rzędu kilkudziesięciu kilometrów na sekundę. A prędkość Ziemi w jej ruchu wokół Słońca to trzydzieści kilometrów na sekundę. I zależnie od tego, czy meteory nadlatują z naprzeciwka czy niejako doganiają Ziemię, ich prędkość własna dodaje się do prędkości Ziemi albo odejmuje od niej. Dlatego meteory wchodzą w atmosferę Ziemi z różnymi prędkościami, od dwunastu do ponad siedemdziesięciu kilometrów na sekundę. - Tu stracił wątek, zmieszał się i pośpiesznie upił łyk wody ze stojącej przed nim szklanki. Prowadząca spotkanie przypomniała sobie o swojej roli gospodarza. Podsunęła szklanki i butelki pozostałym uczestnikom spotkania. Zaczęli więc pić, powodując chwilową przerwę w dyskusji.

- Miał pan jeszcze opowiedzieć o lądowaniu Róż - zachęciła astrofizyka dziennikarka.

- A tak, oczywiście. Przepraszam. - Młody człowiek odstawił szklankę, zaczerwienił się lekko. - Jak już wspominałem, Róże doganiają Ziemię w jej ruchu orbitalnym. Dlatego ich prędkość względem Ziemi wynosi około piętnastu kilometrów na sekundę. To jest ten pierwszy zbieg okoliczności, o którym mówiłem wcześniej: gdyby Róże pojawiły się za pół roku, albo pół roku temu, to ich prędkość byłaby za duża, żeby wyhamować! Wpadałyby w atmosferę ziemską i po kilku minutach wypadały z drugiej strony.

Dalszy fragment przerwanej wcześniej animacji ilustrował to zjawisko dwoma strumieniami kropek, wpadających szybko w niebieski okrąg atmosfery, następnie rozjarzających się żółtym blaskiem i wypadających z drugiej strony z lekkim tylko zakrzywieniem toru lotu.

- Natomiast proszę zobaczyć, co się dzieje obecnie, gdy Róże doganiają Ziemię w jej ruchu orbitalnym. - Obraz zmienił się.

Czerwone kropki poruszały się znacznie wolniej, wpadały w okrąg atmosfery, gdzie rozjarzały się i wyraźnie zwalniały, zakrzywiając tor lotu zgodnie z krzywizną kuli ziemskiej, a po kilku sekundach zatrzymywały się gdzieś na powierzchni.

- Lądowanie Róż, jak państwo widzą, jest możliwe tylko dlatego, że wpadają w atmosferę ziemską ze stosunkowo niewielką prędkością. Jednak nawet taka prędkość jest, jak na nasze ziemskie standardy, ogromna. Żeby ją wyhamować, Róża potrzebuje kilkadziesiąt minut. Przez ten czas porusza się w górnych warstwach atmosfery jako ogromna, rozżarzona kula. Dzieje się tak, bo w tym czasie spala się jej osłonka. Pod koniec hamowania, na wysokości około pięciu kilometrów, gdy Róża ma prędkość około stu metrów na sekundę, osłonka pęka, a Róża rozkłada płatki i przygotowuje się do lądowania. - Animacja na ekranie ilustrowała słowa prelegenta obrazami płonącej kuli ognia, po chwili płomień gasł i pękająca skorupa uwalniała niewielki kwiat róży.

Neon parsknął śmiechem, który udzielił się pozostałym widzom. Prezentacja skończyła się, Achnio pochylił się w stronę kamery.

- Oczywiście ten obraz jest nieco uproszczony. W rzeczywistości Róże wpadają w atmosferę pod różnym kątem. Dlatego niektóre z nich lądują od razu, a inne odbijają się od powierzchni albo wchodzą kilka razy w atmosferę i wychodzą z niej, po czym wchodzą znowu, aż do skutku. Cały ten skomplikowany proces lądowania ma oczywiście zapewnić bezpieczne dostarczenie ładunku Róży na powierzchnię planety. Gdyby Róża miała wpadać w atmosferę pionowo albo prawie pionowo, to przy prędkości kilkunastu kilometrów na sekundę dotarłaby do powierzchni Ziemi po najwyżej kilku sekundach lotu, prawie nie hamując i wybijając krater o średnicy kilkadziesiąt metrów. I nasi dzielni spadochroniarze nie mieliby co robić, bo nie zdążyliby takiej Róży złapać. Oczywiście istnieje duże prawdopodobieństwo, że ładunek Róży nie przetrwałby takiego zderzenia i dlatego, proszę państwa, Róże zmieniają trajektorię lotu na długo przed spotkaniem z Ziemią. Właściwie dotąd nie udało się nam wyjaśnić, jak to się dzieje. Ale jest faktem, że nie zarejestrowaliśmy dotąd bezpośredniego uderzenia Róży w tarczę Ziemi.

Tym razem młodemu naukowcowi udało się zaszokować pozostałych uczestników spotkania.

- Czyli to jednak inwazja Obcych? - wyrwało się Kolosińskiej.

- Niekoniecznie, pani docent. - Achnio machinalnie poprawił kołnierz swetra. - Być może to jakiś rodzaj instynktu, jakiś odruch wykształcony przez miliony lat ewolucji. Niestety, osłonki Róż spalają się w atmosferze, więc nikomu dotąd nie udało się ich zbadać.

- No właśnie, wydaje nam się, żeśmy wszystkie rozumy pozjadali! - oznajmiła z emfazą biolożka. - Tymczasem życie kryje przed nami jeszcze mnóstwo tajemnic. Przecież już dawno uczeni udowodnili, że trzmiele absolutnie nie mają prawa latać! A jednak robią to, bezczelnie ignorując wszelkie prawa fizyki! Po dziś dzień! Kto wie, może lada chwila odkryjemy jakieś tajemnicze pole, używane przez Róże do hamowania w naszej atmosferze. A także dowiemy się, jakim sposobem Fiołki przekształcają energię w materię w tak imponującym tempie. Wszechświat jest

pełen niespodzianek!

- To by było bardzo budujące - orzekła znieczulająca prowadząca, obejmując spłoszonym wzrokiem coś lub kogoś znajdującego się w studiu, poza zasięgiem kamer. - Niestety, proszę państwa, skończył się już nasz czas antenowy. Dziękujemy więc naszym ekspertom za udział w dyskusji.

Pinio wstał. Ostentacyjnie wyciągnął rękę z pilotem, zmienił kanał. Na ekranie pojawił się jakiś teledysk.

Wszyscy odetchnęli głęboko, do samych szczytów płuc.

- Eksperci! - Kokos pokręcił głową. - I po co to właściwie było? Pogadali, pokazali całemu światu, jacy są mądrzy... A my dalej będziemy zapierdalać po staremu. No i ten doktor, po co on tam był?

- Fakt, naudzielał się - mruknął Kocher. - Normalnie nikomu nie dał dojść do głosu.

- Myślałeś, że opowie o leczeniu anginy u ufoludków? - spytał Żuczek, po czym przycisnął dłoń do ust napotkawszy przekorny wzrok Filozofa.

- A ten czemu się tak boi? - zdziwił się Neon. - Filozof wcale nie jest groźny, tylko tak udaje.

- Wyda mnie - wymamrotał Żuczek. - No, nie - jęknął, patrząc w kierunku drzwi. - Już mnie wydał!

Do sali wszedł Ari z szerokim, serdecznym uśmiechem na twarzy.

- Dzień dobry wieczór - powiedział wesoło. - Witajcie, bratnie oddziały kryzysowe! Jego Wysokość komendant Żabcia na odprawie kazał nam się integrować z legalnymi współużytkownikami strefy. Co też posłusznie niniejszym czynię. Można? - Wepchnął się bezczelnie między Milkę i Drakkara. - Wybacz mi, o pani - zwrócił się do niej dwornie. - Muszę porozmawiać z bratem, ale nie odważyłbym się usiąść tuż koło niego. Obawiam się inwazji jego prywatnego, przenośnego ogrodu zoologicznego. Jeżeli zatem zechcesz odegrać rolę zapory biologicznej, będę ci nad wyraz zobowiązany.

Roześmiała się, chociaż w pierwszym odruchu poczuła lekkie ukłucie złości na Ariego, że oddzielił ją od obiektu westchnień. Ale z drugiej strony dość tego masochizmu, pomyślała, wzdychając. Wreszcie może usiąść koło Drakkara, no i siedzi, a ten nic. Nic a nic. Nawet cienia tego, czym jest nic.

- A w ogóle, to chodźmy się czegoś napić - powiedział Neon, wstając z kanapy. - Milka, stawiasz pierwszą kolejkę. Musisz się podlizać, żółtodziobie, wkupić w łaski i te de. Od dziś występujesz w Osach, to cię zdecydowanie zobowiązuje.

- Zniszczyłeś mój chytry plan - westchnęła żałośnie. - Nici z niespodzianki. No dobrze, mówisz i masz. U kogo się spotykamy, u ciebie, Neon? Będę potrzebowała jakichś dwóch silnych, niekoniecznie mądrych, do przetaszczenia okupu z mojego pokoju. Są chętni?

- Nie jestem ani silny, ani mądry - zgłosił się Żuczek natychmiast. - Chyba pasuję do opisu?

Popatrzyła na niego krytycznie.

- Kłamiesz waść - osądziła. - Na pewno jesteś silny, tylko się kamuflujesz. Co do mądrości, przezornie wolę się nie wypowiadać. Chodźmy zatem. Brat pomoże? - skierowała pytający wzrok ku Ariemu.

Pokiwał głową, wzdychając melodramatycznie.

- Brat pomoże - potwierdził z udawaną rezygnacją. - Od dzieciństwa szkolony wywalać łapki i merdać ogonkiem na każde zawołanie starszego dręczyciela. Tak to już z młodszymi braćmi jest...

- Bierze cię na litość, nie przejmuj się - oznajmił Żuczek, wstając. - To jego standardowa zagrywka. Chodź, młody, przydaj się do czegoś czasem. To gdzie ten okup?

Dźwignęli się z kanapy, rzucając ostatnie spojrzenia w kierunku telewizora. Siwy strażak opowiadał z przejęciem co trzeba zrobić, żeby być bezpiecznym w nagłej i niespodziewanej sytuacji.

#### 4.

Znów był na haju.

Kamieńczyk uwielbiał to uczucie: lekkie mrowienie pod skórą, przyśpieszony oddech, migotanie myśli, aż zaczynał iskrzyć mózg. Podniecający pościg, walka, atak. Akcja, akcja, akcja. Cel, pal!

Spojrzał na generała Michałowskiego, dowódcę Centrum Nadzwyczajnego. Zaczynaj, stary, zażądał niecierpliwie w myślach. Yalla, yalla!

- Panowie! - jak na życzenie tamten zadudnił doniośle. - Doskonale wiecie, co miało miejsce podczas dzisiejszego patrolu. Jutro chłopaki znów jadą w teren, trzeba zastanowić się, co robimy. Rozpoznawczy, co wiemy?

Obecni na odprawie popatrzyli na szefa wydziału J-2: chudego jak patyk pułkownika Bądzla.

- Atak miał miejsce o godzinie czternastej trzydzieści na ulicy Jasnej, dwadzieścia metrów od skrzyżowania ze Świętokrzyską - zaczął mówić Bądzel, płynnie, bez zająknięcia. - Przeciwko patrolowi Stróżów użyto IED. Odpalonych prawdopodobnie drogą radiową. Straty: szesnastu zabitych. Był to pierwszy zorganizowany atak wymierzony przeciwko siłom porządkowym.

Szef rozpoznania odwrócił się do ekranu, czerwonym pointerem zaczął jeździć po slajdzie.

- Oto schemat poruszania się patrolu i organizacji zasadzki. Atakujący doskonale znali trasę naszych patroli, co sugeruje posiadanie przez nich własnego rozpoznania. Ważną informacją, przekazaną nam przez uczestników patrolu, jest fakt braku ostrzału naszych sił podczas ewakuacji z miejsca zdarzenia. Działanie takie sugeruje oczekiwanie na przybycie MedEvac i chęć zadania większych strat podczas samej procedury ewakuacji medycznej.

Rozległy się krótkie, pełne niedowierzania sapnięcia.

- Przypominam panom, że taktyka ta była często stosowana między innym przez Armię Mahdiego podczas powstania Sadrystów w Iraku - podkreślił Bądzel. - Moim zdaniem mamy do czynienia z dobrze wyszkoloną komórką mającą doświadczenie w prowadzeniu konfliktów asymetrycznych. Jej członkowie albo sami brali udział w konflikcie irackim, po którejś ze stron, albo uważnie analizowali jego przebieg.

Kamieńczyk rozejrzał się ukradkiem po kolegach. Na większości twarzy

malowało się lekkie niedowierzanie: Irak, tutaj?

- Najbardziej prawdopodobny wariant działania przeciwnika to kontynuowanie ataków w wybranych punktach strefy z zamiarem niedopuszczenia sił porządkowych w określone jej rejony i przejęcie nad nimi panowania - ciągnął rozpoznawczy. - W tym przypadku zakładać należy, że motywy działania przeciwnika są finansowe i musimy liczyć się z atakami na patrole w pobliżu banków, dużych sklepów, wszędzie tam, gdzie dostępne są duże pieniądze, a obecność stróżów prawa niepożądana.

- Najgroźniejszy wariant to wojna totalna w strefie. Przeciwnik w takim wypadku atakował będzie na całym obszarze z zamiarem zadania jak największych strat w ludziach i doprowadzenia do całkowitego wycofania się sił porządkowych. Motywem w takim wypadku może być chęć przejęcia kontroli nad Fiołkiem. Działanie takie obliczone może być na wywołanie w społeczeństwie przeświadczenia o nieskuteczności działania organów państwowych i doprowadzenie do masowych rozruchów.

- Jakie jest twoim zdaniem prawdopodobieństwo obu wariantów? - zapytał powoli generał.

- Osiemdziesiąt na dwadzieścia procent.

Generał popatrzył jeszcze raz na slajd.

- Nie mamy czasu na przeprowadzenie całego procesu decyzyjnego - rzucił zdecydowanie. - Musimy wypracować zarządzenie bojowe podczas tej jednej odprawy. Planujemy nasze działanie, zakładając wariant pierwszy według rozpoznawczego. Trójka, co proponujesz?

- Nasze działanie powinno iść dwutorowo - oznajmił Kamieńczyk, myśli pod czaszką klaskały radośnie: dzieje się, dzieje się! - Po pierwsze, zapewnienie naszym ludziom maksymalnego w zaistniałych warunkach bezpieczeństwa operowania w strefie, po drugie, identyfikacja przeciwników i eliminacja ich. Pozwolicie panowie, że najpierw zajmę się drugim zagadnieniem. Przede wszystkim dlatego, że niezależnie od podjętych przez nas działań obronnych, inicjatywa pozostanie po stronie przeciwnika, a do tego nie możemy dopuścić. Dlatego też sugeruję podjęcie szeroko zakrojonej akcji wywiadu z wykorzystaniem wszystkich instytucji, zarówno wojskowych, jak i podległych resortowi MSWiA, szczególnie ABW. Co panowie na to?

Kiwali głowami z przekonaniem, generał wręcz się rozpromienił:

- Zgoda. Oficerowie łącznikowi SKW, ABW, policji, proszę przekazać swoim przełożonym, że jeszcze dziś w nocy spłyną do nich dokumenty. Co dalej? Co robimy z patrolami na ulicach?

Podpułkownik Józef Stańczak, zastępca Kamieńczyka, wyrwał się od razu:

- No chyba nie ma wątpliwości, dajemy chłopakom ciężki sprzęt! Dokładamy do każdego patrolu dwa czołgi i chciałbym widzieć cwaniaczków, którzy wtedy będą chcieli powojować!

Kamieńczyk starał się stłumić irytację. Czołgi, jasne! Powiedział co wiedział, dekiel w specjalsach: porusza się z subtelnością wozu z węglem.

Ale nie powiedział tego na głos, bo zastępca cieszył się dużym poparciem swojego byłego przełożonego, trzygwiazdkowego generała dywizji zmechanizowanej, i wojowanie z nim było wyjątkowo mało sprytnym pomysłem.



- No, jest to jakaś opcja - zgodził się łagodnie. - Ale czy na pewno skuteczna? Każdy pancerz można przebić, nawet z użyciem IED. No chyba że pan twierdzi, że nasze czołgi są odporniejsze od Abramsów?

Stańczak nabrał głęboko powietrza, najwyraźniej szykując się do odpowiedzi, ale generał pohamował go błyskawicznie, podnosząc rękę. Ma wycucie, pomyślał Kamieńczyk z uznaniem. Też nie chce się konfliktować z bracią pancerną, a zwłaszcza jako dwugwiazdkowy generał z trzygwiazdkowym kolegą. Ale i nie pozwoli dopuścić do realizacji tych dziwacznych pomysłów.

- To w takim razie co w zamian? - rzucił rozkazująco Michałowski. - Jeśli nie wzmocnienie ciężkim sprzętem?

- Proponuję pozostać przy sprzęcie używanym dotychczas, natomiast zmienilibym skład i liczebność patroli - odparł Kamieńczyk gładko, już szykując się do późniejszego wysłuchiwanie żalów zastępcy, jak to gaszone są jego ewidentnie doskonałe idee. - Dodałbym więcej patroli pieszych i na lekkim, mobilnym sprzęcie, jak na przykład ATV. Wszystko po to, aby uniknąć rutyny. Natomiast biorąc pod uwagę fakt, że IED było odpalone radiowo, należy koniecznie wyposażyć przynajmniej jeden pojazd w patrolu w Duke'a.

Józio jednak nie zamierzał odpuścić.

- Owszem, system unieczynnijący ładunki odpalane drogą radiową będzie tu jak najbardziej namiejszc. Ale zawsze co pancerz to pancerz! - oznajmił, niemalże z wyzwaniem.

Dowódca popatrzył nań z namysłem, Kamieńczyk mógłby przysiąc, że widzi prawie każdą z jego myśli skaczących pomiędzy neuronami. Telefony z pretensjami trzygwiazdkowego generała rzadko kiedy należą do przyjemnych.

- W zasadzie oba rozwiązania mają swoje zalety i wady - poddał się wreszcie Michałowski, tłumiąc westchnienie. - Proponuję dokonać ich oceny metodą współczynników, a potem przedstawić wyniki. Nie zapominajmy tylko, że zarządzenie bojowe musi być gotowe jeszcze dziś wieczorem. Spotkamy się za dwie godziny. Do roboty, panowie!

Sztabowcy powstawali śpiesznie z miejsc i wyprysnęli za drzwi. Kamieńczykowi wydało się, że niemal płynie korytarzem, ogarnięty poczuciem jasnowidzenia. Wszystko układa się wręcz doskonale!

Zmusił się szybko do powrotu do rzeczywistości. Spojrzał na naburmuszonego zastępcę, drepczącego mu u boku. Uśmiechnął się doń pojednawczo.

- Obaj z Michałowskim wyszliście z rozpoznania - zaczął były pancerniak z pretensją w głosie. - I przez to jesteście całkiem skrzywieni!

- Pewnie tak - zgodził się Kamieńczyk. - A ty nie, Rudy Sto Dwa?

Józio odwrócił głowę, ale szef trójki i tak zdążył zauważyć przemykający tamtemu po twarzy uśmiech.

- No może i... troszkę.

Nie mówiąc nic więcej, pognali do roboty.

- To jest to - powiedziała Milka, ściągając ręcznik z zakamuflowanej w ten sposób trzydziestolitrowej beczki piwa. - Uprzejmie proszę panów o transport.

Żuczek popatrzył na okup z uznaniem.

- To jest to - potwierdził zadowolony. - No, młody, zabieraj się do roboty. Dasz radę. Poturlasz sobie.

- Moment - powiedział Ari z poważną miną. - Chcę ci coś dać, korzystając z chwili względnej prywatności.

Wydobył z kieszeni jakiś przedmiot, ścisnął go przez chwilę w dłoni, po czym rzucił Żuczkowi. Ten złapał, popatrzył... Spoważniał natychmiast, wpatrując się w podarunek z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Wreszcie schował go do kieszeni.

- Byłeś... w domu? - powiedział bezbarwnym tonem.

Ari pokiwał głową.

- Pomyślałem, że chciałbyś to mieć - rzekł krótko.

Żuczek przymknął oczy.

- Widziałeś... ich? - wykrztusił z trudem.

Brat westchnął głęboko, spuścił głowę, wbił wzrok w podłogę.

- Wybacz, nie mogłem cię wziąć ze sobą - odpowiedział cichym głosem. - Mama i tata są już na Wólce, skremowani. Słuchaj, trzeba będzie zastanowić się, co z urnami. Chyba je damy na Cmentarz Bródnowski, tam leży cała rodzina i oni też chcieli...

- Załatwi się - odparł Żuczek krótko, podszedł i objął brata.

Zamilkli, dłuższą chwilę ściskając się mocno i poklepując po plecach.

Milka przycupnęła w kątku, starając się być niewidzialna; najchętniej uznałaby, że w ogóle jej tu nie ma. Może powinna była wyjść, tylko kiedy, przegapiła chyba właściwy moment, kurczę, mogli ją uprzedzić. A jakby tak spróbować przemknąć się obok nich i dopaść drzwi?

- Żabcia powiedział na odprawie, że oddziały zbierające zwłoki ze strefy nie będą gotowe do pracy wcześniej niż za trzy miesiące - rzekł Ari głucho. - Więc przymknął oko na parę chwil.

- Dobra, młody, pogadamy później - sapnął Żuczek, odrywając się od brata z ostatnim, silnym klepnięciem w ramię. - Zdaje się, że stawiamy panią w dosyć krępującej sytuacji.

- Hm, przepraszam. - Ari spojrzał na Milkę z zażenowaniem. - Nie mogłem się doczekać.

Wzruszyła tylko ramionami i pokręciła krótko głową, oznajmiając w ten sposób, że absolutnie nie ma sprawy.

Strażak podszedł do beczki, złapał ją oburącz i podniósł.

- To dokąd z tym skarbem? - zapytał. - Prowadźcie mnie, ja nietutejszy. Pięć lat temu, kiedy skakałem, tego baraku jeszcze nie było.

- Do Neona. - Żuczek otworzył przed nim drzwi i wykonał zapraszający gest. - Centrum Imprez Rozwiązań pod kierownictwem Instruktora Destruktora Deprawatora. Ruszaj, będziemy cię naprowadzać.

Kiedy wyszli z pokoju, od razu usłyszeli wyraźne dudnienie.

- Dwie-ście dwa-dzie-ścia wolt... - łomotała muzyka na końcu korytarza.

- Aha, to już wiem, dokąd idziemy - oznajmił Ari znad beczki. - Niektóre rzeczy, na szczęście, nigdy się nie zmieniają.

Roześmieli się, idąc do pokoju Neona. Milka otworzyła drzwi, weszła, skłoniła się zebranym w pas.

- Ta-dam! - obwieściła, wskazując ręką na Ariego, taszczącego piwo.

- I za to cię kochamy, dziewczynko! - rozpromienił się Neon natychmiast. - Okup przyjęty. Filozof, ty jesteś techniczny, podłączaj do dystrybutora! Spragnieni czekają! Pinio, za bar!

Filozof i Pinio zakrzętnęli się koło wodopoju, popodłączali co trzeba, zaczęli nalewać piwo do plastikowych, półlitrowych kubków.

- Witamy w Osach! - obecni powstali, unosząc napełnione naczynia. - Za pierwszego cywila, w dodatku babę, wśród nas! Gratulacje! Do dna!

Wypili duszkiem, równo, wszyscy, po czym ruszyli do niej z gratulacjami i uściskami. Zakończyli gromkimi brawami, wrócili na swoje miejsca. Filozof pogłośnił muzykę, ściszoną na czas ceremonii, pokój rozbrzmiał ostrymi dźwiękami Rammsteina. Impreza rozkręcała się.

Drzwi otworzyły się, do pokoju wtargnęli kolejni goście: Szarotka i Cindy. Ta ostatnia, gdy tylko spostrzegła Drakkar siedzącego na fotelu pod oknem, od razu wpakowała mu się na kolana. Objął ją lewą ręką bez cienia sprzeciwu. Żaden spadochroniarz nie protestował, kiedy Cindy robiła mu jakiejkolwiek awanse. Była bezkonkurencyjną królową tutejszych piękności: wysoka, długowłosa blondynka o wielkich niebieskich oczach i nienagannej figurze. Zachowywała się z wyzywającą pewnością siebie, doskonale świadoma potęgi swojej urody.

- Jak tam twoje żądło, Szerszeń? - zapytała prowokacyjnie. - Nie potrzebuje opieki?

Drakkar roześmiał się, upił łyk piwa.

- No, wiesz... - odparł swobodnie. - Dobrego nigdy nie dość.

Milka odwróciła wzrok, zdając sobie sprawę z narastającego gdzieś wewnątrz głuchego bólu. Spostrzegła uważne, taksujące spojrzenie Żuczka. Spadochroniarz uśmiechnął się, wyciągając kubek w jej kierunku.

- Masz, kobieto, i pij. - Otoczył ją ramieniem, pociągnął w kierunku złożonej wersalki. - Chodź, mój drogi bracie - zwrócił się do Ariego. - Będziemy bawić panią we dwóch, ale nie wolno ci jej podrywać. Ona jest moja, pamiętaj!

- Nazwał mnie drogim bratem. - Ari pokręcił głową w zdumieniu, całkowicie ignorując drugą część wypowiedzi. - Pomylił się albo jest już mocno pijany.

Usiedli na wersalce we trójkę, Milka pośrodku. Wnet dołączyli do nich Neon, Manior, Ślimak i Kokos, przysunawszy sobie krzesła.

- Opowieści strażackie! - zażądali, wskazując palcem na Ariego. - Prosimy!

Drwał roześmiał się, pokręcił głową.

- Ale o co chodzi? - zapytał, niby niedomyślnie. - O czym mam mówić?

- Co to za sprawa w Domach Centrum? - rzucił Ślimak. - Ta, z powodu której poderwano Stróżów do boju?

Ari spoważniał natychmiast.

- Paskudna rzecz - powiedział. - Nic tajnego, mogę powiedzieć, chociaż staramy się tego nie nagłaśniać. Rozumiecie, w trosce o morale obywateli.

Pokiwali gorliwie głowami, wpatrując się w niego z wyczekiwaniem.

- Szaber - rzucił strażak posępnie. - Ale nie taki, jak zwykle. Dotychczas, owszem,

zdarzało się nam spotykać cwaniaczków, którzy skombinowali sobie skądś strój ochronny i grasowali po sklepach w poszukiwaniu łatwego łupu. Braliśmy wtedy dżentelmenów za fraki i odstawialiśmy na najbliższy posterunek Stróżów. Niestety, do czasu. - Ari chrząknął, upił łyk piwa. - Wiecie, jak robimy przy Fiołkach, używamy mnóstwo różnego sprzętu. No to zrobiliśmy sobie coś w rodzaju składziku właśnie w Domach Centrum, żeby nie tachać tego wszystkiego tam i z powrotem. Przecież tam nie powinno być nikogo, w końcu to zakazana strefa. Jednak głupota ludzka nie zna granic. Zespół, który pojechał do akcji, wszedł do Warsa akurat w momencie, kiedy kilku sympatycznych panów zajmowało się skrupulatnym przepatrywaniem naszych rzeczy. Tylko że tym razem dżentelmeni okazali się dobrze przygotowani do zajęć i nie zamierzali dać się odprowadzić w czułe ramiona władzy. Zaczęli strzelać.

- Skurwysyny! - orzekł Neon z niedowierzaniem.

Zapadła cisza, pozostali uczestnicy imprezy odwrócili się w kierunku towarzystwa zgromadzonego wokół Ariego. Drakkar gestem ręki przeprosił rozchichotaną blondynkę, wstał, podszedł do wersalki. Usiadł obok Drwala. Cindy podążyła za nim, z bardzo niezadowoloną miną. Zrozumiała, że w obecnej sytuacji nie ma co pchać się Drakkarowi na kolana, siadła więc nadąsana na pobliskim krześle.

Inni podeszli również, skupiając się wokół strażaka. Nie dla wszystkich starczyło krzeseł, niektórzy pozostali stojąc.

- Czterech Drwali zginęło na miejscu - referował Ari ponuro. - Nie dlatego, że tak celnie trafieni. Wystarczyło draśnięcie, rozhermetyzowanie kombinezonu i cześć. Cyjanowódór w powietrzu zrobił swoje. Reszta wycofała się czym prędzej do wozu i pognęła do bazy. Nikt się nie spodziewał takiego rozwoju wypadków. Co za głupota, przecież prędzej czy później musiało się to zdarzyć. - Westchnął, znowu upił łyk. - No i teraz siedzą mądre głowy i myślą, co z tym fantem zrobić. Przenieśliśmy bazę do Pałacu Kultury i trzymamy ją zamkniętą, poza tym dostaliśmy broń i zostaliśmy popędzeni na szkolenia ze strzelania. Możemy bez uprzedzenia walić do wszystkiego, co tylko się rusza w zasięgu wzroku... O ile nie jest Stróżem lub Osą, oczywiście. I poprosiliśmy Dowództwo Nadzwyczajne o większe zaangażowanie Stróżów wewnątrz strefy.

- Dziwne, że przez tyle czasu był spokój - zauważył Pinio. - Ludzie byli w szoku, dopiero teraz zaczynają kombinować. Bandy ci kapnęli się, że całe Centrum stoi przed nimi otworem, praktycznie bezbronne. Przecież tam są jubilerzy, banki, wszelkie papiery mniej lub bardziej wartościowe, dokumenty... Dżizas, niejednego by wiele dał, żeby jego akta zniknęły z sądu. Albo żeby dostać się do planów konkurencji. Albo...

- Mafia od dobrych parunastu tygodni przeszukuje strefę, tyle że byli wystarczająco inteligentni, by nie leźć w oczy - kategorycznym tonem przerwał mu Filozof.

- W Domach Centrum nawinęło się paru frajerów, którzy pewnie już gryzą piach. Domyślam się, że Hieny musiały być tym zajściem nieźle wkurwione. Nie lubią, jak się zwraca na nich uwagę opinii publicznej.

- I tak społeczeństwo było grzeczne przez zaskakująco długi czas, wzięwszy pod uwagę fakt, że przecież każdego poranka możesz zobaczyć coś fioletowego za oknem

i to już będzie twój koniec - westchnął Kokos. - Ciągłe życie w strachu demoralizuje.

- Ale czasem jednoczy i wzmacnia - rzuciła Milka. - Budzi poczucie równości wobec śmierci. Wspólnoty w nieszczęściu. Musimy trzymać się razem i te de.

- Też prawda - stwierdził Ślimak, kiwając głową.

- Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Fiołek może wyrosnąć za naszymi oknami dziś w nocy, a patrol go przegapią. Pomrzemy, nawet o tym nie wiedząc.

- To się może zdarzyć i bez Fiołka - powiedział Kocher. - Mój kolega na studiach, młody, zdrowy chłopak, poszedł spać i nie wstał. Tętniak tętnicy mózgowej, pękł mu w nocy. Na co dzień całkowicie bezobjawowy. Skąd wiesz, czy też tego nie masz, robiłeś sobie arteriografię naczyń mózgowych?

- Ależ doktorze! - Kokos się wzdrygnął. - Takie rzeczy, wieczorem. Jeszcze mi się będą jakieś arteriografie śniły, cokolwiek by to miało znaczyć. Czy to jest bolesne?

Kocher machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

- Aaa, co z wami będę gadał - odparł, niesprawiedliwie stosując odpowiedzialność zbiorową. - Nie nabierzecie pokory do tych spraw, choćbym gardło zdarł, opowiadając wam o różnych przypadkach medycznych. To nie ma sensu. I tak jesteście wariaci, wysiadacie z samolotu, który całkiem dobrze leci.

- A ty co? - rzucił Filozof z uśmiechem. - Taki sam wariat, jak i my.

Kocher wstał. Ziewnął potężnie.

- Fakt, wariat jestem, taki sam jak i wy. Wobec tego zaryzykuję - oznajmił dobitnie. - Idę spać i może się nie obudzę. Dobranoc wszystkim.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- To chyba dobry pomysł - powiedział Drakkar, wstając. - Ja też zaryzykuję i pójdę spać. Jak tam, znajdzie się jeszcze ktoś odważny?

- Tia, trzeba się wyspać - poparł go Kokos.

- No to kończymy imprezę - ogłosił Neon. - Szanowni goście proszeni są o opuszczenie tutejszych dostojnych progów. Hrabina udaje się na spoczynek. Wszelkie nieczystości prosimy zutylizować natychmiast lub zabrać ze sobą.

Powstawali posłusznie, dopili piwo, wrzucili kubki do plastikowego worka. Wyszli na korytarz, rozeszli się do apartamentów. Żuczek przesłał Milce buziaka, piorunującym spojrzeniem obrzucił Ariego, który ośmielił się zrobić to samo. Roześmiała się, w odpowiedzi wysłała dwa buziaki, po jednym dla każdego. Bracia pomachali jej gorliwie i zniknęli w Żuczkowni. Z pewnością mieli sobie wiele do powiedzenia.

Milka otworzyła drzwi i już miała wejść do siebie... Zatrzymała się jednak na progu, spoglądając ukradkiem na Drakkara. Zabrał ze sobą Cindy do pokoju? Nie, wszedł sam. Odetchnęła, wstydząc się przed samą sobą narastającej ulgi.

- Daj sobie spokój, wariatko! - wyszeptała, weszła do środka i zamknęła drzwi. - Przestań, nic z tego nie będzie, zupełnie niepotrzebnie się nakręcasz. To nie twoja liga, zrozumże, dziewczynko.

Westchnęła ciężko, zaczęła się rozbierać. Przed nią kolejna samotna, stęskniona noc. A za oknem, kto wie, może zaraz wyrośnie Fiołek. I wkrótce spadnie kolejna Róża. Po prostu beznadzieja.

Oby tylko sobie w powietrzu jakoś poradziła.

## 6.

Kajman ważył w dłoni spieniony, złocisty płyn. Zimne piwo pachniało latem i chmielem, strużki wody spływały ze szklanki, od czasu do czasu opadając na podłogę miękkim: kap, kap! Ale Kajman od dobrych piętnastu minut nawet nie zamoczył ust, tylko wpatrywał się w zmierzch gęstniejący za oknem.

Tkwiał w telewizyjnej, zostawiwszy w pokoju Artystę, pucującego ukochaną snajperkę Blaser Tactical 2. Nikt takiej nie miał w całej Polsce, a jeżeli miał, to niesłużbowo. Artysta kochał ją jak nikogo na świecie, no może poza Iloną, ale po cóż wspominać umarłych? Broń była żywą istotą, a wypucowana, szczerzyła groźnie litery, wygrawerowane na zamku.

*Cedo nulli.*

Przed akcją Artysta przyciemniał je oczywiście, by po powrocie do bazy znów pozwolić im zalsnąć i niemo wykrzyknąć swe kredo: *cedo nulli*. Nie ustępuję nikomu.

Skrzypnęło krzesło, ktoś przysiadł się do stolika. Kajman spojrzał kątem oka, nie ruszając się nawet. Kogo przywiało?

- Niezła kaszana się porobiła - mruknął Kosa, tak przed siebie, w powietrze.

- Ta. Faktycznie.

Kajman nie miał ochoty rozmawiać. Absolutnie nie miał ochoty rozmawiać. Po to przecież właśnie uciekł Artyście, ciągle gadającemu o mieszkanku na Mariensztacie, i zaszył się w kącie w telewizyjnej. Ale Kosy nie wypadało lekceważyć. Był naprawdę dobry: zasuwał maratony, strzelał jak sam diabeł, do tego mistrz wieloboista. Tajemnicą poliszynela był fakt, że nie znalazł się w Grzmocikach tylko i wyłącznie z powodu konfliktu z pewnym majorem z dowództwa. Jeżeli więc przyszedł i zagaja, to absolutnie nie wypada go spławiać, nawet takiemu staremu wyjadaczowi jak Kajman.

- Myślisz, że przyjdzie FragO? Jeszcze dzisiaj?

Kajman przymrużył powieki, rozejrzał się po sali. Operatorzy siedzieli to tu to tam, pojedynczo i grupkami, niby leniwie popijając piwo z dystrybutorów i plotąc o dupie Maryni, ale to właśnie ten sztuczny, ostentacyjny brak napięcia doskonale mówił swoje. Wszyscy czekają. Sztab siedzi i radzi, a kiedy już uradzi, wygeneruje jakieś rozkazy. Przynajmniej częściowe.

- Zobaczymy - rzucił ostrożnie. - Byle nie powpadali na żadne głupie pomysły.

- Misiek i Kania żyli - powiedział nagle Kosa, łamiąc wszelkie możliwe reguły gry.  
- Jestem pewien.

Kajman podniósł szklankę do ust. Upił łyk. Długi, porządny łyk.

- Nie wiem, nie widziałem. Byłem na zewnątrz, w perymetrze.

- Powinno się posadzić pana kapitana na dwadzieścia pięć. Mogliśmy ich wyciągnąć. Był czas.

- Nie bądź taki hop do przodu z tym posadzaniem. Niełatwa sprawa.

Teraz z kolei Kosa przymrużył oczy.

- Tak, wiem, zwłaszcza gdy w grę wchodzi wyższe szarże. Wasz były kapitan ciągle wśród bohaterów, co?

Kajman odwrócił głowę w bok, tak że spojrzał tamtemu prosto w oczy.

- Sorry - zmięknął Kosa od razu. - Nosi mnie.

- Niech cię poniesie gdzie indziej - rzucił Kajman i przeniósł wzrok w stronę okna.

Zastygł tak, nie mówiąc nic, i tylko patrzył kątem nieruchomego oka, niczym wylegujący się w wodzie gad. Kosa posiedział jakiś czas w milczeniu, wreszcie wstał, skinął głową i powędrował przed telewizor. Zwalił się na kanapę i nie odzywał już więcej do nikogo.

Właściwie to po co ja czekam na ten Fragmentary Order? - pomyślał Kajman z nagłym zmęczeniem. Czy to ma jakiekolwiek znaczenie, co nam każą zrobić tym razem? Rozrzucą nas po mieście czy poukrywają w czołgach, i tak w końcu na patrol pójdzie się tak samo. I tylko z gorszą chujnią za plecami, bo niewątpliwie dzisiejszą niespodziankę sporządził ktoś z naszych: ktoś z umiejętnościami i doświadczeniem. Turbaniarze, gdyby mieli cokolwiek demonstracyjnie wysadzać, zrobiliby to poza strefą. Terroryzowanie Fiołka mija się z celem, pozaziemska roślina raczej nie doceni kunsztu i wagi wydarzenia.

A zatem ktoś z naszych, najpewniej na usługach Miasta. Z bardzo czytelnym przesłaniem: trzymajcie się Centrum i Fiołka, a nam dajcie spokojnie pracować. Jeszcze tyle zostało do wywiezienia...

To nad czym oni, do kurwy nędzy, tyle czasu myślą, sztabole?

Westchnął, pociągnął kolejny łyk.

Artysta pucuje broń. Niech pucuje. Aby tylko zbyt głupio nie używał. Trzeba dopilnować, inaczej się już wszystko totalnie spierdoli.

Dowódca wszedł na salę, Kajman tylko rzucił okiem na jego twarz i podniósł się od razu, wraz z pozostałymi członkami zespołu. Powędrowali za nim do sali odpraw. No, zobaczymy, cóż tam generalicja umyśliła w nieomyślności swojej.

## 7.

Syrena rozkrzyczała się, rwąc na strzępy spokojną ciszę nocy. Milka otworzyła oczy.

Alarm! Alarm! Alarm!

Pierwszy stopień, Europa do góry!

W pierwszym odruchu jak zwykle zacisnęła palce w krótkiej modlitwie: niech wszyscy wrócą cali i zdrowi...

Wyprysnęła z łóżka niczym sprężyna. Przecież ty też lecisz, kobieto! Zbieraj się!

W dwóch susach dopadła szafki. Drżącymi rękami zaczęła wciągać polarowy dres. Chyba zimno będzie tam na górze dziś w nocy, przemknęła przez głowę zaskakująco praktyczna myśl. Na ilu metrach może być izoterma, na tysiącu? To na pięciu tysiącach może być dotkliwy mróz.

Dorzuciła jeszcze jeden polar.

Spojrzała krytycznie na pas z odważnikami. Brać? Cholera, nie zdążyli zrobić żadnego skoku próbnego, nie wiadomo, czy nie okaże się zbyt lekka w stosunku do chłopaków. Jeśli tak, towarzystwo poleci za Różą, a ona zostanie daleko nad nimi.

Bzdurzysz, kobieto. Tu Róża wyznacza prędkość spadania, nie najcięższa osoba w formacji. Jeżeli dawałaś sobie radę przy makiecie, nie będzie problemu i teraz.

Syrena zawyła ponownie, charakterystycznym sygnałem.

Drugi stopień: Polska do góry, Polska do góry!

Ręce spoczęły się natychmiast, zaczęły latać jak szalone. Tak szybko? Już? Zwykle pomiędzy sygnałami było co najmniej kilkanaście minut, czasem godzina, w zależności od kąta, pod jakim Róża wchodziła w atmosferę i jak szybko podążała do Ziemi.

Trrryt, trrryt, zazgrzytał suwak kombinezonu. Szybciej, szybciej!

Buty. Kask. Wysokościomierz.

Pędem do spadochroniarni!

Wybiegła na korytarz, zaskakująco pusty. Wsparcie leżało grzecznie w pokojach, nie robiło sensacji. A Osy...

Pchnęła drzwi, oznaczone wielkim, niebieskim logotypem Sekcji.

Wszyscy byli już na miejscu. Kończyli dopinać uprząż. Nawet nie podnieśli głów.

- Jesteś - powiedział spokojnie Wódz.

Podszedł do szafki, wskazał na jednolicie czarny pokrowiec. Mirage-3.

- Wskakuj - rzekł.

Oczy roześmiały jej się od razu. Kochany mój, pomyślała pieszczotliwie do spadochronu. Sabre-2. Cały czarny, jak i pokrowiec. Powierzchnia sto pięćdziesiąt stóp kwadratowych.

Odruchowo sięgnęła do Cyprysa, żeby go włączyć... Cofnęła rękę. Nie. Automat otwierający zapas nie będzie używany w tym skoku.

Zaczęła zakładać uprząż, pośpiesznie, nieco chaotycznie.

Drakkar podniósł wzrok, uśmiechnął się, emanując spokojem, wsparciem, gwarancją bezpieczeństwa... Wszystko będzie dobrze, mała, zdawał się mówić bez słów. Jestem przecież tutaj, przy tobie.

Serce podeszło jej do gardła natychmiast. Czy mógłby być taki częściej? Właśnie taki... Bliski.

- W porządku - odezwał się łagodnie. - Wiesz, co masz robić, Milka. I spokojnie, ten skok dla ciebie to pestka. Na tej pozycji nie masz czego spieprzyć, nawet jakbyś chciała. - Uśmiechnął się znów, pokrzepiająco.

Westchnęła krótko, urywanie, próbując się również uśmiechnąć. Nie wyszło.

- Cichy podpierdalacz jest? - Wódz popukał jej w kask. - Na ile nastawiłaś? Pokaż.

Milka wyjęła z kasku wysokościomierz akustyczny, wręczyła go Kierownikowi. Ten popikał po klawiszach wprawnymi ruchami, sprawdzając ustawienia.

- Rozejście tysiąc trzysta metrów... Dobrze. Otwarcie... Nie, droga pani, żadne dziewięćset. Tysiąc przynajmniej. - Zmienił wartość. - Otwieranie zapasu... Czterysta pięćdziesiąt? Żartujesz. Pięćset pięćdziesiąt. I nie ma mowy, żebyś usłyszała ten dźwięk, jeśli nie masz ratowania. Wisisz najniżej na siedmiuset metrach, zrozumiano? - Popatrzył, jak kiwa gorliwie głową, oddał jej komputer z surową miną. - I żadnych szaleństw przy lądowaniu, bo się przesiądziesz na Studenta. Mam tu cywila i w dodatku babę, Kamieńczyk i kabewuelka zjedzą mnie żywcem, jeśli coś ci się stanie. Nie mówiąc o oburzonej opinii publicznej... - Urwał, spojrzał na błękitną wstążkę SKYWATCH-a, pilnie wyświetlającą wiadomości. I zamilkł, tylko oczy skryły mu się głębiej pomiędzy szparkami powiek.

- Ależ zapierdala - oznajmił Filozof z niekłamany podziwem.



- Będzie nasza jak nic - dorzucił Neon.  
Zamarli wszyscy, w niemym oczekiwaniu.  
- Warszawa do góry! Warszawa! - zakrzyczał SKYWATCH.  
- Ruchy, panowie! - zakomenderował Drakkar z niezmaconym spokojem. Spojrzał na Milkę. - I panie - poprawił się natychmiast.  
I mrugnął do niej, gotowa byłaby przysiąc.

## 8.

### ZASTRZEŻONE

Kopia 3 z 15

Dowództwo Nadzwyczajne

Warszawa

221730AKWI10

### **ZARZĄDZENIE BOJOWE** Numer 27 do Rozkazu Operacyjnego nr 001

Dokumenty odniesienia: Mapa 1: 25 000 seria M858; N-34-138-B-a,b; N-34-138-B-c,d; N-34-139-A-a,b; N-34-139-A-c,d

Strefa czasowa: A

#### **1. SYTUACJA:**

Przeciwnik rozpoczął działania asymetryczne skierowane przeciwko siłom porządkowym, umieszczając improwizowane ładunki wybuchowe wzdłuż głównych ciągów komunikacyjnych. Najbardziej prawdopodobny wariant działania przeciwnika to kontynuowanie ataków w wybranych punktach strefy z zamiarem niedopuszczenia sił porządkowych w określone jej rejony i przejęcie nad nimi kontroli. Przeciwnik działa z przyczyn finansowych, przeprowadzając ataki na patrole w pobliżu banków, większych sklepów, wszędzie tam, gdzie dostępne są duże pieniądze, a obecność stróżów prawa niepożądana.

#### Siły Własne:

Bez zmian

#### Zmiany w podporządkowaniu:

Począwszy od 230600AKWI10 Jednostka Stróżów odda grupę bojową w OPCON do ABW.

#### **2. ZADANIE:**

Bez zmian

#### **3. REALIZACJA:**

a. Zamiar działania:

Główny wysiłek: Specjalna Jednostka Straży Pożarnej - bez zmian

Kierunki pomocnicze: Jednostka Stróżów (bez grupy bojowej) kontynuuje izolację strefy zamkniętej w celu ochrony Drwali i niedopuszczenia do przerwania prac przy likwidacji Fiołka. Zadanie wykonuje z podziałem na dwa sektory działania.

W sektorze Główny obejmującym rejon Świętokrzyska - Nowy Świat - rondo de Gaulle'a - Aleje Ujazdowskie - Piękna - Koszykowa - Chałubińskiego - rondo ONZ działania patrolowe prowadzić z wykorzystaniem ciężkiego sprzętu, w tym czołgów ustawionych jako ruchome punkty kontrolne na każdym skrzyżowaniu. Każdy punkt

kontrolny wyposażać w system CREW Duke.

W sektorze Boczny obejmującym pozostałą część strefy zamkniętej działania patrolowe prowadzić w oparciu o szybkie i wysoko mobilne środki transportu, takie jak samochody terenowe, motocykle, ATV.

Podstawą działania w tym sektorze będzie ciągła zmiana tras i czasu patrolowania.

b. Zadania dla jednostek przydzielonych:

OSA: bez zmian

c. Wytyczne koordynujące:

Patrz załącznik XX

**4. ZABEZPIECZENIE LOGISTYCZNE**

Bez zmian

**5. ŁĄCZNOŚĆ I DOWODZENIE:**

Patrz załącznik XXI

MICHAŁOWSKI

gen. dyw.

ZA ZGODNOŚĆ:

KAMIEŃCZYK

płk J3

ZASTRZEŻONE

# Rozdział 5

## **Trzy ważne wysokości:**

### **Wysokość otwarcia** zależy od:

- *ustaleń obowiązujących na danym lotnisku*
- *doświadczenia skoczka*
- *rodzaju wykonywanych skoków*

*Niezależnie od lokalnych przepisów nigdy nie powinno otwierać się poniżej **600 m** (wysokość zalecana i stosowana we wszystkich krajach stowarzyszonych w FAI). W Polsce obowiązującą wysokością otwarcia jest **700 m**.*

**Wysokość decyzji: 550 m** - do tej wysokości trzeba zdecydować się, czy należy rozpocząć procedurę awaryjną

**Wysokość ratownicza: 450 m** - od tej wysokości nie ma czasu na zastanawianie, trzeba działać błyskawicznie i ratować się (w zależności od awarii wyczepienie czaszy i otwarcie spad. zapasowego lub tylko otwarcie spad. zapasowego)

Podręcznik skoczka spadochronowego

Aeroklub Warszawski

## 1.

Za chwilę znów spojrzysz w otchłań. I zaprawdę ona też będzie spoglądać na ciebie - mały, śmieszny ludziku.

- **READY!**

Oślepiająco jasna smuga spadającej gwiazdy rozrywa się niemalże tuż ponad wami. Bum! - to z hukiem pęka osłona, uwalniając właściwy owoc. Jeszcze sekundy, jeszcze sekundy, zaraz będzie wasz... Odłamki osłony śmigają na boki, rozżarzone do czerwoności, wszystko to na tle bladoróżowych smug świtu. Oto fajerwerki, jakich dotąd nie widziały twoje szeroko otwarte oczy.

- **SET!** - krzyczy Drakkar.

Szereg kołysze się rytmicznie, stłoczony w korytarzu śmigłowca Mi-17. Nie spieprz tego, Drakki, nie spieprz, bezgłośnie szepczą spierzchnięte usta. Jeżeli odejdziemy za późno, możemy jej nie dogonić. Ale jeżeli odejdziemy zbyt wcześnie, to już kaplica. Róża zostanie nad nami, a człowiek nie ptak i skrzydeł mu brak...

- **GO!**

Biegiesz wraz z pozostałymi. Krok, krok, krok, ręce w przód...

I rzucasz się w otchłań.

Róża tnie w dół, za nią mkną czarne sylwetki kolegów. Odblaskowe paski na rękach i nogach ułatwiają lokalizację.

Składasz ręce po bokach, pikujesz wśród świszczącego powietrza.

Twoje miejsce jest pomiędzy Żuczkiem a Kokosem. Kiedy tylko panowie dotrą na swoje pozycje, pilnuj ich jak oka w głowie. Gdyby któremuś się nie udało, wchodzisz na jego miejsce. Na płatek.

To nie są ćwiczenia!

Ta myśl zapiera dech w piersiach, wywołuje krótkie, niemal niezauważalne dygotanie całego ciała, które przy tej prędkości natychmiast traci stabilność. Wywalasz haniebny obrót, wierzgasz nogami niczym spłoszony koń. Przestań, natychmiast!

Stabilizujesz lot nadludzkim wysiłkiem woli. Spokojnie, tylko spokojnie. Każdy spadochroniarz czasem popełnia błędy. Ale o jego klasie jako skoczka świadczy, jak szybko się pozbiera.

Tylko że... to nie są ćwiczenia!

Skup się więc tym bardziej!

Rozglądasz się uważnie: gdzie twoje miejsce w formacji?

Mrugasz z niedowierzaniem: jesteś prawie tuż przy Róży, pozostali są... nad tobą!

Cofnij się czym prędzej, uciekaj w bok, żeby nie przeszkadzać!

Dochodzi Drakkar. Również i on przesuwają się nieco na bok, czekając na pozostałych. W górze zawisa Filozof, filmując całe przedsięwzięcie. Wreszcie pojawiają się: najpierw Żuczek, potem Neon, Kocher i Pinio. Na końcu Kokos, chyba w nie najlepszej formie. Wszyscy ustawiają się na swoich pozycjach. Gabrys i Iks warują w rezerwie jak Milka, przyczajeni z boku i nieco u góry. Drakkar spogląda na wysokościomierz: trzy osiemset. Kiwa głową. Na ten sygnał cała piątka jednocześnie rusza w kierunku Róży. Podlatują lekkimi, delikatnymi kopnięciami nóg. Dopiero kiedy są tuż przy czarnych płatkach, wyciągają ręce, chwytają je i odginają delikatnie, odsłaniając znamię.

Drakkar wchodzi do akcji. Ostrożnie, delikatnie przybliża się do obiektu. Wpada w obszar zawirowań powietrza i podciśnienia, wytwarzanego przez spadający przedmiot.

Czujesz na wargach słony smak, nawet nie wiesz, kiedy zostały zagryzione do krwi. No dalej, Drakki, dalej...

Szerszeń opada, wspiera się dłońmi na szorstkiej, chropowatej powierzchni. Końcówka grubej, szarej igły wystaje mu już z urządzenia podającego esencję, zamontowanego na prawym przedramieniu. Skoczek uważnie celuje w znamię, po czym zwalnia przycisk. Trzydzieści centymetrów stali wbija się w Różę. Lampka kontrolna miga przez chwilę czerwonym światłem, wreszcie czerwień zapala się na stałe.

Obserwujecie ją wszyscy, nagle stała się najważniejszym punktem na tej planecie.

Drakkar przytrzymuje igłę jedną ręką, drugą opiera się na spadającej kuli. Nieomalże cudem utrzymuje równowagę w tej niewygodnej pozycji.

Na razie wszystko idzie gładko. Esencja spływa równo, nic nie zakłóca równowagi układu, nie ma żadnych przestojów. Róża, zazwyczaj tak krnąbrna i rozchwiana, dziś grzecznie tnie prosto w dół.

Oto i lampka kontrolna zaczyna migać na żółto, a potem zapala się na zielono - zadanie zakończone. Szerszeń ponownie naciska przycisk: igła wycofuje się i niknie z powrotem w osłonce.

Niewiarygodne, szepczesz w duchu. Niemożliwe. To już?

Dowódca kiwa głową, oznajmiając koniec akcji. Odbija się oburącz od Róży i ześlizguje w tył, a wtedy pozostali puszczają płatki.

Patrzysz na wysokościomierz.

Dwa tysiące metrów.

NIEMOŻLIWE!

Popatrujesz po pełnych radosnego zdumienia twarzach kolegów. Już? TO NAPRAWDĘ JUŻ?

Skoro tak, to pal sześć Różę, niech sobie leci w dół. Szalone ogniki rozbłyskują w oczach: teraz się pobawimy! Mamy jeszcze prawie dwadzieścia sekund!

Neon z Żuczkiem odbijają do tyłu, odlatują od Róży, potem schodzą się, chwytają za ręce. Kto nie zdąży dojsć, ten parowa! - mówią wyraźnie ich uśmiechnięte, łobuzerskie miny. Na to hasło pozostali rzucają się do nich tłumnie, kto pierwszy, ten lepszy. Drakkar dokuje prawie natychmiast. Dołączasz i ty, chwytacie się za ręce, tworząc coraz to większe koło. Kocher, Pinio, Gabryś, Iks. I na końcu Kokos, to zdecydowanie nie jest jego dzień, ledwo zadokował, a już odzywają się protracki, przeciągłym gwizdem oznajmiając, że oto do ziemi pozostało już tylko tysiąc trzysta metrów.

Drakkar krzyżuje przed sobą dłonie energicznym ruchem, daje sygnał do rozejścia.

Odwracasz się i trackujesz, myśląc, że to chyba cud. Albo po prostu wszystko ci się tylko śni.

Lądujesz na autopilocie, w sekundę później już nie pamiętając, gdzie i jak.

## 2.

- Przyniosła nam pecha! - powiedział Żuczek oskarżycielsko, wskazując palcem na Milkę. - Nie po to skaczymy w Osach, ku chwale Ojczyzny, żeby jakieś głupoty w powietrzu robić. *Big way*, dziewiątka, z dwóch tysięcy metrów. Zamiast krwawego poświęcenia dla planety. To z pewnością nieregulaminowo, prawda, Wodzu? - zwrócił się Żuczek do kierownika skoków, wyciągając rękę teatralnym gestem. - I co na to powie Wódz? - zadekłamował z patosem.

- Chyba was pojebało - odparł Wódz zza telemetru, oczy mu się śmiały.

Oblegli go zaraz po wylądowaniu. Nawet Drakkar szczyrzył zęby od ucha do ucha.

- Poszło wszystko! - oznajmił, pokazując wskaźnik podajnika. - Co do kropelki.

- Oglądamy? - zaproponował Filozof, wskazując na kamerę przy kasku.

Wódz pokiwał głową.

Pobiegli na tył busa, ignorując strażaków, skrupulatnie namaczających miejsce przyziemienia Róży strugami siarczanu miedzi. Czym prędzej zrzucili z siebie spadochrony. Filozof podłączył kamerę do laptopa.

- No dawaj, dawaj - popędził go Kokos z wyraźną niecierpliwością.

- Ty się akurat nie masz do czego śpieszyć - odparował tamten kąśliwie. - Wlokłeś się, jakbyś całe życie celność trenował i pierwszy raz poszedł wysoko. Może lepiej nie patrz, to może być dla ciebie zbyt traumatyzujące.

Kokos nie odezwał się, przekazał mu tylko międzynarodowy znak pokoju i przyjaźni wyciągniętym w górę środkowym palcem.

- A fe - powiedział Filozof z niesmakiem. - Z czymś takim do kolegi... No, proszę. - Puścił film.

Wbili wzrok w ekran.

Najpierw śmignęła Róża, potem oni wysypali się ze śmigłowca niczym prawdziwy rój os.

- Stop - nakazał Wódz. - Drakkar, nie sądzisz, że powinniście wcześniej odchodzić? Róża już leci, a ty jesteś dopiero przy *set*. Na *go* tracisz dobrą sekundę, o ile nie więcej...

- Myślałem o tym - przyznał Szerszeń. - Ale koledzy z Wawela przekonali mnie, że tak jest lepiej. Lepiej wysiadać raczej ciut później niż broń Boże za wcześnie. Dogonić ją dogonimy, gorzej będzie, jaknie damy rady wypuchnąć.

- Racja - pokiwał głową Wódz. - Jedź dalej, Filozof.

Róża mknęła w dół, jej śladem zaś podążały pikujące sylwetki spadochroniarzy. Obraz powiększał się, w miarę jak do układu zbliżał się sam Filozof. Widać już było jedną sylwetkę, spadającą niedaleko obiektu.

- Stop - powiedział Wódz. - Kto to jest?

Drakkar uśmiechnął się.

- Chamy z nas, panowie - oznajmił. - Kazaliśmy kobiecie czekać.

- Milka? - rzucił Wódz, zdziwiony. - No, no, coś takiego... Dawaj dalej.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Czyżby nikt nie zauważył jej haniebnej wpadki? Chyba nie, bo nie komentowali, wpatrywali się w ekran z napięciem.

Druga postać pojawiła się koło Róży, zawisła w oczekiwaniu. Filozof popatrzył na Wodza pytająco.

- Nie przerywaj, to Drakkar, poznaję - padła komenda. - Jeszcze jakieś niespodzianki będą w tym skoku? Chyba nie...

Wokół Róży zaroilo się, podochodzili pozostali. Wreszcie pięć osób odchyliło płatki, a Szerszeń wpakował się na górę.

- Pięknie trzymacie, bardzo stabilnie - powiedział Drakkar. - Pinio, świetna robota, zupełnie, jakby to nie był twój pierwszy raz.

- Mój pierwszy raz był dawno temu - oznajmił tamten przewrotnie. - Ale co ty o tym możesz wiedzieć, wtedy jeszcze skakałeś z dywanu na podłogę.

Filozof westchnął ze zniecierpliwieniem. Nie znosił, kiedy jakiegokolwiek pozamerytoryczne wtręty zakłócały odbiór jego dzieła.

- Zwiążcie go - rzucił, patrząc gniewnie na kolegę. - I zakneblujcie. Mam przewinać?

- Nie trzeba. - Wódz machnął ręką. - Na razie wszystko jasne. Róża jest stabilna, Szerszeń podaje esencję, kończy podawać, okej, odchodźcie na prawo... No i co tu się teraz dzieje, chciałbym wiedzieć?!

- Jak to co, Wodzuniu? - rozpromienił się Neon.

- Balanga! Kto nie dojdzie, ten parówa!

- Było dwa tysiące metrów, mieliśmy tak spadać płasko przez najbliższe piętnaście sekund? - dodał udawanym oburzeniem Żuczek. - Pani i tak się już dość wynudziła, trzeba było zorganizować jakąś rozrywkę!

- Jak widzę, do tej rozrywki pani też była jedną z pierwszych - westchnął Wódz. - Obawiam się, Drakkar, że będziemy musieli przyznać Kamieńczykowi rację.

Złowroga gula zagnieździła się w gardle Milki i pozostała na dłużej.

Kamieńczykowi? Rację? Dlaczego właśnie jemu? Czy to Kamieńczyk rekomendował

ją do Os? Przecież jej prawie nie znał!

- Ech, nie wypominajmy zaszłości - oznajmił Drakkar politycznie. - Liczy się efekt, nieprawdaż? - Odwrócił się do Milki, puścił do niej oko.

Uniosła ręce, potrząsając nimi na znak zwycięstwa. Gula w gardle wciąż trzymała się mocno... Wtem nadeszła fala ulgi, splukała ją doszczętnie. Milka nabrała najszczerzej ochoty, by położyć się na trawie i patrzeć w słońce. I tak zostać, przez najbliższe sto lat.

- Witamy w Osach! - stwierdził kierownik, wstając.

Podał jej rękę. W ślad za nim poszli inni, prześcigając się w pochwałach, na końcu Żuczek porwał ją w ramiona i omal nie zmiażdżył w uścisku. Uwolniła się z głośnym, rozradowanym śmiechem. No, proszę: udało się!

### 3.

Spadochroniarnia wydawała się wypełniona szczęściem po same szczyty odrapanych ścian. Błyskały ożywione spojrzenia, rozbrzmiewały radosne, choć pełne niedowierzania szepty. Skok za Różą udał się bez strat? Nikt z Os nie zginął? Naprawdę nikt?

- Jada Osy! Uwaga, jada!

Weszli do sali równym, dumnie wyprostowanym szeregiem. Kieliszki z wódką szurnęły, jak zwykle, po blacie baru... I zatrzymały się, nikt po nie nie sięgnął.

Drakkar uśmiechnął się szeroko, rozłożył ręce.

- Najpierw uroczystość - oznajmił, jego donośny głos rozległ się echem po sali, napotykać w odpowiedzi salwę braw.

- Pani wykonała dziś pierwszy skok w Osach, nieprawdaż? - ciągnął z namaszczeniem. - Prosimy o przyjęcie postawy zasadniczej.

Milka wysunęła się przed szereg z uśmiechem na twarzy, bez cienia zaskoczenia. Spodziewała się przecież, że jej nie odpuszczą.

Laszowanie.

Ceremoniał stosowany za każdym razem, kiedy wykona się coś nowego. Pierwszy skok, pierwsze samodzielne otwarcie, nowy typ spadochronu, nowy rodzaj statku powietrznego, z którego się wyskoczyło... Okazji jest co niemiara. Oczywiście, prawo do nagradzania ma tylko ten, który już posiada takie samo wydarzenie na koncie. Więc ten skok wylaszować mogą tylko członkowie zespołu Os.

Same chłopcy jak dęby, w dodatku wszyscy, o zgrozo, praworęczni! Przełknęła ślinę. Nic to, przeżyjemy.

Pochyliła się, złapała rękami za kostki.

- Twarzą w kierunku Tatr! - Neon schwycił ją za biodra, przestawił, nadając właściwy kierunek. - Centralna Szkoła Spadochronowa jest o, tam!

Drakkar podszedł jako pierwszy, trzepnął Milkę w pośladek krótkim, silnym uderzeniem, które przestawiło ją o dobre dwa kroki w przód. Otrząsnęła się prędko, wróciła na miejsce, nad którym już pochylał się w zamachu Filozof.

- Lekko i wlewy! - oznajmił kamerzysta przekornie, po czym wbrew zapowiedzi uderzył w prawy pośladek i bynajmniej nie lekko.

Wytrzymała, ustała w miejscu. Popatrzyli z uznaniem. Podchodzili po kolei, bijąc mocno, zdecydowanie. Prawa ręka, prawy pośladek, trzask! Nawet Żuczek, choć udawał, że zanosí się od płaczu i uderzenie przychodzi mu z najwyższym poświęceniem, trzepnął ją nad wyraz solidnie. Zbyt lekkie uderzenie oznaczałoby brak szacunku do nagradzanego w ten sposób wyczynu.

Wreszcie skończyli. Milka wyprostowała się, dygnęła niczym pensjonarka. Nagrodzili jej cierpliwość kolejnymi oklaskami.

- Stooo laaat, stooo laaat, niech żyje żyje naaaaam... - zaintonowali w końcu. - Niech jej gwiazdka pomysłności nigdy nieeee zagaśnieeee... A kto z naami nie wyskoooczy, niech na kooole zaśnie...

Coś drapało ją w gardle, pozbawiając słów. Uśmiechała się, uszczęśliwiona, przyjmując ten swoisty hołd. Poczucie wspólnoty, braterstwa w powietrzu wypełniało ją po brzegi. Jakby oto znalazła właśnie drugi dom.

Chociaż przecież ten w Gdańsku trzymał się całkiem dobrze wraz z rodzicami i nie rosły wokół niego żadne nieziemskie paskudztwa. Ale teraz, tego wieczoru, zdawał się tak nierzeczywisty i odległy, że równie dobrze mógłby być na innej - byle nie fioletowej - planecie.

Prawdziwy dom był tu.

Brzęknęło szkło, skoczkuwie dobrali się do kieliszków z wódką. Zabrzmiały pośpieszne toasty.

Do stołówki wpadł roześmiany Ari, klepnął akurat odwróconego brata po ramieniu. Ten odegrał krótką scenkę natychmiastowego, krwawego odwetu za zbrodnię obrazy majestatu (mnie, bohatera, takim chamskim klepnięciem?), wreszcie pozwolił się spacyfikować połączonym siłom Neona i Filozofa. Ari chował się za Milkę, którą przytrzymywał przed sobą jako żywą tarczę.

Śmiała się w głos, póki nie zauważyła kątem oka, jak Cindy podchodzi do Drakkara i składa gratulacje, z bardzo niejednoznacznym wyrazem ogromnych niebieskich oczu. A ten uśmiecha się do niej w odpowiedzi. Po swojemu: chłodno i zdawkowo, ale jednak uśmiecha... Cindy odchodzi, ale już wie, że może wrócić. Jeszcze dziś.

Milka odwróciła śpiesznie wzrok, spostrzegając uważne, taksujące spojrzenie Żuczka. Pomasowała się po pośladkach.

- Sadyści - stwierdziła, wzdychając. - Psychopaci. Maniacy. Bez cienia szacunku dla płci pięknej, doprawdy. Potrzebuję czegoś przeciwbólowego, natychmiast!

Żuczek uśmiechnął się, wyciągając w jej kierunku kieliszek.

- Masz, kobieto - powiedział. - Zdrowiej i nie narzekaj. Tradycja rzecz święta.

- Prawdę rzekłeś waćpan. - Pokiwała głową, odbierając wódkę. - Tradycja rzecz święta... choćby nawet bolesna.

- Chodź, siądziesz na tej swojej bolesności. - Otoczył ją ramieniem, pociągnął w kierunku wersalki.

Usiedli. Ari podreptał za nimi czym prędzej.

- Też kiedyś latałem - zatrajkotał z dumą. - I całkiem nieźle mi szło, choć nie zaczynałem w AFF-ie, tylko na linę. Ledwie sto skoków i nie tylko robiłem obroty i salta, ale i spływy, i nawet nogi podawałem...

- Tkwiłeś w miejscu jak to ciele, a ja cię oblatywałem dookoła, żeby ci się



wydawało, że się obracasz - zaprotestował wzgardliwie Żuczek. - Zawsze miałeś miękką psychę i bałem się, że się przejmiesz porażką i nie otworzysz... A skakałeś bez Cyprysa, jak każdy szanujący się samobójca.

- Mów co chcesz, ja wiem swoje - oznajmił Ari z mocą. - Umiem latać i już. Czepiasz się, bo zazdrościsz, że taki jestem zdolny. Tobie dostanie się na podobny poziom zabrało tysiąc skoków więcej.

- Celnościowych! - zaperzył się tamten od razu.

- Dzięki temu za każdym razem, gdy chcę, walę w centro, a ty czasem nawet w sto dwa hektary lotniska nie trafiasz!

- Przecież są filmy - rzuciła Milka pojednawczo. - Macie nakręcony chociaż jeden wasz relatyw? Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że Ari faktycznie ma talent. - Obdarzyła go przyjaznym uśmiechem.

- Słyszysz, to powiedziała Osa! - Drwał rozparł się wygodnie na kanapie, przygarnął dziewczynę do siebie prawą ręką i zadarł nos do góry, wbijając dumny wzrok w sufit. - To o mnie tak powiedziała!

Uśmiechnęła się do niego życzliwie, rzucając krótkie, ukradkowe spojrzenie na Drakkara, siedzącego w fotelu pod oknem z pustym kieliszkiem w ręku i patrzącego gdzieś przed siebie w zamyśleniu.

Ech, beznadzieja. Ari ją przytula, a ten nawet nie zareaguje, drań. Cóż, jasna sprawa. Nic do niej nie czuje, nic a nic.

- Wyhodowałem żmiję na własnej piersi - biadolił tymczasem Żuczek. - Po co jej pomagałem, kiedy była jeszcze nieznana i malutka? Została gwiazdą i już jest przeciwko mnie. Pójdę się upić, nic mi więcej w życiu nie zostało. Dzisiaj mogę, następna Róża nie spadnie tak zaraz, nie ma na to statystycznych szans!

- Nie jestem przeciwko tobie, tylko daję świadectwo prawdzie - sprostowała niezwłocznie. - Po prostu podejrzewam, że jesteście genetycznie obciążeni wyjątkowymi zdolnościami do latania.

Łypnął na nią spod oka.

- No, to już brzmiało trochę lepiej - stwierdził łaskawie. - Ale napiję się i tak. Na wszelki wypadek.

Poszedł do barku po piwo, roztrącając dysputujących o czymś żywo Filozofa, Neona i Pinia. Milka odprowadziła go wzrokiem, z całych sił starając się nie patrzeć, jak Cindy podchodzi do Drakkara... i siada mu na kolanach.

Utrzymała uśmiech na twarzy siłą, kurcząc się w środku pod wpływem dojmującego poczucia chłodu.

- Weź i dla mnie, Żuczek! - zawołała.

Wyciągnął uniesiony ku górze kciuk, potwierdzając przyjęcie zamówienia. Uśmiechnęła się dziękczynnie, wsparła głowę na ramieniu Ariego. Zamknęła oczy. Z całych sił starała się powstrzymać napływające łzy. Nie ma co się rozklejać, Drakkar to tylko facet. Za mężczyznami i autobusami się nie biega, będzie następny.

- Pobudka! - Żuczek trącił ją delikatnie, podając przyniesione piwo. - Co jest, Milka, źle się czujesz?

- Boli mnie głowa - skłamała, otwierając oczy. Odebrała napój, pociągnęła łyk. - Chyba się urwę z tej uroczystości.

- Nie rób tego - zaoponował Żuczek z wyrzutem. - Taki wspaniały skok, i to twój

pierwszy w Osach, tego się po prostu nie godzi nie uszanować w odpowiedni sposób! - Usiadł znów z jej drugiej strony, jakby to już się tworzył pewien standard, że Milka siedzi pomiędzy nimi dwoma.

Podniosła głowę z ramienia Ariego, upiła łyk piwa, nie odpowiadając. Nie mogła się powstrzymać, popatrzyła, jak Cindy na kolanach Drakkara robi się coraz bardziej rozszczebiotana, klejąc się doń każdym ruchem swego wypielegnowanego ciała.

Odwróciła wzrok, wypila kolejny łyk. Ból narastał, robiło się ciężko, smutno, beznadziejnie... Chyba powinna odstawić piwo i wyjść, zanim się upije i kto wie jakich głupot narobi. Siedziała jednak, niczym wmurowana w wersalkę, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Patrzyła wprost przed siebie niewidzącym, pustym wzrokiem. A więc to tak, no cóż, to przecież było jasne, od samego początku.

Drakkar i Cindy wstali z fotela, dyskretnie wymknęli się z sali. Milka przymknęła oczy, zachciało jej się westchnąć głęboko, boleśnie, powstrzymała się jednak ostatkiem sił. Spostrzegła, że Żuczek przygląda się jej uważnie, jakby pragnął rozszyfrować, co się właściwie dzieje tam w środku.

- No nie wytrzymam - mruknęła. - Coś strasznego! Wybaczcie, panowie, ja sobie jednak już pójdę.

- To przez ciebie. - Żuczek przełożył rękę z tyłu, szturchnął Ariego oskarżycielsko.

- Przyszedłeś, nagadałeś głupot i oto są skutki!

Ari nie odpowiedział, popatrzył na Milkę z powagą. Uśmiechnęła się blado, po czym wstała z wersalki. Odstawiła niedopite piwo na szafkę, stojącą w pobliżu.

- Dobranoc, panowie - powiedziała, siłąc się na kolejny uśmiech. - Nic poważnego, po prostu głowaból, to był trudny dzień. Do jutra mi przejdzie.

- Obiecujesz? - Żuczek wyciągnął dwa palce w górę, imitując przysięgę. - Nic poważnego?

- Jasne! - potwierdziła, skinęła głową i pomaszerowała do drzwi.

Pomachali jej na pożegnanie z wyraźnym żalem. Wysłała im buziaka, wyszła na korytarz. Rozejrzała się, pusto. Zaczęła iść, potem biec do swojego pokoju, czując, jak niechciane łzy spływają po twarzy. Wpadła przez drzwi, usiadła na łóżku, schowała twarz w dłoniach.

Płakała cicho, łzy ściekały po palcach, kapały na podłogę.

- No i co, głupia - wyszeptała bezradnie. - Rozmarzyłaś się, trochę bez sensu, prawda? Powinnaś była wiedzieć, od samego początku...

Przed oczami pojawiły się obrazy podpowiadające, co się teraz dzieje w pokoju Drakkara.

Ścisnęła głowę, pochyliła się w przód. Łzy płynęły coraz bardziej obfitym strumieniem.

A zatem, dziewczynko, podobno chciałaś dostać się do Os i zostać komandosem? Bo podobał ci się pewien posągowy pan?

Podniosła twarz, zerwała ze ściany kosmetyczkę. Niczym widmo o kredowobiałej twarzy, upstrzonej krwawymi plamami piegów, przemknęła korytarzem prosto do łazienki.

## 4.

Ciach.

Tak spadają marzenia.

Ciach, ciach.

Tak się kończą sny.

Ciach.

Nożyczki błyszczą w półmroku, rozochoczone. Rudoczerwone płomienie bezradnie padają ich ofiarą, zaczynają się coraz gęściej kłębić w umywalce.

Ciach. Ciach. I jeszcze raz: ciach!

A teraz maszynka. Proszę, jak pięknie. Szuuut, szuuut. Nówka sztuka, idealnie wyostrzona. Szuuut. Chciałaś, to masz.

Oczy patrzą z lustra, teraz należą już do kogoś innego. To inna osoba. Inna twarz. Poważna, skupiona, zdecydowana. Wydaje się, jakby widać w niej było tylko te przepastne, zionące desperacją zielone oczy. Zasłaniające je rude kędziory poszły precz.

Tego właśnie chciałaś, dziewczynko? To tak miało być?

Taniec na krawędzi, świst powietrza w uszach, gorąca wódka w żołądku i - to?

Może i tak. Może właśnie tak.

Kiedy się niczego nie ma i nie chce, dopiero wtedy można mieć wszystko.

Tak, teraz można robić wszystko i o nic nie dbać. Rozrzucać życie na boki, hojnymi garściami, jak ryż i drobniaki nad parą młodą. Ktoś czegoś zabroni, skrytykuje? A niech się idzie wypchać. Ktokolwiek, cokolwiek, wszyscy i wszystko won.

Nikt nie ma żadnej realnej władzy. Nie można niczego stracić, kiedy nic się nie ma. Nie sposób zostać skrzywdzonym, kiedy na niczym już nie zależy.

Wolność.

Wolność desperata: najlepsza, największa, najsilniejsza, a może tak naprawdę jedyna prawdziwa. Jedyna możliwa. Jedyna... Jedyna.

Skrzypnęły drzwi.

- O, przepraszam, nie było zamknięte - powiedział Ari.

I zamarł na progu.

A po chwili spokojnie, bez drgnięcia powieki odezwał się:

- Zajebisty pomysł. Super teraz wyglądasz!

## 5.

Zaraz po laszowaniu Filozof wymknął się z uroczystości. Powędrował do pokoju, międląc w głowie gorzkie, ponure myśli. Popełnił błąd, teraz już był pewien. Popełnił cholerny błąd.

W końcu złamał się i poprosił o pomoc - o ten jeden, jedyny raz za dużo. Głupio. Niepotrzebnie. Trzeba było wierzyć we własne szczęście i możliwości, a nie lecieć do mamusi jak dziecko z rozbitym kolankiem. I prosić o kogoś naprawdę dobrego.

No to teraz miał, co chciał. Firma w łaskawości swojej wyznaczyła mu kontakt z

gościem, który podobno miał być dobry, choć Filozof go nie znał i nigdy o nim nie słyszał. Co mogło być w sumie nie najgorszym prognostykiem: im kto lepszy, tym mniej o nim wiadomo, tylko leszcze lansują się gdzie popadnie. Wyglądało na to, że koleś okazał się najlepszy z możliwych: łyknął wszelkie informacje jak młody pelikan i dotąd nie raczył się odezwać. Skrzynka emailowa była pusta, na umówionym blogu nie pokazały się żadne komentarze, dyskretne podbicie do Firmy nie przyniosło żadnych rezultatów: nie, nikt nic nie wie, nie zna się, nie widział, wszyscy są zarobieni. Ale tak, to normalne, ten pan zawsze zwykł był pracować sam.

Może jego też pożarł Fiołek? - zastanawiał się Filozof z rosnącym zdenerwowaniem, a to nie wróżyło niczego dobrego. Zimne nerwy, ciepłe majtki, tak powinno być i zostać. A tu zaczynał gonić w piętę, co gorsza doskonale zdawał sobie z tego sprawę i nie poprawiało mu to samopoczucia. Żadnego pozytywnego wzmocnienia. Widocznie raz na zawsze wyczerpaliśmy limit szczęścia w chwili, w której dowiedzieliśmy się, że ten pieprzony pendrive jest w drodze i poczuliśmy się panami tego świata. O drobne piętnaście minut za wcześniej.

Wszedł do pokoju, odpalił komputer. Wpisał adres, zeskanował wzrokiem znaną już na pamięć stronę.

*Surprise, surprise.* No przecież, jakżeby inaczej.

Żadnych nowych wpisów. Nic a nic.

Odetchnął głęboko, wyprostował się.

No to przerąbałem, obwieścił sam sobie w duchu.

W głębi klatki piersiowej zaczął narastać wyjątkowo parszywy chłód. Łapał co popadnie: przełyk, tchawicę, przeponę - i zamrażał do woli.

Co teraz, próbował przed nim uciec Filozof. Myśl, chłopaku, myśl!

A niby co możesz zrobić, odparł chłód, prócz tego, co robiłeś dotąd? Włącz do strefy i szukaj, licząc na fart. Tylko weź sobie kogoś zaufanego na plecy, zanim cię sprzątnie prawdziwy pan Bond. Bo przecież nie możesz wykluczyć, że kolega superszpieg zorientował się, ile jest wart twój fant.

Filozof zwiesił smętnie głowę, podrapał się prawą dłonią po karku. Spojrzał na drzwi: warto wracać na imprezę? Owszem, nareszcie odbył się skok, w którym nikt nie zginął. Świetna sprawa, pewnie to ta mała przyniosła fart. Ale...

Popatrzył na ekran monitora, szurnął krzesłem i zasiadł przed biurkiem. Zaczął wstukiwać szereg cyfr, okienka otwierały się i zamykały niemalże z prędkością serii z karabinu maszynowego, wreszcie pojawił się widok kradziony Stróżom.

Kurde, szkoda czasu na pierdoły. Może w tej chwili któryś z Orbiterów patrzy na właśnie tego trupa?

## 6.

Milka odwróciła głowę, omiotła Ariego niechętnym spojrzeniem. Wracamy do świata, szybko. I udajemy, że wszystko gra.

- Tak sobie obiecałam kiedyś - rzuciła gdzieś w pustkę przed sobą, byle powiedzieć cokolwiek. - Że jak się dostanę do Os, to spróbuję się ściąć na zero. A ty tu czegoś potrzebujesz? Nie krępuj się! - powiedziała dość nieprzychylnie, licząc na

to, że może zrazi się i odejdzie, albo przynajmniej zajmie swoimi sprawami.

- Przerobiłaś się na G.I. Jane? - Uśmiechnął się, kręcąc głową z podziwem. - Nie żebym miał coś przeciwko rudym włosom, ale obecna fryzura wyjątkowo ci pasuje!

Spojrzała w lustro. Demi Moore wyglądała lepiej, o niebo lepiej w czymś takim. Ale przecież nie w tym rzecz, żeby się komukolwiek przypodobać. Prawda?

- O co ci chodzi, Ari? - zapytała wprost. - Liczysz na mały, romantyczny podryw dziś wieczorem? Powiem ci uczciwie: nie wchodzi w grę.

Wszedł do łazienki, szybkim ruchem zamknął drzwi.

- Coś ci powiem, Milka, ale to bardzo krótko, na temat, i niech to zostanie między nami - powiedział. - Nie, nie podrywam cię, pomimo twoich wielu oczywistych zalet. Nie zamierzam jednak wchodzić bratu w paradę. Tylko się z nim drocę. Przyjmij to do wiadomości, proszę.

Odwróciła się ku niemu natychmiast.

- Między mną a Żuczkiem nie dzieje się nic, co by wykraczało poza ramy szczerzej przyjaźni - oznajmiła sucho. - Przyjmij to do wiadomości, proszę.

Uśmiechnął się, popatrzył w mlecznobiałą szybę okna, za którą panoszył się mrok.

- Szczera przyjaźń to jedna z najwspanialszych rzeczy na świecie - stwierdził. - Olbrzymia część kłopotów w związkach bierze się stąd, że ludzie się nie przyjaźnią. Zakochują się w sobie, owszem, ale tak naprawdę wcale się nie lubią. Nie rozmawiają ze sobą i te de.

- Tia, bo wy to głównie chcecie z nami rozmawiać - odparła gwałtownie, wyobrażenia scen z pokoju Drakkara wciąż paliły ją pod powiekami. - Niezła dupa to wszystko, co się liczy, powiedzmy sobie uczciwie.

Pokręcił głową.

- Zdziwiłaś mnie, przyznaję. Takie teksty wygłaszają zazwyczaj zaniedbane, zakompleksione brzydule. Najłatwiej zwalić brak chęci do pracy nad sobą na odwieczną podłość męskiego rodu. Ale ty?

- No, szczerze mówiąc, żadna tam ze mnie Cindy Crawford.

Ku jej zdumieniu, zaniósł się dość głośnym śmiechem.

- No i całe szczęście. Bo wiesz, pomyślałem sobie... - urwał, machnął ręką. - Nie, sorry. Zeszmacę się w twoich oczach, jak ci to powiem. Musiałbym na chwilę przestać udawać, że jestem dżentelmenem.

- Dawaj! - zażądała zaciekawiona. - To ja też będę mogła przestać być damą.

Uniósł rękę.

- Sama chciałaś - zastrzegł żartobliwie. - Jak wspomniałaś Cindy Crawford, pomyślałem sobie o naszej drogiej koleżance Annie. Wiesz, skąd się wzięło jej przezwisko?

- No, jest bardzo podobna - wyjąkała niechętnie. - Piękność w każdym calu.

Pokręcił przecząco głową. Wyjątkowo przewrotny diablik wyzierał mu z oczu.

- Staliśmy sobie na starcie w męskim gronie - zaczął opowieść. - Takie tam wygłupy, wiesz, jak to testosteron potrafi. Ktoś, nie pamiętam już kto, opowiedział kawał, naprawdę denny. Dzwoni lalka Barbie do lalki Cindy i mówi: ty kurwo! Koniec kawału, generalnie chodziło o to, żeby zobrazować, jakie to baby są wredne i zawistne. Ale wtedy właśnie nadeszła Anka i ktoś rzucił: o, Cindy idzie! Komentarz

spotkał się z powszechną aprobatą, już wtedy miał ją prawie każdy skoczek. A była w sekcji raptem od pół roku. Zaczęliśmy ją tak nazywać, łyknęła jak pelikan, przekonana, że chodzi o Cindy Crawford. O ile się nie mylę, do tej pory niewiele się zmieniło.

- O wy, podli - oznajmiła Milka na poły oburzona, na poły rozbawiona. - Jak kobieta daje, to bierzecie bez żenady, a potem za plecami obrabiacie cztery litery.

- Męska rzecz polować - stwierdził Ari krótko. - Od kobiety zaś zależy, komu pozwoli się wziąć i w jakich okolicznościach. Konsekwencje takich decyzji są znane. A o ile wiem, nikt Cindy nie gwałci, sama zaprasza. Dzisiejsza scenka najlepszym przykładem... Ale dobra, przestanę, i tak się już wydało, że straszny plotkarz jestem i w ogóle nie dżentelmen.

- To już ustaliliśmy na samym początku. - Uśmiechnęła się blado, myśl o reputacji Cindy przynosiła ulgę jej skołatanyom myślom. - Wal dalej, nic już nie masz do stracenia.

- No tak: o czym myślą kobiety - rzekł przekornie. - Jestem dziwnie przekonany, że gdybym chciał rozmawiać o sensie życia, zostałbym objechany, że niepotrzebnie zawracam głowę i powinienem oddalić się czym prędzej. Ale pikantne ploteczki, proszę bardzo, bez względu na okoliczności.

- Hm, ujawniłam już, że nie jestem damą. - Zaczęła strzepywać z szyi kosmyk rudych włosów, który zaplątał się w golf i łaskotał nieznośnie. - Przynajmniej jestem szczerą i niczego nie udaję.

- Właśnie, że udajesz - powiedział, nagle zupełnie poważnie. - Udajesz wyluzowaną, szczęśliwą i Bóg wieco jeszcze, a przed chwilą siedziałaś tu i ryczałaś jak bóbr. I o ile znam się na kobietach, ścinanie włosów zazwyczaj nie odbywa się bez powodu. W czym masz problem, Milka? Mogę jakoś pomóc?

Spoważniała również, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Już pomogłeś, Ari - powiedziała cicho. - Nie byłam sama przez moment. I wystarczy. Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, nie naciskając już więcej.

Zamiast tego podszedł, ujął jej dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek. Popatrzyła nań z coraz większym zdziwieniem.

- Chodźmy stąd - powiedziała, kręcąc głową. - Zaczynasz mnie przerażać. To zbyt piękne, żeby było prawdziwe, gdzieś tu musi być haczyk. Zaraz wyrosną ci kły i rzucisz się na mnie.

- Tylko podczas pełni księżyca - zgodził się ochoczo. - To u nas rodzinne. Zdaje się, że Zygmunt wspominał ci już o tym...

Zmarszczyła brwi, potem pokiwała głową ze zrozumieniem. No tak, Żuczek ma na imię Zygmunt. Całkiem zapomniała. Tu, na lotnisku, posługiwali się wyłącznie przezwiskami. Zupełnie jak gdyby człowiek, który narodził się do życia w powietrzu, był już inną osobą. Imię, nazwisko, zawód, pozycja społeczna, wszystko zostawało gdzieś tam, za bramą. Wchodziło się na start i już było się Żuczkiem, Milką, Ślimakiem... I liczyło się tylko to, co się potrafi tam, w powietrzu. A potem trzeba było wrócić do normalnego, codziennego świata, z poczuciem nieomalże schizofrenicznego rozdarcia. Dlatego też niektórzy woleli zostać na lotnisku na zawsze.

- No, chodźmy. - Zgarnęła do kosmetyczki nożyczki i maszynkę do golenia, obróciła się ku drzwiom. - Dzięki, naprawdę.

- Nie ma problemu - odparł. - Następnym razem, jak będziesz miała doła, daj mi znać. Poopowiadam ci jeszcze więcej pikantnych historyjek. Nie było mnie tu pięć lat, ale niektóre sprawy zawsze pozostają aktualne.

- Trzymam cię za słowo! - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Oczywiście, ty również możesz do mnie przyjść po pomoc i poradę. Mówię tak, bo wiem, że absolutnie nie zamierzasz z tego skorzystać. To takie niemęskie, zwierzanie się.

- A może ja jestem niemęski? - rzucił z wyjątkowo przewrotnym uśmiechem. - Może na przykład część mojej duszy jest kobietą i tak naprawdę to wolę chłopców?

Zatkało ją ze zdziwienia. Myślała gorączkowo nad odpowiedzią, zupełnie nie znajdując słów.

- No, nie! - Roześmiał się, kręcąc głową. - Już tak we wszystko to mi nie wierz, proszę cię.

- Trudno się z tobą rozmawia - stwierdziła, nie kryjąc ulgi. - Teraz nie wiem, ile z tego, co powiedziałaś, jest prawdą, a ile czystym wymysłem.

- I o to chodzi - zgodził się ochoczo. - To bardzo wygodne.

- Właśnie. A jakie bezpieczne. Możesz mówić, co tylko zechcesz, bo zawsze się potem możesz wycofać, twierdząc, że przecież żartowałeś.

- Pewnie tak. Dobrze, postaram się spoważnieć. Wyjątkowo i tylko dla ciebie. To co, świętujemy dalej czy idziesz już spać?

Pomyślała o swoim pustym, samotnym pokoju.

- Posiedzę jeszcze z wami. Byle nie za długo. Naprawdę ledwo żyję. Ten skok wypompał mnie z prawie wszystkich sił. Sam skok to może nie bardzo - poprawiła się śpiesznie - ale te nerwy...

Ari pokiwał ze zrozumieniem głową, otworzył drzwi. Poszli obok siebie, powolnym, spacerowym krokiem. Dotarli do telewizyjnej, weszli na imprezę.

## 7.

Żuczek obrzucił wchodzących oburzonym spojrzeniem. Oczy rozszerzyły mu się na widok ogolonej głowy Milki, ale powiedział tylko:

- Aha, głowaból, tak? A temu potrzeba coś z pokoju, no, świetnie. Podłę żmije jesteście i tyle.

Milka spojrzała nań tylko i od razu nabrała przekonania, że Żuczek wie doskonale, że nic się między nią a Arim nie wydarzyło. Gada, bo gada, ale w gruncie rzeczy ufa młodszemu bratu bezgranicznie.

- Wybacz, mój drogi. Piękności tej pani nie sposób się oprzeć - oznajmił Ari z emfazą. - Po raz kolejny przekonałem się, że twojemu gustowi można zawierzyć bez wahania.

- Przynajmniej zostało w rodzinie - westchnął Żuczek, zrezygnowany. - Chodź, piękna zdrajczyni. Dam ci piwa i wszystko wybaczę. Taki już jestem mięczak bez kręgosłupa.

Podprowadził ją do tapczanu, a gdy już usiadła, znów obaj ulokowali się po jej

bokach niczym nieugięta para strażników.

Milka skapitulowała w duchu, rozejrzała się smętnie dookoła. Zamrugła, zdziwiona: Drakkar jest tutaj. Równie chłodny i spokojny jak zwykle, najwyraźniej miłosne porywy nie były w stanie wytrącić go na dłużej z równowagi. Stoi przy parapecie i wgapia się w okno. No proszę, szybko się uwinął. A gdzie nasza piękność? Nie ma, znaczy spławił ją bez większych skrępułów.

Tak czy inaczej... Mam cię gdzieś, draniu! - pomyślała Milka nieszczerze i upiła łyk piwa, zabrawszy kubek Żuczkowi bez zbędnych tłumaczeń.

Westchnął tylko, wstał i pomaszerował do baru po następne.

Przerzuciła wzrok na kolegów, żywo dyskutujących w pobliżu.

- Wiecie, dlaczego ostatnio spadli Amerykanie? - mówił właśnie Pinio, z bardzo zdeterminowaną miną. - Lecieli za Różą do samego dołu, a przecież byli mistrzami świata w relatiwie.

- Róża jest bardzo niestabilna. Nam się udało wyjątkowo - oznajmił z przekonaniem Neon. - Po prostu cudem, ot, co.

- Niestabilne to jest twoje życie płciowe - zawarczał Pinio, z minuty na minutę coraz bardziej sfrustrowany. - Po prostu panowie, zamiast podawać Esencję, mieli inne priorytety. Najpierw zassali zarodniki. Do metalowego, wstrząsoodpornego pojemnika, jak bohaterski Jean-Pierre.

- Ale po cholerę im to? - zdziwiła się Babeta. - Tak ryzykować, że nie zdążą i wyrosną im Fiołki...

- Broń biologiczna - wyjaśnił Neon. - Rozpylasz nad terytorium wroga i cześć. Fakt, najpierw trzeba obadać, co zrobić, żeby mieć pewność, że cholerstwo wykiełkuje. Biorąc pod uwagę, że Fiołków wyrosło nam na Ziemi raptem kilkadziesiąt, a zarodników poszło w atmosferę na dobre miliony, muszą być wyjątkowo nieskore do wyrastania w tutejszych warunkach... - urwał, odchrząknął, podniósł piwo do ust.

Zamilkli, wyobrażając sobie wojnę na Fiołki. Pinio westchnął, boleśnie, ale jednocześnie z pewną ulgą, jakby się pozbył gniotącego mu pierś ciężaru.

- Długo się z tym gryziesz? - spytał go Manior. - Czemu nic nie mówiłeś?

- Dopiero wczoraj znajomek puścił farbę - powiedział Pinio już o wiele spokojniej. - Ale żeśmy się sami nie domyślili, to przecież takie oczywiste. Ciekawe, czemu u nas jeszcze tak nie ma.

- Ja żadnych zarodników nie będę zasysał - zapowiedział Drakkar kategorycznie, odwracając się na chwilę od okna. - Nie ma mowy. Mogę lecieć za Różą aż do samej ziemi, żeby wytluc draństwa, ale żeby je zbierać, co to, to nie.

Neon nabrał powietrza w płuca, jakby chciał coś powiedzieć, lecz wypuścił je i powstrzymał się od dalszych komentarzy. Drakkar z powrotem odwrócił się ku oknu. Patrzył w dal, jakby wciąż na coś czekał. I nie mógł się doczekać, jak na razie.

- Znaczy, że nasza ojczyzna jest po staremu szlachetnie głupia - skwitował Kokos cynicznie. - Inni będą mieli zarodniki, a my nie. Zacołfani, jak zwykle. Potem będziemy je od kogoś kupować za ciężkie pieniądze.

- Ale jak ty sobie wyobrażasz taką wojnę? - Iks pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Przecież byłaby to broń obosieczna! Masa roślinek, jakby tak wyrosła porządnie, zatrąłaby i inne kraje. A w końcu całą Ziemię.



- Wygląda na to, że Fiołki nie są u nas w stanie dorosnąć do odpowiednich rozmiarów - powiedział Ari. - Za zimno im tutaj.

Zwrócili nań zaciekawione, pytające spojrzenia.

- Ostatnio na odprawie nam mówili - ciągnął więc - że Fiołki tylko na początku rosną jak oszalałe. Jak każda roślina, najbardziej dają czadu zaraz po wykiełkowaniu. A dla nich te dwieście, trzysta metrów to jest właśnie niemowlęstwo.

- To ile one mają tam u siebie? - rzucił zaaferowany Pinio. - Kilometr?

- Gdzieś tak ze cztery. Naukowcy zrobili symulację. Wiadomo, że to tylko gdybanie, ale podobno dorosły Fiołek powinien mieć około czterech tysięcy metrów. Wtedy dopiero zakwitnie i zacznie wytwarzać Róże.

- Ale u nas nie dorastają tak wysoko? - zapytał Manior. - O ile wiem, najwyższy, ten w Kairze, ma tak z pół kilometra.

- Pięćset pięćdziesiąt metrów - wtrącił Żuczek.

- Zgadza się. - Drwał pokiwał głową. - Ostatnia teoria mówi, że po prostu Fiołkom jest u nas za zimno. Dlatego rosną tak szybko tylko przez jakiś czas, tuż po wykiełkowaniu... a potem to już tylko wegetują. Z ich punktu widzenia, oczywiście.

- I tak nieźle z nich twardziele - oznajmił zadumany Pinio. - Ale wiecie co, widziałem na Discovery program o niesporczakach. Wytrzymują daleko więcej niż jakiś głupi Fiołek. Od zera absolutnego po kilkaset stopni Celsjusza, plus całkowite odwodnienie typu sto lat w wilgotności rzędu zero procent, i jeszcze promieniowanie rentgenowskie tysiąc razy silniejsze niż to, jakie nas zabija... kurde, nie pamiętam, co tam dalej było, ale siła złego. Zasadniczo zwierzątka są nie do zajebania. - Urwał, rzucił okiem na dziewczyny, uśmiechnął się przepraszająco.

Na co dzień kłął jak szewc, lecz przy płci pięknej starał się zgrywać dżentelmena... tylko czasem się zapominał.

- No ale przynajmniej są zupełnie nieszkodliwe, w odróżnieniu od Fiołków - powiedział Manior. - Ciekawe, skąd się wzięły te dranie.

- Z kosmosu - potwierdził oczywistość Pinio. - W telewizji mówili, że na ich planecie musi być raz gorąco, raz zimno. I że ta Róża, jak dojrzeje, to pewnie tam zaczyna się zima. Bardzo, bardzo zimna zima. I one są do takich warunków przystosowane. Dlatego owocek, kiedy jest w osłonce, może sobie lecieć przez próżnię, nic mu to nie szkodzi. Dopiero jak przychodzi lato, otoczka się spala i przetrwalnik spada na ziemię. Tuż nad gruntem rozpada się pod wpływem zmiany ciśnienia i rozsiewa nowe pokolenia.

- Ciekawe, jak się uwalniają te owoce - zamyślił się Manior. - Z tych czterech kilometrów.

- Jak nasze niecierpki - powiedziała Milka. - Wystrzeliwiają się z torebek, pach.

- Muszą się nieźle wystrzeliwać, żeby aż w kosmos polecieć. - Neon pokręcił głową ze zwątpieniem. - I dotrzeć do nas.

- Ja tam nie wierzę, żeby się same w ten kosmos wysiewały - zaprotestował Pinio. - To jest celowa robota. Obcy zbierają te przetrwalniki, po czym wysyłają je grupami. Na chybił trafił. Żeby, jak trafią na sprzyjający grunt, skolonizowały planetę i uczyniły ją zdatną do życia. A potem oni przylecą na gotowe. I dziękujemy.

- I tak pakują i wysyłają? - wciąż nie dowierzał Neon. - Coś mi się wierzyć nie chce. Tyle roboty i tak strzelają na ślepo?

- Jeżeli mają ich dużo... - Żuczek zdawał się podzielać zdanie Pinia o inwazji. - Pomyśl o tym jako o szeroko zakrojonym planie, biorącym pod uwagę dobro przyszłych pokoleń. Może na chwilę obecną jedyne, na co ich stać, to wysyłanie Róż w kosmos, grupami. Licząc na to, że kiedy przyjdzie potrzeba, będą mieli do dyspozycji chociaż kilka odpowiednich planet.

- To myślisz, że na razie nas nie zaatakują? - zaciekał się Kokos. - Że oni tylko tak na wszelki wypadek? Ewentualnie dopiero za jakiś czas?

- Tak myślę. Jakby się do nas przymierzali na poważnie, o wiele staranniej odrobiliby lekcje. I zorientowaliby się, że jest tu dla nich za zimno.

- A może oni są zupełnie niewrażliwi na zmiany temperatury? - rozważał dalej Pinio. - I kto wam powiedział, że są z tej samej planety, co Fiołki? Może znaleźli je gdzieś po drodze i pomyśleli: kurczę, to jest to! Doskonałe narzędzie dla naszych celów: naturalny biologiczny kolonizator w pigułce. W opakowaniu przyjaznym dla środowiska, zdatnym do recyklingu!

Zamilkli wszyscy. Widmo kosmicznej inwazji zamajaczyło im przed oczami. Jakby nie dość było tego bałaganu, który już teraz jest.

- A propos recyklingu, Ari, wiesz może, jak tam Filtry? - spytał Iks. - Nadal całkowicie wyłączone?

- Niestety tak - potwierdził strażak. - Filtry i cały Wodociąg Centralny nie pracują. Centrum i południowa część miasta są bez wody. Potencjalne skażenie w Wodociągu Praskim monitorowane jest w odstępach półgodzinnych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Na szczęście nie wykryto jak dotąd śladu cyjanków. Jeżeli jednak tak się stanie, również i ten wodociąg natychmiast zostanie wyłączony. Wodociąg Północny czerpie wodę z Zalewu Zegrzyńskiego, nie z Wisły, nie jest więc, jak na razie, zagrożony.

- Wiecie co, jednak może chodźmy spać - oznajmił Neon. - Zwariujemy tutaj. Nic, tylko te Fiołki i Róże mamy w głowach, nie wiemy już, na czym polega normalne życie. Trzeba się czasem wyluzować, naprawdę. Poza strefami śmierci świat działa, jak dotąd.

- Może spotkamy się jutro w Infernie? - podsunął Ari. - Wypadałoby czasem zmienić lokal. - Rozejrzał się ostentacyjnie po upstrzonych ścianach stołówki; pożółkła farba schodziła z nich smętnymi płatami.

- I towarzystwo! Będą Drwale i Stróże.

- Wszystkie oddziały kryzysowe tam balują - potaknął chętnie Żuczek. - Tylko my tu się ciągle kisimy we własnym spadochronowym sosie.

- W takim razie załatwione - podsumował Neon.

- Idziemy!

Skierowali spojrzenia ku Drakkarowi, odruchowo i bezsensownie, bo przecież cóż mógł mieć do powiedzenia w tym bądź co bądź prywatnym temacie. Ale jednak skierowali, z wyraźnym zapytaniem.

Kiwnął głową, choć przez cały czas wydawał się zajęty wyłącznie widokiem za oknem. Widać miał podzielną uwagę.

- Jasne - rzucił, nie odwracając się nawet. - Bardzo dobry pomysł. Trzeba dać na luz.

Trzeba dać na luz... - powtórzyła Milka w myślach, z nagłym odrętwieniem. Niech

nikt i nic nie będzie ważne, choć przez chwilę. Dokładnie tak.

- Ja, hm, zostaję - powiedział Manior. - Eeemmm, tego... Umówiony jestem.

Babeta przytuliła się lekko do niego, bez słów. Aha, znaczy, że zostaje też.

- A ja pójdę do domu - powiedział Pinio, wstając.

- Co mi tam, posiedzę z rodzicami. Zazwyczaj nie mam o czym z nimi gadać. Ale przynajmniej posiedzę.

Milka podniosła się z kanapy.

- A ja chętnie dołączę - oznajmiła, kryjąc dłoń ziewnięcie. - Ale na dziś odpadam.

Dobranoc wszystkim!

Nie zatrzymywali jej, pomachali na pożegnanie. Odmachała skwapliwie i poszła do swojego pokoju.

Rozbierała się, oczekując kolejnego ataku płaczu, a tu nic, ani jednej łzy. Tylko to dziwaczne odrętwienie...

Położyła się i zasnęła prawie natychmiast twardym snem bez snów.

# Rozdział 6

*Ktoś łapie mnie i zaciska palce  
Na gardle tak, że aż tracę dech  
Zabijam go po morderczej walce  
Budzę się i gdzie już jestem wiem*

*Fabryka małp, fabryka psów  
Rezerwat dzikich stworzeń  
Zjadłych tak, że nawet Bóg  
I Bóg im nie pomoże*

*Miliony kłów, łap w pazury zbrojnych  
Gotowych do walk o byle co  
Dookoła wre stan totalnej wojny  
Zabijać się to jedyny sport*

*Fabryka małp, fabryka psów  
Rezerwat dzikich stworzeń  
Zjadłych tak, że nawet Bóg  
I Bóg im nie pomoże*

*Gdzie spojrzę dookoła dżungla*

*Otwieram drzwi i znów dzień jak co dzień  
Donośny huk stu i więcej dział  
Coś dzieje się wciąż na Bliskim Wschodzie  
Za progiem znów mój normalny świat*

*Fabryka małp, fabryka psów  
Rezerwat dzikich stworzeń  
Zjadłych tak, że nawet Bóg  
I Bóg im nie pomoże*

Lady Pank  
*Fabryka Małp*

## 1.

Dyskretne acz stanowcze pukanie do drzwi zmusiło Milkę do rozklejenia powiek. Spojrzała w popłochu na zegarek: szósta rano. Co jest, do licha?

Narzuciła sweter na piżamę - kwietniowy poranek był potwornie zimny, a ogrzewanie baraku, oględnie mówiąc, nie należało do doskonałych - i podreptała do drzwi. W progu stał szeroko uśmiechnięty Żuczek.

- Przyszedłem cię poszantażować troszkę - oznajmił i wepchnął się bezceremonialnie do środka. - Lubisz biegać?

- Nie cierpię - odparła, zgodnie z prawdą. - A bo co?

- To pewnie nie masz ochoty na zaprawę poranną?

- Na co?! - Cofnęła się w popłochu.

Czyżby udział w treningach nie był dobrowolny?

- Zaraz odbędzie się codzienny ceremoniał katowania nieszczęsnych podwładnych kapitana Żelańskiego - objaśnił Żuczek chytrze. - Od młodych żołnierskich lat wychowywano go w zbrodniczej religii w zdrowym ciele zdrowe cię i po dziś dzień nikomu nie udało się przeprowadzić w tym temacie skutecznej krucjaty.

- A ktoś próbował?

- Bba! - Komandos wydał wargi. - Chodź, dziecino, opowiem ci bajkę. Dawno temu, kiedy jeszcze na lotnisku w Chrcynnie odbywały się zwyczajne, niefioletowe skoki, miał miejsce wspólny obóz spadochronowy Grzmotów pod przewodnictwem Drakkara, i Ateciaków z Neonem w pełni władzy. Pierwszego ranka Drakkar powiódł swych chłopców na codzienną zaprawę. Odpękali biegusiem dziesięć kilometrów po okolicznych lasach, wrócili do baraku, patrząc zniesmaczeni: antyterrorcka śpi. Pokręcili głowami, ale nie pisnęli ani słówkiem, wszak wolność Tomku w swoim domku. W końcu tamci wstali. Wykonano stosowną liczbę skoków, wieczorkiem poimprezowano jak zwykle i towarzystwo poszło spać. Kolejnym rankiem to samo: Groszki biegają, Antki chrapią. Trzeciego dnia Drakkar nie wytrzymał, obudził Neona i zażądał wyjaśnień. Ten otworzył lewe oko i wycedził z pogardą: nie wiem, jak was, ale nas na miejsce akcji wożą samochodem. Proszę opuścić lokal i nie przeszkadzać w spełnianiu wymogów higieny lotniczej!

Klasnęła lekko w dłonie. Higiena lotnicza niezłomnie nakazywała osiem godzin snu.

- A to dobre! - powiedziała ze śmiechem. - Ale teraz Neon biega razem ze wszystkimi?

Żuczek pokiwał głową.

- Ano, co ma zrobić. Teraz Drakkar jest szefem. I nikomu nie daruje.

Odetchnęła głęboko. Nikomu?

- Mówisz, że mogłabym jakoś uniknąć?...

Uśmiechnął się po swojemu, szeroko i promiennie.

- Pewien poranny talk show bardzo pragnie pokazać publiczności naszą dziewczynkę w Osach. Wchodzisz w to?

- Pewnie - natychmiast się zgodziła.

Wizja dziesięciokilometrowego biegu napawała ją przerażeniem, najdalej po pierwszej ćwiartce koledzy obserwowaliby z politowaniem, jak kładzie się i umiera. Obciach jak stąd do nie widać. A miało być tak pięknie...

- No to załatwione - ucieszył się Żuczek. - Jedziemy!

- My?

- No bba. Ktoś cię tam musi obstawiać, nieprawdaż? Osobiście nie mam parcia na szkło, ty będziesz gadała, ja sobie postoję z boku i poczekam. Ale zawiozę cię, przywiozę - ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu - i przynajmniej raz urwę się

temu psychopacie!

Roześmiała się. Wyciągnęła rękę, przybili piątki.

- No to jedziemy!

## 2.

Wzięli busa Os, mimo że pomieściliby się i w mniejszym samochodzie. Woleli jednak mieć przy sobie chociażby kawałek lotniska, niczym talizman, chroniący przed złym urokiem. Strażnik na bramie zamachał im ręką życzliwie, otworzył szlaban, nie zadając żadnych pytań. Wyjechali w świat.

Pojechali Księżycową, potem Kwitnącą, Conrada, do Powstańców Śląskich. Jak na razie, miasto wyglądało, jak sprzed czasów katastrofy. Jakby nic się nie zmieniło. No, może trochę...

Ludzie pośpiesznie przemykali ulicami, jakby w każdej chwili mogli zobaczyć wystrzelające tuż przed sobą lodyżki fioletu.

Tabuny śmieci unosiły się w górze, porywane powiewami wiatru. To miasto nigdy nie lśniło przesadną czystością, teraz jednak na każdym kroku można było dostrzec przepełnione kosze, wypływające zawartość na od dawna nieczyszczone chodniki. W chłodnym kwietniowym powietrzu unosiła się charakterystyczna, bardzo nieprzyjemna woń. Ale, na szczęście, nie był to zapach migdałów.

Pojechali więc dalej.

Godzina ósma rano. Zero korków.

Skrzyżowanie Powstańców Śląskich z Połczyńską, nieprzejezdne o każdej porze dnia i nocy. Obowiązkowa kolejka na przynajmniej dwie zmiany świateł.

Teraz światła nie działały. W normalnych warunkach byłby to powód do nieprawdopodobnego chaosu. A teraz... pusto.

Skręcili. Żuczek dodał gazu, zmienił pas na lewy. Nie przeszkodził mu w tym nikt, ulica Wolska była całkowicie przejezdna.

- Idź na całość, Żuku! - podjudziła Milka. - Ile fabryka dała! Zawsze o tym marzyłam, kiedy się tu grzałam w tych korkach.

Skinął głową, dodał gazu. Przemknął przez rozjazd Kasprzaka i Wolskiej, popędził prawą stroną.

- Zapodaj jakąś muzę! - rzucił mimochodem.

Sięgnęła do radia, włączyła CD. Wódz miał zawsze coś fajnego wrzuconego w zmieniarke.

*Come as you are, as you were, as I want you to be...* - łomot Nirvany wypełnił niewielką przestrzeń, zasiał w nich nutki szaleństwa.

Twarze pojaśniały im w psychodelicznych uśmieszkach. To jest to. Jedź, Żuku. Szybciej, szybciej... Właśnie teraz, właśnie tu. Szybciej. Jeszcze szybciej. Właśnie teraz. Właśnie tu.

Wtem zahamował ostro, aż polecili do przodu. Oczywiście, nie pozapinali pasów. Specjalnie, bezczelnie. Policja przecież ma co innego do roboty. Zresztą niech im wlepią mandat, im, Osom, ha!

Skręcił w prawo, w Prymasa Tysiąclecia. Przemknęli pod wiaduktem kolejowym,

dotarli do ronda Zesłańców Syberyjskich. Światła nie działały, ale pomimo to ulice były całkowicie puste.

Żuczek skręcił w lewo, w Aleje Jerozolimskie. Potem odbił w prawo, do Grójeckiej.

Tu już nie można było udawać, że jest to wciąż ta sama stara, dobrze znana, zgiełkliwa, roześmiana Warszawa, tylko akurat większość mieszkańców postanowiła być na urlopie. Na ulicach ani żywego ducha. Najwyraźniej samo poblize zakazanej strefy napawało wystarczającą grozą.

Puste okna, puste domy, splądrowane, w ruinie. Sklepy, biura, banki pozamykane na cztery spusty. Ziejące otwory po wyważonych drzwiach, powybijane szyby. Gdzieniegdzie osmalone ściany, napiętnowane pożarem. Sterty odpadków, przewalane wiatrem z miejsca na miejsce, wirujące bezładnie, lecące wzwyż.

Bus przetoczył się przez Grójecką powoli, dotarł do ronda Zawiszy... Stop.

Wysokie, kilkumetrowe zasieki z drutu kolczastego broniły dostępu do zakazanej strefy. Zza nich wynurzał się Fiołek, z miejsca, w którym stali, widzieli od dołu jeden z jego olbrzymich, różowo-fioletowych liści. Wyciągał się w ich kierunku niczym apokaliptyczny bicz, zastygły w szyderczej groźbie. I kto, kto tutaj jest górą? - zdawał się zapytywać z zadowoleniem.

Żuczek wypatrzył przerwę pomiędzy poprzewracanymi słupkami ulicznymi, zjechał na chodnik przed hotelem Sobieskim, zatrzymał się. Popatrzył na Milkę... I palnął się pięścią w czoło z ostentacyjnym ubolewaniem.

- Sorki, ja tak z przyzwyczajenia - rzucił żałośnie.

- Jak ten koń, ciągle tą samą drogą do stajni. Wyjeżdżam z Babic, to na automacie ładuję się w strefę. Teraz trzeba się będzie odmeldować, bo Stróże narobią rabanu, że ich nasz busik szpieguje. To potrwa tylko chwilkę. Wsiadamy!

Milka wyszła z wozu posłusznie, spoglądając na posterunek zagradzający wstęp do zakazanej strefy. Wyszło zeń dwóch strażników. Przyglądali im się w napięciu, broń mieli przygotowaną do strzału. Zza drzwi wyzierało czujnie kilku następnych, przygotowanych na ewentualne niespodzianki.

- Jacyś nowi na tym posterunku... - Żuczek wyjął legitymację. - Jestem z Os!

Strażnicy podeszli ku nim zdecydowanym, równym krokiem.

- Mogę zobaczyć? - Jeden z nich opuścił broń, przyjrzał się legitymacji. - Osa - zameldował do nadajnika, zawiniętego wokół ucha.

Z posterunku wyszedł uzbrojony po zęby mężczyzna w szarym plamiaku. Pozostali strażnicy rozstąpili się przed nim z wyraźnym szacunkiem.

- No, pięknie, Kropa. - Żuczek pokręcił głową, wyszczerzając zęby w uśmiechu. - To teraz stoisz na bramce? Legalnie?

- Taki los - odparł tamten i wyciągnął ku niemu dłoń. - A ty co, stary? Znów przyszedłeś popatrzeć na roślinkę? Nie wystarczy ci widok z góry?

Uścisnęli sobie prawice krótko, mocno, po żołniersku.

- Ano, wyrwaliśmy się na miasto - wyjaśnił Żuczek. - W celach kulturalno-rozrywkowych.

- To widzę. - Kropa obrzucił Milkę dwuznacznym, taksującym spojrzeniem. - Rozrywki ci faktycznie nie brakuje.

- Zauważyłeś już naszą drogą koleżankę - Żuczek przerwał mu szybko. - Milka jest w Osach od paru dni. Świetnie sobie radzi.

- Gratulacje. - Stróż ujął jej dłoń i ucałował z szacunkiem, rzucając spadochroniarzowi krótkie, dziękczynne spojrzenie.

- Tak przy okazji - Żuczek przymrużył figlarnie oko - Neon prosi, żebyś dał mu halo. W wiadomej sprawie.

- Się zrobi. Powiedz mu, niedługo. Może jutro?

- Lima trzynaście zgłoś się! - zatrzeszczała wezwaniem krótkofalówka Stróża. Kropa sięgnął do radia.

- Lima trzynaście zgłaszam się - zameldował. - Chwileczkę... - Przykrył mikrofon ręką. - Słuchajcie, muszę spadać - rzucił przepraszająco. - Mamy kupę roboty, ludzie jakby powariowali, co chwila pchają się w strefę. Czy to ta dzisiejsza pełnia tak podziałała, czy co...

Skinął im głową na pożegnanie, odwrócił się i odszedł śpiesznie w kierunku posterunku, kiwając głową w rytm poleceń, otrzymywanych przez radio.

- Wracajmy do busa - powiedział Żuczek. - Biegusiem, bo się spóźnimy! I kochany naród się nie dowie, co my tu mamy za *Muppet Show*.

Wskoczyła posłusznie. Ruszyli z piskiem opon.

### 3.

Siedziba stacji telewizyjnej w Otwocku wydawała się przeniesiona w czasie ze starej, dobrej przeszłości, w której nikt nawet nie słyszał o kosmicznych problemach, a jeśli nawet, to jedynie w kontekście filmów i powieści science-fiction. Ożywiony tłum ludzi kręcił się to tu, to tam, wymieniając krótkie, uszczypliwe uwagi, gdzieniegdzie okraszone parsknięciami śmiechu - szokujący kontrast do powszechnie widywanych ponurych, wyblakłych min warszawiaków, którzy zdecydowali się do końca nie opuszczać swojego miasta.

Gości powitano bardzo życzliwie. Jakaś drobna blondynka natychmiast zaczęła dopytywać, czego sobie życzą: kawy czy herbaty, ale zaraz przybiegła inna, wręcz bliźniaczo podobna, i porwała Milkę do charakteryzatorni. Usadziła ją przed dużym, jaskrawo oświetlonym lustrem, odbiegła gdzieś w pośpiechu. Kosmetyczka zapytała tylko, czy Milka już malowała się dzisiaj, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, zaczęła szybkimi, oszczędnymi ruchami nakładać podkład. Zaraz też wróciła do ożywionej konwersacji z siedzącym tuż obok kolegą, ewidentnie gejem. Milka przysłuchiwała się im z bezbrzeżnym zdumieniem: mówili po polsku, ale nie sposób było zrozumieć o czym. Chyba o kosmetykach? Przestała więc słuchać, co za nuda. Zaczęła myśleć o czekającym ją występie: o co też mogą chcieć pytać prowadzący? A co ona, ona sama, mogłaby mieć do powiedzenia milionom rodaków? Oto masz swoje dziesięć minut na antenie, niczym trzy życzenia dla złotej rybki, wybieraj, panienko. Jaka będzie twoja wiadomość w świat?

Opowiesz o odwadze. O pokonywaniu ograniczeń, o przełamywaniu barier. Tych najtrudniejszych, bo własnych.

O tym, jak można mieć wszystko, jeśli tylko odważy się mieć marzenia. Tak, o tym trzeba powiedzieć, koniecznie.

Aha, i jeszcze o tym, jak cudowne, miękkie i fascynujące może być powietrze, jaką



miłość, jaki respekt potrafi wzbudzać ten żywioł, jakie...

- Oczy do góry! - zarządziła kosmetyczka.

Milka posłusznie popatrzyła na biały sufit. Może lepiej nie przesadzać z tą egzaltacją. Ludzie mogą nie zrozumieć, ośmieszy się tylko. Więc może lepiej będzie posługiwać się takimi oszczędnymi, krótkimi, żołnierskimi słowami. Mniej formy, więcej treści. Latam, bo kocham, to wszystko.

- Dziękuję!

Blondyneczka pojawiła się znów, schwyciła Milkę pod rękę, zaprowadziła z powrotem do poczekalni. Od razu przechwycił ją akustyk, zaczął przypinać czarny, plastikowy walkman, którego nazywał mikroportem. Wcisnął w dłoń przewód mikrofonu, kazał przewlec pod bluzką. Milka wykonała polecenie, a wtedy akustyk przypiął jej mikrofon do bluzki i surowo zakazał wykonywania zbyt dynamicznych ruchów głową i szyją.

Powlekła się na kanapę sztywno niczym paralityk. Usiadła koło Żuczka, prężącego mięśnie do granic przesady i roztaczającego wokół męski czar, jak najbardziej skutecznie: laleczki dookoła zerkwały co chwilę na przystojnego komandosa, z mniej lub bardziej ostentacyjnym zainteresowaniem. A Żuczek z minuty na minutę coraz bardziej popadał w samozachwyt.

Może i są wymalowane, wypielęgnowane i wypachnione, warknęła Milka w duchu z narastającym rozdrażnieniem. Ale nie skaczą!

- Prosimy do studia!

Wstała, czując, jak serce podchodzi jej do gardła i to bynajmniej nie w ten oszałamiający, wyjątkowy sposób, który następował tuż przed skokiem. Ten strach był nieprzyjemny, oślizgły, mdły. Zaraz robi z siebie idiotkę przed tłumem widzów. Cholera, może trzeba było pójść biegać z Drakkarem?

Uśmiechnęła się szeroko, podchodząc do stolika, przy którym tkwili prowadzący: kolejna blondynka (czy oni w tej telewizji nie znają innego koloru włosów?) i śniady, opalony brunet. Przywitali ją, przedstawili publiczności. Milena Czelańska, pierwsza kobieta w Osach. Wstrzymała dech. Zaraz się zacznie...

- Skąd u pani takie niekobiece zainteresowania?

Popatrzyła na prowadzącą, całkowicie zbita z pantałyku. To ma być ta najważniejsza wiadomość, którą trzeba przekazać światu?

- Nie wiem, taka się już urodziłam - wybąkała naprędce, aby nie pozostawiać pytania bez odpowiedzi. - Co prawda, bardzo długo byłam grzeczną dziewczynką, której ani w głowie powstało, że mogłaby realizować tak śmiałe marzenia - odetkała się nagle. Okej, pójdziemy tym tropem. Opowiemy o przełamywaniu barier. - Aż pewnego dnia przyszedłam na lotnisko...

- A czy ma pani tam w Osach specjalny, damski kombinezon? - przerwał jej facet, z jak najszczerzym zainteresowaniem w głosie.

Westchnęła, znów zbita z tropu. Ale dobrze, skoro taki zainteresowany modą, niech ma.

- Kombinezony są szyte na miarę, zawsze i dla każdego - odparła gładko. - Muszą być dobrze dopasowane, żeby można było latać jak najbardziej precyzyjnie.

Skoro nie chcecie o marzeniach, opowiem o powietrzu. O byciu jak ptak, doświadczaniu cudu przestrzeni całą powierzchnią własnego ciała. O...

- A co na to rodzina? Rodzice, dziadkowie? - Prowadząca uśmiechnęła się porozumiewawczo do publiczności. - Bardzo byli zdziwieni? Pewnie nie tak wyobrażali sobie swoją małą dziewczynkę?

- Rodzice się nie wtrącają, jestem dorosła - odparła Milka twardo, oczy jej pociemniały. - A dziadkowie nie żyją. Zabił ich Fiołek.

- Och, cóż za tragedia! - Zasmucony prowadzący pokręcił głową. - Rozumiem teraz, że robi pani wszystko, by nie dopuścić żadnej nowej Róży do powierzchni ziemi.

Milka przełknęła ślinę. Nie wiedzieć czemu, miała ochotę kłąć.

- Jasne - przytaknęła przez zaciśnięte zęby. - Po to tu jestem.

- Wzruszające, wzruszające - oznajmiła blondyna. - Dziękujemy bardzo za to szczere wyznanie, mam nadzieję, że docenicie państwo ciche bohaterstwo naszych dzielnych spadochroniarzy. Zostańcie z nami, za chwilę kolejny gość.

- Reklama - zabrzmiał głos z tyłu.

Milka wstała, zmusiła się do uśmiechu, podała dłoń prowadzącym. Zeszła z podium i jakby przestała istnieć, w tajemniczy sposób została całkowicie niewidzialną. Nikt nie zwracał na nią cienia uwagi, blondynki ćwierkały już dookoła kolejnego gościa. Nawet Żuczek siedział osamotniony na kanapie, jakby nagle utracił cały komandoski czar.

- No co, maleńka, spadamy? - Podniósł się na jej widok, wyszczerzył, jak zwykle. Pokiwała głową.

Milczała, póki nie dotarli do samochodu. Dopiero tam, w bezpiecznym środku busa Os, pozwoliła sobie na jedyny komentarz, jaki dudnił jej w głowie:

- Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa mać!

- Witamy w *Muppet Show*, dziewczynko - oznajmił Żuczek zaskakująco poważnie i wcisnął gaz.

#### 4.

- Sądziłaś, że będzie inaczej? - zahaczył ją po dobrych dziesięciu minutach milczenia, poszarzała Warszawa umykała za oknami ulica po ulicy.

Odwróciła do niego sposepniałą twarz.

- Nnno ttaaak - przyznała z oporem. - Wiesz, myślałam, że będę mogła naprawdę o czymś powiedzieć. O czymś, o kimś ważnym.

Wydał wargi, na poły z rozbawieniem, na poły z goryczą.

- O bohaterach, co?

- Czy to nie śmieszne? - sypnęła pośpiesznie słowami, chcąc zamaskować drżenie głosu. - Ludzie czytają o Conanie Barbarzyńcy i myślą sobie: to jest gość. Rozwalił łeb smokowi, zadusił węża-giganta, rozpieprzył w drobiazgi całą armię, wszystko w jedno popołudnie. Bohater! Czytają o nim z płonącymi policzkami A kiedy rozlega się głos syreny, może podniosą głowę na chwilę, i zaraz spokojnie opuszczają z powrotem. To nic takiego, to tylko straż pożarna jedzie.

Żuczek kiwał głową w takt jej słów.

- Zwykli ludzie, którzy wchodzą w rozszały ogień, by ratować tych, których

nawet nie znają – ciągnęła z przejęciem. - Bohaterowie? Ależ skąd. Po prostu strażacy. Jeżdżą sobie po mieście tymi swoimi czerwonymi wozikami i tylko wkurzają kierowców, bo im trzeba z drogi ustępować. Lukę Skywalker tak się nie zachowuje, o nie! Używa Mocy i leci górą!

- Tia - powiedział powoli. - Ale takich bohaterów jest mnóstwo. Jak dobrze spojrzysz, spotkasz co krok. Policjanci. Lekarze. Ratownicy, zwłaszcza ci górniczy. To jest coś, wleźć do zawalonego szybu kopalni, żeby wyciągać stamtąd gości, co do których nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze żyją. Albo jak instruktor AFF-u leci za studentem prawie do samej ziemi, żeby mu otworzyć spadochron, to jest bohaterem czy nie?

Popatrzyła na niego, przekrzywiając głowę.

- A ty? - zapytała poważnie. - Gdzie ty w tym wszystkim jesteś? Czujesz się bohaterem?

Milczał przez jakiś czas, patrząc na drogę.

- Nie wiem - odpowiedział wreszcie, bardzo powoli. - Wciąż nie wiem, kim jestem. Nawet kiedy przeglądam się w oczach innych ludzi, też mi to nic nie mówi.

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc.

- Zawsze podziwiałem innych, że są tacy odważni - spróbował wyjaśnić. - Robiłem więc też to i owo w nadziei, że wreszcie zobaczę, że i ja jestem kimś. Że jak przemogę się i wyskoczę z samolotu, wejdę w ogień, wstąpię w cyjanki, to poczuje się taaaki odważny. Dupa, cokolwiek bądź bym zrobił, wciąż jestem ten sam. Zwykły, normalny, przeciętny, szary człowiek. Nie mogę zostać we własnych oczach bohaterem, pomimoto, że wciąż jestem przekonany o absolutnej wyjątkowości moich kolegów. Zawsze są jeszcze inni, którzy już tysiące razy poszli do akcji, weszli w ogień i wodę, skoczyli ze spadochronem i te de, i to w warunkach, przy których oczy mi się pocą na samą myśl. Drakki, jak pierwszy raz wrócił z misji, opowiadał takie rzeczy, że miałem ochotę klęknąć i modlić się do niego. A potem sam tam pojechałem i mimo że też było dość gorąco, nadal nic się we mnie w środku nie zmieniło. - Zamilkł na chwilę, tracąc czoło dłonią. - Nie czuję się bohaterem, nic a nic - dorzucił z westchnieniem. - Za to podziwiam innych. To chyba chore, co?

- No nie wiem... - odrzekła w zamyśleniu. - Nie czujesz się bohaterem, ale publiczność czasem tak cię traktuje. Kolesie z podstawówki szpanują, że cię znają, panny szeregiem wskakują ci do łóżka... To chyba o czymś świadczy, nie?

- Kiedy cały problem w tym, że te panny lecą na bohaterskiego komandosa, nie na mnie - odparł poważnie. - Nie obchodzi ich w ogóle, kim jestem ja, Zygmunt Kępiński, Polska. Równie dobrze mógłby tam być jakiś manekin, ubrany w mój mundur, a potem wykonujący posuwisto-zwrotne ruchy. To jest niczym łóżkowy autograf, mnie tak naprawdę przy tym nie ma w ogóle.

- Wiesz co, masz rację - powiedziała, kiwając głową.

- Spotkałam kolesia, który po prostu chciał przelecieć spadochroniarkę. Paskudnie się po tym czułam.

- No właśnie - przytaknął Żuczek. - I co, zostałeś bohaterką we własnych oczach? W ten sposób?

- Nie no, daj spokój - zaprzeczyła gorąco. - Ja, no coś ty. Nie mylmy pojęć. Ja skaczę, bo po prostu lubię. Uzależniona jestem od powietrza i nie potrafiłabym

przestać, nawet jakbym chciała.

- Ale kiedy mówisz to innym, normalnym ludziom, uważają, że to takie krygowanie się i fałszywa skromność. Że tak po prostu wypada ci powiedzieć, w gruncie rzeczy zaś masz ego nadęte do granic możliwości.

- Pewnie tak - przyznała. - Trudno znaleźć kogoś, kto to zrozumie. Chyba że sam to robi.

- A już znalezienie osoby płci przeciwnej graniczy z cudem - zapalił się nagle. - Spotyka nasz bohater pannę, ona jest z początku wniebowzięta: co za facet! Jaki odważny i męski, w ogóle i w szczególności. Do tego sprawny i wybiegany, pewnie będzie ją bzykał non stop kolor. Cieszy się więc, że jej się taki trafił, a koleżanki zielenieją z zazdrości. Przez jakiś czas jest super, istna sielanka. Dopiero potem panna zaczyna kojarzyć, że generalnie to jego ciągle nie ma, bo przecież właśnie jedzie na misję albo z niej wraca ze zrytym beretem i żeby wypocząć, jest na skokach. Co gorsza, zawsze istnieje możliwość, że on z tych rozrywek wszelakich po prostu już nie wróci. A ona chciała mieć ten swój kawałek spokoju i miłe ciepło domowego ogniska, a nie permanentny stres. Po jakimś czasie sielanka zamienia się w koszmar, z którego obie strony wypisują się znacznie szybciej, niż w ogóle się wpakowały.

- To weź sobie dziewczynę komandoskę albo spadochroniarzkę - powiedziała Milka rozsądnie. - Będziecie się wtedy rozumieli. I oboje będziecie woleli na skoki albo w ogień, zamiast do dyskoteki.

Nie spojrzał nawet na nią, całkowicie pochłonięty prowadzeniem.

- Oj, Milka - mruknął przez zęby. - Ile jest takich dziewczyn? Malutko. I albo są już zajęte, albo mają charakter Cindy, dziękuję pięknie.

- Co, nie podoba ci się? - zapytała szybko. - Nasza modelka...

- Ależ daj spokój - prychnął z pogardą. - Zarówno ja, jak i mój brat jesteśmy poniekąd dumni z przynależności do wąskiego i elitarnego klubu facetów, których nie zdołała przelecieć.

- Klub zawęża się coraz bardziej - rzekła cynicznie, przed oczami stanął jej Drakkar, niknący w drzwiach wraz z rozszechniętą pięknnością. - Nie wiem, czy nie jesteście w nim sami.

Zerknął na nią szybko, badawczo. Zaczzerwieniła się, przeklinając w duchu brak ostrożności. Żuczek nie jest głupi, pewnie się domyślił.

- Wielu z naszych - powiedział powoli, ostrożnie - ma nieźle poharatane dusze. Porozbijane małżeństwa, zawiedzione nadzieje, zdrady, rozwody. Nie dziw się, że biorą, co jest, i nie pytają o więcej.

To czemu nie bierzesz i ty, chciała zapytać, ale zamilczała. Pytanie zdało jej się zbyt obcesowe, nie można naciskać w takich sprawach. Będzie chciał, to sam powie. Kiedy nadejdzie czas.

- No, jesteśmy w domu - oznajmił Żuczek, zatrzymując się przed bramą lotniska. - Spasiba rebjata, szto dowiezli, nie ubili - rzucił starym, lotniczym tekstem, znów błyskając swym zwykłym uśmiechem.

Ciekawe, co tam tkwi pod tą radosną maską, przemknęło jej przez myśl. Otchłań, odpowiedziało przeczucie. Otchłań, jak ta tuż przed skokiem. Nic więcej, nic mniej.

Żuczek odwrócił się, zamachał ręką strażnikowi na bramce. Szlaban powędrował do góry. Ruszyli.

Milka odchyliła głowę w tył, przymknęła powieki. Wróciły ponure, gorzkie refleksje. Patrzcie państwo i podziwiajcie: oto nasza dzielna dziewczynka w Osach przyjechała z delikatnej, politycznej misji. Opowiadała o nas w telewizji!

I, doprawdy, ach, jakie to było wzruszające.

## 5.

- Potrzebuję waszej pomocy, panowie.

Kamieńczyk patrzył na dwóch wyprężonych przed nim Stróżów. Stali na baczność, z oczu wyzierały im pokłady niepewności. Dla nich, sierżanta i chorążego, jako pełen pułkownik bywał zazwyczaj jedynie źródłem potencjalnych problemów i wiedział o tym doskonale.

- Prosiłem waszego dowódcę o ludzi zaufanych, a jednocześnie potrafiących w niekonwencjonalny sposób podejść do wykonywanego zadania.

Błysk w oczach. Ale nie ten zwykły, prostacki, pojawiający się zazwyczaj w odpowiedzi na pochlebstwo. Ten błysk to niepokój, skryte pytanie, czy nie szuka się aby kandydatów do roli kozła ofiarnego. Znaczący, nie są głupi.

To dobrze i niedobrze zarazem. Ale bardziej dobrze niż niedobrze.

- Byliście w tym trzecim Rosomaku, obaj. Straszna sprawa. Domyślam się, że żal wam pozostawionych w nim kolegów?

Kolejny błysk, ukradkowe, nerwowe spojrzenia. Oczywiście, sprawa cały czas balansuje na granicy oskarżenia o opuszczenie kolegów w potrzebie. Dobrze, niech się boją, obaj. Niech się boją teraz, bardzo, im bardziej, tym lepiej.

- Tak jest!

Potrzymał ich tak przez chwilę, w pełni świadomy, że kulą się wewnętrznie pod jego spojrzeniem. Wtem uśmiechnął się, przyjaźnie, łagodnie.

- Opuśćmy sobie służbowy dryl - zaproponował, wskazując wygodne fotele i stół.

- Panie pułkowniku... - Skinęli głowami, ruszyli posłusznie do mebli.

Usiedli, wciąż spięci, czujni, nieufni.

- No i jak tam było? - Przymrużył lekko oczy, po czym strzelił precyzyjnie: - Podobno zupełnie jak w Iraku?

Popatrzyli jeden na drugiego, nadal milcząc, choć powinni się odezwać, regulaminowo. Boją się, skonstatował z satysfakcją. Teraz już na pewno.

Więc czas na ulgę.

- Dajcie spokój, wiem, jak było - mruknął, zwalniając ich z konieczności odpowiedzi. Sięgnął po butelkę mineralnej, zaczął nalewać do szklanek. - Mamy kłopot, cholerny kłopot.

Milczeli nadal przezornie.

- Powiem wprost: wątpliwe, żeby świat arabski postanowił sobie pohulać w naszej strefie śmierci. Mają lepsze cele i swoje własne Fiołki na ulicach. A zatem... Musiał to zrobić ktoś z naszych.

Popatrzyli mu w oczy, bystro, prosto, wciąż bez jednego słowa.

- I na tym polega problem, panowie - westchnął z lekka. - Któryś z naszych byłych

żołnierzy albo jest na usługach mafii, albo kręci własne lody. Obie opcje są dość nieciekawe.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku, ale wydaje mi się, że ustalenie tego to chyba robota SKW? - ostrożnie zapytał Stróż. - Z chęcią pomoglibyśmy wraz z kolegą, ale...

- Doskonale, sierzancie, chwyta pan wlot - wpadł mu w słowo Kamieńczyk. Ostrożnie, teraz ostrożnie, napomniął się w duchu. - Prawie dokładnie o to chciałem was prosić: o dyskretny kontakt z Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego. SKW niewiele wie o mafii, potrzebni więc będą goście z MSWiA. Będziecie z nimi współpracować.

- Współpraca polegałaby na...? - odważył się zapytać chorąży.

Kamieńczyk odetchnął głęboko.

- Na początek trzeba dorwać języka - oznajmił wprost. - Ale jest problem. Jeśli zgarnie go piątka, sprawa pójdzie torem cywilnym. A wiecie, że masa pismaków węszy koło Agencji, nie daj Boże sprawa pójdzie w eter, niedobrze.

- Mamy ich wyręczyć? - parsknął sierżant. - Na cywilnym terenie? Z całym szacunkiem, panie pułkowniku...

- Macie im pomóc - odparł Kamieńczyk poważnie.

Pochylił się nad stolikiem, spojrzał operatorom w oczy. Przenikliwie.

- Kilku zaufanych kolegów dokona zatrzymania w waszym towarzystwie... - urwał na chwilę, potęgując napięcie. - Bo coś mi się wydaje, że zatrzymanie nastąpi w zakazanej strefie - dokończył szybko.

Odchylił się z powrotem i patrzył, jak przetrawiają podaną myśl.

- Zatrzymany w strefie nie ma żadnych praw - mruknął wreszcie chorąży, wbijając poważne spojrzenie prosto w oczy pułkownika. - Można go... Zlikwidować?

- Albo porządnie przesłuchać.

- Na tym akurat specjalnie się nie znamy.

- Wciąż będziecie mieli do pomocy kolegów zABW.

Pokiwali głowami, obaj, jak na komendę.

- Skąd wiemy, że zatrzymanie nastąpi akurat w strefie?

Kamieńczyk uśmiechnął się.

- Ot, przeczucie. Ale jeżeli wszyscy: ja, wy i goście z Abwery, będziemy mieli takie samo przeczucie, chyba się sprawdzi?

- Jasna sprawa, szefie - zgodzili się z ledwo wyczuwalną, ale jednak obecną ulgą.

- Nie możemy tego spieprzyć, panowie - zaczął mówić szybko, z naciskiem. - Jeżeli to zrobił ktoś z naszych, to nie jest cienki Bolek. Może być gorąco. Musimy go powstrzymać, zanim się zrobi jeszcze cieplej. A z drugiej strony... - machnął głową, jakby odpędzał przykrą myśl niczym niesforną muchę - nie chcielibyśmy, by się o tym dowiedział cały świat. Zwłaszcza że musimy brać pod uwagę, że ten ktoś mógłby pochodzić z waszej jednostki... - zawiesił głos w oczywistym niedopowiedzeniu.

Potaknęli natychmiast.

- Dowódca rekomendował was jako profesjonalnych, sprytnych i zaufanych. Nie ukrywam, byli też i inni kandydaci. Ale nie mogę opowiadać wszystkim tej samej historii i patrzeć, jak reagują, bo prędzej czy później szlag trafi całą dyskrecję. Wybrałem akurat was. Czasami muszę się oprzeć na intuicji. Mam nadzieję, że nie

sprawicie mi zawodu.

Umilkł, zaczął czekać na odpowiedź. Znajome mrówki spacerowały pod skórą. Udało się czy się nie udało? Śliska sprawa, bardzo śliska, prawdę mówiąc nie powinni w ogóle dać się w coś takiego wpuścić, jeśli nie są głupi. A przecież nie są, to już ustaliliśmy na początku.

Ale, drogie, rybki, patrzcie, co tu wisi na haczyku. Supertajna akcja, smakowita adrenalina i, jeśli wszystko wyjdzie, potężny kop w górę, ślepy by nie zauważył. Więc jak, bierzecie?

- Oczywiście, szefie! - zgodzili się obaj, o ile zdołał ocenić, szczerze.

Ale pewności nie mógł mieć żadnej, bo przecież wiedział, jak bardzo chce, żeby się zgodzili; musiał brać poprawkę na swoją ślepą plamkę.

No cóż, czas pokaże. Trzeba zaryzykować. Grając bezpiecznie, nie ugrasz nic.

Wstał, wyciągnął rękę.

- Dziękuję. Wydam rozkaz, by zdjęto was z patroli i przydzielono pod moją osobistą komendę.

- Tak jest!

Uścisnęli sobie dłonie, mocno, po żołniersku.

## 6.

- Wierzysz mu? - Artysta ośmielił się na szept, dopiero gdy budynki dowództwa na dobre zniknęły za plecami.

- Może nas w coś wkaszać - zaszemrał Kajman. - Z nim to nigdy nic nie wiadomo.

Przystanęli.

- Ale i może pchnąć do góry. Wiecznie będziesz siedział w tych cyjankach?

- Dobra, nie ściemniaj, wiem, co ci chodzi po głowie.

Artysta odwrócił twarz.

- Chcesz mieć więcej luzu, stary. Opuścić sobie dyżury i szwendać się to tu, to tam. Tylko nie wiem po co, przecież wszystko masz gotowe.

Tamten milczał, uparcie wpatrując się w zielone gałęzie drzew.

- Wchodzę w to razem z tobą, w końcu obiecałem cię pilnować. Ale bez przegięć, rozumiesz? Żadnych głupot. Obiecaj mi.

- Chodźmy się napić - wymamrotał Artysta, a Kajman wiedział dobrze, że to już jest koniec tematu.

- Zgoda, ale kulturalnie, między ludzi - westchnął z rezygnacją. - Nie będziesz zachlewał ryja w bazie.

- Jak chcesz. - Artysta powrócił do kolegi pustym, roztargnionym wzrokiem. - Jak tylko chcesz.

I ruszył naprzód, bez słów.

## 7.

Zstąpili do piekieł.

Lokal słusznie nazywał się Inferno. Szereg piwnic ciągnął się w amfiladzie, czerwony wzór spływał po poczernionych ceglach niczym świeża krew. Drewno i metal łączyły się we wzorach naśladowujących płomienie.

Wylądowali w nim w dość ograniczonym składzie: Drakkar, Ari, Żuczek, Milka, Neon, Kokos, Filozof. Weszli, rozglądając się. Zaledwie kilkanaście osób siedziało przy stolikach, lokal można było uznać za prawie pusty. Może pora była zbyt wczesna?

Podeszli do podłużnego, drewnianego stołu. Milka wsunęła się pod ścianę, siadła na szerokiej ławie. Żuczek i Ari zajęli swoje stałe miejsca u jej boków. Drakkar zaparkował zaraz za Żuczkiem, w kącie, plecami do ściany.

Neon i Filozof zasiedli na ławie naprzeciwko. Zaraz jednak kamerzysta zerwał się, rzucając krótkie „ja pierwszy stawiam”, i podszedł do baru. Nie spytał nawet, co chcą zamówić. Odpowiedź i tak była jasna: najwyżej piwo, nic innego nie wchodziło w grę. Bo jeżeli zaraz będzie alarm?

Neon pierwszy dojrzał swój łup. Mruknął „przepraszam” i wystartował w kierunku dwóch dziewczyn, chichoczących przy barze. Zagadał do nich, przystawił wysoki stołek, zasiadł i zaczął roztaczać czar.

Po chwili w jego ślady poszedł Kokos, wypatrzył jakąś pociągającą brunetkę i ruszył do boju, tokując z całych sił.

Filozof powrócił, objuczony kuflami. Odebrali swoje napoje i zaczęli popijać w milczeniu.

Filozof podniósł piwo, przepił do Żuczka, popatrzył nań pytająco. Ten zmrużył powieki. Podnieśli się obaj naraz, jak na zawołanie. Przesiedli do baru, zaczęli rozmawiać półgłosem. Chyba o czymś poważnym, bo oczy Żuczka z minuty na minutę traciły roześmiany blask.

Ari przysunął się bliżej do rozglądającej się wokół ciekawie Milki. Wtem popatrzył w głąb sali. Zamrugął, przechylił głowę, popatrzył uważniej. Jego zwykły uśmiech wyparował nagle.

- Przepraszam na chwilę - powiedział, wstając. - Bawcie się dobrze - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Skierował się do drugiego pomieszczenia, podszedł do towarzystwa zajmującego przeciwległy stół. Przywitał się z nimi, po czym od razu zaczął rozmawiać z wysokim, chudym facetem o dość odpychającym wyrazie twarzy.

Milka i Drakkar zostali sami.

Wbiła wzrok w przeciwległą ścianę, czując, jak narasta niezręczne, pełne skrępowania napięcie. Drakkar popatrzył na nią, odchrząknął.

- Zatańczymy? - spytał z westchnieniem, które zinterpretowała jako: chyba wypadałoby się jakoś zachować.

- Czemu nie - odparła szybko, bez zastanowienia.

Wstali, przemieścili się na niemalże mikroskopijny parkiet. Objęli się, zaczęli kiwać w rytm jakiegoś wolnego kawałka.

Położyła mu głowę na ramieniu, patrząc na jego ostry, zdecydowany profil.

Drakkar to kot. Zawsze chodzi swoimi ścieżkami, nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. I jest w nim ten pierwotny zew, ta chemia drapieżcy, której po prostu nie sposób się oprzeć.



A teraz jest tutaj blisko i głupie serce znowu zaczyna sprinterski szal.

Didżej zmienił muzę, przyśpieszył rytm. Głośniki zapulsowały jakimś szalonym remiksem *Disturbii* Rihanny. Drakkar przeszedł gładko do prowadzenia. Milka dostosowała się natychmiast, zawirowała w obrotach.

*What's wrong with me?  
Why do I feel like this?  
I'm going crazy now*

Tak, teraz właśnie oszaleję, pomyślała, świat rozmazywał się dookoła wśród rozbłysków czerwieni. Oszaleję dla tego faceta i nic na to nie poradzę, wystarczy jego dotyk, jego zapach i całkowicie tracę rozum. Ci, którzy są dookoła, w niczym nie są od niego gorsi, a jednak jakby wcale nie istnieli.

*It's a thief in the night to come and grab you  
It can creep up inside you and consume you  
A disease of the mind, it can control you  
It's too close for comfort*

Kiwnąłby palcem i poszłabym za nim, dokądkolwiek by zechciał.

Oszalałaś, wariatko. Przecież to jest Drakkar, znasz go, wiesz, kim jest. Jeżeli nawet cię zechce, to weźmie, a nazajutrz wyrzuci do kosza jak zużytą rzecz. Musisz sobie z tego zdawać sprawę. Więc nie bądź głupia, nie próbuj się do niego zbliżyć w żaden sposób, zwłaszcza ten. To dopiero będzie bolało.

*Put on the break lights, we're in the city of wonder  
Ain't gon' play nice, watch out you might just go under  
Better think twice, your train of thought will be altered  
So if you must falter be wise*

Ach, nie dbam o to. Nie dbam już o nic. Jutra może nie być wcale. Jutro może być Róża.

*Your mind's in disturbia, it's like the darkness in the light  
Disturbia, am I scaring you tonight?  
Disturbia, ain't used to what you like  
Disturbia, disturbia*

Drakkar świetnie tańczy. Wiesz, że jak komu z kim w tańcu, tak w łóżku? Mowa ciał. Co mam zrobić, co mogę zrobić, żeby mnie zechciał chcieć?

*Release me from this curse I'm in  
Trying to maintain but I'm struggling  
If you can't go-o-o  
I think I'm gonna ah, ah, ah, ah*

Wtem Drakkar potknął się, zgubił rytm. Naprawił to zaraz, ale jego ruchy straciły

poprzednią miękkość, stały się spięte, wymuszone...

- No proszę, kapitan Żelański w pełnej krasie! - rzekł jeden z dwóch postawnych mężczyzn, którzy właśnie podeszli ku nim.

*...it's like the darkness in the light...*

Drakkar zatrzymał się, uśmiechnął zdawkowo.

Znienawidziła ich natychmiast za to, że przyszli i przerwali ten słodki trans, że śmia w ogóle istnieć w tej jednej jedynej chwili... Odetchnęła głęboko, raz, potem drugi. Opanuj się, wariatko. Opanuj!

- No co tam słyhać na starych śmieciach? - rzucił Drakkar, siłąc się na swobodny ton.

- Stara bieda - odparł ten z prawej strony, po czym obrzucił dziewczynę uważnym, taksującym spojrzeniem. - Przedstawisz nas?

Milka spięła się. Nie podobał jej się wyraz jego oczu, nie podobał ani trochę. Było w nim coś aż zapieczonego w nienawiści. I nagle ta nienawiść zdawała się dotyczyć także jej.

- O, przepraszam - odparł Drakkar powoli. - Schamiałem na tym pastwisku. To jest Milka. Koleżanka z pracy.

Wyciągnęła dłoń do gości, podając ją z silnym, prawie męskim uściskiem. Dopiero ponieważ zreflektowała się, że przecież Drakkar nie wyciągnął ku nim dłoni ani też oni ku niemu. Więc może i ona popełniła właśnie jakiś błąd?

- Kajman - powiedział ten z lewej.

- Artysta - skłonił się drugi.

Byli praktycznie nie do odróżnienia, niczym bracia bliźniacy. Ogolone głowy, identyczne szare bluzy z kapturem, sprane džinsy, takie same sylwetki. Takie same zimne, stalowoniebieskie oczy.

- Wylazłeś z nory, co? - zaśmiał się Artysta prosto w twarz Drakkarowi, zdecydowanie bardziej szyderczo niż życzliwie. - Najwyższy czas. Wracasz do pracy?

- Jestem w pracy. Jestem w Osach.

- Tak, słyszeliśmy. Zbawiasz świat. Podobno. Jak zwykle. I co, jak zwykle ciągle ktoś ginie?

Drakkar milczał przez chwilę.

- Nie chowam się, wiesz - powiedział w końcu. - Zobaczysz mnie choćby i z kilometra. Przecież potrafisz. - Skrzywił się lekko. - Nie ustępujesz nikomu.

- Akurat na tym mi mniej zależy! - stwierdził tamten gwałtownie. - Pomóc ci wykreować się na bohatera? Chciałbyś!

- Może.

- Podobno masz nowy, fajny zespół. Lecą za tobą aż do ziemi. Miło, nie?

- Chcesz się zamienić? Naucz się lepiej skakać.

Zamilkli obaj, pozornie niewzruszeni, ale coś mówiło Milce, że obaj w środku zaczynają gotować się ze złości. I że jej obecność jest tu absolutnie niewskazana.

- Chyba się przejdę w ustronne miejsce - wyrzekła powoli. - Przepraszam, panowie...

- Pani wybaczy! - skłonił się Artysta natychmiast. - Przeszkodziliśmy w zabawie. -

Przerzucił spojrzenie na Drakkara. - Proszę kontynuować, kapitanie, swój bal z koleżanką z pracy. Póki pan jeszcze może. Koleżanki, jak pan dobrze wie, szybko się zużywają.

Drakkar podniósł wzrok, Milka aż zadrżała: w tym spojrzeniu kipiała wojna. Nabrał powietrza w płuca...

- Za chwilę, panowie, obaj powiecie zdecydowanie za dużo - wtrącił spokojnie Kajman. - Może uznacie tę rundę za zakończoną?

Przenieśli na niego wzrok, ewidentnie z całych sił starając się zapanować nad rozszalałym wewnątrz sztormem.

- Mogę mieć tylko nadzieję - wycedził Drakkar - że wszystkim nam jest tak samo żal naszego nieocenionego kolegi Sokoła. Zginął ostatnio. - Uderzył Artystę spojrzeniem niczym ciosem w twarz. - Zauważyłeś, oczywiście? Pytam, bo może ci umknęło, ze zrozumiałych względów. Ale to był gość.

Artysta poczerwieniał, zatrząsł się. Otworzył usta... I zamknął je, z nagłym kłapnięciem, zerknąwszy w bok. Filozof z Żuczkiem oderwali się od baru i byli tuż-tuż.

- Idziemy. - Kajman chwycił kolegę za rękę, założył mu „łabądka”. - Nic tu po nas. Miłej zabawy, kapitanie! - Poprowadził Artystę w bok, posłusznego niczym dziecko.

Żuczek stanął przy boku Drakkara niczym gwardzista, wilczym spojrzeniem spode łba odprowadzając przybyszy. Filozof przeszedł odrobinę do tyłu i tak jakoś zawinął Milkę, że znalazła się za plecami wszystkich trzech. Stali na parkiecie, omiatani jaskrawymi światłami reflektorów.

- Przepraszam - powiedział Drakkar głosem, w którym można by się dosłuchać śladu drżenia. Odwrócił się do Milki. - Przepraszam. Możemy wrócić do stolika?

- Jasne - bąknęła.

Ruszyli wszyscy trzej, jak na komendę. Podreptała za nimi, z sercem oplecionym dziwnym, nieswoim żalem i niewytłumaczalnym, zagadkowym strachem. To nie było nic dobrego, to, o co się właśnie otarła. To nie było nic dobrego, dla nikogo.

- Za każdym razem, kiedy go widzę - wycedził Żuczek przez zaciśnięte zęby - mam ochotę zapytać, czy żal mu Heńka. Czy może nie bardzo, bo jego akurat zapomniał pierdolić.

- Właśnie go zapytałem - rzucił Drakkar z mrokiem wżartym w twarz. - Też byłem ciekaw, co odpowie. Ale mi przerwaliście.

- Kuurwa, panowie! - syknął Filozof. - Dama na pokładzie. Mało wam?

Zamknęli się natychmiast, przeżuając niewypowiedziane słowa. Zasedli przy stole, chwycili kufle z piwem, zaczęli popijać drobnymi, oszczędnymi łykami.

Mam dość tej całej imprezy, pomyślała Milka ze zmęczeniem. Czuję się, jakbym wlażała w gniazdo żmij i podskakiwała, próbując nazwać to tańcem. Bez bladego pojęcia, którędy do wyjścia.

- No, jak się ma nasza laleczka? - rzucił Żuczek, siląc się na jak najcieplejszy ton. - Zmęczona?

Nie odpowiedziała. Laleczka, tak, to dobre określenie. Albo paprotka, też niezłe: stoi sobie w kącie, stoi i wygląda, szkoda tylko, że nie kwitnie. Ale czego byś się spodziewała? Że wejdiesz do ich świata naprawdę, głęboko? Że kiedykolwiek będziesz jedną, cha, cha, jednym z nich? Nie wystarczy ściąć włosy, by zostać

komandosem, wiesz?

Wysił się na szczerość, mała: zrobiłaś to wszystko po to, by być bliżej Drakkara. Ale nie będziesz bliżej, nigdy. Nie zrozumiesz, co w nim siedzi, ani on ci tego nie zechce pokazać. Musiałabyś z nim jechać na misję... i tam razem z nim zabijać, dobry żart.

Ale przynajmniej możesz razem z nim - razem z nimi wszystkimi - ciąć aż do końca w dół.

To też coś?

## 8.

Artysta trząsał się jak galareta, łapy mu latały. Kończy się chłop, westchnął Kajman, ocierając ramieniem spoconą skroń. Jeszcze go nie wiedziałem aż takim.

- Dorwiemy chuja.

Kajman pokiwał głową uspokajająco. Rozejrzał się naprędce: są świadkowie? Jacyś ważni świadkowie, z którymi w razie czego trzeba byłoby się liczyć?

- Jasne, stary. Dorwiemy - rzucił, mrużąc oczy.

Tam, w kącie: czy to...?

- Dorwiemy!

- Tak, dorwiemy. A teraz się zamknij i udawaj beztroskiego motylka. Patrz, Kamieńczyk na nas filuje.

Wskazał oczami wyściełaną niszę, w której pułkownik i Eli przytulali się w najlepsze. Wydawali się zajęci tylko i wyłącznie sobą. Ale Kajman chwycił się, czego tylko mógł.

- Zdejmie cię z roboty, a zamiast tego wyśle do psychiatryka, zobaczysz. Tym razem się nie wywiniesz.

- A niech wyśle tego skurwysyna. - Artysta ani na jotę nie zmienił rozszalałego wyrazu twarzy, drobniutkie kropelki śliny tryskały mu z ust za każdym słowem,

- Złóż podanie do sekretariatu dowództwa. - Kajman spróbował zażartować, ale zobaczył, jak oczy kolegi stają się od tego tylko jeszcze bardziej rozbiegane, więc zmienił taktykę: - Wyluzuj. Sami go wyślemy. I to w znacznie gorsze miejsce.

- Tak. Żeby nie zginął na posterunku. Tylko zdechł parszywie. Bardzo parszywie.

- Tak - powiedział Kajman powoli, myśląc, że to wszystko wyślizguje się już poza zasięg jego możliwości, że coraz bardziej traci kontrolę. - Załatwimy go, skończy haniebnie. A teraz chodź.

- Zajeziemy go!

- Tak, tak.

Kajman zerknął znów. Teraz już Kamieńczyk patrzył prosto na nich, nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Cień afery, a wylecimy z akcji w trybie natychmiastowym, przemknęło mu przez myśl. Szczęście, że Drakkar miał obstawę, Artysta mógłby chcieć go zatłuc gołymi rękami. I bez względu na wynik starcia dla nikogo by się to dobrze nie skończyło.

Skurwiel jeden, musiał się pojawić akurat tutaj? Akurat dziś?

- Chodźmy stąd, stary - powtórzył, wtem przypomniał sobie, że wciąż trzyma

dźwignię na nadgarstku kolegi, przycisnął więc mocniej. Artysta jednak ani drgnął. - Wypieprzajmy stąd.

- Zajeziemy go - zaczął powtarzać tamten jak porysowana płyta. - I każdego, kto nam będzie w tym chciał przeszkodzić. Zajeziemy. Zaje...

- Oczywiście, przecież masz plan. Doskonały plan. Nie spieprz go teraz. Pchasz się Kamieńczykowi przed oczy. Po co?

Artysta uspokoił się natychmiast. Zaczął głęboko oddychać: wdech, wydech, wdech. Zerknął na pułkownika przyczajonego w kącie, uśmiechnął się zdawkowo.

- Masz rację. - Przeniósł wzrok na swój wykręcony nadgarstek, zdziwił się, jakby ten należał do kogoś innego. - Puść.

Kajman puścił go natychmiast, w końcu nie miał najmniejszej ochoty się z nim siłować, nie teraz, nie tu. Zresztą może tamten w końcu otrzeźwiał, zobaczy się.

- Wracamy do bazy - oświadczył Artysta.

Odetchnął jeszcze raz i ruszył do drzwi. Zaczął coś pogwizdywać pod nosem, muzyka z głośników zagłuszała melodię, ale przecież Kajman doskonale wiedział, co to jest.

*Małe mieszkanko na Mariensztacie, to moje szczęście, to moje sny...*

## 9.

- Nienawidzą się - szepnął Kamieńczyk prosto do ucha swojej wadery. - Tych dwóch z Drakkarem. Nienawidzą się jak psy.

Spojrzała w kierunku znikających w drzwiach pleców Kajmana i Artysty, a potem stolika, nad którym pochylały się ponure twarze Os. Dobra była ta nisza, bez dwóch zdań. Można było z niej obserwować prawie wszystkich, samemu nie rzucając się w oczy.

- Aha. Nienawidzą się.

- Ci goście to Stróże. Zajebyści są, wiesz?

Dyskretny, niemal niezauważalny uśmiech zagościł jej na twarzy.

- Im więcej wiesz o Drakkarze, tym bardziej mnie to cieszy - rzuciła krótko. - Wzmacnia mój patriotyzm.

Pogładziła go po gładko ogolonym policzku. Zaczęli się całować, bez dalszych komentarzy.

# Rozdział 7

## **ZACHOWAJ SPOKÓJ - RADZENIE SOBIE ZE STRESEM**

*Ludzie reagują w chwili zagrożenia w różny sposób. Typowe reakcje obejmują: Gniew. Bezsenność. Koszmary senne. Otepienie. Potrzebę wygadania się. Utratę apetytu. Przyrost lub utratę wagi. Bóle głowy. Huśtawkę nastrojów.*

*Spróbuj postępować w sposób następujący: Zachowuj dobrą kondycję. Rozmawiaj z rodziną i przyjaciółmi. Upewnij dzieci, iż są bezpieczne. Na pytania dzieci odpowiadaj w sposób prosty, bezpośredni i uczciwy. Zachęcaj dzieci do wyrażania uczuć. Docieraj do innych.*

Bądź bardziej bezpieczny- Przewodnik MSWiA

### 1.

- Obstawiasz?
- Jasne.
- Dobra. To ja go ruszam. Sap, sap, sap.
- Ciężki skurwysyn.
- Aha. I rozlazły.
- Przestań, bo rzygnę.
- Po prostu widzę.
- To patrz gdzie indziej. Miałeś obstawiać.

Żuczek potoczył przyrządami celowniczymi po okolicznych kamienicach.

- Przecież obstawiam.
- Mówiłem ci: to nie żarty!
- Przestań, co ja pierwszy raz jestem w strefie?

Filozof sapnął ponownie. Podniósł się nieco, wytarł umazane rękawice o ubranie kolejnego trupa. Gość był ubrany w kurtkę, której kolor można by od biedy uznać za zgniłozielony. Ale nie miał na sobie żadnego plecaczka - może jednak ten upadł gdzieś obok? Filozof zaczął przeszukiwać okolicę, metodycznie, powoli, odsuwając kolejne zwłoki. W tym miejscu Orbitery pokazywały wyraźnie stosy splecionych w męce ciał, plecaków mógł się gdzieś zawieruszyć pomiędzy nimi.

- Chujowizna totalna - zauważył Żuczek uprzejmie. - W tym tempie do końca ulicy dojdiesz najwcześniej za dwa lata.

- Nie jest źle - odparł tamten bez specjalnego przekonania. - W preselekcji mogę odrzucić dzieci, staruszki i wszystkie te seksowne nastolatki.

Żuczek spojrzał krytycznie na ciała, zaścielające Królewską.

- A odróżniasz je jeszcze?
- Jasne. Po spódniczkach.
- Daj znać, jak poznasz którąś. Niech też coś mam z tej durnej fuchy.

Wtem Żuczek przypadł do ziemi, Filozof poszedł w jego ślady natychmiast.

Znaczy, mamy gości.

- Eeee... - westchnął po chwili, wstając. - Stróże. Dwuosobowy patrol wychynął zza

przewróconego autobusu, wymierzył ku nim broń. Chyba trochę na pokaz, przecież przed chwilą przelatował nad nimi Orbiter, i powinno być doskonale wiadomo co i jak.

- Tu Golf trzy. Zidentyfikujcie się!
- Osy - oznajmił Żuczek na wspólnym kanale. - Kod trzy-jeden-jeden-piętnaście.
- Na wycieczce, koledzy?
- Szykujemy niespodziankę na crash test nowego. Kryptonim „Świt żywych trupów”.

W hełmofonach zabrzmiał dyskretny śmiech.

- No to powodzenia. Bez odbioru!

Stróże machnęli bronią w czymś w rodzaju salutu, pomaszerowali dalej.

- Świt żywych trupów? - Filozof przekrzywił głowę.
- Doprawdy, czasem mi tych nowych żal.
- Nie na długo - parsknął Żuczek cynicznie. - Szybko się zużywają.

Filozof pochylił się nad kolejnym trupem.

- Ta ruda też się zaraz zużyje? - spytał niewinnie.
- Żuczek obrzucił go szczerze oburzonym spojrzeniem.

- Póki żyję, nie wejdzie na płatkę!

- W takim razie obyś żył wiecznie! - Filozof przekręcił zwłoki; zetlały, przetrawiony materiał kurtki rwał mu się w rękach. - A niech to szlag! - Cofnął nagle rozdygotaną rękę.

- Co jest?

- Żyletka. Spoko, nie ciachnąłem się. Ale było blisko.

- Pewnie żałujesz, że nie możesz ich wszystkich zgarnąć i spokojnie, po firmowemu, przesłuchać - rzucił bynajmniej nieprzejęty kolega. - Wiesz, przydałby ci się jakiś nekromanta.

- Nie mamy na etacie. Za to podobno u was w jednostce...

- Nie wchodzi tam lepiej.

- Gdzie? - nie zrozumiał Filozof.

- Na moją jednostkę, przy mnie. Lepiej nie wchodzić, a już zwłaszcza w tak nieemiłych okolicznościach przyrody. Po co nam jakieś scysje, a potem kłopoty? Wiesz, że w tym temacie bywam drażliwy.

Filozofa aż zaświerzbiał język, gotów do pojedynku na złośliwości, ale zdołał go powstrzymać. Trupów dookoła dużo, a kumpel jeden. Lepiej go nie wkurzać.

- Jak sobie życzysz, Żuku.

Tamten obdarzył go nieufnym spojrzeniem, węsząc podstęp w tej nagłej rejteradzie. Ale nie powiedział nic, tylko znów omiótł przyrządami okoliczne dachy.

Filozof westchnął ciężko. Spojrzał na zaścielające ulice i chodniki tłum. Tu i dwóch lat będzie mało, jęknął w duchu.

Ciekawe, czy nekromanci mają witryny internetowe, błysnęła mu zdesperowana myśl. Koniecznie trzeba będzie poszukać. Ko-nie-cznie.

Twarz Kamieńczyka jaśniała triumfem.

- Oto wasz rozkaz, panowie!

Kajman i Artysta przebiegli szybko wzrokiem po tekście, potaknęli głowami z uznaniem. Pułkownik faktycznie załatwił to, co zapowiadał. Mocny z niego gość.

- Abwerowcy wywęszyli informatyka podejrzanego o kontakty z interesującą nas grupą. Ostatnio dało się zauważyć u niego dość znaczący przypływ gotówki.

Owszem, chłopak nie jest głupi, nie zaczął szastać forszą na prawo i lewo, nie kupił domu nad morzem i najnowsze modelu porsche. Ale dostaje wyjątkowo dobrze płatne zlecenia na projektowanie stron internetowych, które wcale nie zachwycają finezją. Przynajmniej tak twierdzą fachowcy.

- Informatyk? - skrzywił się Artysta. - Skąd taki będzie wiedział, kto podkłada ładunki?

Przez twarz Kamieńczyka przebiegł grymas zniecierpliwienia.

- Nie zawsze od razu trafiamy bingo - lekko skarcił wątpiącego. - Zgarniecie płótkę, przesłuchacie, dowiecie się czegoś, przesłuchacie kolejnego i tak po nitce do kłębka.

- Kolesie z Abwery nie wywęszyli nikogo mocniejszego? - nie dawał za wygraną Artysta.

- Mocniejszego zwinęliby do siebie i przesłuchali, niekoniecznie dzieląc się z nami pełnym sukcesem. A nie wiadomo, do kogo trafiłyby wyniki, chętnych do podesrania Stróżom nie brakuje. Abecadło mam wam tłumaczyć?

Wycofali się od razu. Z Kamieńczykiem nie warto zadzierać.

- Udało mi się tak poustawić sprawy, że wie o nich tylko kilka zaufanych osób. Oficjalne dochodzenie idzie zupełnie innym torem i im bardziej jest spartaczone, tym lepiej dla nas. I tak ma zostać: jak najmniej zaangażowanych.

Potaknęli posłusznie, znów. Pułkownik niewątpliwie miał rację, Abwera jest dziurawa jak szwajcarski ser. Trzymasz karty przy orderach albo liczysz się z tym, że prędzej czy później napiszą o twoich kłopotach w „Wyborczej”. Ku szczególnej uciechu innych, konkurencyjnych służb.

- Powodzenia, panowie! - Kamieńczyk postanowił jednoznacznie dać do zrozumienia, że audycja dobiegła końca i nie życzy sobie dalszych głupawych pytań. - Wykonać rozkaz!

Na to mogła być tylko jedna odpowiedź:

- Tak jest!

### 3.

Milka przełknęła ślinę. Zadarła głowę, popatrzyła na drzwi. Westchnęła cicho, podniosła dłoń.

Przed chwilą Manior złapał ją za rękaw na stołówce, mruknął coś na kształt „zajrzyj do Drakkara” i zaraz gdzieś poleciał.

Nigdy przedtem nie była u Drakkiego w pokoju. Nie dostała zaproszenia. Aż do teraz... No to przeżegnała się w duchu i przyszła.

Dobra, raz kozie śmierć, pukamy, wchodzimy. Przecież wiadomo, że nie w



żadnych takich wiadomych celach, no skąd. Dowódca wzywa, trzeba przyjść. No to co, pukasz, mała? Pukaj! No żeż pukaj...

Drakkar otworzył drzwi.

Milka uśmiechnęła się głupawo, przestąpiła z nogi na nogę.

- Manior mówił, że chcesz mnie widzieć - wymamrotała śpiesznie.

- Tak, dzięki, że przyszedłeś. Wejdz. - Cofnęła się, zrobił jej miejsce w drzwiach.

Wstąpiła ostrożnie, niczym do świątyni wyznawców któregoś z krwiożerczych bóstw: Kali lub kogoś równie niesympatycznego. I od razu westchnęła z lekkim zdziwieniem.

Pokój był prawie pusty.

Metalowe łóżko z gumowanym, wojskowym materacem. Na nim śpiwór w zielonym kamo. Pod ścianą drewniany stolik, dwa krzesła. W kącie imitacja szafy - bez drzwiczek, tylko same półki z dwoma kolumnami równo poukładanych mundurów: zielonych i pustynnych gromolskich oraz czarnych Os. Na samym dole jakaś zielona, prostokątna torba, w której przewalały się książki. I jeszcze jedna torba, pozapinana szczelnie. Ot i wszystko. Witamy w jaskini lwa.

Pokój tchnął tymczasowością, jakby jego właściciel wręcz nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł spakować się, wyjść i nigdy nie wrócić. Zajęłoby mu to kilkanaście sekund, nie więcej.

- Ładnie tu sobie mieszkasz - skłamała odruchowo i od razu zawstydziła się.

Ech, te nawyki socjalne, po wejściu wypada powiedzieć gospodarzowi jakiś komplement, choćby z gruntu nieszczerzy.

- Owszem - rzucił, jak i ona machinalnie, i od razu przeszedł do rzeczy: - Chciałem ci zaproponować krótki kurs posługiwania się bronią palną.

- Heh! - Cofnęła się o krok, wsparła plecami o ścianę, zaplotła ramiona z przodu. - A podobno miałam nie być komandosem?

- Ależ broń Boże, nie o to chodzi! - zachnął się natychmiast. - Tylko wiesz, w życiu bywa różnie. A często ludzie nawet w ostateczności nie biorą broni do ręki. Bo po prostu nie wiedzą, co i jak z nią robić. Boją się.

- Myślisz, że mogę się znaleźć... w ostateczności? - odparowała szybko, ryzykownie: może uda jej się czegoś dowiedzieć o tych dwóch typach z Inferna, przecież to pewnie z powodu wczorajszej awantury powstał niniejszy pomysł.

Ale Drakkar nie dał się złapać na tak prymitywny trik.

- Nie jestem wróżką - mruknął wymijająco. - To jak, chcesz się uczyć czy nie?

- Pewnie, że tak - przytaknęła. - Kiedy zaczynamy?

Uśmiechnął się blado.

- A masz chwilę? Bo możemy zacząć zaraz.

- Tutaj? Teraz?

- Mhm. Im szybciej, tym lepiej.

Rozejrzała się po pokoju w oszołomieniu. Pewnie zaraz Drakkar, jak ten Schwarzenegger w *Commando*, naciśnie skryty guzik i ściana rozjedzie się, otwierając sejf pełen broni, amunicji, ładunków wybuchowych...

- Zaczniemy na sucho - oznajmił Drakkar spokojnie. - Najważniejsze są podstawy. Tak naprawdę będzie cię szkolił Żuczek, ale akurat jest zajęty, więc dzisiaj ja ci pokażę parę patentów.

Przełknęła ślinę. Ależ ty jesteś głupia, babo, jaka masakrycznie głupia. Schwarzenegger, *Commando*. A Pszczółka Maja co na to? Niemożliwe?

Drakkar śmignął ręką w okolicach bluzy i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego dłoni pojawił się pistolet.

- HK USP - stwierdził, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić. - Żaden bajer, ale przyzwyczaiłem się w pracy...

- Zwolnij, Drakki - poprosiła nieśmiało. - Wiesz, ja naprawdę się nie znam. Dziewczyńkom raczej nie pokazuje się takich rzeczy w naszym kochanym, katolickim, seksistowskim kraju. Kupuje im się lalki i każe gotować dla nich zupki, karabiny z patyków robią tylko chłopcy. Co za mydelniczka, o co chodzi? I co to w ogóle jest: pistolet, prawda?

- Chyba oglądasz telewizję?

- Mhm. Dzięki temu wiem, którędy pocisk wylatuje, i to wszystko. W życiu nikt mi nie dał broni do ręki.

- Może trzeba było poprosić?

Popatrzyła nań, zdumiona. A mogłam? - zawisło jej na wargach i tamże zostało, nie wypadając na zewnątrz. No bo właściwie czemu miałyby nie móc?

- Bałam się, że mnie wyśmieją - rzuciła cicho, z zażenowaniem. - Wiesz, baba to do garów i takie tam.

- Dobrze, że się chociaż ośmieliłaś prosić o spadochron! - skwitował niełitościwie.

Broń w jego dłoniach rozpadła się na dwie części, to chyba wysunął się magazynek? Drakkar przytrzymał go w lewej dłoni, przesunął jakąś metalową częścią pistoletu wte i wewte, zajrzał do środka, wreszcie strzelił? Tak, strzelił w kąt, ale chyba na ślepo, bo nic nie wybuchło.

- Masz!

Przyjęła śmiertelny przedmiot z nabożnym podziwem. Poczuła dziwne, chciwe mrowienie w dłoniach. Uśmiechnęła się z niedowierzaniem, podniosła zafascynowany wzrok na Drakkara.

- Gada do mnie - palnęła wprost od serca, nie zastanawiając się, jak głupio może to zabrzmieć. - On... gada?

- Oho - mruknął, kręcąc głową. - Wariatka!

- Śmiej się, śmiej - szepnęła, przenosząc spojrzenie na ściskaną oburącz broń. - Pokaż, jak to trzymać.

- Chwyć kciukiem i środkowym palcem, o tak. Te dwa, tylko te dwa, trzymają broń. Dołóż serdeczny i mały, ale pamiętaj, one tylko przytrzymują. Odegnij je z powrotem, zostaw tak, żebyś zapamiętała: trzymasz tylko tymi dwoma. Dobrze, dołóż. Teraz połóż wskazujący nad kabłąkiem. Nie tu! - Pokręcił głową, schwycił delikatnie jej palec, przełożył ze spustu na plastik powyżej. - Nigdy nie trzymaj palca na spuście.

- To jak mam strzelać?

- Jedyne moment, w którym palec może się znaleźć na spuście, to ten, w którym oddajesz strzał. Tak, wiem, naoglądałaś się w telewizji superkillerów, paradyjących w ten sposób. To ściema. Nie wolno. Absolutnie.

- Dlaczego?

Drakkar odetchnął głęboko, przyglądał się jej przez chwilę.

- Okej, wytłumaczę ci to w ten sposób: gada do ciebie broń, tak?

Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową z zażenowaniem.

- To tylko przedmiot, nie żywa istota, wiem - bąknęła. - To głupie...

- Jasne, że głupie, ale w tym szaleństwie jest metoda. Pomyśl tak: broń chce zabijać. Do tego została stworzona, to jej podstawowy cel, pragnienie i powołanie. I robi to, za każdym razem, kiedy jej na to pozwolisz.

Pobladła.

- Palec, twój palec na spuście, pozwala jej zabijać. Nie trzymaj go tam bez potrzeby. Tylko wtedy, kiedy jesteś pewna, że tego chcesz.

Przycisnęła palec wskazujący do wyżłobienia nad kabłąkiem, jakby pragnęła wmurować go tam na stałe.

- Dobrze. Pamiętaj, zawsze o tym pamiętaj. Broń chce zabijać. Od tego jest.

Nabrała powietrza do płuc, wypuściła powoli, z drżeniem. No, ładnie. Czego my się tu uczymy...

Czegoś, co nam się cholernie podoba, zdawał się mruczeć pistolet wtulony w dłoń.

- Teraz dołóż drugą rękę - nakazał Drakkar. - O tak, dobrze. Stań sobie spokojnie, rozluźnij się. Lewa noga lekko do przodu, żebyś nie dała się zbyt łatwo przewrócić. Wyprostuj ręce przed sobą. Nie napinaj, nie przeprostowuj!

- Tak?

- Tak. Teraz popatrz, masz tutaj przyrządy celownicze. Takie dwie zielonkawe kropki tu blisko na szczyrbince i jedną, na muszce, na samym końcu. Są?

- Są!

- Okej. To teraz spójrz tak, żebyś je widziała w jednej linii. Mhm, masz prawe oko dominujące. Nie, nie zamykaj lewego. Będzie ci potrzebne, żeby widzieć, co się dzieje dookoła.

Kropki posłusznie ustawiły się w szeregu. Na co czekamy? - zdawały się dopytywać chciwie.

- Popatrz na tę plamę, o tam, na ścianie. I tak najedź kropkami, żebyś je wszystkie widziała wyraźnie, a plama żeby była z tyłu za nimi, jak za mgłą. Widzisz?

- Nie bardzo.

- Hmmm...

Ustawił się za nią, objął jej ręce ramionami, położył dłonie na jej dłoniach. Przytrzymał broń. Pochylił się i przytulił swój szorstki policzek do jej policzka, spoglądając przez przyrządy.

O matko, jęknęła w myślach. Cała koncentracja rozjechała się i klapnęła na podłogę, kwicząc żałośnie. Ja tak nie mogę! On dotyka, on pachnie tym swoim zdradzieckim feromonem. O matko, o matko, niech mnie lepiej uczy Żuczek. Ja tak nie...

- Nie no, jest całkiem dobrze - oznajmił Drakkar. - Po prostu popatrz na przyrządy i na plamę naraz. I zogniskuj wzrok, raz na jednym, raz na drugim. Ale pamiętaj: celujesz przyrządami, plama wciąż zostaje w tle. Tak?

- Mhm - wyjąkała słabo; niech już ją puści i odejdzie, tego się nie da wytrzymać!

- W porządku - rzucił, cofając się.

Przeszedł parę kroków do stolika, podniósł i rozdarł opakowanie jakiejś zabawki.

- Na razie trenuj tylko to, na sucho. Nie odbezpieczaj, nie przeładowywuj ani nic innego. Dobywaj i mierz. Masz ASG. Będziesz sobie na nim ćwiczyć.

Wrócił, wyciągnął rękę z plastikowym pistoletem, przypominającym ten, który Milka trzymała w rękach.

- Zamienimy się? - zaproponował bezbarwnie. - Mój mi się może przydać.

Oddała mu pistolet skwapliwie, przyjęła w zamian zabawkę. Bardzo podobną, ale już bez duszy.

- Stawaj sobie, wyciągaj broń. Na plastiku nie będę cię uczył wyjmowania z kabury, bo się zacina. Na razie trzymaj go sobie na biodrze, o w ten sposób - pokazał, gdzie i jak - i wyciągaj w przód, po jak najprostszej linii. W trakcie dokładaj drugą rękę, przymierzaj się. Sprawdzaj, czy stoisz stabilnie. Wybierz sobie punkt na ścianie, wymierz w niego i zamknij oczy. Oceń, co się dzieje z twoim ciałem. I otwórz oczy: gdzie teraz celują przyrządy?

Oddychała głęboko, miarowo, chłonąc w skupieniu każde ze słów. Pokiwał głową, ze śladem aprobaty na twarzy.

- No to ćwicz! - Wskazał wzrokiem drzwi. - Żuczek ci pokaże, co dalej, jak tylko wróci. Powodzenia!

Wymknęła się z pokoju, pochyliwszy nieco głowę, by nie rozglądać się na boki. A przede wszystkim nie patrzeć na łóżko, na to cholerne, metalowe łóżko z wojskowym materacem... Stop! Dość!

Ależ ty masz pierdolca, koleżanko. Ależ ty masz pierdolca.

#### 4.

- To jest totalnie nielegalne!

Neon i Kropa popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Podwójne szyby, masek i kombinezonów, skrupulatnie zasłaniały ich szerokie, rozanielone uśmiechy; w zastępstwie więc gorliwie przybili piątki.

Rozejrzeli się dookoła. Pierwszy Urząd Skarbowy Warszawa-Śródmieście, głosiły mosiężne litery na ścianie.

- Zawsze... o tym... marzyłem! - wyskandował Kropa dobitnie i przestawił broń na ogień ciągły.

Pociągnął serią po ścianach i budce ochroniarza. Tynk posypał się zewsząd obficie.

- Zabawy starych chujów w Indian. - Neon roześmiał się na całe gardło. - Jazda!

Zaczął pruć ze swojego G36. Ściany odpowiadały głuchym łomotem. Kawałki skaju i gąbki, wydarte z krzeseł poczekalni dla petentów, wirowały dookoła w przerażeniu.

Klik, wyczerpał się magazynek.

- Awaria!

- Ubezpieczam! - darł się Kropa, uszczęśliwiony.

I siał kulami dookoła.

- Gotów! - Neon powstał z nowym magazynkiem, podpiętym do broni.

- Co tam się dzieje na Starynkiewicza? - chciał wiedzieć zaniepokojony dyżurny. - Co za strzelanina?

- Szczury! - skłamał beczelnie Kropa. - Strasznie ich dużo. Masa!

- Zawsze tu były... - zachichotał Neon. - Nigdy się nie wyniosły!

Dyżurny chyba zrozumiał aluzję, bo mruknął krótkim „roger” i przestał wnikać. A może i sam zaczął śmiać się w swojej kanciapie.

Poszli dalej, zawzięcie siejąc zniszczenie. „Kancelaria”, trrach! „Zaświadczenia o niezaleganiu”, bum! „Referat obsługi rejonów egzekucyjnych”, łup, łup, łup!

- Byłeś tu kiedyś? Masz jakieś szczególne wspomnienia? Pierdolniemy któreś biurko?

- Coś ty, to nie mój rejon.

- Mój też nie. Szkoda!

Klik, klik. Klik.

- Awaria!

- Ubezpieczam!

- Gotów!

Neon przedziurawił następną kolejkę krzeseł, wyrżał machinalnie przez okno.

- Wstrzymaj ogień! - poprosił śpiesznie kolegę. - Patrz!

Ktoś tam był. Jak cień przemykał Nowogrodzką. Sprawnie, profesjonalnie, klucząc z podniesioną, gotową do strzału bronią. Sprawiał wrażenie, jakby czegoś szukał.

- Centrala, masz kogoś prócz nas w tym rejonie? - zapytał Kropa, mrużąc wzrok.

- Nikogo. Negative!

- Sprawdź gościa na czternastej. To jakiś profi, chodzi nie gorzej niż Stróż.

- Wykonuję!

Cień Orbitera przesunął się po oknie, ale przybysz zdążył wbiec pomiędzy budynki szpitala i zapewne dopaść któryśś drzwi.

- Tam jest od cholery piwnic, Orbiter go nie znajdzie - zauważył Kropa. - Centrala, co robimy? Idziemy za nim?

- Czekać... Nie! Nie mam wsparcia w pobliżu. Sami, tylko we dwóch, możecie wpieprzyć się w pułapkę Hien. Odpuszczamy.

- Może to ten nasz domorośły piroman! - Nie ustępował Stróż. - Ja bym sprawdził.

- Tym bardziej nie! Wracajcie do bazy.

Neon z Kropą popatrzyli po sobie, miny im rzedły z sekundy na sekundę.

- Ja się tam nie muszę słuchać waszego Centrum - powiedział Neon powoli. - Jako Osa, jestem niezależny.

- To się posłuchaj własnego mózgu, stary - poradził Kropa. Odwrócił się ku drzwiom, z wyraźną rezygnacją. - Pójdiesz sam?

Neon pokręcił głową.

Powlekli się do wyjścia, nie zwracając już uwagi na zmasakrowane wnętrza Pierwszego Urzędu Skarbowego.

# Rozdział 8

*Skopolamina jest pochodną hioscjamiны, która powstaje w wyniku utworzenia przez specyficzny układ enzymów epoksydowego mostka w pierścieniu tropanu.*

*Jest ona kompetencyjnym antagonistą acetylocholino w obrębie muskarynowego receptora M (parasympatykolityk). Ma słabsze działanie obwodowe niż atropina. W przeciwieństwie do niej, już w małych dawkach działa uspokajająco - wywołując senność, otępienie i halucynacje. Powoduje także osłabienie woli - jest stosowana jako „serum prawdy” przy przesłuchaniach oraz w psychiatrii. Ma działanie przeciwwymiotne i może być stosowana w chorobie lokomocyjnej. Jest także wykorzystywana do łagodzenia objawów choroby Parkinsona.*

Farmakologia, PZWL 1987

## 1.

Parking przed McDonaldem prażył niemiłosiernie rozgrzanym betonem. Znowu pogoda się pochrzała, sierpień w maju, w sierpniu październik, a w październiku cholera wie co. Jakby nie dość było różnych innych kosmicznych niedogodności.

Zajechał wreszcie umówiony czarny Passat, wygramoliło się zeń dwóch gości.

A więc to są ci superagenci, myślał Kajman, podając rękę jednemu, potem drugiemu niskiemu, niepozornemu facetowi.

Pięciu groszy byś za takiego nie dal na ulicy... Póki byś nie zobaczył oczu. Błyszczą w nich żmijstwo, wyraźnie dające do zrozumienia, że choć nikczemnej postury, właściciel oczu bynajmniej nie jest łatwym przeciwnikiem.

- Pierwsza część roboty to banał - oznajmił nonszalancko odrobinę wyższy z kurdupli, który przedstawił się jako Kwiatek. - Gość jeździ zawsze tą samą trasą, bez obstawy. Robimy na dopych, zawijacie go i pędzimy do strefy... - Spojrzał bystro Kajmanowi w oczy. - Tak?

Kajman skinął głową.

Abwerowiec odchrząknął.

- Macie jakieś przejście? - rzucił z błyskiem w oczach.

- Ahaa - potwierdził Artysta niedbale.

- I miejscówkę, gdzie moglibyśmy spokojnie przesłuchać gościa?

Kajman skinął głową, jeszcze raz.

- Nie mamy kombinezonów.

Artysta uśmiechnął się szeroko:

- Nie będę potrzebne.

Kwiatek i ten drugi, dotychczas milczący, z całych sił próbowali się nie zdziwić. Częściowo im się to udało.

- Solec i Mariensztat są tuż przy rzece, pod skarpą - rzucił Artysta niedbale. - Nawet jeśli wieje wiatr od Fiołka, to po pierwsze, jest daleko, po drugie, idzie górą, na Wisłę. Stężenie cyjanków: zero koma zero...

- Kto przejmie auto? - przerwał mu Kajman, patrząc wymownie na niższego z

Abwerowców. - Kolega?

- Któryś z was - stwierdził krótko Kwiatek. - Doktorek ma inne zadania.

Cholera, czy ten cały Doktorek ogóle umie mówić, zastanowił się Kajman przelotnie.

- Dobra. Do wozu!

Wsiedli: Kwiatek za kierownicą, Doktorek obok, kładąc wypiełgnowane dłonie na granatowej torbie. Kajman z Artystą zapakowali się do tyłu. Położyli ręce na kaburach: broń załadowana, przeładowana.

- Ruszamy!

## 2.

- To on!

Czerwona toyota Avensis sunęła lewym pasem Marymonckiej. Kajman zerknął na kierowcę: chudy, krótko ostrzyżony dryblas w okularach kiwał głową i podśpiewywał sobie coś w rytm muzyki.

Kwiatek dosłuchał jeszcze jakichś wiadomości przez wciśniętą w ucho słuchawkę Bluetootha, potaknął i rozłączył się. Zza kierownicy Passata zerknął w lusterko wsteczne.

- Gotowi, panowie? Akcja!

Zredukował bieg. Silnik zawył, Kajman z Artystą złapali klamki.

Kwiatek zrównał się z tylną osią ściganego wozu, uderzył w nią. Toyota zawirowała, ustawiła się bokiem, ale nim jej zaskoczony kierowca pomyślał o zrobieniu czegokolwiek, Passat już pchał ofiarę przed siebie, do przodu, aż do pobliskiego drzewa. Trzask, łup! - przygwoździł ją tam błyskawicznie.

Kajman wyprysnął z samochodu, dopadł unieruchomionego samochodu. Uderzył metalową końcówką rękojeści tonfy w szybę od strony osłupiałego kierowcy. Okruchy szkła posypały się po flaczejących bocznych kurtynach powietrznych. W tym samym czasie Artysta, przebiegłszy po dachu, rozbił szybę pasażera.

Krótkim uderzeniem Kajman docisnął tonfę do gardła kierowcy, przyszpilając go mocno do zagłówka. Zanurkował do wnętrza samochodu. Lewą ręką wypiął pasy.

- Policja! Nie ruszaj się! - darł się już Artysta oszołomionemu informatykowi prosto w twarz, mierząc doń z pistoletu.

Kajman wycofał się. Lekko odpuścił pałkę, pozwalając facetowi odsunąć głowę od zagłówka i zaraz wsunął tam własne przedramię. Chwycił tonfę i już miał tamtego w paskudnych, bolesnych kleszczach.

- Wyłaź! - ryknął Artysta. - Przez okno, na zewnątrz, już!

Gość nie zareagował, Kajman przekrzywił więc jego głowę, lekko, leciuteńko, tak by odrobinę wzmóc mu motywację. Facet zacharczał i ruszył się od razu: złapał rękami za ogryzki klejonej szyby, wystające z drzwi, zaczął się niezdarnie gramolić we wskazanym kierunku.

- Wyłaź! - Artysta wsunął się do środka, zaczął wypychać nogi tamtego.

Kajman szarpnął raz i drugi i informatyk już był na zewnątrz. Zaraz podleciał małomówny Abwerowiec, skuł go błyskawicznie i zawinęli gościa we dwóch.

Wcisnęli mu worek na głowę, wrzucili na tylne siedzenie Passata, a Kwiatek ruszył z miejsca z piskiem opon. Wnet tuż za nim pogonił Artysta poobijaną toyotą.

- Na drugi raz to proszę tak uderzać, panie kierowco, żeby zablokować tylko tylne drzwi! - zażartował Kajman, dociskając skulonego informatyka do siedzenia.

Przerażony gość ani pisnął. - Się kiedyś pokaleczę przez to okno!

- Ta - rzucił Kwiatek przez zęby. - A gałąź niech wciśnie klamkę. Mówisz i masz!

- To którędy teraz? - odezwał się Doktorek; ku zdumieniu Kajmana głos miał najzwyczajniejszy w świecie.

- Aby do Wisłostrady. Potem was już poprowadzę dokładniej.

### 3.

Wtaszczyli gościa po schodach, z niejakim trudem, bo zaczął się szamotać równie ostro, co głupio. Przecież nie mógł liczyć na jakąkolwiek szansę ucieczki. Ale może chciał w ten sposób zmanifestować swój obywatelski sprzeciw, kto wie.

Mieszkanko, upatrzone przez Artystę, lśniło czystością. Jakby rozpościerająca się dookoła strefa śmierci nie dotyczyła go w ogóle, a właściciele po prostu wyjechali na dłuższy urlop.

Dotaszczyli informatyka do dużego, skórzanego fotela, sprawnie przypięli paskami zaciskowymi. Dopiero wtedy ściągnęli mu worek z głowy.

- Żądam adwokata! - zagardłował więzień natychmiast.

- Zostałeś zatrzymany w strefie śmierci - objął go uprzejmie Kwiatek. - Zapomnij o adwokacie. Nie masz żadnych praw.

Tamten szarpnął się z całych sił.

- Łżecie, skurwysyny. Odkąd to Bielany są w strefie? - Odcharknął i splunął na Kwiatka, na szczęście niecelnie.

Artysta natychmiast trzepnął więźnia otwartą dłonią w twarz.

- Bosz, skąd się wzięłeś, troglodyto? - Kwiatek westchnął z niesmakiem i demonstracyjnie rozłożył ręce, zwracając się do więźnia. - Przepraszam. Armia.

Kajman błysnął w jego kierunku groźnym spojrzeniem, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem czegokolwiek.

- No to odsuń się, skoro nie potrafisz lepiej - poradził Kwiatek Artyście, po czym odwrócił się do kolegi, który grzebał w granatowej torbie. - Doktorek, jak tam?

- Lipa, jak mówiłem - odrzekł zagadnięty. - Wszystko wyszło, zapieprzam już trzecią dobę i nie zdążyłem uzupełnić. Trzeba będzie jechać jakimś przedpotopem.

- Lepsze to niż nic. Pokaż kolegom, niech się uczą kultury. Ja sobie klapnę.

Kwiatek przeszedł do okna, wyjrzał z ciekawością na podwórko. Przysiadł na parapecie i zapatrzył się na strefę.

- Tylko nie otwieraj okna! - rzucił mu Kajman ostrzegawczo. - Smród nas zabije!

- Już i tak nieźle wali - skrzywił się Abwerowiec. - To ze Śródmieścia, nie? -

Przymrużył oczy, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów ze strefy śmierci. - Jak tam jest?

- Paskudnie. Odwilż przyszła dobry miesiąc temu, trupy rozmarzły i już się zaczęły rozpływać. Ale grupy sanitarne, które miały je powyciągać, wciąż czekają



na dostawę kombinezonów. Przetarg jest, rozumiesz. Oficjalny.

- Jeszcze trochę się poopierdalają i będziemy z tego mieć jakąś epidemię - sarknął Kwiatek. - To miasto po prostu nie może być normalne.

Doktorek wygrzebał z torby prostokątne, plastikowe pudełko, położył je na stole.

- Cisza na planie! - zarządził. Wstukał kod do zamka, wnet odskoczyła pokrywka, odsłaniając równo poukładane rzędy fiolek, igieł i strzykawek. - Proszę państwa, załatwimy sprawę czysto i elegancko, jak należy.

Kajman z Artystą przełknęli ślinę, przesuwając językami po zaschniętych ustach.

- No, co - powiedział Doktor swobodnie. - Żadnego chlapania krwią po ścianach, rażenia prądem czy wrywania jaj. Farmakologia królową nauk, proszę państwa. Dzięki niej gość i tak powie nam wszystko, co chcemy.

Więzień zaczął znów się szarpać.

- Kuuurwa! - zawył rozpaczliwie.

- No nie mów! - skarcił go Doktor z wyrzutem. - Naprawdę wolisz tę opcję z wrywaniem jaj? - Pokręcił głową.

Wyjął jedną z Fiołek, obrócił ją w palcach.

- *Hyoscinum hydrobromicum* - przeczytał głośno. - Mówiąc po ludzku: skopolamina.

- A mówili, że tego się już nie używa - sapnął Kajman ze zdziwieniem. - Że nie działa...

Doktorek tylko rzucił mu pogardliwe spojrzenie, powstrzymując się od jakiegokolwiek komentarza. No cóż, pewnie nie działa w gazetach, wyjaśnił sam sobie Kajman w myślach. Ale jeśli się do tego zabierze fachowiec...

Doktorek postawił ampułkę na stole, wyjął drugą, większą, z solą fizjologiczną, postawił obok. Wydobył strzykawkę, dwie igły i wenflon, poukładał to wszystko na stole w równym szeregu. Obok położył kilka płatków dezynfekcyjnych, plaster i stazę: czarną taśmę z zaciskową końcówką.

- Nie będzie bolało - poinformował więźnia. - Naprawdę. Nic a nic.

Kajman z Artystą odchrząknęli znacząco.

- Co mamy robić?

- Przede wszystkim macie mi nie przeszkadzać - oznajmił tamten spokojnie. - To nie jest tak, jak na filmach. Trzeba mieć nieco doświadczenia...

- Zamyślił się na chwilę. - Macie przeszkolenie paramedyczne, prawda? -

Popatrzył po nich, a kiedy zobaczył skinięcia głów, stwierdził: - Dobrze. Jakbym potrzebował, będziecie mi podawać różne rzeczy z apteczki.

Wyjął rolkę plastra i opakowanie ze skalpelem, podał Kajmanowi.

- Zaplastruj mu japę, a potem rozetnij oba rękawy - poprosił donośnie. - A najlepiej to w ogóle wywal je w cholerę, żeby się nie plątały.

Kajman kiwnął głową, podszedł do struchlałego więźnia. Zakleił mu usta plastrem, zaczął rozcinać rękawy koszuli.

- Nie rzucaj się, bo cię zatnę - ofuknął pojmanego, po czym spojrzał na Artystę. - Chodź go przytrzymaj, bo się pokaleczy, głupek.

Artysta pochylił się nad uwięzionym, unieruchomił mu rękę. Kajman porozcinał materiał, rzucił w kąt. Zajęli się drugim rękawem.

Tymczasem Doktor napełnił strzykawkę i odłożył ją na serwetę. Wyjął inną fiolkę z apteczki, pokazał ją Kajmanowi, odstawił na stół.

- W razie czego, zrobisz to samo, dobrze? - poprosił. - Z tym.

Kajman kiwnął głową posłusznie. Wziął fiolkę do ręki.

- *Coffeinum natrium benzoicum* - przeczytał. - Na co to? - Spojrzał na Doktorka pytająco.

- Na wszelki wypadek - odparł tamten. - Odtrutka, jakbym przesadził.

Zgarnął ze stołu wenflon, stazę, plaster i płatki. Podszedł wolnym krokiem do więźnia, wbijającego weń wystraszony wzrok. Pochylił się nad jego lewą ręką, opasał ramię stazą, zacisnął ją mocno.

- Popracuj rączką - poprosił.

Informatyk szarpnął się rozpaczliwie, dzięki czemu spora żyła uwidoczniła się w zgięciu łokciowym.

- O, bardzo ładnie, dziękuję - pochwalił Doktorek, rozpakował odkażający płatek i przetarł to miejsce kilkukrotnie.

Rozpakował wenflon. Uważnie, powoli, wbił końcówkę w żyłę. Wycofał mandryn, w kaniuli ukazała się krew. Kiwnął z aprobatą głową, wyjął mandryn, zakręcił koreczek. Przykleił ramiona wenflonu plastrem do skóry.

- Kajman, podaj mi strzykawkę - rzucił przez ramię, odblokowując stazę.

Wezwany pośpieszył do stolika i wrócił błyskawicznie, podając mu żądany przedmiot. Doktorek zdjął igłę i podłączył strzykawkę do wystającego z wenflonu kominka.

- I rzuć jeszcze flaszkę soli. Damy na popych, żeby nam się lekarstwo lepiej rozprowadzało.

Kajman wygrzebał półlitrowe opakowanie izotonicznego roztworu NaCl i podał je Doktorkowi wraz z aparatem do przetoczeń. Ten skinął głową, podłączył kroplówkę w miejsce koreczka.

- No, to jedziem - westchnął. Zagiął wężyk kroplówki i zaczął powoli wtłaczać zawartość strzykawki do krwi więźnia. - Zaraz się zacznie zabawa. Niedługo, najwyżej parę minut. Zasłońcie okna, panowie, bo nam gość oślepie.

Wypełnili polecenie i przywarowali dookoła w oczekiwaniu.

#### 4.

Doktorek spojrzał w szeroko rozwarte, okrągłe źrenice więźnia.

- No, będzie dość - mruknął, odłączył strzykawkę i podał ją do tyłu Kajmanowi.

Zamknął zatyczkę kominka wenflonu, podniósł się. Pochwycił krzesło, postawił je przed więźniem, usiadł. Zerwał mu plaster z ust.

Pojmany przesunął językiem po zaschniętych wargach. Rozejrzał się wokół, mrugając piekącymi oczami i próbując ustalić, gdzie się znajduje. Serce biło mu dziwnie szybko i czuł, że cała twarz mu płonie.

- No cześć, stary - powiedział ktoś przyjaźnie. Wpatrzył się w postać, siedzącą na krześle przed nim.

- Gdzie.. jestem? - wykrztusił z trudem.

- No jak to gdzie? - zdziwił się jego rozmówca. - W domu.

Więzień odetchnął z ulgą, opanowała go przemożna radość. Uśmiechnął się

szeroko.

- Noo taaak, oczywiiiście - wybełkotał radośnie. - W domu... Krzysiek? - Wpatrzył się w rozmówcę uważnie, przekrzywiając głowę. - Brachu?

- No a coś ty myślał - oznajmił brat, klepiąc go po kolanie. - Jasne, że ja.

- To dobrze, to dobrze - ucieszył się tamten natychmiast. - Och, jak dobrze... - Przewrócił głowę, poturlał ją sobie z boku na bok.

Wszystko było tak nieodparcie, cudownie... radosne. Euforia wręcz unosiła się w powietrzu. Oddychał więc szybko, jakby chcąc się tym szczęściem napaść na zapas.

- Co się tam z tobą działo ostatnio? - spytał brat z zainteresowaniem. - No wiesz, w strefie.

- Ach, co za banda, mówię ci! - Więzień roześmiał się w głos. - Zupełnie jak ci z fabryki, pamiętasz? Co ja się tam z nimi napieprzyłem wtedy.

- Tak, tak, pamiętam. - Krzysiek najwyraźniej nie był zainteresowany fabryką. - O strefie mi opowiedz, tamto już wiem.

- Ale kiedy to było takie śmieszne... - zachichotał przesłuchiwany. - Zwłaszcza jak się dowiedzieli, że...

- O strefie, proszę! - Brat był łagodny, ale stanowczy. - Tam też miałeś fajne jazdy przeciw.

- Jazdy to tam dopiero będą! Fioletowe!

- Co masz na myśli?

Przesłuchiwany poprawił się na krześle z wyraźnym ożywieniem.

- Wyścig! Wyścig, wyścig, wyścig!

- Napraaaawdę? - Brat zdawał się nie dowierzać. - Ej, wkręcasz mnie...

- Przecież właśnie nad tym pracuję. Nad złamaniem algorytmu szyfrującego. A co myślałeś? Że za nic mi płacą?

- Jakiego algorytmu?

Informatyk pokręcił głową, zdegustowany.

- Ty to jesteś głupi. Jakbyś miał zorganizować taki wyścig, do czego byś się najpierw wziął?

- Nooo... - Krzysiek zastanawiał się przez chwilę. - Najpierw postarałbym się, żeby Stróże nie wchodzili mi w parade!

- Tym się zajmuje ktoś inny. Nie moja działka.

- Jak myślisz, kto to jest?

- A co mnie to obchodzi. Najważniejsze te algorytmy. Słuchaj...

- No ale postaraj się pomyśleć. Kogo szef mógł najać, żeby posprzątał mu Stróżów z drogi?

- Krzysiek! - zakrzyknął gorączkowo przesłuchiwany. - Ty w ogóle nie kojarzysz, o co tu chodzi!

Brat pochylił się nad ręką. Kolejna fala euforii rozplynęła się po ciele. Tak dobrze, było tak dobrze... słodko aż do mdłości.

- No to powiedz, o co tu chodzi - potaknął brat ugodowo.

- Żeby zorganizować coś takiego, jak wyścig, musisz mieć dobrze zakodowaną łączność, inaczej służby namierzą cię w try miga. Rozumiesz, Wyścigowiec przesyła obraz z kamery do satelity, a stamtąd do serwera, założmy na Tajwanie. I to idzie do klientów, którzy robią zakłady, tak?

- Tak. - Brat starał się okazywać zainteresowanie tematem. - Oczywiście, ten obraz musi być dobrze zakodowany, bo jeśli Stróże zobaczą, gdzie kto jest, zdejmą go od razu.

- Właśnie. A co musisz zrobić, żeby w ogóle uzyskać transmisję?

- Nnooo... - Krzysiek ewidentnie nie miał o tym pojęcia.

Brat naprowadził go na trop z pełnym satysfakcji uśmiechem:

- Przekazniki, stary! Musisz mieć przekazniki. Jeślibyś chciał, żeby każdy wyścigowiec łączył się osobno z satelitą, musieliby taszczyć na plecach parodzieściokilogramowy sprzęt z akumulatorami. Nie do zrobienia. Więc tuż przed imprezą rozkładasz po okolicy takie jakby przekazniki pośrednie. Robisz coś na wzór WDS-a, tylko bardziej rozbudowanego. No wiesz, WDS, *Wireless Distribution System*. A do tego wykombinowali, że działa to jak BTS-y w telefonii komórkowej, czyli kamera łączy się zawsze z najbliższym przekaznikiem. A te przekazniki przesyłają dane do routerów połączonych z telefonami satelitarnymi, które robią za dostęp do Internetu. I znów jest ich kilka i załączają się w zależności od tego, który WDS jest w danej chwili aktywny. Cwane, nie? Bo wiesz, jakby spróbowali nadawać z normalnych komórek, wystarczyłoby, żeby służby powyłączały im BTS-y i koniec zabawy. A tak mają własne i gwiżdżą na wszystko!

O czym on, kurwa, mówi, pomyślał Kajman w popłochu. Niechże cholera weźmie Kamieńczyka i jego pomysły! Przesłuchiwanie jajogłowego mu się zachciało, w tematach operacyjnych. Gość może nam tak nawijać godzinami, gównem się z tego dowiemy!

Popatrzył na Doktorka, przysłuchującego się paplającemu z dość niewyraźną miną. Zrób coś, zażądał niemo. Tamten westchnął, dołożył leku.

- Nawet jeśli ktoś by się pokusił o radiopelengację, toby chyba zwariował, bo co chwilę sygnał jest innej strony, a często z kilku stron równocześnie. - Więzień trajkotał jak nakręcony. - Do tego przy każdym wyścigu mają inną konfigurację i korzystają z innych połączeń satelitarnych. Na namierzanie i na sniffowanie pakietów jest strasznie mało czasu. Jak dotąd zbyt mało. Ledwo złapiesz sygnał i zaczniesz przechwytywać, to już cholera znika, bo kamera właśnie się przełączyła na inny przekaznik. A jakoś tak to wszystko jest zsynchronizowane, że mimo tego całego przełączania jest zachowana ciągłość transmisji. I dołóż sobie do tego fakt, że dzięki temu systemowi wszystkie antenki promieniują bardzo słabo i sygnał tej infrastruktury nie wychodzi poza skażony teren. Czyli trzeba to rozgryzać praktycznie ze strefy! Czaisz?

- Czaję, czaję. - Brat znów pochylił się nad ręką. - I co, robi to ten sam gość, który sprząta Stróżów?

- Głupi. Znów głupi. - Przesłuchiwany pokręcił głową. - Robi to organizator! Nie my!

- Aha.

- Szef chciał, żeby znaleźć mu chociaż jeden z przekazników, wtedy można by próbować złamać zabezpieczenie chipa, sflashować jego oprogramowanie i dokładnie zobaczyć, jak to jest zorganizowane. Do tego mielibyśmy próbkę danych, zaszyfrowanych tym cholernie silnym algorytmem. Wtedy można już zacząć się bawić w analizę. Co prawda przy każdym wyścigu są inne ustawienia, ale wiadomo

by było, jakie są założenia infrastruktury. Może wtedy byśmy się jakoś podpięli. Ale ciężka sprawa, na razie ani jednego nieznaleźliśmy, a do tego boję się, że po każdym wyścigu te transportery ulegają samozniszczeniu. Zwyczajnie tycie bum lub troszkę termitu i kość pamięci się rozlatuje albo spala, i dupa. Nawet jak się go znajdzie, to nic się nieoczyta. Bo wiesz, jakbyśmy to my mieli podgląd na wyścig, nasz gość miałby pozamiatane, nie?

- Nasz gość?

- No ten, co to się zajmuje tymi Stróżami. Też chce iść w wyścigu. Tam jest grubsza kasa.

- Kto to może być? - myślał głośno Krzysiek. - Ten gość? - Znów pochylił się nad ręką.

- Gównu mnie to obchodzi - zdenerwował się przesłuchiwany, kolebiąc głową na boki - kogo tam kupili. Z programem do łamania szyfrów będziemy rządzić światem. Serio serio!

- Aż taki jest dobry?

- Program... - Język plątał mu się coraz silniej. - Przełom. Kolega prysnął z tym do Australii, kangury zapłaciły... masakryczną kasę. Ale ja cierpliwy... poskładam, co zostało. Łamie wszystko!

- Nie program, ten koleś! Dobry jest, mówisz, mógłby być Osą lub Stróżem?

- Mógłby... mógł... być Świętym Mikołajem... jak chcesz.

- To doskonale! - ocenił brat. Odwrócił się w kierunku okna. - Chcecie czegoś jeszcze? - mruknął półgłosem. - Bo facet raczej nic już więcej nie wie w interesującym nas temacie, a za sekundę będzie miał dość.

Zebrani w kącie pokręcili głowami.

- Co dalej? - spytał Artysta.

- Mogę mu dołożyć resztę tego, co mam. - Doktorek wskazał na strzykawkę. - Nie wytrzyma takiej hiperatropinizacji. I tak już ledwo zipie.

Kajman skrzywił usta z irytacją. Już koniec? I to mają być fachowcy? Niczego się nie dowiedzieli, nie zadali wielu pytań, kim jest szef, jak do niego trafić, jak się kontaktują i tak dalej. Fuszerka takie przesłuchanie.

- Tak chyba będzie najlepiej - bąknął Kwiatek. - Nie będziemy teraz ryzykować Bóg wie czego: wypadku przy pracy, niespodziewanej odsieczy, przypadkowej kontroli drogowej i miliona innych rzeczy. A sztywny nie zeznaje. Skończ go.

Doktorek tylko wzruszył ramionami. Docisnął tłok.

Przesłuchiwany zadygotał na krześle, jego rozpalonym ciałem zaczęły miotać silne drgawki. Szeroko rozszerzone źrenice upiornie kontrastowały z pergaminowo białą skórą.

Wreszcie przestał oddychać, częściowo zsunął się z krzesła.

- Koniec przedstawienia - rzucił Doktorek beznamiętnie.

Wrócił do stolika, zaczął skrupulatnie pakować swoje rzeczy.

- No to na razie wszystko - westchnął Kwiatek. Popatrzył na ciało, potem na Kajmana, unikając jego wzroku. - Co z nim robimy?

- Po prostu zostawmy go tutaj. I tylko zamknijmy dobrze drzwi. Szczury się nim zaopiekują, a ostatniowygłodniałe są jak szlag. W parę dni po gościu nie będzie śladu.

- A jeżeli znajdą go Hieny?  
- Przecież mówiłem, żeby dobrze zamknąć drzwi. - Kajman uśmiechnął się cynicznie, patrząc na Kwiatka niemalże z wyzwaniem. - Każdy problem da się rozwiązać, dysponując odpowiednią ilością materiałów wybuchowych.  
- A skoro tak, to bardzo proszę. Popieram.  
- Gotowi? - Doktorek podniósł głowę znad stolika. Ścisnął walizkę pod pachą, popatrując niespokojnie na drzwi. - Bo mi się tu, kurde, cały czas zdaje, że czuję migdały...

- Idziemy, idziemy.

Przestąpili przez bezwładne ciało, nie obdarzając go choćby spojrzeniem. Kajman z Artystą zatrzymali się na chwilę przy drzwiach, zaraz potem poprowadzili kolegów z ABW do wyjścia ze strefy.

Wybuch był niewielki. Z pewnością słyszano go w pobliskiej okolicy, ale trwał tylko chwilę i zaraz potem w strefie znów zapadła śmiertelna cisza.

- Do następnego razu! - Wszyscy czterej uśmiechnęli się zdawkowo, podając sobie dłonie.

A potem rozeszli się: każda dwójka w swoją stronę, bez dalszych słów.

## 5.

Kajman wdrapywał się po schodach internatu z wrażeniem, jakby każdy krok przyklejał mu do stóp płytki ołowiu. Zmęczenie brało górę nad wszelkimi troskami, którymi rzeczywistość usiłowała go ostatnio uraczyć.

- Ty wiesz i ja wiem - niczym smuga dymu wślizgnął się w ciemność szept Artysty  
- kto nam zostawia te wybuchowe prezenty. Bo kto ma dostęp do strefy?  
Nieograniczony, kiedy tylko chce?

Kajman dotarł na piętro i przystanął, zdyszany.

- Widzisz ten kaloryfer? - zachrypiał cicho.

Artysta znał ten tekst, machnął więc tylko ręką, wydymając wargi: co też ty nie powiesz, stary! Ale Kajman dokończył, mimo to:

- To weź rozbieg i pierdolnij baranka! Może ci odmuli.

- Ty wiesz i ja wiem - powtórzył tamten uparcie, ani trochę niezbity z tropu. - Pan kapitan przeszedł na ciemną stronę Mocy. A teraz jasna sprawa: kto pierwszy z nas, ten lepszy, prawda? Nie ma już czasu! Bierzemy się do roboty.

Kajman nie odpowiedział. Przeciągnął tysiące ton ołowiu do pokoju, otworzył drzwi. Doczłapał do łóżka i zwałił się na nie w ubraniu. Zamknął oczy, demonstracyjnie nie mówiąc nic.

Artysta zostawił go na razie w spokoju.

I tak Kajman robi, co ma, co musi zrobić. Obiecał i od tego nie ma odwrotu.

## Rozdział 9

*Life is a waterfall,  
we're one in the river,  
and one again after the fall.  
Swimming through the void  
we hear the word,  
We lose ourselves,  
but we find it all.*

*Cause we are the ones that wanna play,  
always wanna go,  
but you never wanna stay,  
we are the ones that wanna choose,  
always wanna play,  
but you never wanna lose.*

*Aerials, in the sky,  
when you lose small mind,  
you free your life.*

*Life is a waterfall,  
we drink from the river,  
then we turn around and put up our walls.  
Swimming through the void  
we hear the word,  
We loose ourselves,  
but we find it all.*

*Cause we are the ones that wanna play,  
always wanna go,  
but you never wanna stay,  
we are the ones that wanna choose,  
always wanna play,  
but you never wanna lose.*

*Aerials, in the sky,  
when you lose small mind,  
you free your life.*

*Aerials, so up high,  
when you free your eyes,  
eternal prize.*

System of a Down

## 1.

- Diabli nadali całą tę wizytację! - kłął Wódz pod nosem. - Pokazu się oficjelowi zachciało...

Członkowie oddziału Os siedzieli w gabinecie Wodza wściekli jak swoje imienniczki. Generał zażądał pokazowego skoku z makietą Róży, by móc go ładnie nagrać i objaśniać na różnych szkoleniach. Skoro zespół tak doskonale wykazał się poprzednim razem, niech teraz przekaże swoje umiejętności całej Polsce, a nawet i światu, po sprawiedliwości.

- Znowu Kamieńczyk go wkręcił w jakiś genialny pomysł? - zachodził w głowę Neon. - Przecież to idiotyczne!

- Liczy na to, że damy dupy przed kamerami - zauważył Żuczek, marudny jak zwykle, gdy się nie wyspał: prawie do rana siedzieli z Arim w pokoju. - Będzie miał okazję udowodnić, że nasza gotowość bojowa pozostawia wiele do życzenia.

- Musimy skończyć z tym balowaniem. - Pinio pokiwał głową, wzdychając boleśnie. - To się kiedyś źle skończy.

- To jak ty zamierzasz przetrwać? - warknął Neon. - Na czym będziesz jechał, na miłości do Ojczyzny?

- Dobra, dość tych dyskusji - zarządził Wódz. - Co się stało, to się nie odstanie. Zresztą w końcu to nic takiego. Zrobimy pokazowy skok ze sztuczną Różą, potem kłapa, rąsia, buźka, goździk. Generał do domu, a my z powrotem na luz.

- Ja bym nie był takim optymistą - powiedział Żuczek ponuro. - Nie czuję tej akcji, nie czuję jej zupełnie. Szczerze mówiąc, to nie jest mój dzień.

- Oj, Żuku, zepniesz się na ten jeden raz - powiedział Drakkar. - Zresztą, jak chcesz, możesz być dzisiaj w rezerwie. Może Milka spróbuje złapać płatek?

- Nie ma mowy - odmówił tamten kategorycznie.

- Ja ją znam, raz się wciśnie na moje miejsce i już zostanie w rezerwie na zawsze. A mnie nie bawi cały skok przeleciający w płaskiej.

- Wypróbowywanie nowych układów w taki dzień jak dziś jest całkowicie bezsensowne - poparł go Wódz. - Robimy po staremu, bez żadnych zmian, po co ryzykować. Pamiętajcie: generał ma obejrzeć, jak ładujecie w Różę cały magazynek, po czym wyjechać pełen entuzjazmu dla naszych dzielnych Os. Aha, włączcie Cyprysy, przecież to tylko ćwiczenia. I bez szaleństw w powietrzu. Może na wszelki wypadek skoczycie na Studentach... - Udał, że się poważnie zastanawia nad tą opcją.

Zamachali gniewnie rękami.

- Ależ Wodzu, co Wódz! - odparli chóralnie z wyrzutem. - Będzie bezpiecznie, mucha nie siada.

- Trzymam was za słowo - oznajmił. - Ubierajcie się. Generał raczy nas nawiedzić za pół godziny. Macie być tryskający zdrowiem i optymizmem, ogoleni i w wyprasowanych kombinezonach.

- Kombinezonów się nie prasuje - zaprotestował Żuczek. - Nigdy tego nie robiłem i nie będę. Wystarczy, że upiorę czasem.



- Coś ty? - Wódz popatrzył na niego drwiąco. - Nie prasuje się? Naprawdę?  
Spadochroniarz zorientował się ponieważ, że po prostu nie załapał żartu.

- No tak - stwierdził z rezygnacją, po czym spróbował się potargować, korzystając z okazji. - Ale z tym goleniem się to było poważnie, co?

- Niestety tak. - Wódz pozostał nieugięty.

- Słyszysz, Milka - rzucił Neon. - Bierz się do roboty. Jeszcze podrapiesz pana generała, jak cię będzie całował w policzek.

- Tak jest! - ziewnęła, zakrywając usta ręką. - Ku chwale Ojczyzny! Jezu, chodźmy już. Im wcześniej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim.

- To niestety zależeć będzie od gościa - westchnął Drakkar, wiało od niego pesymizmem. - Dobra, ludziki, zabieramy się do roboty. Oddział naprzód marsz!

Wyszli niemrawo od Wodza, rozeszli się po pokojach. Po piętnastu minutach wytargali spadochrony z magazynu, powlekli się na start.

Ślimak popatrzył ze zdziwieniem na wysypujący się w jego kierunku szereg Os.

- Co jest, zespoły wam się pomyliły? - zapytał obruszony; oto dokonywali nielegalnej napaści na jego królestwo. - Tu skacze wsparcie i ja rządę. Spadajcie!

- Zmiana planu - rzucił Wódz, wchodząc na kwadrat. - Chwilowo przejmuję dowodzenie. Pan generał we własnej osobie zapragnął obejrzeć popisy swoich drogich Os. Skaczących do sztucznej Róży, z braku prawdziwego alarmu w stosownej chwili.

Zastępca skrzywił się i splunął na trawę.

- Żeż kuuurwa mać - oznajmił z goryczą. - Też nie ma kiedy się bawić. Nie mógłby w tygodniu?

- Może postanowił zabrać rodzinę na niedzielny piknik - powiedział Wódz, sięgając po planówki.

- Dobra, to w końcu tylko jeden wylot. Robimy swoje i spadamy, potem bawicie się dalej. - Popatrzył na spadochroniarzy, ustawionych w szeregu na linii sprawdzenia. - Rozejść się, nie robić mi tu zbiegowiska! - zażądał. - Pójdziecie w następnym wylocie. Teraz będzie popisowy numer Os: walka z Różą. Osoby wrażliwe proszone są o zamknięcie oczu.

- Ależ oczywiście - powiedziała Eli, wychodząc z linii. - Osy przede wszystkim. To nasz narodowy skarb.

Wódz policzył w myślach do dziesięciu, po czym uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz - oznajmił. - A teraz spadajcie, szanowni spadochroniści, zanim w kogoś rzucę czymś ciężkim. Osy na linię sprawdzenia, zapraszam!

Na linii zaroilo się, powstał mały tłumek, ludzie się wymieszali. Po chwili przed kwadratem przeżył się dumnie szereg czarnych kombinezonów, połyskujących złotymi emblematami Os. W samą porę, Generał wraz ze świtą pojawił się już na płycie lotniska. Wsiadł z zielonego honkera, wraz z nim dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Adiutant i kierowca zostali w wozie, najwyraźniej stanowili pomijalny dodatek do całości.

- Przywiozłem młodzież na piknik - powiedział generał, kiedy tylko dotarł do Wodza. Zaczął mu gorliwie ściskać rękę. - Jasiu, nie rusz tego, to będzie potrzebne -

skarcił syna, który natychmiast dobrał się do radia. - A przy okazji pomyślałem, że chciałbym wreszcie zobaczyć naszych bohaterów w akcji.

- Ależ oczywiście, panie generale - odparł kierownik skoków, symulując żywiołową radość. - Tyle razy już pana zapraszaliśmy, cieszę się, że wreszcie zdecydował się pan skorzystać z naszej gościnności. Oto i Osy! - Wskazał ręką na równy czarno-złoty szereg spadochroniarzy.

- Dzień dobry, panie generale! - zakrzyknęli w miarę równym chórem.

Generał zmarszczył przez chwilę brwi, coś mu tu nie pasowało. Powinien chyba usłyszeć: czołem, panie generale? A nie, przecież to po części cywile. Rozjaśnił się.

- Dzień dobry - powiedział, dziwiąc się, jak to jednak niezręcznie brzmi w takiej sytuacji. - Spadochroniarze - dodał na wszelki wypadek, dla uspokojenia sumienia.

- No to naprzód! - powiedział Wódz. - Śmigłowiec czeka.

Pobiegli do maszyny równym, zwartym szeregiem. Makieta Róży już była podczepiona, mechanicy uwinęli się w podziwu godnym tempie. Spadochroniarze prześlizgnęli się zwinnie pomiędzy linami, wskoczyli do śmigłowca. Łopaty wirnika zaczęły nabierać rozpędu, znajomy gwizd przechodził w coraz wyższą tonację.

- Zapraszam na kwadrat, panie generale. - Wódz wskazał na obwiedzione liną stanowisko lotniczego dowodzenia. - Będzie mógł pan obserwować akcję przez telemetr. Potem, oczywiście, odtworzymy całość na ekranie telewizyjnym, powinno być widać wszystkie szczegóły.

Gość przeszedł na kwadrat, usiadł na plastikowym krześle, wziął na kolana oboje dzieci, dziewczynkę i chłopca.

- Wystarczy mi widok stąd, proszę zostać przy telemetrze - powiedział. - Jeżeli nie przytrzymam tych szkodników, rozniosą panu cały start na strzępy.

- Oczywiście. - Wódz skinął głową i zasiadł na zwykłym miejscu.

Śmigłowiec poderwał się, zakołysał i popędził przed siebie, z lekkim skretem w prawo. Błyskawicznie nabierał wysokości.

Spadochroniarze na jego pokładzie wyciągnęli się na metalowych krzeselkach, opierając głowy o kadłub. Wyprostowali nogi, wzdychając ciężko raz po raz.

- Może pomachać misiowi przez okienko? - spytał Neon, obrócił się przez ramię, popatrzył z góry na start. - Drakki, zarządz coś. Na trzy-cztery. Wszyscy krzyczymy: kochamy pana, panie generale!

Drakkar machnął ręką.

- Daj spokój - powiedział, tłumiąc ziewanie. - Sprężmy się i zrobmy, co do nas należy. A potem chodźmy spać.

- Wszyscy razem? - zapytał Kokos z nadzieją.

- Milka też?

- Milka przede wszystkim - potaknął Filozof. - Ona jedyna ratuje heteroseksualność naszych wzajemnych relacji. Inaczej publiczne stwierdzenie, jaka to miłość panuje w oddziale, robiłoby z nas bandę pedałów.

- No i co z tego. Bądź biseksualny, w ten sposób podwajasz swoje szanse! - zauważył Neon radośnie. - Czy komuś by to przeszkadzało?

- Ja tam niczego nie zamierzam podwajać - oznajmił Drakkar leniwie. - No, trzy tysiące, szable w dłoń!

Włożył kask, zaczął go zapinać pod brodą. Pozostali poszli w jego ślady. Milka,

dopinając pasek pod kaskiem, popatrzyła na Żuczka, siedzącego z bardzo markotną miną. Zamachała do niego, uśmiechnęła się, podniosła dłoń z uniesionym kciukiem. Pokiwał głową, uśmiechnął się blado, odpowiedział takim samym gestem.

Cztery tysiące, cztery i pół.

Wstali z miejsc, ustawili się do wyjścia, tak jak zwykle.

Pięć tysięcy, zapłonęła żółta lampka. Przykucnęli w gotowości.

- Zaraz będą skakać - oznajmił Wódz na dole. - Powinno dać się zauważyć, dzisiaj jest doskonała widoczność.

Zielone światło. Wysypujecie się z tyłu śmigłowca, ścigając opadającą Różę. Pikujesz, ale tym razem powietrze stawia opór, chyba cie na boki. Tracisz Różę z kierunku, cholera, co jest? Zawracasz szerokim łukiem, namierzasz obiekt jeszcze raz, niech to szlag, już trzeba hamować, żeby nie przepaść! A Róża gdzieś daleko z lewej strony. Przechodzisz do tracka, celujesz w utrapiony owoc. Zerkasz na wysokościomierz. Trzy i pół tysiąca, chyba jeszcze nigdy tak się nie pieprzyło. Dochodzisz wreszcie do kwiatka... i znowu nikogo dookoła.

Spadasz więc w płaskiej, czekając na pozostałych. Podlatuje Drakkar z niemożebnie wściekłą miną. Zawalają ten skok, wszyscy równo. Zaraz po nim zjawia się Żuczek, też z nie najszcześliwszym wyrazem twarzy. Potem nad nimi zaczyna krążyć Filozof. A reszty jak nie ma, tak nie ma. Kolebią się gdzieś po bokach, to wypuchając, to przepadając, w ogóle nie mogą dojść. Dwa tysiące osiemset metrów, porażka. Poprzednio na tej wysokości Drakkar kończył podawanie esencji, a teraz nawet jeszcze nie zaczęli... Wreszcie pojawia się zmachany Kokos, po nim Neon i Pinio. Drakkar kiwnięciem głowy nakazuje ci dołączyć, nie będziecie już czekać na Kochera, najwyraźniej przepadł na dobre. Ustawiasz się natychmiast pomiędzy Żuczkiem a Piniem. Drakkar kiwa głową: do dzieła! Zostało już tylko dwa tysiące trzysta metrów.

Spokojnie, przecież to tylko udawany, ćwiczebny skok.

Wraz z pozostałymi podchodzisz do sztucznej Róży, łapiesz za płatek, odchylasz go delikatnie. Drakkar wpada na górę, chyba niepotrzebnie tak gwałtownie: jak się wywali, nie będzie już mowy, żeby zdążył załadować całość esencji. Na szczęście jednak nie traci równowagi, zupełnie jakby utrzymywał ją siłą woli. Wbija igłę w znamię i wstrzykuje do środka zielonkawą płyn.

Sekundy wloką się niemiłosiernie. Wszyscy popatrują ze zniecierpliwieniem po wysokościomierzach. Tysiąc osiemset. Tysiąc pięćset. Kurwa mać, tysiąc dwieście, powinniście się już rozchodzić, a to pieprzone światełko wciąż pali się na czerwono i wcale nie zamierza przestać. Protracki w hełmach zaczynają wyśpiewywać swoją piosenkę: rozchodzić się, rozchodzić...

- Hm, dosyć długo im to zajmuje - mówi generał uprzejmie, podrzucając dzieci na kolanach. - Powinni już zacząć się rozchodzić, prawda?

Tysiąc metrów. Patrzysz niespokojnie na Drakkara. Odpuści sobie czy nie? Pal sześć niskie otwarcie, generał powinien zobaczyć, że jesteście w stanie podać całą esencję. A protrack zmienia ton, zaczyna gwizdać częściej i ostrzej: otwieraj się, naprawdę robi się już nisko!

Metry lecą przeraźliwie szybko w dół i w dół, z każdą sekundą jest ich o pięćdziesiąt mniej. Osiemset, siedemset. Sześćset. Jeszcze trochę i pootwierają nas

Cyprysy, myślisz... i wreszcie widzisz, jak kontrolka błyska błogosławioną zielenią. Drakkar natychmiast zsuwa się z Róży. Puszczasz płatek i uciekasz przed siebie, nawet nie czekając na sygnał.

Protrack wyje przeraźliwym, wibrującym tonem, kiedy rzucasz pilocik. Trzysta metrów! Wnętrza ściąga się igłami lodu: błąd, na tej wysokości powinno się otwierać zapas! A teraz, jeżeli będą jakiejkolwiek kłopoty z głównym, nie zdążysz już się przesiąść... Szeroko otwartymi oczami patrzysz w górę, na falującą nad nią czaszę. Otwieraj się, otwieraj!

Szrut... szumi spadochron i rozpościera się w przepięknej całości. Przełykasz ślinę, oddychasz głęboko z poczuciem niewysłowionej ulgi. Łapiesz za kołki sterownicze, odhamowywujesz je, rozglądając się, gdzie są inni.

Nagle w oczach ciemnieje ci z przerażenia. Tuż obok ktoś spada jak kamień w dół, ciągnąc za sobą paczkę i wyzierający z niej fragment czaszy, łopoczący w splotach linek. Spadochron nie wychodzi jednak całkiem, czymś zablokowany. Częściowo uwolniony materiał nabiera obrotów, zaczyna zataczać niesymetryczne kręgi. Skoczek szarpie się, ciągnąc za uchwyt, wyczepiający czaszę główną, najwyraźniej jednak ma z tym problemy. Patrzysz osłupiałym wzrokiem w dół, ułamki sekund przeciągają się w wieczność, sylwetka ludzka wygląda, jakby już prawie leżała na ziemi... Spadochroniarz sięga rękami w górę, pewnie chce się wyciąć z taśm, a może po prostu usiłuje ustawić się nad horyzont - za chwilę strzeli Cyprys! - o, właśnie pilocik spadochronu zapasowego wychodzi z pokrowca, prześlizguje się koło linek - trafia w łopoczący, wirujący materiał, splątuje się z nim - i tak już zostaje, przez kolejną sekundę. Potem człowiek uderza w ziemię, głuche łupnięcie jest niczym echo uderzenia dopiero co opadłej Róży.

Ludzie, zgromadzeni na starcie, stoją jak skamieniali. Szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami wciąż patrzą to na ziemię, to znów na niebo. A potem pędem ruszają w kierunku ciała.

- Stać! - krzyczy Wódz, a sam biegnie, ile tylko ma sił.

Zatrzymują się więc posłusznie, wpatrując się z niedowierzaniem w dziwny, bezwładnie rozciągnięty na ziemi kształt.

Dzieci generała zaczynają głucho jęczeć, niczym złapane w potrzask zwierzęta. Ten, ponieważ, bezradnym gestem zakrywa im oczy.

Milka trzęsie się na całym ciele, po twarzy płyną jej łzy. Wpatruje się w znieruchomiałą na ziemi sylwetkę, wciąż nie wierząc, że to już koniec, oczekując jeszcze jakiegokolwiek śladu życia. Podchodzi do lądowania byle jak, przewraca się przy przyziemieniu. Z daleka wyje pędząca ku nim karetka.

Milka wypina się z czaszy, jakby podświadomie chciała sprawdzić, czy jej uchwyt by zadziałał. Zostawia spadochron za sobą, biegnie co sił w kierunku ciała, rozpostartego bezwładnie na ziemi. Przerażenie zaciska jej gardło, nadal nie może uwierzyć w to, co się stało.

Dobiega, kiedy nad skoczkiem stoi już niewielki, milczący krąg Os. Najwyraźniej nikt nie zamierza prowadzić akcji reanimacyjnej.

Milka zwalnia, po czym na sztywnych nogach podchodzi do miejsca katastrofy. Patrzy przed siebie szeroko otwartymi oczami, które wolałyby niczego nie zobaczyć.

Żuczek.

Leży na ziemi niczym marionetka, jednym cięciem uwolniona od sznurków.

Upadł brzuchem do ziemi, ale głowa skierowana jest do góry. Kask leży parę metrów obok, wykręcony w dziwny, przerażający sposób. Z oczu, uszu, nosa i ust spływa ciemna krew, mieszając się z jakimś jasnym płynem. Odłamki pogruchotanych kości rąk i nóg przebijają się przez kombinezon.

Wokół unosi się jedyny w swoim rodzaju zapach zrytej ziemi pomieszanej z krwią.

Pokrowiec otoczony jest płataniną linek, spośród nich wyziera fragment materiału czaszy spadochronu. Tylko fragment.

Milka zaciska nagle powieki. Unosi je jednak zaraz, rozglądając się po kolegach, jak gdyby chciała poprosić, żeby ją z tego koszmaru obudzili. Oni jednak stoją nieruchomo, twarze mają równie puste i zamarłe jak ona.

Podjeżdża karetka. Lekarz wysiada z niej śpiesznie, rzuca okiem... i kiwa głową.

- Wypiszę zgon - mówi po prostu.

Patrzą na niego, jakby nagle przestali rozumieć po polsku. Wódz wypuszcza z siebie powietrze z sykiem. Potrząsa głową, jak gdyby się obudził i powracał śpiesznie do rzeczywistości.

- No tak, oczywiście - zgadza się, po czym rozgląda się po Osach. - Idźcie na start - wydaje krótkie polecenie. - Nic tu po was.

Odwracają się więc i odchodzą w milczeniu. Milka idzie przez chwilę z nimi, ale potem zawraca i biegnie z powrotem w kierunku znaków, tam, gdzie wylądowała.

Zostawiła przecież spadochron.

Stara się biec na wprost do powiewającego na trawie materiału, nie patrząc na to, co się dzieje z lewej strony. Niestety. Niczym namagnesowana, głowa sama odwraca jej się znów w stronę miejsca katastrofy. Błyskają tam flesze aparatów fotograficznych, dokumentacja dla Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych.

Milka odwraca się, szukając swojej czaszy niewidzącym wzrokiem. Przed oczyma wyświetla jej się przerażający, upiorny film.

Tuż obok ktoś spada jak kamień w dół, ciągnąc za sobą paczkę i wyzierający z niej fragment czaszy, łopoczący w splotach linek.

A zaraz potem migawka. Krótki obraz, niczym błysk flesza.

Żuczek leży nieruchomo na ziemi. Wgniół ją na dobre dwadzieścia centymetrów.

## 2.

- Aha - powiedział Ari po prostu. - Aha.

Patrzył na nich jakimś takim dziwnym, obojętnym wzrokiem. Jakby zupełnie nie zrozumiał, co mu przed chwilą powiedzieli.

Drakkar zadzwonił po Ariego, prosząc, by przyszedł do spadochroniarni. Wódz był zajęty, kabewuelka siedziała mu już na karku. Zajęli się więc całą resztą sami, pożegnali generała, tulącego do siebie zapłakane dzieci. Wygonili do domów zmartwiałą z przerażenia podstawówkę, większość młodych już nigdy nie odważy się wyskoczyć.

Ari przyszedł natychmiast, blady i wyjątkowo spokojny, jak gdyby przeczuwał, co mają mu do powiedzenia.

- Macie jeszcze jakąś rodzinę? - spytał Drakkar spokojnie, łagodnie. - Trzeba ich będzie poinformować. Chcesz, żebym ja to zrobił?

Strażak pokręcił głową.

- Wszystkich wykończył Fiołek - powiedział powoli. - Tak sobie zostaliśmy już tylko we dwóch... - Powiódł wokół nieprzytomnym, nierozumiejącym wzrokiem. - Czy mogę go zobaczyć? Leży tam jeszcze?

Milka zamknęła oczy, przed nimi zabłysła jej znów ta upiorna migawka. Otworzyła je więc czym prędzej.

- Proszę, nie rób tego - powiedziała gwałtownie. - Nie wolno. To twój brat, musisz go pamiętać takim, jakim był.

Pokiwał głową potulnie.

- Aha - powtórzył znów. - Aha.

Wszedł Neon, dźwigając na ramieniu wypakowaną torbę. Zdecydowanym ruchem chwycił Ariego pod ramię.

- Idziemy do mnie - zarządził. - Wszyscy. Już.

- Kabewuelka? - Drakkar uniósł brwi pytająco. - Zaraz nas będą przesłuchiwać.

- Znajdą nas - odparł tamten niewzruszenie. - Rusz dupę. Chodź.

Poszli za nim posłusznie: Osy i wsparcie oraz ci ze skoczków, którzy nie zdecydowali się uciec natychmiast do domu. Stanęli u Neona w pokoju, popatrzyli na niego pytająco. Ten otworzył szafkę, wyrzucił z niej małe plastikowe kubeczki. Z torby wyjął butelkę wódki, postawił na stole, zaczął nalewać.

- Proszę państwa - powiedział. - Stało się, co się stało. Wszyscy wiemy, na czym polega ten sport. To nie jest zabawa dla grzecznych dzieci, taka jest prawda. Można przy tym umrzeć. Jak i przy stu tysiącach innych okazji, nie znacie dnia ani godziny. - Podał napełnione naczynia, zaczął nalewać następne.

Pinio stanął przy nim, przechwytyjąc kubki i przekazując kolejnym osobom. Skończyła się butelka, Neon wyjął następną. Polewał dalej, aż każdy obecny otrzymał porcję.

Stali w kręgu, ściskając w rękach naczynia, z których dolatywał ostry zapach alkoholu.

- *Ave Maria* - powiedział Neon, wznosząc swój kubek. - Za tych, co na górze.

- *Blue skies!* - odpowiedzieli chórem, po czym każdy zaczął pić, desperacko, do dna. - *Black death!*

- Siadajcie - polecił gospodarz.

Milka rozejrzała się wokół, po czym powolnym krokiem podeszła do wersalki. Zajęła swoje zwykłe miejsce. Ari podążył za nią, siadając po jej lewej stronie. Pozostali dołączyli do nich, przysunęli sobie fotele, krzesła. Miejsce Żuczka, z prawej strony Milki, pozostało puste.

Każdy co chwila spoglądał w tamtą stronę, jakby oczekując, że Żuczek pojawi się znienacka na kanapie, mówiąc „ale was nabrałem, ha!”.

Miejsce wciąż jednak było przerażająco puste. Wydawało im się, że wręcz wieje stamtąd przenikliwym chłodem.

Pinio władował pozostałe butelki do lodówki. Neon pochwycił jedną, przysiadł

się do kręgu. Napełnił swój kubek i podał butelkę dalej. Poszli za jego przykładem, butelka powędrowała z rąk do rąk.

- Ale jak to możliwe! - wykrzyknął Manior, trąc ręką o czoło. - Widziałem z dołu, po prostu uchwyt wyczepny mu nie wyszedł. Ciągnął i ciągnął, a ten nic.

- Właśnie, czy ktoś mi powie, jak to się właściwie stało? - zapytał Ari, wciąż nieskazitelnie spokojny.

Rozejrzeli się po sobie niepewnie. Popatrzyli pytająco na Drakkara, ten jednak siedział milcząc, z jakby nieobecnym wzrokiem, wbitym w ścianę. Wreszcie Manior zdecydował się.

- Miał kichę - wyrzucił z siebie. - Przynajmniej tak to wyglądało z dołu. Jechał na paczce, wyszły z niej jakieś szmaty, ale reszta uwięzła. Próbował się wypiąć, nie dało się. Uchwyt nie chciał wyjść. Chyba próbowałeś jeszcze wyciąć, nie zdążył. Cyprys strzelił, ale zapas splątał się z głównym.

- Jak to strzelił Cyprys? - powiedział Ari powoli. - To na ilu zeście się otwierali, przy pozorowanym skoku? - popatrzył z przerażeniem na Drakkara.

- Na trzystu - odpowiedział tamten cicho, wciąż patrząc w ścianę. - Strasznie nam nie szło... A tu generał patrzył, chciałem podać całą dawkę.

Wódz zajrzał do pokoju, uchylając drzwi.

- Chodź, Drakki - powiedział. - Ze mną już skończyli. Teraz chcą z tobą rozmawiać.

Drakkar podniósł się, milcząc wyszedł z pokoju. Wódz podszedł do stolika, nalał sobie pół kubka.

- I jak, wiemy coś? - nie wytrzymał Ślimak.

Wódz wypił wódkę duszkiem, odkaszlnął, zakrywając usta ręką.

- Jakiś patyczek zaplątał się w pierwszą gumkę, tę tuż przy paczce - powiedział. - Linki nie dałyby rady się wypleść, choćby nawet bardzo chciały. Błąd przy układaniu... Ale czemu uchwyt wyczepny się zablokował, nie wiadomo. W środku bowdena był jakiś kamyk. Może wbił się tam podczas upadku, trudno powiedzieć. Na razie nie znaleziono żadnej innej przyczyny.

- Kto układał ten zapas? - zapytał Ślimak spokojnie.

- Ja - odparł Wódz. - Jak wszystkie zapasy Os, wiadomo.

- Zawieszę cię do wyjaśnienia - powiedział Ślimak powoli.

Wódz zgodził się milcząco.

- Będiesz za mnie prowadził skoki? - zapytał, właściwie nie oczekując odpowiedzi. - No, muszę iść. - Odstawił kubek na stół, kiwnął głową i zostawił ich.

Znów zaciążyła nad nimi ołowiana cisza. Popijali w milczeniu, starając się ze wszystkich sił nie myśleć o tym, co się dzisiaj stało.

- Przepraszam. - Manior oderwał ręce od twarzy, wyszedł z pokoju pośpiesznym krokiem.

Pewnie poszedł się popłakać na korytarzu. Dobrze, że nie tu. Dobrze, że nie przy nich, nie przy rodzinie, przy Arim.

Czas skapywał długimi, koszmarnymi minutami. Te zaś z trudem łączyły się w kolejne, pełne udręki godziny.

Byle jakoś przetrwać. I tak nikt nie będzie spał tej nocy.

Wreszcie drzwi otworzyły się, wszedł Drakkar. Odwrócili ku niemu głowy jak jeden mąż.

- Proszą następnego - powiedział mocno zgaszonym głosem. - Kogokolwiek, będą pytać wszystkie Osy i tych, co byli na starcie i widzieli z dołu. Kto chce teraz?

- Mogę ja? - poprosiła Milka. - Chciałabym mieć to już za sobą.

Popatrzyła po pozostałych.

Nikt nie zaprotestował.

- Idź, maleńka. - Drakkar westchnął, usiadł i sięgnął po wódkę. - Miej to już za sobą. - Odkręcił zakrętkę, zaczął pić prosto z butelki.

Wstała więc czym prędzej. Powłokła się do biura Wodza, gdzie rozłożyła się komisja. Zapukała, weszła do środka.

Irek Skiereł, starszy, siwy spadochroniarz, siedział za biurkiem. Przed nim leżał laptop, obok piętrzył się stos papierów.

- Witaj - rzekł smutnym, spokojnym głosem. - Wiem, że to może być trudne, ale opowiedz mi, proszę, co widziałaś. Cały skok, od początku.

Westchnęła głęboko. Z trudem znowu odtworzyła w głowie upiorny film.

Zaczęła opowiadać nieskładnie, przerywając co chwilę.

### 3.

Wróciła do Neona po prawie godzinie przesłuchań, niemalże płacząc. Tak bardzo chciała, żeby ten koszmarny dzień skończył się wreszcie... Byleby tylko dzisiaj nie było alarmu, bo wszyscy są w takim stanie, że na ziemię mógłby spaść deszcz Róż, a oni i tak nie złapaliby ani jednej.

Weszła do pokoju, wszystkie spojrzenia skierowały się na nią natychmiast.

- Proszą następnego - powiedziała zmęczonym głosem.

- To teraz ja pójdę - oznajmił Pinio zdecydowanie. - Można?

Pokiwali głowami. Chłopak wyszedł więc z pokoju śpiesznym krokiem.

Milka podeszła do wersalki. Popatrzyła na Ariego, wciąż milcząco popijającego z kubka. Ten facet jest chyba z kamienia, pomyślała. Nic po nim nie widać, nic a nic. Ale może właśnie w ten sposób się broni. Tym bardziej że jeśli on uroni choćby łzę, pęknie tama i nic nie powstrzyma powszechnej hysterii.

Usiadła, rozejrzała się wokół.

Drakkar, wbity w fotel, wpatrujący się przed siebie nieobecny wzrokiem.

Ślimak, zgarbiony na krześle ze skrzyżowanymi rękami. Manior, z głową wspartą na rękę, Babeta, siedząca obok niego i gładząca go delikatnie po ramieniu. Neon, stojący przy barze z butelką wódki w dłoni, popijający z gwinta i wodzący po wszystkich uważnym, badawczym wzrokiem. Kocher, wpatrzony w widok za oknem i szepczący coś pod nosem. Filozof, trzymający przed sobą kamerę w zaciśniętych, zbieleńskich palcach. Jasny szlag, przecież on ma z tego film... Niech tylko nikt z komisji nie wpadnie na pomysł, żeby im to teraz kazać oglądać!

Milka wstrząsnęła się, poczuła, że już dłużej nie wytrzyma.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała, wstając.

Wyszła, przebiegła przez korytarz, wpadła do swojego pokoju. Panował w nim półmrok, paliła się tylko lampką nocna, którą zawsze zostawiała włączoną. Sięgnęła ręką do głównego włącznika, jednak zaraz cofnęła się. Niech będzie tak, jak jest, po



co komu to jasne, przeraźliwe światło.

Podeszła do okna, wbiła wzrok w panoszącą się za nim noc. Tak bardzo chciałaby się rozpłakać... Nic z tego, jakaś bezlitosna dłoń trzyma mózg, ściskając go niczym gąbkę, aż brakuje tchu w piersiach, a serce wali jak oszalałe. A jednocześnie oczy pozostają tak przeraźliwie suche. Nie ma łez, po prostu nie ma łez... Wszystko wokół jakby zamarło, znieruchomiało w przerażającej, nabrzmiałej bólem ciszy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Milka podeszła powoli, otworzyła.

Na progu stał Ari. Patrzył na nią wciąż tak samo spokojnie i beznamiętnie, jak przez cały wieczór.

- Mogę? - zapytał.

Wpuściła go do środka bez słów, z przemożną ulgą, że przyszedł, że nie jest sama w tym strasznym, znieruchomiałym pokoju.

- Nie chcę się narzucać - powiedział powoli. - Ale wspominałaś ostatnio, że jak będę miał problem, będę mógł przyjść pogadać. Miałaś rację, nie zamierzałem z tego skorzystać. Ale teraz zmieniłem zdanie.

- Siadaj, Ari - odparła miękko, łagodnie. - Jasne, że możemy pogadać. Dobrze, że przyszedłeś.

Pokiwał głową, usiadł na fotelu.

- Bo tam już jest okropnie, naprawdę - stwierdził. - To potworne milczenie... Mam dość. Ale nie chcę iść do siebie, jeszcze nie. - Wyjął zza paska butelkę, pociągnął z gwinta.

Popatrzyła na niego uważnie, dopiero teraz zobaczyła, że jest już mocno pijany. Mówił jeszcze składnie, ale oczy miał mętne i coraz bardziej przerażone. Maskę, którą z takim wysiłkiem utrzymywał przez cały wieczór, zaczynała się właśnie rozpadać.

- Może chcesz kawy? - zaproponowała, podchodząc do prowizorycznej kuchenki. - Chyba dziś nie powinieneś pić już więcej wódki, Ari.

- Chcę się upić do nieprzytomności - oznajmił dobitnie. - Ale ty się nie bój, nic ci nie zrobię. Powiedziałem przecież, że nie będę wchodził w drogę bratu, prawda? - Roześmiał się dosyć upiornie.

Odwróciła się do niego, usta jej drżały.

- Mówiłam ci, że między nami nic się nie wydarzyło - wyjąkała z trudem. - Żuczek był wspaniałym facetem. Ale tylko przyjacielem, nic więcej.

Ari odchylił głowę w tył, wpatrzył się w sufit.

- Kochał się w tobie na zabój - stwierdził. - Marzył o tobie dzień i noc.

Nogi ugięły się pod nią, usiadła na łóżku.

- Skąd wiesz? - spytała cicho, po czym pokiwała głową domyślnie. - Siedzieliście wczoraj prawie do białego rana, powiedział ci.

- Tak - odparł krótko i zamknął oczy. - Ale nie raczyłaś, zdaje się, zwrócić na niego stosownej uwagi.

- Nie wierzyłam, że mogę się tu komuś podobać - powiedziała, splatając palce aż do bólu. Westchnęła głęboko, jak przed skokiem do wody. - Daleko mi do takiej Cindy, na przykład.

Otworzył oczy, popatrzył na nią ze zdumieniem. Znowu przechylił butelkę, pociągając potężny łyk.

- Ależ te baby są głupie - oznajmił dosyć niewyraźnie. - Cindy to materac. Kładzie się na niej, kto chce. Nie, Milka, chyba nie chciałaś być taka jak ona. Powiedz, że tak nie jest, inaczej przestanę wierzyć w wyjątkowy gust mojego brata. - Pokręcił głową. - Świętej pamięci brata... - powtórzył i rozplakał się nagle.

Zerwała się z miejsca, podbiegła do niego, objęła go za głowę. Oplótł ją w pasie ramionami, przytulił twarz do jej brzucha i łkał jak zrozpaczone dziecko. Zaczęła go gładzić po krótko ostrzyżonych włosach.

- Płacz, Ari, płacz - wyszeptała. - Nie wstydź się. To pomoże.

- Wszyscy odeszli - wyjąkał wreszcie. - A teraz i on. Może powinienem był zginąć pierwszy, gdzieś w ogniu, byłoby lepiej...

- Ćśśś, nie mów tak, proszę - jęknęła, po twarzy popłynęły jej wreszcie upragnione łzy. - Nie wolno tak mówić. To nie ty wybierasz datę i godzinę. A Zygmunt... Poszedł tam, gdzie potrzebny był bardziej.

- Naprawdę w to wierzysz? - Podniósł ku niej spuchniętą, zaczerwienioną twarz. - Powiedz, naprawdę?

- Staram się - powiedziała, łzy błyszczały na jej policzkach. - Staram się, jak mogę. Objął ją jeszcze mocniej, znów wtulając się w nią z rozpaczą.

- Pozwól mi tu zostać dzisiaj, proszę - wyszeptał. - Po prostu nie chcę, nie mogę być dzisiaj sam.

- Dobrze - odparła powoli. - Zostań. Ja też nie chcę być dzisiaj sama. W jakiś sposób... Kochałam go, wiesz?

- Wiem - wymamrotał. - Wiem. Ja też go kochałem. Bardzo.

Zrozumiała, że jest już ledwo przytomny, zamroczony bólem i alkoholem. Odsunęła się więc, pociągnęła go delikatnie za rękę.

- Chodź - proponowała. - Położysz się.

Pokiwał głową posłusznie, wstał z wyraźnym trudem. Zataczając się, dotarł do łóżka. Zwalił się na nie jak kłoda.

- Bądź... przy... mnie... - poprosił, niewyraźnie wypowiadając słowa.

Położyła się więc tuż obok i naciągnęła na nich oboje gruby, puszysty koc. Ari przekręcił się na bok i objął ją z całych sił. Z ręki wypadła mu całkiem już pusta butelka.

- Dziękuję - wyszeptał jeszcze, a potem zapadł w pijaną, błogosławioną nieświadomość.

Leżała bez ruchu, słuchając jego niespokojnego, urywanego oddechu. Wbijała napełnione łzami oczy w ciemność, gromadzącą się nad nimi pomimo słabego światła nocnej lampki. W pamięci co chwila pojawiała się upiorna migawka, odtwarzał okrutny film.

Tuż obok ktoś spadał jak kamień w dół, ciągnąc za sobą paczkę i wyzierający z niej fragment czaszy, łopoczący w splotach linek.

# Rozdział 10

*Kiedy skoczek umiera,  
To chmury w żalu sine,  
Pochylają nad nim głowy,  
Jak nad swoim synem.  
Błękit nieba szumi mu  
Odwieczną pieśń przestrzeni.  
A on gna w milczeniu w dół,  
Na spotkanie ziemi.*

*Kiedy skoczek umiera,  
To niebo nad nim płacze.  
Lecz nadzieją jego serce  
Jeszcze zakołacze,  
Że powróci już niedługo  
Do góry, do nieba.  
By powitać chmury swoje,  
By wraz z nimi śpiewać*

*Chmury moje i przestrzenie  
Otwórzcie swe ramiona.  
Wlejcie w moją duszę błękit,  
Kiedy będę konał.  
Druhu mój Wolności Wietrze  
Bądź przy mnie gdy zasnę.  
Ciepłą drżącą swoją ręką  
Zamknij oczy zgasłe.  
Bym mógł z ziemią się połączyć,  
Oddać martwe ciało.  
I wraz z tobą wrócić tam,  
Gdzie serce zostało.*

*Kiedy skoczek umiera,  
To ptaki go żegnają.  
Układają klucz niebieski,  
By otworzyć bramy raju.  
Tylko krzyk ich wśród obłoków  
W żałobną pieśń się splata  
Napętniając niebo smutkiem –  
Wszak żegnają brata.*

*A gdy skoczek już umrze,  
Szorstką ziemię przytulając,  
To spadochron niby całun*

*Skryje jego ciało.  
Ziemia twardo go przyjęła,  
By mu mękę skrócić,  
By mógł do swych chmur kochanych  
Na zawsze powrócić.*

*Chmury moje i przestrzenie,  
Witam was, kochane.  
Razem z wiatrem, razem z wami  
Już tu pozostanę.  
Bracia moi, wolne ptaki,  
Jak mnie powitacie?  
Przecież tylko ja wiedziałem  
Dlaczego śpiewacie.  
Więc powtórzcie wszystkim, którzy  
Na dole zostali  
Aby żyli pełnią życia,  
Śmierci się nie bali!*

*Agnieszka i Bartek Repka Kiedy skoczek umiera  
(spadochronowa przeróbka Kiedy góral umiera)*

## 1.

Blady świt wyzierał za oknami spomiędzy baraków. Dzień wstawał posępny, pochmurny, siejący deszczem, jakby niebo płakało razem ze wszystkimi.

W spadochroniarni panowała cisza, przerywana jedynie posępnymi jękami wiatru. Przesłuchania i stypa skończyły się nad ranem. Skoczkowie rozeszli się do pokojów. Pustka zawładnęła aeroklubem.

Jakiś cień przemknął korytarzem: to Neon zakradł się do paru drzwi, przekazując wiadomość. Spotkanie u Filozofa za piętnaście minut. Najpóźniej dwadzieścia.

Milka z trudem dobudziła Ariego, nafaszerowała go kawą i paracetamolem. Nie zdołał jeszcze całkiem wytrzeźwieć, ale trudno, trzeba było iść. Neon musiał mieć bardzo ważny powód, skoro ich wzywał.

Przekradli się cichcem przez opustoszały korytarz. Weszli do ostatniego pokoju, rozejrzeli się pytająco.

Filozof siedział na rozległej kanapie. W rękach ścisnął kubek, z którego wionął kuszący aromat kawy. Neon odwrócił się znad kuchenki z kolejnymi dwoma naczyniami w dłoniach, wyciągnął je w ich kierunku.

- Dziękuję, już piłem - chciał się wymigać Ari.

- Bierz - w głosie Neona brzmiały bardzo zdecydowane tony. - Filozof czymś tę kawę wzmocnił, nie chce powiedzieć czym, skubany, ale to działa. Bierz i nie marudź. Ty, Milka, też.

Przyjęła napój, rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca do siedzenia. Neon wskazał

dwa fotele, ustawione pod ścianą. Zajęła jeden z nich, popijając kawę i ze zdziwieniem odkrywając jej gorzkawy smak.

- O co chodzi, Neon? - zapytał Ari zmęczonym głosem, siadł na fotelu obok Milki. - Po co mieliśmy się spotkać?

- Poczekaj, Ari, chwileczkę. - Neon wykonał uspokajający gest dłonią. - Cierpliwości. Jeszcze nie wszyscy dotarli.

Wszedł Drakkar. Nie przyjął kubka od Neona, zaciskając pobielełe palce na butelce z wódką. Stał obok okna, oparł się o parapet. Wyjrzał na zewnątrz, niecierpliwie.

- No dobrze - powiedział Neon. - Słuchajcie. Wyciągnąłem was z łóżek, przepraszam. Wiem, to cholernie ciężki czas. Koszmarny dzień i jeszcze gorsza noc, nikt z nas nie jest w nastroju na pogaduchy. Ale nie mamy wyboru, wierzcie mi, musimy zacząć już teraz. Nie wiem, kiedy potem udałoby się nam spotkać w tym składzie, bez większych sensacji. A sprawa jest, no, trudna. Jakby to powiedzieć... - Urwał, pokręcił głową z westchnieniem.

- Mów po prostu, jak sprawy się mają - poprosił Ari. - Ja i tak jestem mało przytomny. Krótko i po żołniersku, dobrze?

Neon mocował się ze słowami, które nie chciały mu przejść przez gardło.

- Myślę, że Zygmunta zamordowano - wyrzucił wreszcie. - To nie był zwykły wypadek.

Ari nabrał powietrza w płuca, głęboko, do samych szczytów. Chciał coś powiedzieć, może krzyknąć... Nie zdołał, wypuścił gwałtownie oddech. Oczy zaszklily mu się zdradliwie.

Inni pozostali w bezruchu, nikt nie odezwał się ani słowem.

- Po pierwsze, wiele razy widziałem, jak Żuczek układa spadochron - wyrzucił z siebie Neon z determinacją. - Nie ma takiej możliwości... Patyczek w linkach... To po prostu niemożliwe! - Popatrzył po pozostałych, potaknęli w milczeniu. - I, do kurwy nędzy, nikt mi nie wmówi, że Wódz ułożyłby zapas i nie sprawdził, czy zamki wyczepne są w porządku i czy uchwyt chodzi, jak należy! - wykrzyknął półszepem. - Ja mówię, że to ktoś ustawił, ktoś to zrobił specjalnie. I zamierzam znaleźć winnego. Pomożecie mi? - Powiódł po nich wzrokiem, z zaciętym, zdesperowanym wyrazem twarzy.

- Chcesz winnego, Neon? - zapytał Drakkar spod okna szorstkim, urywanym głosem. - To masz. Nie szukaj daleko, stoi tu przed tobą.

- Ależ co ty pieprzysz - zdenerwował się tamten.

- Ja mówię poważnie.

Drakkar oderwał się od parapetu, przeszedł na środek pokoju, stanął tuż przed Arim. Ręce mu drżały, mrugał co chwilę, jakby jakiś paproch dostał mu się do oka.

- To ja zabiłem ci brata - powiedział, oddychając ciężko, chrapliwie. - Bo gdyby nie moja idiotyczna chęć wykazania się przed generałem, rozchodzilibyśmy się, jak trzeba. A Żuczek miałby wtedy kupę czasu, żeby się wyciąć.

Ari wstał, spojrzał komandosowi prosto w oczy.

- Wiesz co, Drakki, wytrzeźwiej - wyrzekł głucho. - Żuczek był dorosły. Nikt go nie zmuszał, żeby leciał za tobą na sam dół. Wiedział, co robi, ryzykując niskie otwarcie. Więc mam nadzieję, że nie zamierzasz go teraz obrażać.

Drakkar zamrugał jeszcze mocniej, nie wytrzymał jednak, po policzku spłynęła mu łza.

- Mój brat nie był dzieckiem ani frajerem, któremu mógłbyś cokolwiek nakazać. Więc teraz nie opowiadaj, że to twoja wina. Jesteście Osami, robicie to, co do was należy. On też był Osą i jak Osa zginął, śmiercią spadochroniarza. Najlepszą, jaką mógł sobie wymarzyć.

Drakkar spuścił głowę, po twarzy popłynęły mu łzy, nawet już nie zamierzał tego ukrywać.

Ari chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz nie zdołał, zachrypiał tylko niewyraźnie. Wrócił na fotel, odchylił głowę, zamknął oczy. Drakkar powstał na środku pokoju przez chwilę, wreszcie odwrócił się i wrócił szybkim krokiem pod okno. Zastygł tam znowu, kryjąc twarz, nie patrząc na nikogo i nie odzywając się w ogóle.

- Ja mówię o przestępstwie - powiedział Neon, jakby scena sprzed chwili w ogóle się nie zdarzyła. - Mówię, że ktoś się zakradł nocą do magazynu i pomajstrował przy spadochronie. I mówię jeszcze... - zaciął się na sekundę, przemógł jednak wahanie i wypalił - ...że to był ktoś spośród nas.

Wbili w niego oszołomione spojrzenia. Zapach alkoholu wciąż unosił się w powietrzu, mieszając się z gorzką wonią kawy.

- No nie spośród obecnych tu, w tym pokoju - poprawił się zaraz. - Ale ktoś stąd, spośród spadochroniarzy.

- Czy masz kogoś na myśli? - zapytał Ari z wahaniem.

Tamten pochylił głowę, upił łyk kawy. Cisza, jaka zapadła w pokoju, sprawiała wręcz fizyczny ból.

## 2.

- Naradzaliśmy się tu troszkę, zanim was zaprosiliśmy - oznajmił Filozof. - I na razie ustaliliśmy, kogo nie podejrzewamy, ponad wszelką wątpliwość. Wyniki głosowania siedzą tu.

Milka zaśmiała się nerwowo, rozglądając się z niedowierzaniem.

- No, pięknie - wykrztusiła. - Dużo nas, nie ma co. Jak widzę, nawet nie wszystkie Osy się załapały.

- Wezwaliśmy tu tylko tych, którym obaj byliśmy skłonni zaufać - szorstko wszedł jej w słowo kolega. - W takich przypadkach, co prawda, nie istnieje coś takiego jak stuprocentowa pewność. Musieliśmy się jednak na czymś oprzeć. Tak wybraliśmy i już. Macie jeszcze jakieś typy? Możemy negocjować.

- A Wódz? - zapytała Milka z niedowierzaniem. - On też nie jest pewny?

- To inna historia - rzucił Neon. - Trzeba trzymać Wodza z daleka. Owszem, wtajemniczymy go odrobinę, ale teraz i tak nie może się do niczego mieszać. Ma kabewuelkę na głowie, a może wkrótce i prokuratora. Będzie, że tak powiem, pod ostrzałem.

- A wzięliście pod uwagę, że po prostu jesteście zawodowo skrzywieni? - wypaliła Milka bez ogródek. - Wszędzie węcycie zdradę i spisek!

- Wolę się pomylić w tę stronę niż w drugą! - obruszył się Neon. - Dzięki temu

jeszcze żyję!

- Kto mógłby skorzystać na tej historii? Skupcie się, zrobmy burzę mózgów - poprosił Filozof. - Wiem, to ciężka sprawa. Ale musimy się pozbierać, sytuacja jest zbyt poważna. Kto mógłby chcieć zabić Żuczka? Kto mógł chcieć życzyć mu śmierci? Milka, skoro jesteś z nas najmniej skrzywiona, zaczynaj.

Sapnęła z wysiłkiem, zmarszczyła brwi. Jasne, teraz ma typować podejrzanych w tej wariackiej grze. No, ale skoro chcą...

- Ktoś, kto chciał dostać się do Os - zachrypięła z oporem.

Filozof odwrócił się do Drakkara.

- Kto jest planowany na miejsce Żuczka?

Szerszeń popatrzył na niego, otarł nos i policzki rękawem szarej, wojskowej bluzy. Pokręcił głową, nieco bezradnie.

- Hej, człowieku, weź się w garść! - powiedział Neon ostro. - To nie jest zabawa. Jeśli coś przegapimy tu i teraz, być może sami wkrótce pójdziemy do piachu. I przestań tam tkwić pod tym oknem, jak posąg Matki Boskiej Bolesciwej! Rusz się wreszcie i popracuj z nami!

- Manior - wydusił Drakkar. Odstawił butelkę na parapet, schylił głowę i założył sobie dłonie za karkiem. - Następny w kolejce.

- Dobrze, weźmiemy go pod lupę. - Filozof skinął głową. - Chociaż to wyjątkowo pokręcona koncepcja: zabić kogoś z Os, by się do nas dostać. Wystarczyłoby przecież poczekać do następnego skoku.

Jasne, teraz krytykuj, chciała warknąć Milka, ale powstrzymała się. Chcieli, to powiedziała, co myślała. A teraz ma gdzieś.

Łzy zapiekły ją pod powiekami. Wcale nie ma gdzieś, tylko dość. Tej nowej rzeczywistości, w której brak Żuczka. Od razu i po prostu ma jej dość.

- Wobec tego powinniśmy przyjąć do Os kogoś, kto w obecnej sytuacji nie miałby na to żadnych szans - ciągnął Filozof. - Czyli?... - Spojrzał pytająco na Drakkara.

Dowódca przymknął oczy.

- Eli? - wykrztusił z wysiłkiem.

- Słusznie. W życiu nikt by się nie spodziewał, że weźmiesz kolejną babę.

Koncepcję Milki mamy załatwioną, jedźmy dalej. Kogo ty byś podejrzewał, Drakki?

- Kajmana i Artystę. Chociaż to nie w ich stylu.

- Artysta dojedzie cię, jak tylko będzie mógł, zwłaszcza teraz, kiedy jest w pobliżu. Póki siedział w górach, nie miał wielkich szans. Ale wrócił i w Infernie aż go łapy świerzbiał, widziałem. A Żuku opowiedział się po twojej stronie.

- Artysta raczej wolałby zabić mnie.

- Bzdura. Gdyby chciał, dawno by to już zrobił. Kombinuje ci coś o wiele gorszego, jak go znam.

Drakkar obrzucił rozmówcę ponurym spojrzeniem. Ale nie powiedział nic.

- Może to fałszywy trop - Filozof zmienił temat pośpiesznie. - Może to ode mnie z firmy. Wziąłem Żuka na robotę, nie ufałem swoim. Mogło się to komuś cholernie nie spodobać A ty, Neon, co obstawiasz?

- Zobaczył w strefie coś, czego nie powinien?

- To zawsze jest możliwe.

Zamilkli. Przenieśli wzrok na zastygłego Ariego. Gadaj, zażądali bez słów. Masz

koncepcję?

Przesuwał po nich otumanionym, błędnym spojrzeniem.

- Taki jeden... - zaszemrał w końcu. - Rozmawialiśmy w Infernie. Kluczył jak cholera, ale miałem wrażenie, że bada, czybym nie pomógł przy organizacji wyścigu. Dawał do zrozumienia, że potrzebują kogoś z dostępem do strefy, płacą kupę forsy.

Poderwali głowy do góry jak na komendę.

- Wyścig? Tutaj?

Milka potrząsnęła głową.

- Że co? - spytała.

Zamachali niecierpliwie rękami: cicho, kobieto, nie przeszkadzaj!

- Totalizator niesportowy dla brzydkich, złych ludzi. Dziesięciu kolesi wchodzi do strefy śmierci, by wynieść z niej fanta. Internetowa publika obstawia, któremu się to uda. Grają o grube pieniądze - wyjaśnił ją krótko Ari i zwrócił się z powrotem do kolegów: - Odmówiłem. Może zbyt stanowczo? Za bardzo wprost?

- Zdjęliby ciebie, nie brata - zaoponował Filozof. - Chyba żeby bardzo chcieli cię przekonać... - Zamyślił się.

- Najpierw strzelaj, potem negocjuj? - mruknął Neon. - Bywa i tak. Ale wyścig tutaj, w Warszawie? Coś mi się nie chce wierzyć. Muszą zaoferować publice coś naprawdę atrakcyjnego, coś ekstra. A przecież nie wystarczy piękno naszej kochanej stolicy, są o wiele fajniejsze miasta ze strefami śmierci. Chyba żeby dali jakichś wypasionych uczestników?

- Czasem wystarczy, żeby znaleźli w danym mieście dobrą pomoc przy organizacji - burknął Ari. - Wbicie się do strefy i stworzenie zaplecza dla takiego eventu to bynajmniej nie jest prosta sprawa. A z tego, co wiem, żadna lokalna mafia nie życzy sobie, by ten międzynarodowy ekstrawagancki fioletowy klub wpięprzał jej się w interesy.

Drakkar zdjął ręce z szyi, powiódł nieswoim wzrokiem po obecnych.

- Coś mi przyszło na myśl. Mój spadochron... - powiedział z wolna cichym głosem.

- Mój pokrowiec... Jest taki sam jak Zygmunta. Może ktoś się po prostu pomylił?

Zwrócili ku niemu głowy jednakowym, hipnotycznym ruchem.

- O, kurwa - wykrztusił Neon. - To może znaczyć, że lada moment czeka nas powtórka z rozrywki. Kto jeszcze prócz Artysty chciałby cię zabić, Drakki? Jedźmy od początku, za pomysłem koleżanki: ktoś czyha na twoje miejsce w Osach?

Drakkar popatrzył mu prosto w oczy.

- To chyba nie o to chodzi. Bo, jak na razie, jest tylko jeden Wiceszerszeń. Ty.

Ateciak wstrzymał raptownie oddech. Po chwili jednak rozluźnił się, wypuścił powietrze z płuc, pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No tak - stwierdził po prostu. - Chcąc nie chcąc, musimy przeanalizować wszystkie opcje.

- Bzdura - rzekł spokojnie Filozof. - Równie dobrze możemy zacząć się zastanawiać, czy Żuczka nie zabił Ari. Nie bierz tego do siebie, młody. - Machnął ręką w kierunku zdumionych oczu strażaka. - Teoretyzuję. Ale fakt faktem: jesteś jego jedynym żyjącym krewnym, prawda?

Ari przytaknął, bez słowa.

- Dostaniesz odszkodowanie. Kupa forsy w porównaniu z twoją mizerną pensją



Drwala.

Strażak pochylił się, potarł czoło dłońmi. Nie odezwał się.

- Mówiłem, żebyś nie brał do siebie - powiedział Filozof ostro. - Chcę tylko pokazać, do jakich wniosków możemy dojść, jeśli się zapędzimy. Musimy założyć, że trzymamy się razem i już. Inaczej każdy z nas zostanie sam, bo przecież dowolna druga osoba może być jednak podejrzana. O każdym można coś powiedzieć. Chcecie? Proszę. Ari, wiadomo, potrzebował pieniędzy. Neon? Miał na celowniku Drakkara i spudłował. Ja? Wziąłem nielegalnie Żuczka na robotę, tam zobaczył za dużo, musiałem posprzątać. Milka? Wkurzało ją, że ciągle za nią łąził.

- No, to byłby chyba najgłupszy powód do zabicia kogokolwiek, o jakim kiedykolwiek słyszałem - zaprotestował Neon.

- Dobrze, wycofuję się. Milka jest poza wszelkim podejrzeniem... i to właśnie czyni ją najbardziej podejrzaną - odparował tamten natychmiast. - Starczy wam czy chcecie jeszcze?

- Starczy - westchnął Ari. - Mnie już w ogóle starczy wszystkiego. Rzygać mi się chce i tyle.

- Trzeba było tyle nie pić. Pieprzę to, dość tej politycznej poprawności, nie zamierzam być dobrą ciocią. Drakkar, komu jeszcze stoisz na drodze? Szczerze, nie mam czasu ani sił na pierdoły.

- Paru ludziom na pewno. Jak każdy z nas.

- Kamieńcykowi? - rzucił Neon. - Wkurwił się masakrycznie za to niezasysanie zarodników.

- Brawo ten pan - wściekł się nagle Filozof. - Milka, Ari, chcecie jeszcze usłyszeć parę pikantnych ploteczek? Albo jakąś tajemnicę państwową?

- To mam, kurwa, ufać, czy nie? - zapienił się Ateciak. - Jestem prosty operator, mam milczeć, to milczę, mam gadać, to gadam! Ograniczone całkowite zaufanie to raczej coś, w czym przoduje pan kolega szpieg! - Walnął pięścią w ścianę, aż posypał się tynk. - Przepraszam - wycedził zaraz, z widocznym trudem. - Trochę się roz...

- Nie ma sprawy - przerwał mu Filozof zimno. - Nie powinienem był cię prowokować, przepraszam.

- Do niczego nie dojdziemy w ten sposób - powiedział Drakkar powoli. - Chuj z tego będzie wszystkiego... - Język splątał mu się zdradziecko, zamilkł więc.

Spojrzał na Milkę przekrwionymi oczami, sięgnął znów po butelkę. Pociągnął kolejny, solidny łyk.

Przymknęła powieki, przesuwając językiem po zeschłych wargach.

- Bo to jest jak lejek z bardzo szerokim rondem: łatwo weń wpaść, nie sposób się wydostać - powiedział Filozof ni stąd, ni zowąd, patrząc wprost na nią. - Jak bilet do ruskiego muzeum, gdzie wejście kosztuje rubla, ale wyjście już siedem.

- Oho, teraz kogoś innego wzięło na gadanie - przyciął mu Neon bezlitośnie. - Pijesz czy trzeźwiejesz? Daj jeszcze tej swojej kawy!

Filozof zamknął się natychmiast i ruszył do ekspresu. Zaczął nalewać do plastikowych kubków ciemny, parujący płyn.

- Ja nie chcę. - Drakkar pokręcił głową. - Rzygam po tym dalej, niż widzę. Zawsze, za każdym razem.

- To nie pij.

- Jasne.  
- W sensie: nie tankuj już więcej. Gołdy.  
- Tajest! - Drakkar podniósł palce do skroni w imitacji salutu mieszanego z samobójczym strzałem, po czym odwrócił się ku oknu.  
- To co robimy? Może kogoś okablujemy? - zaproponował słabo Neon. - Bo niespecjalnie widzę jakiegokolwiek inne wyjście.  
- Kogo? - parsknął Filozof. - Kamieńczyka? Kajmana? Artystę?  
- Fakt, głupiego robota: wejdą tylko do centrali i po robaczkach, tam wykrywaczy w chuj - przyznał tamten, zniechęcony. - Może chociaż sprawdzimy Maniora? Kto wie, może Milka ma tę, no, kobiecą intuicję?  
- Ależ proszę. Możemy. Będziesz słuchał, jak się pieprzą z Babetą.  
- Dobrze chociaż to. Życie płciowe mi jakoś kuleje ostatnio.  
- Dajcie spokój - powiedział Ari, wstając. - Nie znajdziemy wszystkich odpowiedzi od razu. Pogadaliśmy, zarzuciliśmy parę tematów i na tym koniec. Nic więcej się teraz nie da zrobić. - Spojrzał w okno, w ślad za Drakkarem. - Muszę wracać. Trzeba się zająć pogrzebem.  
Podnieśli się od razu, ruszyli do niego; wszyscy, prócz wmurowanego w parapet Drakkara. Opasali ramionami.  
- Pomożemy ci, Ari - zaszemrał Neon. - Ile tylko się da.  
- Pomożemy ci - powtórzyła za nim Milka. - Nie będziesz sam.  
Pokiwał głową, postać przez chwilę nieruchomo. A potem strzepnął ich ręce i skierował się do drzwi. Zatrzymał się jeszcze, odwrócił na progu.  
- Dziękuję - wyszeptał. - Dziękuję wam bardzo.  
I wyszedł w upiornie blady świt.

### 3.

- Ciągłe ktoś przez tego drania musi ginąć - szeptał Artysta, czyszcząc broń. - Ciągłe, ciągle ktoś!  
Zerknął na Kajmana, zmartwiałego nad stolikiem z dawno wygasłym dżointem w wargach. Miał szklane, puste oczy - znaczy tym razem bynajmniej koleżanka Marysia nie pocieszyła, wręcz przeciwnie. Ano trudno, wojna to wojna.  
Artysta pochylił się nad bronią, po raz tysięczny przeciągnął po zamku szmatką z brunoksem. Szykujemy się, kochanie.  
Kajman wciąż się nie odzywał, zakleszczony w tym drugim świecie.

### 4.

Mały drewniany bródnowski kościółek nie był w stanie pomieścić wszystkich żałobników. Znakomita ich część zgromadziła się za drzwiami, zaścielając czarnym mrowiem cały plac.  
Nad trumną pochylały się flagi.  
Sztandar Pierwszego Pułku Komandosów z Lublińca. Sztandar Os. Sztandar Sekcji Spadochronowej Aeroklubu Warszawskiego. I biało-czerwony sztandar z białym

orłem, przysłany z Kancelarii Prezydenta.

Poczty sztandarowe stały na baczność w ciszy kościoła.

Trumna tonęła w wieńcach i kwiatach. Tuż przy niej, po obu stronach, stali spadochroniarze z Oddziału Spadochronowej Awioprotekcji.

Krzesła dla rodziny, stojące naprzeciw, straszyły pustką. Siedział tam Ari, sam.

Równe, umundurowane szeregi wypełniały nawy kościoła. W czwórkach prężyli się żołnierze kompanii honorowej oraz Pierwszego Pułku Komandosów z Lublińca, w którym służył Żuczek przed oddelegowaniem do Os.

Nawa główna zapełniona była ludźmi siedzącymi w ławkach w milczeniu. Dla niektórych nie wystarczyło miejsc, stali w nawach bocznych, gromadzili się przy wejściu.

Przyszli go pożegnać, wszyscy.

Przez jakiś czas trzymali się dzielnie.

Ksiądz mówił o nieustającej nadziei i o rzuceniu się w przepaść boskiego miłosierdzia. Tak, to prawda, Żuczek rzucił się w przepaść. Właśnie tak.

Niektóre kobiety zaczęły płakać już wtedy. Inne dołączyły do nich, kiedy skrzypce załżały *Ave Maria*, wznosząc ku niebu żałosny ton.

Mężczyźni nadal stali niewzruszeni.

Po skończonej mszy koledzy z Os ponieśli trumnę długimi alejkami cmentarza, idąc w ślad za księdzem, rozsiewającym kadzidlana woń. Orszak postępował dostojnie, powoli, odprowadzając przyjaciela w tej ponurej wędrówce. Setki grobów dookoła przytłaczały ich ciszą, zajmowały myśli nieuchronną perspektywą wiecznego snu.

Wytrzymali jednak i to.

Wytrzymali też, kiedy trumna zsuwała się po sznurach do ziemi, i kiedy coraz bardziej oczywiste stawało się, że Żuczek nie wróci do nich już nigdy. Kiedy Ari rzucił pierwszą grudkę ziemi i kiedy dołączyli następni.

Nie wytrzymali, kiedy nadleciały ku nim dwa AN-2, niskim, koszącym lotem niemalże zawadzając o korony drzew.

Głęboki, dostojny ryk ich silników stanowił kwintesencję miłości do powietrza, ludzkiej tęsknoty za żywiołem.

Rozpłakali się nawet najbardziej niezłomni twardziele. Zadarli głowy, patrząc na samoloty, zataczające koło nad grobem spadochroniarza.

AN-y przemknęły nad nimi z żałobnym rykiem, wtem poderwały się wzwyż, rozchodząc się. Pomachały skrzydłami w ostatnim pożegnaniu.

Wtedy płakali już wszyscy.

Żegnaj, Zygmunt. Żegnaj, przyjacielu.

*Blue skies!*

Do zobaczenia w powietrzu.

## 5.

Strach. Wszystko wokół jest tak doskonale wyraźne. Mózg przerzuca się na pracę w innym wymiarze. Widzi się wszystko, wszystko się słyszy, nawet najlżejszą zmianę

tonu pracy silnika samolotu. Serce przyśpiesza rytm, oddechy robią się szybsze i głębsze. Mięśnie nóg i rąk kurczą się i spinają, trzeba świadomie pamiętać o tym, żeby je rozluźniać. I cały czas czuje się ten lęk, przepełnia całe ciało na wskroś, jest tak nieskończenie, namacalnie wyraźny. Można go nawet smakować językiem, przebiegającym po zaschniętych wargach.

Dopiero co była tu śmierć.

Ale to nie strach rządzi człowiekiem, lecz człowiek strachem.

Spadochroniarze ustawiają się na rampie.*Ready-set-go!*

I jak zwykle od tej chwili nie ma lęku, znika natychmiast, jakby zdmuchnięty strugami powietrza za samolotem. Jest szalona, euforyczna radość, kiedy tak lecisz w dół, w ślad za wszystkimi.

Powietrze jest cudowne, miękkie, samo nosi, przytula cię i kołysze niczym kochająca matka.

A oto i reszta towarzystwa: Drakkar, Pinio, Kocher, Neon, Kokos, Gabryś, Iks. I Filozof: dziś nie filmuje, skacze, jak i pozostali. Jeden po drugim podają sobie ręce, tworząc koło, coraz to większe, w miarę jak dokuja kolejni spadochroniarze. Dochodzisz i ty, chwytasz przedramiona kolegów.

Oto pożegnalny skok. Za tych, co na górze. Dołączysz do nich kiedyś i ty.

Milczycie, spadając ludzkim pierścieniem prosto w dół. Aż odzywają się protracki, przeciągłym hiiiiit hiiiiit.

Rozchodzicie się, tuż po obowiązkowym machnięciu rąk. I otwieracie: porządnie, wysoko, bezpiecznie, jak przykazują przepisy.

Ktoś płacze, być może. Nie wiadomo. Nikt nie zamierza tego filmować, nikt się nie będzie przyglądał. To w końcu osobista sprawa każdego z was.

Żegnaj, przyjacielu.

# Rozdział 11

*Każdy dysponent środków rejestracji obrazu, który znalazł się w pobliżu wypadku, powinien udostępnić je niezwłocznie, jeśli zachodzi taka potrzeba, w celu rejestracji statku powietrznego i miejsca wypadku. Dotyczy to również wykonywanych nagrań związanych z wypadkiem.*

Ustawa z dnia 3 lipca 2002 r.:Prawo lotnicze;Rozdział 3. Badanie wypadków i incydentów lotniczych;

Art. 137; pkt. 3.

## 1.

- Niech mi pan pomoże, panie Arnoldzie - powiedział pułkownik Kamieńczyk. Siedzieli naprzeciwko siebie w wygodnych, skórzanych fotelach gabinetu w dowództwie, rozdzieleni niskim szklanym stolikiem.

Powolnym ruchem Ari podniósł filiżankę z ofiarowaną mu kawą, upił łyk.

- Czego właściwie pan ode mnie oczekuje? - zapytał spokojnie. - Jak i w czym miałbym pomóc?

Kamieńczyk wstał, podszedł do wielkiej, ciężkiej dębowej szafy, zajmującej prawie całą ścianę jego gabinetu. Otworzył jedno z drzwiczek, wyjął plastikową, czarną teczkę. Podszedł do gościa, wręczył mu ją i wrócił na fotel.

- Proszę teraz tego nie otwierać. - Powstrzymał Ariego, rozwiązującego już sznurek. - Zapozna się pan z tym, jeżeli podejmie pan taką decyzję.

Ari uniósł głowę, popatrzył na niego pytająco.

- To jest dokumentacja dotycząca śmierci pańskiego brata - wyjaśnił tamten. - Być może nie chce pan widzieć.

Ari przełknął ślinę, wbił w Kamieńczyka chłodne, żądające natychmiastowej odpowiedzi spojrzenie. Ten patrzył mu w oczy przez chwilę, po czym powoli, z powagą pokiwał głową.

- Panie Arnoldzie - powiedział. - Proszę mi wierzyć, razem z panem boleję nad tym, co się stało. Do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że poniekąd i ja jestem temu winien. Powinienem być bardziej zdecydowany w żądaniach dotyczących przestrzegania zasad bezpieczeństwa w sekcji spadochronowej. Niestety jej kierownictwo zupełnie nie zamierza się podporządkować moim zaleceniom. Przykro mi, że muszę to ująć w ten sposób, ale będę szczery, panie Arnoldzie: skutki zaniedbań kapitana Żelańskiego znajdują się teraz w pańskich rękach.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - spytał Ari, patrząc to na Kamieńczyka, to na teczkę.

Pułkownik westchnął z ostantacyjnym wręcz współczuciem.

- Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych jest instytucją ze wszech miar godną szacunku - stwierdził. - Bynajmniej nie neguję rzetelnej wiedzy jej członków oraz ich pełnego profesjonalizmu w podejmowaniu decyzji. Ale, jak w każdej instytucji, i w niej znajdują się tylko ludzie. Obawiam się, że okazali się

niewystarczająco wrażliwi na ewidentne błędy popełniane w prowadzonej przez Osy działalności. Oddział Spadochronowej Awiooprotekcji, jak wiadomo, cieszy się powszechną sławą i poważaniem. Niestety, w tym przypadku okazało się to czynnikiem uniemożliwiającym wysunięcie jakichkolwiek poważnych zastrzeżeń wobec organizacji Os oraz ich kierownictwa. Krótko mówiąc, KBWL nie nadała sprawie należytej powagi i rozgłosu. Drakkar nadal będzie kierował Oddziałem. Wszystko zostanie tak, jak było.

- Być może słusznie - powiedział Ari, obserwując uważnie rozmówcę. - Zresztą przecież szefem Os jest Zbigniew India. Do niego należy utrzymywanie dyscypliny w zespole.

Tamten zaprzeczył.

- Niestety, panie Arnoldzie... - zawiesił głos na chwilę, po czym dokończył z determinacją: - Wciąż będą ginąć ludzie.

Ari westchnął ciężko i wbił wzrok w trzymaną w rękach teczkę.

- Zbigniew India nie jest w stanie zapanować nad sytuacją - Kamieńczyk zaczął mówić prędko, z naciskiem. - Być może poskromi Drakkara na chwilę, będzie jednak tylko kwestią czasu, zanim dyscyplina znów się rozluźni. Albo się potrafi pilnować takich rzeczy, albo nie, i krótkotrwale zrywy nie zastąpią rzetelnej, wytrwałej pracy. Zapewne nie chodzi tu o jego złą wolę: pułkownik India niestety nie potrafi na dłuższą metę wyegzekwować posłuszeństwa od członków zespołu, skoro jego faktycznym przywódcą jest Drakkar. Robi on, co tylko mu się żywnie podoba, nie poddając się jakiegokolwiek dyscyplinie. Biorąc pod uwagę pewne wydarzenia z jego przeszłości, jestem przekonany, że Drakkar nie cofnie się przed niczym dla osiągnięcia celu. A jest nim jak najszersza promocja własnej osoby, kreowanie się na nieustraszonego bohatera. Pytanie tylko, czy możemy pozwolić na to, żeby cały zespół ryzykował życie w imię zaspokojenia chorych ambicji jednego człowieka? Nie wspominając o poprzednikach, których poświęcenie mogłoby wydawać się usprawiedliwione, pański brat zupełnie niepotrzebnie zapłacił za to najwyższą cenę. Proszę mi pomóc, zanim zapłacić będzie musiał za to jeszcze ktoś inny.

Ari podniósł głowę znad teczki, popatrzył Kamieńczykowi prosto w oczy.

- A jak pan uważa, co ja mógłbym w tej kwestii zrobić? - zapytał krótko.

- Wystąpić z powództwem do sądu - odparł tamten natychmiast. - Przecież to nie jest dla pana żadne ryzyko. Oddaje pan sprawę w ręce wymiaru sprawiedliwości, ot i wszystko.

- A na czas procesu Drakkar zostanie odsunięty od dowodzenia - dorzucił Ari domyślnie. - Rozumiem. Czy ma pan na myśli kogoś w zastępstwie?

Przez chwilę Kamieńczyk mierzył go uważnym, pełnym napięcia wzrokiem.

- Z pewnością znaleźlibyśmy odpowiedniego kandydata - oznajmił wreszcie. - Więc co pan na to, panie Arnoldzie?

- Zastanowię się - powiedział Ari, wstając. - Proszę mi dać odrobinę czasu do namysłu. Jak pan wie, ja też kiedyś skakałem. I uważam tych ludzi za przyjaciół. A teraz miałbym wystąpić przeciwko nim. To nie jest łatwa decyzja, mam nadzieję, że pan rozumie.

Kamieńczyk wstał również, pokręcił głową.

- A ja mam nadzieję, że pan rozumie - zaczął powoli mówić - że tak naprawdę

wystąpiłby pan nie przeciwko nim, ale w ich obronie. To może być trudne, zgadzam się. Członkowie zespołu są... jakby to powiedzieć... zaślepieni. Bezgranicznie, choć bezpodstawnie, oddani swoim przywódcom. Ale niech pan pomyśli o tym, że ratuje pan ich życie. Niech pan weźmie na przykład pod uwagę tę miłą rudowłosą dziewczynkę, która tam skacze. O ile się nie mylę, przyjaźniła się z pana bratem. Chce pan, żeby była następna? - Głos pułkownika zabrzmiał bardzo twardo, zdecydowanie.

- Zastanowię się - uciął Ari, przekładając nerwowo teczkę z ręki do ręki.

- Ależ oczywiście. - Kamieńczyk przybrał współczujący, wyrozumiały wyraz twarzy. - Proszę się zastanowić, to jest bardzo poważna sprawa. I, jeśli mogę radzić - zawiesił na Arim zbolące, smutne spojrzenie - proszę nie zaglądać do tej teczki, jeżeli pan nie musi.

Ari odwrócił się, podszedł do drzwi, otworzył je zdecydowanym ruchem.

- Dziękuję bardzo, panie pułkowniku. - Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Kamieńczyk spojrzał na zegar, widniejący nad drzwiami. Porównał godzinę ze wskazywaną przez zegarek na rękę, po czym opuścił biuro nieśpiesznym krokiem.

## 2.

- Obstawiasz, Neon?

- Ta

- Dobra. To ja go ruszam.

Sap, sap, sap.

- Ciężki, skurwysyn.

- Aha. I rozlazły.

- Przestań, bo rzygnę.

- Po prostu widzę.

- To patrz gdzie indziej. Miałeś obstawiać.

Filozof znieruchomiał na chwilę, tknięty wyjątkowo silnym poczuciem *dèjà vu*. Zaraz jednak potrząsnął głową i wrócił do roboty. Żadnego *dèjà vu* już to widziałem, przeżyłem. Z Żuczkiem, poprzednim razem.

Szkoda chłopca, jakżeż szkoda chłopca.

- Ty, patrz! Jaki lans!

Filozof podniósł głowę w ślad za niedbałym machnięciem G36 Neona. Dwie postacie pełzły Marszałkowską: niezdarnie, powoli, krok za krokiem, co chwila zatrzymując się i odpoczywając. Jaskrawe napisy STRÓŻ i OSA błyszczały na ich kombinezonach z oddali.

- Pan pułkownik osobiście przeprowadza szkolenie naszej nowej koleżanki. - Neon pokręcił głową z niesmakiem i pewnie splunąłby na ziemię, gdyby nie było to absolutnie niewykonalne w masce i kombinezonie. - Crash test, że ja pierdołę.

- Daj spokój. - Filozof wzruszył ramionami i zabrał się z powrotem do roboty. - Baba w życiu nie wejdzie na płatek. Dziewięćdziesiąt sekund w płaskiej, to wszystko, co musi umieć.

- No nie wiem. O Milce też tak myśleliśmy, ale nie zdziwiłbym się, gdyby Drakki ją

teraz wziął do kwiatka.

- No, młoda ma psychę. Cięłaby do końca. Ale coś mi się nie widzi, żeby on na to poszedł.

- Fakt. Ja cię nie pieprzę, co oni tam robią?

Filozof znów poderwał głowę. Kamieńczyk z Eli zasiedli na krawężniku i rozprawiali o czymś zżywieniem.

- Piknik sobie zrobili, kurwa mać! - Zdegustowanie Neona postępowało w trybie geometrycznym. - Zaraz jeszcze wyjmie z tej torby kanapki, zobaczysz.

- A potem kocyk i będą się rżnąć. W tych kombinezonach to może nawet będzie ciekawie wyglądało. Bezpieczny seks, cali w kondomach...

Zarechotali obaj, sprośnie, głupawo.

- Zmieńmy rejon. - Filozof podniósł się, znów wytarł umazane rękawice o ubranie pierwszego lepszego trupa.

Szczęście, że mamy te gazoszczelne kombinezony, pomyślał przelotnie. Musi tu śmierdzieć jak sam skurwysyn, a na głos dodał:

- Towarzystwo wyższych szarż mnie rozprasza.

Jak pstryknięciem wyłącznika Neon od razu przestawił się w tryb gotowości. Ścisłe centrum było w miarę bezpieczne. Ale gdyby tak zagłębić się w uliczki Hien?

- To gdzie skaczemy? - zapytał zżywieniem.

Filozof spojrzał w kierunku Kamieńczyka. Wtem zamarzył mu się jeden celny, precyzyjny strzał, który można by potem zwalić na Hieny. Strzał prosto na korpus pana pułkownika: aby choć drasnąć, przy tej bliskości Fiołka wystarczy. Strzał, nadmienić trzeba, całkowicie uzasadniony: przecież głupi kutas poblokował wszystkim awanse. Etat dowódcy Os powinien być majorowski, a wszelkie poniższe proporcjonalnie: kapitan, porucznik i tak dalej. Ale Kamieńczyk stanął na głowie, aby tylko Drakkar nie dostał majora i do końca życia chodził kapitanem. Zakręcił się więc w sztabie i cała drabinka osunęła się o oczko w dół. I Filozof też się będzie bujał porucznikiem, na wieki wieków, amen.

A teraz, panie i panowie: wystarczy jeden strzał.

Skierował wymowne spojrzenie na Neona, zrozumieli się bez słów.

- Lepiej stąd chodźmy - oznajmił Ateciak poważnie. - Za bardzo kusi.

Odwrócili się, popatrzyli na Świętokrzyską.

- Wbijamy się na Tamkę - zarządził Filozof. - Może to Złota Kaczka porwała i przetrzymuje mojego trupa?

- To ma przejebane - zgodził się Neon. - Naprzód!

Pomknęli sprawnie. Złota Kaczka powinna już się zacząć bać.

### 3.

- ALARM! ALARM! ALARM! Europa do góry!

Milka poderwała się z łóżka, odrzuciła w bok czytaną książkę. Ruszyła do szafki. Kombinezon, raz!

Ruchy, kobieto, ruchy!

Kask. Protrack. Wysokościomierz.



A teraz naprzód!

W drzwiach do operatorki niemalże zderzyła się z Eli. Wykonały obie kilka kurtuazyjnych gestów: ty przodem, ależ nie, ty pierwsza... wreszcie wbiegły do środka, obie.

- Siadajcie. - Wódz machnął dłonią, wpatrzony w leniwie sunącą wstążkę SKYWATCH-a. - Wolno leci dzisiaj. Spadnie w nocy albo nawet nad ranem.

- Im wolniej leci, tym bardziej jest potem niestabilna - westchnął Drakkar ze swojego fotela.

- Wspominamy bohaterski czyn Jean-Pierre'a Gardinera - oznajmił z namaszczeniem męski głos z radia. - To dzięki niemu gotowi jesteście teraz służyć...

- Wyłącz go, bo rzygnę - zaprotestował Kokos, odwracając się do Pinia. - Jeszcze raz mi opowiedzą o bohaterskim Żan Pierze i nie wytrzymam. Zmień stację.

Pinio kiwnął głową, skierował pilot do wieży, przycisnął guzik kilkakrotnie, przeskakując z kanału na kanał. Kręcił głową z dezaprobatą, żadna muzyka mu nie odpowiadała. W końcu trafił na lata osiemdziesiąte, poddał się i zostawił stary Marillion. *Do you remember chalk hearts melting on a playground wall...* - śpiewał Fish.

- Wrócimy na SKYWATCH NEWS za jakieś piętnaście minut - zaproponował Pinio. - Mniej więcej tyle im Jean-Pierre zajmuje. - Obejrzał się na drzwi.

- Gdzie ten Neon z Filozofem? - Nie wytrzymał, sarknął głośno, nie skrywając rozdrażnienia.

- Będą - oznajmił spokojnie Drakkar. - Będą na czas.

- Po mojemu trzeba już wołać wsparcie!

- Nie panikuj. Będą.

Milka odkaszlęła, zatarła dłonie. Nieprzyjemne mrowienie na plecach narastało, przemieniając się w dyszący tuż nad karkiem lęk. Jak tam, kwiatuszk? Dokąd dzisiaj polecisz? I czy tym razem uda ci się dotrzeć do ziemi?

No i faktycznie, co się dzieje z Neonem i Filozofem?

Drzwi skrzypnęły, wpadli obaj spóźnialscy, zziębnięci, spoceni. Zamienili kilka porozumiewawczych spojrzeń z Drakkarem, opadli z ulgą na fotele.

Pinio obrzucił ich wściekłym, pełnym dezaprobaty wzrokiem, po czym odwrócił się do wieży, jak gdyby nigdy nic.

SKYWATCH zapikał głośno, przyszedłszy nowe informacje. Wódz spojrzał na wyświetlacz.

- Europa Wschodnia - powiedział spokojnie. - Rosja. Najprawdopodobniej okolice Moskwy. Idźcie spać.

Szmer ulgi wymieszanej z rozczarowaniem rozległ się w gabinecie. Ale zaraz potem powróciło napięcie. To, co zrobią spadochroniarze nad Moskwą, może zaważyć na losach Warszawy. Tak samo jak warszawiacy być może decydują o losach Berlina. Jeżeli niezatrute zarodniki rozprzestrzenia się na tysiące kilometrów... Kokos spojrzał na zegarek.

- Dziewiąta - powiedział. - Za wcześnie jeszcze. Może poczekamy na wiadomości, jak im poszło?

- Pewnie, możemy zostać - ożywił się Gabryś.

- Chyba że nas Wódz pogoni... - Spojrzał na kierownika niepewnie.

- Oczywiście, że was pogonię - potwierdził tamten natychmiast. - Wiem, czym to się kończy. Pijaństwem do rana i opowiadaniem niestworzonych rzeczy, co się komu przytrafiło w powietrzu. Każdą z tych historii znam już do zerzygania. Zwłaszcza licytacje o niskich otwarciach, im bliżej rana, tym głupsze. I wtedy zazwyczaj przychodzą wiadomości. A potem... - Urwał, zaczął przekładać papiery na biurku. - Idźcie mi stąd.

Wiedzieli doskonale, jaki był dalszy ciąg tego zdania. A potem stypa. Za tych, co spadli za Różą.

Powstawali z miejsc. Przeszli do telewizorni, popatrzyli po sobie. Co robimy?

- To ja pójde po prowiant - zgłosił się Kokos na ochotnika i wyszedł przez drugie drzwi, prowadzące do części mieszkalnej.

Zsunęli parę foteli i kanapę, rozsiedli się, czekając, aż wróci. Za oknami powoli szycowała się noc.

#### 4.

Kajman i Artysta oglądali Nowy Świat.

Leżeli przyczajeni w ruinach budynku przy ulicy Foksal. Leżeli, leżeli, leżeli... Nic się nie działo. Absolutnie nic.

Z wyjątkiem oficjalnych patroli Stróżów ani żywej duszy w strefie. Cisza, spokój.

Co jest, wszystkie Hieny poszły grzecznie spać? Czy może to cisza przed burzą?

- Pułkownik nie będzie zadowolony - wyszemrał wreszcie Kajman na wewnętrznym. - Zero wyniku. Zdupiony ten patrol. Może zmienimy lokal?

Artysta odwrócił się natychmiast. Kajman nie widział jego oczu, przysłoniętych lornetką noktowizyjną, ale gotów byłby przysiąc, że zabłyszcząły z ożywieniem:

- Doskonały pomysł. Zmienimy lokal.

- Na jakiś po drugiej stronie Fiołka - próbował ciągnąć Kajman, choć już wiedział, że nie ma szans.

Daremne żale, próżny trud: chlapnęło się głupio i niepotrzebnie, a teraz nie da się z tego wycofać. Ten mecz jest sprzedany.

- Oczywiście, że zmienimy lokal! - Artysta podniósł się żwawo i powędrował w lewo, nie oglądając się na kolegę.

Kajman ruszył za nim, zrezygnowany. Nie pytał, dokąd idą. Na Mariensztat, nie mogło być inaczej.

Wnet stanęli pod drzwiami Artystowego mieszkanka.

Gospodarz wyjął klucze, wnet zaczęły zgrzytać zamki: jeden, drugi, trzeci - wszystkie najnowszej generacji.

Kajman westchnął cicho pod nosem. Nie lubił tego miejsca, nie cierpiał serdecznie. Ale Artysta wbiegł rozochocony do środka, gdy tylko rozsunęły się stalowe drzwi. Stanął na środku dużego pokoju i zaczął rozglądać się wokół z uniesieniem.

Snopy białego, księżycowego światła wślizgiwały się pomiędzy kratami okien, migotały na podłodze, przybierając fantastyczne, ponure, groźne kształty.

Z wnęki, wymodelowanej w suficie i przysłoniętej stalową kratą, zwieszały się

wciąż jeszcze ślepe oka kamer. Rozbłysną w swoim czasie, zarówno to zwykle, jak i noktowizyjne, kiedy tylko Artysta rozkaże im patrzeć.

Na razie nie było na co ani na kogo spoglądać. Mieszkanko straszło pustką i tylko smugi jaśniejszej i ciemniejszej farby na ścianach wskazywały miejsca po meblach. Musiało to kiedyś być bardzo przytulne gniazdko.

Kajman spojrzał na płamę zegara, ledwo widoczną przez zamurowane okna. Wskazówki zamarły w miejscu, jakby już zawczasu chciały odmówić spoglądania na wykrwawiający człowieka czas.

- Chodźmy stąd! - rzucił Kajman niechętnie. - Im częściej tu bywamy, tym gorzej. Prędzej czy później ktoś nas przyuważy. Wpieprzymy się na minę na własne życzenie. Zobaczysz.

- Sprawdzam - odwarknął Artysta z bardzo złym błyskiem w oku. - Sprawdzam, czy czegoś nie zapomnieliśmy. On nie może stąd wyjść, rozumiesz. Rozumiesz?!

- Jasne - mruknął więc z rezygnacją. - Sprawdzaj.

Artysta zaczął analizować wszystkie szczegóły. Kable ze ścian powyrywane wszystkie, co do jednego. Rury usunięte. Szczeliny zabetonowane. Wentylacja zamurowana. Przestrzeń między szerokimi, stalowymi kratami w oknach: szczury wejdą i wyjdą, ale człowiek nie ma szans.

- Dobra, spadamy do bazy! - zarządził w końcu, oczy mu płonęły. - Wszystko gotowe.

Wyszli. Zamki znów zaczęły zgrzytać ochoczo: jeden, drugi, trzeci. Jakby pytały, czy może to już niedługo nadejdzie ich właściwy czas.

W parę minut potem Kajman z trudem wdrapywał się na wyżyny ukrytego przejścia na Trasie W-Z. Artysta, tuż za nim, zdawał się płynąć w powietrzu.

*To moje szczęście, to moje sny...*

## 5.

Kokos przyniósł kilka butelek wódki, puścił pomiędzy obecnych. Po odwołanym alarmie do dobrego tonu należało picie z gwinta i podawanie dalej, w dość przypadkowej kolejności.

- Skakaliśmy sobie kiedyś czwórka - Ślimak rozpoczął ceremonię. - Trenowaliśmy do mistrzostw, a że dysponowaliśmy tylko starym AN-2, który z trudnością wdrapywał się na dwa i pół tysiące, każdy metr był dla nas cenny. Przeciągaliśmy opóźnienia nagminnie. Aż wreszcie pewnego razu zepsuł mi się ditter, a nawet nie tyle zepsuł, ile po prostu siadły baterie. Nic to, pomyślałem, że pozostali dadzą sygnał do rozejścia. Wyszliśmy więc we czterech, kręcimy punkty, kręcimy, dobrze nam idzie... Aż tu nagle kamerzysta po prostu otwiera się w miejscu. Patrząc w dół... Najwyżej dwieście metrów. To ja w tył zwrot i w tracka, żeby się chociaż symbolicznie rozejść, w locie rzuciłem pilocik. Aż mi się dupa zmarszczyła, jak pomyślałem, co zrobiłem. Powinienem był dać w zapas, otwiera się dużo szybciej... Pode mną wyrasta szklarnia, coraz bliżej i bliżej. Wszystko mi się ścisnęło. Czekałem na śmierć. Tuż nad szklarnią, może z paręnaście metrów, spadochron złapał powietrze. Zdążyłem jeszcze przelecieć nad budynkiem, wylądowałem... Cały się

trząsałem, łapałem powietrze jak ryba wyjęta z wody. Kumpel lądował tuż przed tą szklarnią, podeszliśmy, przybiliśmy piątki, zaczęliśmy się histerycznie śmiać. Potem okazało się, że żaden z nas nie miał sprawnego dittera: drugiemu też siadły baterie, trzeci zapomniał nastawić, i te pe, i te de. No i po prostu zaganialiśmy się... Od tamtej pory staram się nie przeciągać opóźnień.

Pokiwali głowami. Święta racja, opóźnień przeciągać nie wolno. No, chyba że się ma jakiś dobry powód. Skok do Róży, na przykład.

To jak tam teraz idzie Ruskim?

Kokos wyjął z torby kolejną butelkę, puścił w ruch.

Milka napiła się, odkaszlęta, w głowie jej się zaczęło kręcić.

- Skakaliśmy na pokazach na festynie - powiedział powoli Manior. - Dali nam tam na pamiątkę zabawki, takie tam kółeczko przyczepione do jakiejś szmatki, udawało zwierzątko czy cholera wie co. Schowałem do kieszeni dresu i poszedłem dalej. Potem wracaliśmy na lotnisko, no to wyskoczyliśmy sobie, co będziemy lądować w samolocie. Wysoko było, bezpiecznie. Sięgnąłem w tył, rzuciłem pilocik, nic się nie dzieje. Pomyślałem, że zawleczka się zablokowała, to był stary Feniks, one tak czasem miały. A że miałem jeszcze kupę czasu, bo wysoko było, sięgnąłem do pokrowca, wyjąłem zawleczkę, wyciągnąłem paczkę sam. No i dalej nic, lecę w dół jak kamień, za mną tylko furkoczą jakieś manele, spadochron nie startuje. - Manior westchnął z ubolewaniem nad własną głupotą. - Bo widzicie, ja wcale nie rzuciłem pilocika. Ja tylko wyrzuciłem tę cholerną zabawkę z kieszeni. Dres był luźny, kieszeń przesunęła się w tył, nałożyła na pokrowiec. A ja myślałem, że ta zabawka to pilocik właśnie. Więc kiedy targałem za zawleczkę, pilocik cały czas tkwił w kieszonce. A kiedy ją wyciągnąłem, wszystko się skaszaniło. Sam sobie zrobiłem podkowę.

- No i co wtedy zrobiłeś? - zapytał Pinio. - Wypiąłeś się?

Manior pokręcił głową.

- Dałem po zamkach, a to były te cholerne feniksowskie obustronne cholerstwa - powiedział. - Za nic nie chciały ruszyć. To ja jeszcze raz, one dalej nic. Tymczasem zrobiło się już bardzo nisko. Walnąłem w zapas i zegnałem się z życiem. Cudem boskim pilocik prześlizgnął się po tym całym bałaganie i wystartował. Zapas, a to był jeszcze okrągłak, złapał pierwszy oddech, kiedy byłem tuż nad ziemią. Chwilę później albo wcześniej, i byłoby po mnie.

Skończył, upił łyk z butelki, która przywędrowała do niego w kolejności. Znów zapanowała chwila milczenia.

Drzwi otworzyły się, do sali zajrzał Wódz. Spojrzeli tylko na niego i już wiedzieli, co ma do powiedzenia. Wstali z miejsc.

- Moskwa - oznajmił Wódz, podchodząc do nich powoli. - Podali wszystko... Skończyli na dwudziestu metrach.

Zapadła chwila przytłaczającego milczenia. Ci, którzy trzymali butelki, unieśli je w przed siebie i wzwyż. Napiли się i podali następnym, którzy kolejno powtarzali ten gest.

Ślimak westchnął ciężko, pokręcił głową.

- Moskwa... - wydusił z trudem. - Jeździłem do Kołomny skakać. Cholera, to przecież byli Mistrzowie Świata RW. Jura, Aleksiej... Widziałem ich w powietrzu, byli niesamowici. Uczyłem się od nich... Jak oni mogli nie zdążyć? - Zamknął oczy.

- Róża jest bardzo niestabilna - powtórzył Drakkar. - Ciężko ją utrzymać.

Pewna aż nazbyt oczywista myśl plątała się Milce, i zapewne nie tylko Milce, po głowie, choć na głos nie wypowiedział jej nikt.

Podawali tak długo esencję i dlatego nie zdążyli, czy może najpierw zasysali zarodniki?

- Film pokaże - rzucił Filozof ze śladem gorczy w głosie, spojrzał na Wodza. - Jest film?

Ten popatrzył na niego ze zrozumieniem.

- Jest film - potwierdził spokojnie. - Kamerzysta zdążył.

Filozof spuścił głowę.

- A wiecie - powiedział nagle - Japończycy ostatnio podlecieli do Róży i zamiast się z nią tarmosić aż do ziemi, po prostu wbili i podłączyli elektroniczny podajnik z kamerą.

- I co? - Pozostali popatrzyli nań zmęczonymi, przekrwionymi oczami.

- Popsuł się. Przestał podawać na dwóch tysiącach metrów.

- Jak to się popsuł?! Nie sprawdzili przed użyciem?

- Zaprojektowali pięć różnych systemów zabezpieczeń, nie miał prawa się popsuć. Ale się popsuł. - Milczał przez chwilę, po czym dodał z niespodziewanym rozdrażnieniem: - No i teraz mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni szykują sobie gustowne, fioletowe trumny. Albo urny, nie jestem pewien, czego się tam u nich teraz używa. Założę się, że są ręcznie malowane.

Nikt nie wyrzekł już ani słowa. Skierowali się w milczeniu do części mieszkalnej. Czas spać.

# Rozdział 12

Omywana zimną wodą jak szkło  
Ja gładsza co dzień, czystsza co noc  
Do połowy w kamień, zmieniona w kamień  
Wśród strumienia klęczę całkiem sama  
Płacz od ścian odbity w luster sali  
Echem kryształowym wraca się  
Gdy klęczę pośrodku strumienia  
Tak blisko jest brzeg  
Białe kwiaty w lustrach odbijają  
Chcę być tam gdzie one, blisko daleko tak  
Tak wierne, tak czyste  
Jak bardzo chciałabym być ja

Nocą cicho pada deszcz  
Na każdym płatku jeden grzech  
Czarnych kwiatów  
Śpi woda, słysząc szept  
Zmieniona w kamień myślę sen  
Z marzeniami

Więc oddaj mi kolory trzy  
Czerń, biel, fiolet - zimny kolor mojej krwi  
Potrzebny mi, bo ani żyć  
Modlić nie, nie, nie chcę i nie umiem się  
Gdy pośrodku strumienia  
Tak długo już klęczę  
I patrzę na drzewa, biel kwiatów, ptaki, las  
Więc dodaj mi jeden kolor więcej do krwi

Nocą cicho pada deszcz  
Na każdym płatku jeden grzech  
Czarnych kwiatów  
Śpi woda, słysząc szept  
Zmieniona w kamień piję ten  
Słodki koktajl snu z marzeniami

Proszę oddaj mi moje kolory krwi  
Czerń i biel da ostrość sędu  
Fiolet życie wróci mi  
Ja w kobietę  
A kamień zmieni się w chleb  
W gęstą trawę dam krok  
Wyjdę na suchy brzeg

*Kiedy powróci do mnie mój fiolet  
Mój fiolet, mój fiolet, mój kolor  
Patrzę na czarne drzewa  
Kwiatów biel, luster blask  
Niezmieniona pośrodku strumienia ciągle trwam  
Kryształowa jak on  
Uwięziona jak on - mój fiolet  
Mój fiolet, mój kolor*

*Nocą cicho pada deszcz  
Na każdym płątku jeden grzech  
Czarnych kwiatów  
Śpi woda, słysząc szept  
Zmieniona w kamień myślę sen  
Z marzeniami  
Śpi woda, słysząc szept  
Zmieniona w kamień myślę sen  
Z marzeniami  
Nocą cicho pada deszcz  
Na każdym płątku jeden grzech  
Czarnych kwiatów.....*

*Closterkeller  
Violette*

## 1.

Milka otworzyła z trudem oczy, popatrzyła na zegar. Piąta po południu. A za oknem? Leje.

Co za dzień.

Zwlokła się powoli z łóżka, czując, jak w głowie rozbiegają się igiełki bólu. Chyba za dużo wypila wczoraj. Chciała po prostu pójść już spać i o niczym nie myśleć... Ale zmartwienia przecież od tego nie zniknęły, odłożyła je tylko na później. A teraz powróciły ze zdwojoną siłą, wspierane przez złośliwy, dojmujący ból. Przewracała się więc przez cały dzień na łóżku, to przysypiając na chwilę, to znów budząc się i wpatrując w sufit. Wreszcie jednak zdecydowała się wstać.

Nastawiła wodę w elektrycznym czajniku, powlokła się do łazienki. Odkręciła prysznic, zimne strugi spływały po całym ciele, przynosząc krótkotrwałą ulgę.

Wreszcie wróciła do pokoju, przebrała się w ciepły dres, zaparzyła kawę. Wysupłała z szuflady jakiś stary paracetamol, łyknęła od razu dwie tabletki. Usiadła w fotelu, popijając gorący napój małymi łykami. Zapatrzyła się smętnie w krople deszczu spływające po szybach. Zupełnie jakby niebo chciało płakać razem z nią.

Po dobrej półgodzinie podniosła się, wzdychając. Nie ma sensu tak siedzieć i gryźć się w samotności. Trzeba ruszyć między ludzi, może to coś pomoże.

Poszła więc do telewizyjnej.

Drakkar zaszył się w kącie pod oknem i popatrywał stamtąd spode łba, ewidentnie gryząc się jakimiś wyjątkowo przykrymi myślami. Nikogo spośród publiczności to nie dziwiło, wszyscy wiedzieli, że Drakki miewał swoje fazy. Nawet Cindy, chociaż wpadła rozszczebiotana do sali i rzuciła mu się od razu na szyję, odsunęła się, jak tylko zobaczyła jego minę. Odeszła, spłoszona i najwyraźniej bardzo zła. A on siedział w kącie sam i wpatrywał się w ścianę.

Podeszła Eli, zahaczyła Milkę pojednawczo:

- Powinnaś zrobić papiery instruktorskie.

Uniosła pytająco brwi. Eli patrzyła na nią spokojnie, bez przesadnej życzliwości, ale z pewnością nie wrogo. No ale czemu miałyby się na nią bocyć, wreszcie przecież dopięła swego: jest w Osach. Teraz opłacałoby jej się zawrzeć z Milką sojusz, a przynajmniej pakt o stosunkowo życzliwej nieagresji.

- Myślisz? - odparła więc ostrożnie. - Przecież nie mam pięciuset skoków...

- Da się załatwić. W końcu jesteśmy elitą. - Eli uśmiechnęła się, odrobinę zarozumiale.

- Nie wiem, czy urzędasy na to pójdą... - powiedziała Milka, ze znacznie mniejszą rezerwą. Tak naprawdę Eli nigdy nie zachowała się w stosunku do niej jakoś ostentacyjnie wrogo. Ani nie narobiła kłopotów, choć być może mogła. - Przepis to przepis. Nie nagną go, choćby nie wiem co.

- Co nam szkodzi zapytać? Chcesz, przejedziemy się jutro do ULC-u. Mam swoje wejścia, pokażę ci co, z kim i jak.

Milka uśmiechnęła się nieco sztucznie, maskując chwilę zastanowienia. Sojusz z Eli, hm, śliska sprawa. Ale z drugiej strony wojna z koleżanką Osą to jeszcze głupszy pomysł. Chyba warto przyjąć wyciągniętą dłoń.

- Byłaby to interesująca niespodzianka - powiedziała niespiesznie.

- No to załatwione. Jutro po południu, kiedy się już przewali najdłuzszy tłum.

- Chętnie, chętnie.

Eli skinęła głową i odeszła. Na szczęście nie zamierzała skorzystać z okazji i zaprzyjaźniać się teraz na siłę, od razu. Znaczy, niegłupia.

Milka westchnęła cicho i usiadła przy stoliku pod oknem, obserwując szalejący na szybie deszcz.

Wszedł Ari, wyraźnie osowiały. Podeszedł, przywitał się, cmoknął lekko w policzek. Nie został jednak obok, chociaż uśmiechnęła się zapraszająco. Powędrował na drugi koniec sali, usiadł tam w fotelu i zajął się rozmową z Maniorem i Babetą. Wypytywał ich o coś, ci odpowiadali, potakując głowami. W sumie nic złego nie było w tej scenie, ale patrząc na nich, Milka czuła się nieswojo.

Smutek bynajmniej nie zamierzał odstąpić. Owszem, mogłaby spróbować go zagłuszyć. Przysiąc się i pogadać z kimkolwiek, chociażby z Szarotką, która była dość sympatyczną i bystrą dziewczyną.

Nie chciało jej się jednak wstać. Właściwie chyba nie chciało jej się rozmawiać. Tak na dobrą sprawę nie chciało jej się nic. Siedziała na ławie, milcząc, obserwując innych i czując się coraz bardziej paskudnie.

Patrzyła, jak Cindy krąży po sali w poszukiwaniu nowej ofiary. Wreszcie blond piękność stanęła nad Arim, wyraźnie zamierzając zasiąść mu na kolanach. Nawet



wyciągnęła już rękę w kierunku oparcia fotela i przechyliła się nieco.

- Chcesz tu usiąść, Cindy? - zapytał Ari szarmancko, wstając natychmiast. - Proszę.  
- Wskazał jej fotel uprzejmym gestem. - Już skończyliśmy rozmawiać.

Blondynka usiadła z bardzo skwaszoną miną. Ari zaś skinął krótko głową Maniorowi i Babecie. Podszedł do barku, wziął piwo. Stał tam trochę, aż wreszcie podszedł do stolika i zajął miejsce koło Milki.

- To było brutalne! - rzuciła blado, wskazując na Cindy lekkim ruchem głowy. - Tak ją załatwiłeś...

- Nie będę służył nikomu za otarcie łez po Drakkarze - odparł krótko. - Taką mam życiową ambicję.

Umilkła, przygwożdżona tym stwierdzeniem. Aluzja? Ale skąd miałby wiedzieć, czy mógłby się domyślać? Żuczek mu coś powiedział, może?

Ari odchylił głowę na oparcie, wpatrzył się w sufit. Minę miał równie ponurą jak Drakkar zaszyty w swoim kącie. Można by było w tym momencie przysiąc, że są bliźniakami... gdyby nie zupełnie odmienna karnacja skóry i kolor włosów.

Nagle dźwignął się z miejsca.

- Przepraszam - burknął. - Jestem dzisiaj totalnie nie w humorze. Przyjdę - machnął ręką - jeszcze kiedyś.

- Jasne - wydusiła poprzez narosłą w gardle kulę niepokoju. - Przyjdź.

Patrzyła za nim, jak wlecze się do drzwi, noga za nogą, powoli. Zamknęły się za nim z zaskakująco głośnym skrzypnięciem, aż ten i ów popatrzył w tamtą stronę zdziwiony.

Milka odwróciła powoli głowę do okna. Wtem zastygła, spostrzegłszy kątem oka coś niebywałego.

Drakkar patrzy na nią. Badawczo. Uważnie. Z ledwo uchwytnym cieniem bólu na twarzy?

A potem odwraca wzrok. Jak gdyby nigdy nic.

Podniosła się z krzesła powoli, udając, że absolutnie niczego nie zauważyła. Wybiegła w ślad za Arim.

## 2.

Ruszyła do baraku Drwali. Nie wolno tego tak zostawić, kołatało jej się po głowie. Tak bez wyjaśnienia. Drakkar może sobie mieć swoje schizy, proszę bardzo. Ale z Arim jest coś mocno nie tak.

Wreszcie dotarła do jego pokoju, zapukała do drzwi. Nie usłyszała odpowiedzi. Zapukała jeszcze raz, znowu nic.

Nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się posłusznie, wpuszczając ją do środka.

Ari siedział przy biurku, kopiując jakieś pliki, ich ikonki wyświetlały się na monitorze komputera.

- Cześć, to znowu ja! - rzuciła, siląc się na swobodny, życzliwy ton. - Przepraszam, chciałam...

Odwrócił się raptownie. Krzyknęła, kiedy zobaczyła jego twarz.

Wyglądał, jakby miał na sobie jakąś gipsową, stężoną maskę. Szeroko otwarte

oczy wyzierały z niej niczym wypalone dziury.

Patrzył na Milkę, jakby pytał, kim jest i skąd tu się wzięła.

Komputer zakończył kopiowanie i teraz wyświetlał obraz, zajmujący cały ekran. Zamarła z przerażenia.

Żuczek spadał w dół, ciągnąc za sobą paczkę i wyzierający z niej fragment czaszy.

Podbiegła do Ariego, błyskawicznym ruchem odebrała mu myszkę, zamknęła plik. Wyłączyła komputer, po czym odrzuciła myszkę na biurko, oddychając głęboko. Ekran zgasł.

- Czyś... ty... oszalał? - wyjąkała z trudem. - Nie masz... czego... oglądać?

Nie odpowiedział.

Kucnęła przed nim, położyła ostrożnie dłonie na jego kolanach.

- Ari, skąd to wzięłeś? - zapytała, w oczach zaświeciły jej łzy. - Filozof obiecał, że ci nie da, kto... kto... - Rozpłakała się.

- Ale o co ci chodzi, Milka? - wycedził Ari nieswoim, nienaturalnie spokojnym głosem. - Jestem strażakiem, widywałem już gorsze rzeczy.

- Po co ci to? Taki jesteś... ciekawy?

Nagłym ruchem Ari schwycił teczkę, leżącą na biurku, rzucił ją Milce.

- Masz - powiedział.

Otworzyła trzęsącymi się, spoconymi dłońmi. Przymknęła jednak oczy, nie chcąc zaglądać do środka, w przeczuciu, co może tam znaleźć. Za rzęsami zamigwały niewyraźne napisy: Zygmunt Kępiński, sprawozdanie PKBWL... Protokół z sekcji zwłok... Dokumentacja, zdjęcia...

Zamknęła teczkę szybko, zdecydowanie. Spojrzała na Ariego pytająco.

- Kamieńczyk zaprosił mnie do siebie - rzekł tym samym spokojnym, mrozącym krew w żyłach tonem. - Dał tę dokumentację i poprosił o pomoc. Powiedział, że trzeba skończyć z tym szaleństwem, że w Osach dzieją się straszne rzeczy. Kompletne lekceważenie zasad bezpieczeństwa. Zaniedbania w konserwacji sprzętu.

- Powoli odebrał jej teczkę, odłożył na biurko. - Powiedział, że rozumie, że przykro mu, że straciłem brata. Ale żebym mu pomógł, zanim znowu ktoś zginie.

- Co mianowicie miałbyś zrobić? - zapytała, chłód przeniknął ją od stóp do głów.

- Wystąpić z powództwem cywilnym wobec Drakkara - odparł cicho. - Sprawa potrwa przynajmniej z rok, odsuną go od skoków. Już się z tego nie wygrzebie.

- I co... co mu powiedziałeś? - Zamknęła oczy, modląc się w duchu, by nie usłyszeć czegoś, co będzie oznaczać koniec Os.

- Że się zastanowię.

Przełknęła ślinę. Nie odezwała się ani słowem.

- Nie wiem, sam nie wiem - zaczął mówić cicho, szybko, urywanie. - Pod wieloma względami Kamieńczyk ma rację.

- Że to Drakkar zabił Żuczka? Wierzysz w to?

Zmierzył ją chłodnym, niechętnym spojrzeniem.

- A nie jest tak?

- Sam mówiłeś - wargi zaczęły jej się trząść, powieki mrowić w szalonym tempie - że Żuczek zginął śmiercią spadochroniarza, że to był jego własny wybór, nie wina Drakkara!

Przymknął oczy.

- Posłuchaj, Milka - rzekł głucho. - W tym środowisku przede wszystkim musisz być w porządku wobec kolegów. Mówisz, co trzeba, choćbyś nawet myślał inaczej.

- Jak możesz! - Dygotała coraz silniej. - Drakkar z Żukiem przyjaźnili się, on by go nigdy...

- Taaak, wiem - przerwał sucho. - Wyciągali się nawzajem z niejednego gówna, a kiedy Drakkar miał tę sprawę z rozwodem, mieszkał u nas przez jakiś czas. I co z tego? Jak przyszło co do czego, koniecznie musiał być bohaterem, bez względu na ludzi dookoła. Bo przecież generał patrzył!

- Żuczek mógł... - Urwała, nie chcąc naciągać aż nazbyt oczywistej prawdy.

Nie, Żuczek nie mógł puścić płotka Róży, kiedy był w nią wbity Szerszeń. A już na pewno nie wtedy, gdy Szerszeniem był właśnie Drakkar.

Spuściła głowę, wbiła zaćmiony łzami wzrok w poślódkę, wypłowiła wykładzinę.

- Nie wierzę w cały ten spisek - rzekł półszepem. - Nikt nie czyhał zdradziecko na życie Zygmunta. Neon z Filozofem, świadomie czy nie, starają się osłonić dupę kumpłowi. Skupimy się na ściganiu wyimaginowanych prześladowców, to nikt nie będzie rozpamiętywał, po cholere komu było to niskie otwarcie. Przy Róży, rozumiem, nie ma sprawy. Ale zginać dla *Muppet Show*?

- Jeżeli pomożesz Kamieńczykowi... - zachrypiała równie desperackim półszepem.

- To może ocalę również i twój zgrabny tyłeczek, maleńka? - przerwał jej szybko. - Bo nie oszukujmy się, to nie pierwszy wypadek z dzielnym Drakkarem w tle! Jak myślisz, dlaczego Kajman i Artysta, byli kumple z sekcji, utopiliby kapitana Żelańskiego w łyżce wody?

- Żuczek stanął po jego stronie! - zaprotestowała gorąco. - Chyba możemy zaufać jego osądowi?

Zacisnął szczęki.

- Mój świętej pamięci brat za życia bynajmniej nie był tak do końca święty. - Wydzierał z siebie słowa powoli, z męką, jakby były splecione z drutu kolczastego. - Za to doskonale zgadzali się z Drakkarem w niektórych wątpliwych etycznie kwestiach. I obaj mieli dość ciężką rękę dla podwładnych.

- Co tam się stało? - wyszeptwała, ledwo słyszalnie. - Wiesz?

Zacisnął wargi.

- Nie warto rozpamiętywać czegoś takiego - rzucił wymijająco. - Jestem strażakiem, ratuję ludzi i bynajmniej nie marzę, by kogokolwiek zabijać. A tam była niezła jatka. Ginęęły kobiety i dzieci.

Osunęła się na podłogę, zakryła oczy dłońmi. Co ty tu robisz, dziewczynko, zapłakała w duchu. Gdzie się wepchałaś, po co, dlaczego? Bo podobał ci się posągowy pan Drakkar, tak?

Ari spojrzał na nią i zreflektował się natychmiast.

- Przepraszam, że ci to wszystko mówię. - Osunął się z krzesła, przyklęknął obok. Położył dłoń na jej ramieniu. - Oskarżam innych, a sam jestem świnia do kwadratu. Zastałaś mnie w totalnej dupie. Nie wytrzymałem, przepraszam...

- Co teraz zrobisz? - odezwała się pustym, drętym głosem. - Pójdiesz na współpracę z Kamieńczykiem?

Odwrócił głowę, wbił wzrok w obłazącą ze ściany tapetę.

- Kolejny bohater, walczący o całe dobro tego świata? - mruknął z goryczą. - Jassne. Też kręci swoje lody. Chce udupić Drakkara i szuka na niego haka.

- Cokolwiek więc byś zrobił, będzie źle? Którykolwiek z nich by wygrał? Powrócił do niej spojrzeniem. A potem oparł czoło o jej ramię, przymknął oczy.

- A na czym, twoim zdaniem, wygrają Osy?

Milczała przez chwilę, rozważając różne scenariusze.

- Mimo wszystko stań za Drakkim. Chyba bardziej nam jednak potrzeba fałszowanych posągów niż publicznych burd.

Teraz z kolei milczał on.

- Masz rację - zaszemrał wreszcie. - Tak zrobię. - Wyciągnął lewą rękę, opasał jej barki. - Dziękuję.

Przytrzymała go oburącz, przytuliła policzek do przedramienia.

- Nie ma za co - wyszeptała cicho. - Proszę.

Pozostali tak na podłodze, przytuleni, zapatrzeni w mrok. Smutek łagodniał powoli w rytm szumiących kropel, wraz z nimi odpływał w ciemność i w dal.

### 3.

Moja wadera, myślał Kamieńczyk, wrośnięty w parkiet pod oknem w swoim pokoju. Przyjdzie, wkrótce przyjdzie. I będziemy się kochać do utraty tchu.

Ależ to głupio brzmi w ustach, w myślach twardziela. Trzeba mi raczej rznąć ją, aż będzie furczało. Ale rznąłem ich już setki. A ją chcę kochać.

Romantyczny się zrobiłem na starość. Nie, to nie to. Po prostu spotkałem właśnie tę.

Kocham nawet na nią czekać. Jak teraz, jak dziś. W ten deszcz.

I niedługo będziemy razem. Tak naprawdę, do końca razem. Jeszcze tylko parę chwil.

### 4.

Drakkar osunął się na łóżko wśród metalicznego zgrzytu sprężyn. Siadł, wsparł twarz o dłonie, zakrył powieki palcami.

Milka wyszła za Arim z sali. A jednak. Wystarczyło, że spojrzał na nią i pobiegła, poleciała za nim, jakby nie istnieli inni, jakby na nim jednym kończył się ten świat.

Drakkar wciąż tarł powieki. Znał takie chwile, pamiętał z poprzedniego życia, tego przed katastrofą w górach. Kiedyś i on zaglądał dziewczynom w oczy i widział w nich pełną obietnic przyszłość. Bliższą, na jedną noc, dalszą, może na całe życie, zawsze jakąś.

A teraz robił, co mógł, by nie zaglądać nikomu w oczy, nie szukać przyszłości. Zwłaszcza jeżeli mogłyby mu się te obrazy za bardzo spodobać, a przecież nie powinny. Niczym trędowaty, niósł ze sobą jedynie śmierć.

Drakkar podniósł głowę, spojrzał w mrok. Gorączkowo, ze wszystkich sił zapragnął wyjąć komórkę z kieszeni, zadzwonić do Artysty. I powiedzieć: Stary, dość tego. Kończ!

Ale wiedział dobrze, że tamten uśmiechnąłby się tylko, rzucił niewinne: „O co ci chodzi? Oczyszczili cię ze wszystkich zarzutów, prawda?” - i przerwał połączenie. Drakkar tylko najadłby się niepotrzebnego wstydu, żebrząc o litość.

Pozostawało czekać. Musiał trwać, zakleszczony, w tym piekle, z cichą, skrytą nadzieją, że wreszcie któraś z Róż pociągnie człowieka za sobą na sam dół.

## 5.

- Bądź ze mną - wyrwało się nagle Ariemu, gdzieś z samej głębi oddechu. - Bądź dzisiaj, proszę.

Milka wstrzymała dech.

A właściwie, czemu nie. Czemu nie wziąć, czemu nie dać tej odrobiny bliskości. Kiedy może już nie być jutra.

- Dobrze, ale u mnie - wyszeptała cicho. - Może być alarm, wiesz.

Pocałował jej opalone przedramię. A potem oparł o nie chłodne czoło.

- Wiem.

- No to chodź.

Przyciągnął ją do siebie gwałtownym, łapczywym ruchem. I zaczął całować, z niemalże rozpaczliwą desperacją. Poddała się mu, z dziwnym poczuciem rozdwojenia jaźni: jedna jej część, roznamietniona, zgłodniała, gorliwie oddawała pieśczętę. Ale druga gadzim, zimnym wzrokiem obserwowała rozwój sytuacji. I kąsała boleśnie: co robisz, głupia? Przecież to nie on, wiesz o tym, prawda? To przecież nie on!

Milcz, tyś też nie mądrzejsza. Weź, co jest, i nie pytaj o więcej. Jutro może nie być jutra. Przecież wiesz.

- No to chodź!

Usłuchał, poderwał się z podłogi. Stał przed nią, zdyszany, a w oczach migotało mu... Znacznie więcej, niż kiedykolwiek chciałyby zobaczyć.

Nieważne to wszystko, szeptała niemo w chwilę później, biegnąc wraz z nim przez deszcz. Nieważne. Na dzisiejszą noc to właśnie on.

## 6.

Jak trudno zdjąć mokre ubranie. Spodnie, bluza, twarde i odporne niczym kaftan bezpieczeństwa. Albo pas cnoty.

Jesteś tu jeszcze? To mnie pocałuj. Teraz, kiedy tak bardzo doskwiera samotność. Bo poza tym dzisiaj nie liczy się już nic.

Nie śpiesz się, poczekaj chwilę. Ale przecież czujesz ten głód i wiesz dobrze, że ja też. Dobrze więc, nie czekajmy już dłużej. Dotknij, proszę. Tu, tak, tu. Pośpieszny, zdyszany szept.

Jesteś cudow... Ach!

Deszcz bębni rytmicznie, raz, raz, raz. Szybciej, coraz szybciej. Teraz, już!

Poczekaj jeszcze chwilę, poczekaj. Nie śpiesz się, pamiętaj, że przecież może nie być jutra. Teraz, dziś, to wszystko, co istnieje, to wszystko, co było, jest i będzie.

Teraz, już. Nie pośpieszaj, niech trwa.

Nie chcę już czekać, nie mogę dłużej czekać. Chcę teraz, już!

Ulga przychodzi nagle, niczym fala chłodnej wody w rozpalony dzień. Przez chwilę zatracą się w niej wszystko, z mimowolnym jękiem doświadczając niemalże nieistnienia.

By potem ze zdumieniem powrócić do rzeczywistości.

Świat pojawia się dookoła, a przecież przez chwilę jakby go nie było. Ale oto powrócił, całkiem nowy. Patrzysz nań z niedowierzaniem, zaczynając rozumieć, że oto właśnie stało się razem.

Jest niesamowite. Można by się tym razem wręcz zachłysnąć.

I zostać tak, na wieczność.

A przynajmniej do jutra.

## 7.

Milka wsunęła się do łazienki, drzwi skrzypnęły za nią jęklawie. Podeszła do umywalki, nie zapaliwszy światła. Krzyże zimnego, księżycowego światła wpadały przez ramy okien, upodabniając szare kafelki do ich bliskich krewniaków z kostnicy.

Przybliżyła twarz do lustra.

Oczy. Uśmiechnięte, zadowolone... A jednocześnie gdzieś w głębi zapłakane, zgubione, przepastnie smutne.

Bo przecież to nie on.

Ech, nie marudź. Ari to świetny gość. Bierz, co dają, i nie pytaj o więcej. Bo jutro już może nie być jutra, a dzisiaj jest dziś.

- No i brawo ta pani - rzuciła półgłosem, na poły radośnie, na poły z goryczą. - Dostałaś, co chciałaś?

Jakiś cień poruszył się w kącie.

- Ekhem! - zaszemrał znacząco: uważaj, nie jesteś tu sama.

Odwróciła się.

Drakkar.

Tkwił na drewnianym zydelku obok pryszniców, trupio blady, woda kapiała mu z krótkich włosów na całkiem już przemoczony podkoszulek.

- Co ty? - Urwała.

Serce ciążyło w piersiach, z sekundy na sekundę coraz bardziej obrastało bólem, tłumiącym dech.

- Moczę łeb - rzucił w przestrzeń. - Zazwyczaj pomaga.

Na co? - powinna się zainteresować uprzejmie, ale nie wydała z siebie ani jednego dźwięku. Nieważne na co. Na coś. Nie powinna wnikać. To jego sprawy. Jego i tylko jego. Tak, jak i ona ma swoje.

- Dobrze widzieć, że się pocieszyłaś - rzucił nagle. - Po Żuczku, tak szybko. - Odwrócił wzrok.

Zawrzała w niej nagła wściekłość. Głucha, tępa, nabrzmiała cierpieniem złość. Jak śmie! Czy ona go pyta, czy mu wnika...

- Wiesz, ja go nie zabiłam - wycodziła powoli.

- Bohaterowie umierają - odparł matowym głosem - a skurwysyny żyją. Taki jest ten świat.

- Nie mam o czym z tobą rozmawiać - rzuciła cicho, zjadliwie. - Szkoda czasu. Wracam do łóżka.

- Dobranoc. - Przymknął oczy. - Miłej zabawy.

Wyszła z łazienki, trzasnąwszy drzwiami. Nienawidzę go, zakrzyczała w duchu, zaciskając pięści z całych sił. Nienawidzę. Nienawidzę. Niena...

Wróciła do pokoju, odetchnęła głęboko. Niepokojne oczy Ariego zabłyszczały w ciemnościach.

- Wszystko w porządku?

- Jasne - skłamała, przyklejając uśmiech na twarz. - W jak najlepszym!

- No to chodź tutaj, maleńka. - Otworzył ramiona wśród szelestu pościeli. -

Przyjdź i bądź.

Parę kroków, które dzieliły ją od łóżka, wydały się nieskończonością. Podobnie musieli czuć się skazańcy, wstępujący na szafot. Krok, nieskończoność, potem znowu krok.

Znalazła się wreszcie w ciepłych, czułych objęciach Ariego. Wtuliła policzek w zagłębienie pomiędzy jego szyją a ramieniem, opłótła rękami nagie, twarde barki. Zamknęła oczy.

Nawet jeśli to nie on, to jest tu przy niej, teraz. To wszystko, co może, co powinno się liczyć.

ALARM! ALARM! - wbiło się w noc. - POLSKA DO GÓRY! POLSKA!

Milka wyskoczyła z łóżka natychmiast.

## 8.

Fajerwerki na tle nocnego nieba nie robią już takiego wrażenia jak poprzednio. Skupiasz się na zadaniu, tylko ono się liczy.

Róża mknie ze świstem przez noc, jej fosforyzujące płatki wyraźnie wskazują cel. *READY, SET, GO!*

Jasny szlag, co się dzieje? Drakki potknął się i zamiast elegancko wejść w pikę, leci bezwładnie na łeb, na szyję. Podciął nogi Neonowi i Kocherowi, wpadają jeden na drugiego i, machając chaotycznie rękami, tworzą spleciony, dwuosobowy młyn. Pinio i Kokos nie zdążyli się już zatrzymać, lecą na nich. Eli klnie pod nosem i daje nura w czerń, rozścieloną za śmigłowcem. Tuż za nią Gabrys i Iks.

Filozof, zawiśnięty na rampie, filmuje cały ten bałagan ze zszokowaną miną. Powinien był odejść jeszcze przed Drakkarem, ale nie zdążył, a teraz zaciska kurczowo palce na framudze, jakby nie chciał w ogóle brać udziału w tym skoku.

Zatrzymujesz się ostatniej chwili, z trudem łapiąc równowagę na progu. Patrzysz na Filozofa, ten macha głową: leć! Pójdę ostatni.

Rzucasz się w mrok.

Strach dławi gardło, dookoła ciebie tylko czerń i światełka śmigłowca, migoczące coraz dalej.

Opanuj się. Latasz już? To lataj.

Wejdź w pikę. Złap kierunek. Trzymaj równowagę.

Widzisz Różę? Zwolnij. Wysokość? Trzy tysiące metrów, jest trochę czasu.

Nie, nie hamuj tak mocno, przecież ten kwiatek jest jeszcze cholernie daleko i do tego mocno z prawej strony. Wejdź w tracka. Wyprostuj nogi, ułóż ręce po bokach. Gdzie Róża? Tam. Teraz to już hamuj. Hamuj, bo przepadniesz!

No, właśnie. Przepadłaś. Trudno, stało się. To teraz wypuchnij. Rozłóż ręce szeroko, nogi też. Rozplakaturuj się. Wypchnij biodra do tyłu, zagarnij powietrze pod sobą... I odwróć się bokiem do Róży, na litość boską! Jak zadzieras głowę do góry, od razu wyginasz kręgosłup i z całego wypuchania nici. Bokiem, ostrożnie, bokiem... Nie aż tak, bo już jesteś za wysoko. To teraz dogoń kwiatek. Wygnij się, biodra do przodu, nogi zgięte, ręce też. Nabieraj prędkości...

Uważaj, ktoś tu jest, tuż obok. Odbij w lewo, bo się zderzycie! W lewo, już!

Ale nie aż tyle!

Róża znowu w górze.

Masakra.

Spierdolimy to, myślisz i od razu sztywniejesz z przerażenia. Spierdolimy i kolejne setki tysięcy pójdą do piachu. Wszystko przez te kilkadziesiąt sekund słabości.

Próbuj dalej! O tak, tak, delikatnie... Znowu za wysoko. Bardziej w prawo. Nie, teraz za nisko. I w lewo trochę... I bliżej, ale nie wyciągaj ręk, bo cię wywali, kopnij tylko nogami, prostując je delikatnie. O tak, tak...

Nareszcie, jest. Róża.

Rzucasz okiem na wysokościomierz.

Dwa tysiące metrów!

Dookoła kwiatka wiszą Drakkar, Neon, Pinio, Kokos i Kocher, fluorescencyjne paski na ramionach świecą w ciemnościach wokół Róży jak neonowa reklama w niezrozumiałym alfabecie, a czołowe latarki, przyłączone do kasków, błyskają niecierpliwością. Hamujesz na swoim miejscu, rozglądasz się za Gabrysiem, który miał zastąpić Żuczka na płatku, ale nie widzisz go nigdzie w pobliżu.

Drakkar patrzy na ciebie i podejmuje decyzję. Kiwa głową: wchodzisz!

Delikatnym kopnięciem nóg zajmujesz miejsce w kręgu.

Szerszeń daje znak. Teraz!

Przybliżasz się do Róży, jednocześnie z pozostałymi. Łapiesz za płatek, co za twardy drań! odciągasz go z całej siły w bok.

Drakkar śmiga nad tobą i już wkłuwają się w znamię.

Płynie siarczan miedzi, płynie czas, metry lecą w dół.

Tysiąc trzysta. Tysiąc dwieście. Tysiąc.

Gardło zaciska się przerażeniem, ale trzymasz płatek z całych sił. I wbijasz wzrok w Drakkara, jest teraz panem życia i Aniołem Śmierci, spieprzy cokolwiek, zginiecie wy, a potem kolejni i jeszcze następni, i jeszcze...

Esencja spływa kroplami.

Zielone! Miga zielone światełko!

Drakkar ześlizguje się z Róży, macha do rozejścia, puszczasz płatek równo ze wszystkimi, odwracasz się i zasuwasz przed siebie co sił. Oby jak najdalej od pozostałych.



Siedemset metrów!

Rzucaj pilocik i niechże już będzie po wszystkim!

Chwytasz piłeczkę, wyciągasz pilocik z kieszeni pokrowca, rzucasz go w tył... Cholera, przecież jeszcze jesteś w tracku, na pełnej prędkości, z sylwetką mocno pod horyzont. Oj, to będzie bolało!

Spadochron otwiera się gwałtownie, uprząż podrywa cię do góry brutalnym, bolesnym szarpnięciem. Obluzowana końcówka taśmy piersiowej uderza cię w twarz, wyrывая z piersi krótki jęk. W ustach czujesz słonawy smak krwi.

Patrzysz w górę, na czaszę, światło czołówki ślizga się po niej w napięciu. Cała, dobre chociaż i to. Ściągasz slajder, odhamowywujesz kołki. Wtem zaciskasz obolałe wargi ze złością. Pięknie, pięknie, warczysz pod nosem, dopiero teraz rozglądając się dookoła. Kolejny błąd, można się było komuś pięknie wpakować w czaszę. No to jak, jest drugi skoczek w pobliżu?

Na szczęście pozostali są dosyć daleko.

Runda przez lewe ramię, podejście do lądowania, właściwie byle gdzie, byle się zmieścić w pole, oznaczone światełkami latarek. Dolecieć tuż nad ziemię, napędzić czaszę, zaciągnąć symetrycznie oba kołki...

Za gwałtownie. Zamiast łagodnie wypłynąć, czasza zwala się w dół i zatrzymuje, kiedy siłą bezwładności lecisz jeszcze w przód. Paskudna sytuacja, oj, to będzie bolało. Na dodatek, zamiast trzymać obie nogi razem, odbić się sprężyste i przebiec dalej, wystawiasz lewą stopę do przodu, jak przy zwykłym, miękkim lądowaniu...

Brutalne zetknięcie z ziemią natychmiast daje o sobie znać mrowiem ostrych, dojmujących ukłuć. Przewracasz się, turlasz po trawie, osłaniając ramionami twarz. Podnosisz się błyskawicznie, żeby Wódz nie zdążył się zestresować. To tylko drobny upadek, nic takiego. Wtem syczysz z bólu, lewa pięta daje znać o sobie milionem rozżarzonych igieł. Cholera, uderzenie było za mocne, nie zdołasz iść, nie kulejąc. Ale wstyd.

Oblizujesz wargi, niech nie będzie widać krwi. Potem zaciskasz zęby. Podnosisz z ziemi opadłą czaszę, zarzucasz na lewe ramię. Spadochron spływa po barku prawie do ziemi, może zakamufluje niepewny chód.

Zaczynasz iść w kierunku startu, powoli, z pochyloną głową, co siłą maskując kuśtykanie.

Wtem podnosisz twarz ku gwiazdom... I śmiejesz się z całego serca, radośnie.

Przecież wykończyliście Różę! I znowu nikt nie zginął!

Czegóż więc jeszcze chcieć?

## 9.

Drakkar usiadł na podłodze busa, zwiesił nogi na zewnątrz.

- Zjebałem odejście - oznajmił zgnębiony. Mgła kłębiła się w świetle reflektorów, mieszała z jego oddechem. - Przepraszam.

- Cudem się to wszystko udało - westchnął Filozof. Rzucił spadochron na ziemię, zaczął go zwijać do torby, magazynowo. - Psychą nam klęka, ot co. Zmęczenie materiału, strasznie gęsto padają te Róże.

- SKYWATCH twierdzi, że to już prawie koniec - próbował pocieszyć ich Wódz. - Wychodzimy ze strumienia. Jeszcze parę dni i będzie po krzyku.

Podnieśli głowy, błysnęli zaintrygowanymi spojrzeniami.

- Na razie nie obwieścili tego publicznie - ciągnął więc. - Boją się, że to pomyłka i nie chcą robić płonnych nadziei. Ale podobno tak wynika z obserwacji: najgorsze za nami.

- Skoro tak, to najgorsze dopiero przed nami - rzucił zgryźliwie Pinio. - Lada moment zostaniemy bez pracy!

Roześmieli się mimowolnie. Pinio był mistrzem w wynajdywaniu problemów.

- Nie przesadzaj, jakaś robota na pewno się znajdzie - orzekła Eli, wydymając wargi. - Wystarczy dobrze poszukać!

- Szkoda by mi było wracać do tłumaczeń... - bąknęła Milka. - Nudne dość.

- Fakt, szkoda by cię było - potaknął Drakkar odruchowo, oczy mu błysnęły. - Latasz jak anioł!

Spojrzała mu w twarz, zaskoczona, ale natychmiast odwrócił się, dźwignął z podłogi i poczłapał do wnętrza busa.

- Spróbujmy się jeszcze dzisiaj trochę przespać, co? - Neon ziewnął. - Może faktycznie już jest po wszystkim, a może najgorszy syf zostanie na sam koniec. Nie znamy dnia ani godziny - zakończył filozoficznie.

Pokiwali głowami. Zaczęli się wdrapywać do busa, jedno po drugim.

Stłoczyli się w środku, zamknęli oczy. Bus potoczył się do przodu, zaczęli się kiwać sennie, w miarę jak podskakiwał na wybojach.

Strażacy wciąż polewali pole siarczanem.

## 10.

Milka weszła do swojego pokoju ciężkim, zmęczonym krokiem. Wtem przystanęła, zdumiona: ktoś tu jest?!

Ari! No, tak...

Siedział na łóżku, patrząc na nią bez słów.

Nagła fala ciepła ogarnęła jej oczy, przetoczyła się przez piersi, rozplynęła po całym ciele. Jak to dobrze wrócić i zobaczyć, że ktoś czeka.

- Zapomniałaś mnie wyrzucić - odezwał się cicho, z uśmiechem. - Więc zostałem.

- Wróciłam ci usiąść na kolanach - oznajmiła szybko, aby się tylko nie zdążyć rozmyślić. - Słyszałam, że to podobno działa. Ale się boję, że mnie przegonisz, widziałam cię już w podobnej akcji i nie chciałabym...

Wyciągnął do niej rękę.

- Zależy, kto siada - powiedział po prostu. - Chodź, maleńka. Chodź.

Rzuciła torbę, podbiegła doń niezwłocznie. Wgramoliła mu się na kolana i przytuliła ze wszystkich sił. Świat pojaśniał, miała ochotę śmiać się do rozpuku. Bo nikt nie zginął przy skoku. A potem nie wróciła do pustego pokoju. Czegóż więcej można chcieć od życia?

Ari opasał ją ramionami, przywarł ustami do czoła.

- Wróciliśmy wszyscy, w komplecie - zaczęła szeptać śpiesznie, radośnie. - Wiesz?

- To dobrze. - Oparł brodę o czubek jej głowy, potarł czule króciuteńkie włosy. - To bardzo dobrze. Przynosisz im szczęście.

- Ech, gadasz głupoty.

- Wcale nie. Mnie też daj trochę szczęścia, przy okazji, skoro już przy tym jesteśmy.

- Tobie mogę dać co innego...

Przewrócili się do tyłu, na łóżko, rozchichotani, jak małe dzieci.

- Co ty robisz? Wariatka!

- Uhm, mądry się znalazł. Nie chcesz to nie, idziemy spać.

- Cofam, cofam wszystko, co powiedziałem.

- I słusznie. Lepiej się zamknij i rób swoje.

Umilkli. I tylko coraz głośniejsze stawały się ich przyśpieszone oddechy.

Za oknem zaczynało już dzień.

# Rozdział 13

*Nad fioletowo-słoną rzeką  
Rozpinam purpurowy most  
Powietrze eksploduje tęczę  
I dźwięczną ostrza srebrnych kos  
Z ciemności dzieci do mnie biegną  
Wabi je gitar słodki dźwięk  
Obracam w palcach złoty pieniądz  
I pokazuję czołgom cel*

*Wchodzę bezbronny, rozebrany  
Do klatki, w której tygrys śpi  
Na ścianach jarzą się ekrany  
I widzę o czym bestia śni  
Oto mój krzyk i strach przed śmiercią  
Przecina błysk tygrysich kłów  
Obracam w palcach złoty pieniądz  
Kopniakiem budząc go ze snu*

*Wiążę jedwabne sznurowadła  
I diamentowy wkładam frak  
Te krwią znaczone prześcieradła  
Na naszej hańby wieszam znak  
Niechże wam szybko wiosny leć  
Moja prześliczna bando Hien  
Obracam w palcach złoty pieniądz  
I przeraźliwie nudzę się*

Perfect  
*Obracam w palcach złoty pieniądz*

## 1.

- Do mnie, obaj, natychmiast!

Kajman z Artystą biegli ile sił w nogach. Dotarcie do gabinetu pułkownika zajęło im zaledwie parę chwil.

- Mamy Wyścig! - Kamieńczyk wyglądał na mocno poruszonego. - DZISIAJ! - Zatrzymał się, wziął głęboki wdech.

Kajman poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. O kurwa, zaczęła się płatać po głowie złowroga refleksja, o kurwa...

- Drakkar bierze w nim udział!

Artysta obrócił głowę ku koledze, jego spojrzenie paliło niczym wiązka lasera. Ale

się popierdoli teraz, myślał Kajman w popłochu, ale się popierdoli...

- Możemy śmiało zaryzykować wniosek, że to on jest tym człowiekiem mafii, który podkładał nam niespodzianki. - Kamieńczyk mówił śpiesznie, niewyraźnie. - To ma sens. - Odetchnął jeszcze raz, głęboko, podniósł dłoń do czoła. - Kurwa, sam dowódca Os! To nie może pójść w świat!

Teraz padną rozkazy, Kajman zaczął się modlić gorliwie. Takie, które pozwolą nam jeszcze na coś, na cokolwiek mieć wpływ.

Pułkownik opuścił dłoń. Jego głos zabrzmiał nieskazitelnie spokojnie.

- Pójdziecie do strefy, obaj. Zlikwidujecie go.

- Tak jest! - wychrypiał Kajman śpiesznie, nim jeszcze Artysta zdążył się odezwać i spierdolić wszystko, co tylko się da.

- O ile to możliwe, poczekajcie, aż zdobędzie pendrive'a z kluczem. Nie będziecie się bawić w zatrzymanie wysokiego ryzyka. Drakkar to fachowiec. Wystarczy, jeśli przyniesiecie mi jego trupa. Zajmę się nim w stosowny sposób. Tylko żeby któregoś ręka nie zaświerzbiała! Pendrive ma się znaleźć razem z nim!

Zaczął ich mierzyć surowym, uważnym spojrzeniem.

- Interpol będzie zachwycony, dostaną namiary na bank i, po nitce do kłębka, zdejmą całą organizację. Ale jeżeli któryś z was wpadnie na pomysł, by samemu dobrać się do tych pieniędzy, niech od razu kopie sobie grób.

- Myślę, pułkowniku, że ta uwaga jest całkiem zbędna - oznajmił Artysta lodowato.

- Nasi fachowcy złamali szyfry do Wyścigu, będę więc widział, co się dzieje. - Kamieńczyk całkowicie zignorował jego wypowiedź. - W miarę możliwości będę wam przekazywał dane. Nie za często, żeby nas nie namierzyli. Drakkar ma zniknąć bez śladu, nikt niczego nie wie, rozumiano?

- Tak jest!

- Po osiągnięciu celu odmeldujecie mi się na komórkę. Nie na moją, to jest zestaw na kartę, tu macie numer. Przekażę wam miejsce spotkania z ekipą sprzątającą.

- Tak jest!

- Naprzód!

Wybiegli z gabinetu, ramię w ramię.

## 2.

Drakkar wszedł do swego pokoju. Podniósł ręce i przeciągnął się z całych sił, krzywiąc się przy tym boleśnie. Kręgosłup dawał mu się już nieźle we znaki, trzeba będzie znowu zajrzeć do masażysty, niech go poustawia porządnie.

Cały dzień spędził w pochyleniu, pomagając Ślimakowi układać zapasy. Z tym pomaganiem to był lekki eufemizm: Ślimak ułożył jeden zapas, własny, i plecy go rozboleły. Ograniczył się więc do tkwienia nad pomocnikiem i udzielania mu dobrych rad. I o ile Wodza Drakkar wysłałby do wszystkich diabłów najdalej po piętnastu minutach, o tyle Ślimaka nie miał śmiałości potraktować w ten sposób. Coś niesłychanie dostojnego było w tym starym spadochroniarzu, wydającym się jeszcze pamiętać czasy, gdy skakało się na Irvinach.

Wódz co prawda został już odwieszony przez kabewuelkę, ale wciąż ślęczał nad kwitami. A choć układaczy z pewnością znalazłoby się więcej, w jego mniemaniu nie mogło być mowy, by do zapasów Os dotknął się ktokolwiek poza nim samym, Ślimakiem i właśnie Drakkarem.

Dwadzieścia zapasów to nie w kij dmuchał i Drakkar napocił się nieźle; cały dzień zleciał mu w mgnieniu oka. Może i dobrze, można się było czymś zająć i nie rozmyślać głupio o niepotrzebnych sprawach. Bogiem a prawdą, nie było żadnej konieczności przewijania wszystkich zapasów naraz, resurs kończył im się za dobry miesiąc. Ale Drakkar nie cierpiał zostawiać rozgrzebanej roboty, a co więcej wiedział doskonale, że podczas skoku ciągle myślałby o tym, kto wziął przełożony zapas, a kto nie, i czym to się dla kogo może skończyć. Więc lepiej było machnąć wszystkie od razu i mieć sprawę z głowy.

Przeszedł do łóżka, usiadł ciężko, aż zaskrzypiały sfatygowane sprężyny. Niczym namagnesowana, głowa sama obróciła się do okna.

Pikpikpik, zaskrzypiała komórka na stoliku. Masz wiadomość.

Spojrzał w jej kierunku. Wzruszył ramionami. Znowu sieć wysyła jakieś reklamówki.

Ciekawe, co inni robili przez ten cały boży dzień? Filozof pewnie wlepił wzrok w te swoje Orbitery, Neon rzeźbił mięśnie na siłowni. Milka pojechała z Eli do ULC-u, a Ari miał, zdaje się, dyżur przy Fiołku. Pewnie zjedzą się wieczorem i...

Rozejrzał się czym prędzej po pokoju, przemocą urywając na wpół rozpoczętą myśl.

Dwie rzeczy kusiły i przyzywały: wódka w szafie i pistolet w kaburze na stole. Każda z nich ofiarowywała swój własny, konkretny rodzaj ulgi.

Zacisnął wąskie wargi, odwrócił się do okna.

Pikpikpik, zabrzęczała znowu komórka. Powrócił do niej spojrzeniem z bezbrzeżną niechęcią. No czego tam kto chce?

Podźwignął się z wysiłkiem, sięgnął po telefon. Popikał po klawiszach.

Masz wiadomość. MMS.

*Gratulacje, wygrałeś wycieczkę.*

Jasssne, zmełł Drakkar przekleństwo w ustach, wycieczkę. Do Krainy Fioletu.

Odrzucił komórkę na stolik. I znów zapatrzył się wdał.

### 3.

Filozof z Neonem wbili się do pokoju Drakkara, niemalże taranując drzwi. Wpadli do środka... I zatrzymali się obaj, w zdumieniu.

- Co ty tu, kurwa, robisz?! - wykrztusił Neon, twarz nabrzmiewała mu czerwienią.

- Siedzisz sobie pod oknem?

Drakkar poprawił się na parapecie.

- A jakże, siedzę sobie - oznajmił sucho. - Nie wolno?

- Nie wybierasz się przypadkiem na jakąś wycieczkę? - powoli, spokojnie zapytał Filozof. - Na przykład dziś wieczorem?

- Nie interesują mnie wycieczki - burknął Drakkar opryskliwie, wtem spoważniał,

popatrzeć na kolegów uważnie. - A co, powinienem?

- Dostałeś MMS-a?

- Owszem, dostałem. I mam to gdzieś.

Neon usiadł na podłodze, jak stał. Patrzył na Drakkara, z szeroko otwartymi oczami, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał przed chwilą. Wreszcie przerzucił otumaniony wzrok na Filozofa.

- To co, może ja pójde za niego?

Filozof milczał przez chwilę. Wreszcie ruszył do stolika, podniósł komórkę Drakkara. Wyciągnął własną z kieszeni, popikał coś na obu, porównując treści.

- Idiotyczny pomysł - podsumował gospodarz. Ewidentnie koledzy robią mu jakiś numer, zabaw się draniom zachciało. - Sorry, panowie, nie wyszło.

- Założyłem ci robala na komórkę - powiedział Filozof cicho. - Wybacz, stary, ale strasznie się posypałeś ostatnio. Wolałem wiedzieć, co w trawie piszczy.

Drakkarowi zdało się, że w pokoju zrobiło się nagle bardzo duszno. I bardzo gorąco.

- Co jest w tym MMS-ie? - rzucił ochryple.

Filozof rzucił mu komórkę.

- Czytaj!

Drakkar popikał klawiszami, przesunął następny slajd.

I zbladł.

#### 4.

Ari szedł do spadochroniarni ze słońcem w sercu i gwiazdami w oczach. Wspomnienia z nocy pojawiały się w umyśle co chwilę, przywołując na twarz natychmiastowy, euforyczny uśmiech.

Chyba się zadurzyłeś, chłopie. Oj, chyba tak.

Oby tylko jej się też podobało. Niech to zostanie na dłużej! Chociażby do jutra. Tego jutra, którego niby może już nie być, ale wciąż jednak jakoś jest. Z dnia na dzień, i tak do końca życia...

No, zakochałeś się, jak nic.

W drzwiach zderzył się z wypadającym w pośpiechu Filozofem. Za nim biegli Drakkar i Neon, z zaciętymi minami, jak na wojnę.

- Milka już wróciła z ULC-u? - rzucił beztroskim pytaniem.

Świat uśmiechał się dookoła, kwiaty pachniały.

Filozof stanął w miejscu jak wryty.

- O - powiedział powoli. - Drwal.

- Żaden Drwal - syknął Drakkar. - Ruszamy!

Filozof odwrócił się ku niemu, zagarnął dłonią za kark.

- Drogi kolego - wyszeptał, ale na tyle dobitnie, że Ari i tak słyszał każde słowo. - Może byś tak wrócił do koncepcji pracy zespołowej?

- Nie umie strzelać - odwarknął Drakkar, twarz mu pociemniała. - Chcesz go wpierdolić na minę?

- To, że twój poprzedni zespół cię wychował do kwadratu, nie znaczy, że masz już

nigdy nie mieć nowego - odezwał się lodowato Neon. - Wiesz, że Ari i Milka?... Moim zdaniem, powinien iść.

Słońce pociemniało, kwiaty przestały pachnieć. Ari zawiesił spojrzenie na wargach Neona.

- Co się dzieje?

Filozof puścił Drakkara, pochylił się ku strażakowi.

- Idziemy do strefy - rzucił, tym razem rzeczywiście cicho. - W dzisiejszej edycji Fioletowego Wyścigu dają bardzo fajne nagrody.

Wszyscy czterej naraz, jak na komendę, podnieśli głowy i popatrzyli w stronę centrum. Nad Warszawą górował wciąż ten obcy twór.

W promieniach zachodzącego słońca jego purpurowe liście wyglądały, jakby spływały krwią.

## 5.

Drakkar dojechał Alejami Jerozolimskimi prawie do ronda Zawiszy, porzucił motor pod wskazanym blokiem. Wbiegł po schodach na pierwsze piętro i wszedł do mieszkania, którego drzwi pomazane były fioletowym sprayem.

Czekał tam na niego pomarańczowy kombinezon ochronny. Na szczycie hełmu zamontowana była kamera.

Instrukcja, wyświetlona w MMS-ie, twierdziła, że uczestnik wyścigu powinien włączyć komunikator i kamerę i zameldować się organizatorom przed wkroczeniem do strefy.

Drakkar włączył sprzęt. Obrócił hełm, spojrzał prosto w błyszczące oko kamery.

- Kandydat numer cztery - zachrypiał dość niewyraźnie.

- Zgłoszenie przyjęte - zatrzeszczały słuchawki. Milczały chwilę, a potem dodały: - Tożsamość potwierdzona. Ubieraj się.

Drakkar przekręcił hełm kamerą do okna i nałożył go na głowę... Ariego, który wślizgnął się przed niego bezszelestnie.

Poklepał strażaka po plecach przyjacielskim gestem i dyskretnie zniknął w drzwiach.

## 6.

Oby Filozof był tak dobry, jak wszyscy wierzymy, pomodlił się strażak w duchu, naciągając kombinezon. Jeżeli ktoś nas przyuważył, jak wchodziliśmy do budynku na dziesięć minut przed Drakkim... mamy przerypane!

Filozof zaklinał się, że w mieszkaniu nie ma innych kamer i że sprawdził dokładnie wszelką elektronikę. Ale na każdy sprzęt może być kontrsprzęt, a na niego jeszcze inny sprzęt...

Dobra, nie myśl tyle. Po prostu rób swoje i już.

Ari odkręcił butlę w plecaku, wykonał parę wdechów i wydechów, sprawdzając, czy zawory działają prawidłowo. Założył sprzęt na plecy, przeganiając spacerujące po nich lodowate ciarki.



Nie cierpiał tego rozwiązania, nie ufał kombinezonom typu 500. Maską, założoną na zewnątrz, zdawała się uśmiechać kpiąco: zgaduj zgadula, wpuszczam teraz cyjanki, czy nie?

Ale cóż, nie było innego wyjścia. Zresztą orgowie wyścigu chyba wiedzieli, co robią. Ktoś powinien mieć szansę przeżyć tę imprezę i wygrać... Prawda?

Płynęła z tego jedna korzyść: w przeciwieństwie do napompowanej siedemsetki, w której wyglądało się i poruszało jak ludzik Michelina, pięćsetki, jako stosunkowo nieźle przylegające do ciała, pozostawiały znacznie większą swobodę ruchu. A mając butle z tlenem umocowane na zewnątrz, można je zdjąć i włożyć w prawie każdą dziurę.

O, właśnie: butle z tlenem, nie z powietrzem. Znaczący organizatorzy ewidentnie nie przewidują, by rozgrywka mogła skończyć się w pięć minut. Proszę Państwa, przed nami przynajmniej kilka godzin dobrej zabawy!

Sapnął, przebiegł językiem po zaschniętych wargach. Cholera, będzie gorąco: zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Taaak... Będzie cholernie gorąco!

Powoli, niepewnie nawlókł na ramię i kark taśmę z uczeptionym do niej karabinem HK 416. Każdy z uczestników wyścigu organizował sobie broń we własnym zakresie, a Filozof z Neonem najwyraźniej uznali, że z tym modelem będzie strażakowi najbardziej do twarzy.

Nie oponował, w końcu znali się lepiej. Fachowcy.

Położył dłoń na kolbie.

- Gotów! - zachrypiał, równie niewyraźnie jak Drakkar przed chwilą.

Spiął się, ledwo zauważalnie, ale jednak. Jak tam, szanowna publiczności, kupiliście nasz mały podstęp czy nie?

- Czekaj na dalsze instrukcje - ogłosiły słuchawki.

Komunikator na przedramieniu Ariego zawibrował dyskretnie. Strażak spojrzał na wyświetlane literki kątem oka, tak by oko kamery nie zauważyło w ogóle istnienia ekranika.

- W PORZĄDKU. SŁYSZĘ CIĘ JASNO I WYRAŹNIE. NEON GOTÓW.

- No to czekamy - zaświszczał Ari, biorąc głęboki wdech.

## 7.

Drakkar biegł ciemnym korytarzem piwnicy.

Zatrzymał się, widząc znajomą torbę, podrzuconą przez Filozofa. Błyskawicznie wydobył z niej i naciągnął kombinezon „pięćsetkę”, prawie identyczny z tym, z którym mocował się Ari, tylko bez fioletowego pasa na plecach. Tak samo jak Drwał sprawdził powietrze w trzech butlach, promieniście rozłożonych na plecach. System sprawny? Tak jest!

Wydobył z torby USP-a, podpiął magazynek, przeładował broń. Wyjął specjalną uprząż, założył śpiesznie. Do kabury na prawym udzie włożył pistolet, do pochwy na piersiach nóż. Sprawdził, czy magazynki porozmieszczane w uprząży nie poluzowały się, czy zapasy naboju są nadal na swoim miejscu.

Nałożył hełm. Włączył radio.

- Gotów! - mruknął, nasłuchując chciwie.

- Pięknie, kolego, pięknie! - Głos Filozofa tchnął stoickim spokojem. - Łączność jak marzenie. Na razie wraz z Arim czekamy na rozkazy Wyścigowców. A ty się już wbijaj do strefy.

- Wilco.

- Nie mów do mnie po zagranicznemu. Nie ta firma.

- Jasne. Ruszam.

- Naprzód!

Drakkar przymocował noktowizory. Nie włączał ich na razie: zmierzch zapadał już, ale wciąż było jeszcze dość widno.

Zarzucił torbę na plecy i wydostał się z bloku, przeciskając przez okienko od strony Alei Jerozolimskich. Poczołgał się sprawnie pomiędzy stertami gruzu i śmieci, wrakami samochodów, resztkami billboardów. Wreszcie dotarł na drugą stronę ulicy, do wykopu, którym biegły tory kolejowe.

Tutaj przywarował, wciskając się w nasyp. Przez chwilę obserwował porzucone, pordzewiałe wagony pociągu, który tu właśnie znalazł docelową stację.

Nic, żadnego ruchu dookoła.

Zapadał wieczór, fioletowopurpurowe blaski zachodzącego słońca z wolna zastępowane były przez czern.

Tunel biegnący pod Towarową zagrodzony był gruzowiskiem, do złudzenia przypominającym barykadę. Nagromadzono tu po prostu pewną liczbę wraków z okolicy, dosypano gruzu, okolono drutem kolczastym. Przykładanie się do skrupulatnego budowania granic strefy nie miało żadnego sensu, wszak lada moment mogły się one przesunąć o setki metrów dalej w głąb miasta. Szerokie otwory ziały w barykadzie, jakby zapraszając przechodniów.

Drakkar wykonał parę głębokich wdechów.

Bał się. Jak jasna cholera się bał.

# Rozdział 14

*Fiolet... czy wiesz, co to słowo tak naprawdę oznacza? Nie, ty tylko myślisz, że wiesz. Tak naprawdę nie wiesz o Fiolecie nic. Przekonaj się, zobacz sam.*

*Odwiedź zakazaną strefę razem z tymi, którzy tam poszli, by zwyciężyć lub zginąć. Przez ich kamery popatrz na piekło, które spadło z nieba.*

*Wskaż zwycięzcę, odbierz swoją część nagrody.*

*Przekonaj się, czym jest fioletowy, zakazany świat.*

*Fioletowy Wyścig, reklamówka.*

## 1.

Pułkownik Kamieńczyk wbijał w ekran nieskazitelnie spokojny wzrok.

- Witamy w kolejnej edycji wyścigu! - zapowiedział prowadzący.

Młody, wyjątkowo przystojny brunet o demonicznej urodzie ubrany był we wściekle fioletowy garnitur i purpurową koszulę.

Wygląd studia przywodził Kamieńczykowi na myśl Inferno: takie same czarne ściany, ze spływającą z sufitu krwią. O ile jednak w tamtym lokalu więcej było ciepłej, żywej czerwieni, to tutaj dominowała czerń.

Tylną ścianę studia zajmowały ekrany, na razie milczące i ciemne. Przed nimi stało jedno, jedyne krzesło, na którym wnet zasiądzie prowadzący. Mebel pokryty był bardzo charakterystycznym materiałem: fragmenty fioletowych, metalicznie opalizujących węzowych łusek. O ile Kamieńczyk był w stanie ocenić: oryginalnych. No cóż, dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, że niektórzy Drwale sprzedają kawałki Fiołka na czarnym rynku.

Ekran monitora spłynął krwią, która zmieniła barwę na fioletową, przechodząc powoli w czerń.. Potem obraz pojaśniał. Prowadzący stał wciąż na środku studia, za nim dziesięć ekranów pokazywało widoki różnych części Centrum.

- Kraina Fioletu stanęła otworem - oznajmił prowadzący.

Zdecydowanie różnił się od większości ugrzecznionych, cukierkowatych spikerów, wyłazących ze skóry, by przypodobać się kochanej publiczności. Nie uśmiechał się, nie przymilał. Był twardy, zdecydowany, drapieżny. Niewerbalny przekaz brzmiał aż nadto wyraźnie: zdecydowaliście się w to wejść, kochani, wyłącznie na własną odpowiedzialność. To nie jest miejsce dla mięczaków. Jeśli się komuś nie podoba, proszę, może wyjść.

Kamieńczyk uśmiechnął się. Szeroko.

## 2.

- Dzisiejszym celem jest pendrive, na którym znajdują się wyjątkowo cenne dane - zaczął mówić metaliczny, bezosobowy głos w słuchawkach, gdzieś z tyłu pobrzmiwało echo tych samych słów wypowiedzianych po angielsku. - Numer konta

w banku i elektroniczny klucz dostępu.

Ari zaczerpnął powietrza. To się dzieje naprawdę, zaczął trajkotać mu w głowie jakiś histerycznie rozchichotany głos. To się dzieje Fioletowy Wyścig. Teraz, już.

- Na koncie jest jeden milion euro. Kto zdobędzie pendrive'a, będzie mógł całą kwotę przelać na dowolnie wybrane konto.

KIM JESTEŚ, KAPITANIE ŻELAŃSKI?

Ari wzdrygnął się. Nie myśl o tym, zrugął się w myślach. Cokolwiek zobaczyłeś na komórcie Drakkar, teraz to nie ma znaczenia. Jest zadanie do wykonania, to wszystko. Skup się.

- Pendrive znajduje się w dobrze widocznym miejscu na Dworcu Centralnym. Fioletowy Wyścig... START!

Serce załomotało pośpiechem, zaraz za nim ruszyły stopy, wybijając miarowe uderzenia o stopnie schodów.

### 3.

Drakkar przemykał po torach kolejki WKD prawą stroną, trzymając się ściany. Dotarł do dworca: szumna nazwa, oznaczająca jedynie ostatni peron linii. Pochylił podjazd łączył wyjście z peronu z płataniną przejść podziemnych, wyrytych pod skrzyżowaniem Alei Jerozolimskich z ulicą Chałubińskiego.

- Centralny! - oznajmił Filozof w słuchawkach. - Szukają pendrive'a na Centralnym!

- Jestem prawie na miejscu - odmeldował Drakkar spokojnie.

- To spadaj stamtąd i to jak najszybciej! Nie ładuj się frontowymi drzwiami. Obstawili obiekt, na bank.

- Wchodzę na Marriotta.

- Dobrze. Ja też spadam. Będę się wbijał w Złote Tarasy. - Trzask.

Drakkar spojrzał w mrok, gęstniejący w przejściu podziemnym. Włączył noktowizory.

Korytarze były zasłane martwymi ciałami, które w zielonym obrazie noktowizji wyglądały szczególnie upiornie. Niektóre bakterie gnilne zginęły w wyziewach trucizny, procesy rozkładu przebiegały więc jakimiś dziwnymi, odmiennymi szlakami. Jedne ciała były monstrualnie napuchnięte, inne zaś przeciwnie: zapadnięte i wysuszone.

Drakkar ruszył do przodu.

W korytarzach, opasujących skrzyżowanie na planie kwadratu, poszedł w prawo, potem w lewo. Dotarł do miejsca, gdzie jedna odnoga korytarza skręcała w lewo, z powrotem do przejścia w kierunku Dworca Centralnego, a druga biegła prosto, do hotelu Marriott.

Minął zasypane odłamkami gruzów patio, przemknął dalej korytarzem, aż do wejścia z podziemi do hali LOT-u. Skręcił w prawo, przez potraskane, obrotowe drzwi. Wbiegł po nieczynnych schodach ruchomych, przykucnął na ich końcu, rozglądając się uważnie.

Gdzie jesteście, Hieny?

Gdzie jesteście... koledzy?

W pamięci komórka pokazuje kilka zdjęć.

KIM JESTEŚ, KAPITANIE ŻELAŃSKI? - pyta szyderczo MMS.

Przeziąłeś, skurwysynu, odpowiedział Drakkar w myślach Artyście. Cokolwiek byś na ten temat sądził, właśnie przeziąłeś. I to jak.

#### 4.

Nienawidzę go, mamrotał bezgłośnie Ari, przedzierając się przez barykadę na placu Zawiszy. Zawsze ktoś przez gnoja ginie. Zawsze!

Nie będę miał nic przeciwko temu, jeżeli podczas tej całej afery Kajman albo Artysta odpierdolą pana kapitana, raz a dobrze. A potem my rozwalimy ich, po sprawiedliwości. I wszystko będzie posprzątane.

Byle tylko dziewczynom nie stała się krzywda!

NAJWYŻSZY CZAS, ŻEBYŚ ZROZUMIAŁ, JAKIM JESTEŚ SKURWYSYNEM.

Ari wiedział doskonale, co nadawca MMS-a miał na myśli. I zgadzał się z nim, co tu kryć.

Drakkar zostawił wtedy tę kobietę Artysty, zostawił na śmierć.

Ari milczał, nie komentował, kiedy Żuczek z przekonaniem tłumaczył, że trzeba było. Że Ilona sama się pchała, choć przecież mówili jej, że nie da rady i że nikt nie będzie na nią czekał ani nie pobiegnie ratować, bo zadanie jest ważniejsze niż którekolwiek z nich. Ale młoda porucznik tylko popatrywała na swego Artystę i uśmiechała się od ucha do ucha. Aż wreszcie dopięli swego, cholerni pan i pani Bond. Ilona poszła wraz z oddziałem... by już nigdy nie wrócić.

A potem Artysta ryczał jak oszalały z bólu wilk, ale parł naprzód, z pistoletem Drakkara przystawionym do skroni: wykonasz swoje zadanie, żołnierzu! Wykonasz!

Wykonali. Wrócili połową oddziału, ale zrobili swoje.

Ari nie chciał wiedzieć więcej. I nie zamierzał patrzeć na zdjęcia z akcji, które tak fascynowały Zygmunta. Z zasady nie lubił widoku trupów, zwłaszcza gdy niekoniecznie byli to sami mężczyźni w wieku poborowym. Wolał ratować ludzi niż ich zabijać. Banał, owszem. Ale jaki życiowy.

Barykada piętrzyła się coraz wyżej, wystawiając najeżone groźnie zęby ostrych prętów hartowanej stali. I wydawała się coraz bardziej niemożliwa do zdobycia.

Gdzieś z tyłu chował się Neon, gotów zdjąć każdego, kto przyczepi się koledze do pleców. Ale wobec cyjanków jego HK 416 był raczej bezsilny...

Skup się, chłopie, zrugął się Ari po raz kolejny. Za dużo myślisz. Po prostu idź.

Masz kogoś do uratowania. Kogoś ważnego!

Zdjęcia z komórki wypływają z pamięci, bez względu na to, ile byś ich odganiał.

Milka skulona w kącie jakiejś obskurnej dziury, milcząca, zacięta. Tuż obok niej Eli, z przerażeniem wżartym w twarz.

I napis:

WYMIENŃ KTÓRĄŚ Z NICH NA FIOLETOWEGO PENDRIVE'A.

Ari piał się wzwyż, coraz bardziej zdecydowanie.

ODWAŻYSZ SIĘ?

## 5.

Titititatititi, oznajmiła komórka Kajmana. SMS.

Spojrzał na wyświetlacz, przetarł szybkę.

*Pendrive jest na Centralnym. Drakkar idzie od ronda Zawiszy. Numer 4. Cztery.*

Kajman pokazał wiadomość Artyście. Ten skinął głową. Oczy mu błyszczały.

- Skurwysyn dobry jest - wymamrotał pośpiesznie. - Wszystko potrafi załatwić.

Nawet zakodowane wejście w Wyścig.

- Nie będziemy ganiać jak idioci - przerwał mu Kajman. - Przyczaimy się, wiesz, gdzie?

Artysta uśmiechnął się.

Szczerze, niewinnie, jak dziecko, oczekujące na urodzinowy tort.

## 6.

Milka spróbowała przełknąć ślinę, ale omal nie udławiła się tkwiącym w ustach kneblem. Ślina pociekła po brodzie, skapnęła na szyję i popłynęła gdzieś po swetrze, Milka nie mogła przechylić głowy nawet na tyle, by zobaczyć, gdzie.

Siedziała wciśnięta w kąt, z mocno związanymi z tyłu rękami, przytwierdzonymi do czegoś w ścianie - haka? Licho wie, co to było, na pewno było twarde i niewygodne.

Stopy skrępowane miała równie silnie, aż zaczynały drętwieć. I też połączone liną z tym twardym czymś.

Była sama w pokoju. Zaraz potem, jak zamaskowana postać zrobiła im kilka zdjęć, Eli została wywleczonej za włosy. Jej rozpaczliwe jęki wnet zginęły gdzieś w korytarzu. I Milka została sama na samą z sytuacją, *voilà, mademoiselle!*

No to teraz proszę, koleżanko Oso. Jak na szpiegowskich filmach, uwalniamy się magicznym sposobem, rrraz!

Szarpnęła się wściekle, ale uzyskała tylko tyle, że więzy zadzierzgnęły się jeszcze silniej. Przestała natychmiast, z trudem wciągając powietrze do uciśniętych płuc. Śmierdziało nielicho, więc zapewne musiała znajdować się gdzieś w pobliżu strefy.

No brawo, pani Sherlockowo, a teraz jeszcze jakieś wnioski? Pomysły, inspiracje na dziś?

Spuściła głowę, zaciskając zęby. W piersiach narastał dziwny, rozpaczliwy gniew.

Znasz ich tyłu. Komandosów, specjalsów. Mówią ci cześć. Ten i ów okazuje co nieco szacunku raz na jakiś czas.

Gównu ci to daje, tu i teraz. Znasz ich, co w żadnym stopniu nie znaczy, że potrafisz choćby odrobinę tego co oni. Wyuczona jesteś, pożałuj Boże, w płaskim spadaniu z góry na dół. Ot i wszystko.

Niewątpliwie po coś tu cię umieszczono, ktoś cię tu przywłókł wraz z koleżanką. Być może po to, by któryś z wyszkolonych kolegów pofatygował swoje komandoskie cztery litery po twoją lub jej skromną osobę. Czyli jak zwykle, żenujący standardzik: Nasza Dziewczynka w Opałach i Jej Dzielny Miś.

Kurwa mać, co za wstyd.

Spójrz prawdzie w oczy, tylko do tego się nadajesz: Siedzenie i Bezradne Jęczenie w Kącie, Spółka z Nieograniczoną Nieodpowiedzialnością. Żywy dowód na całkowitą nieprzydatność w służbach głupich bab, które dają się porwać, nawet nie wiedząc komu, kiedy i jak.

No a teraz niech cię ktoś ratuje. Najlepiej Drakkar. Och, chciałabyś, żeby to był Drakkar, prawda? To byłoby takie romantyczne. Dla ciebie, właśnie ciebie, poszedłby do boju, a ty wiedziałabyś nareszcie, jak bardzo mu na tobie zależy.

Poszedłby z miłości do pracy, co do tego nie możesz mieć złudzeń. Tak samo dla ciebie, jak i dla kogokolwiek innego w tej sytuacji. Jak każdy z nich. Od tego przecież są. A przynajmniej bardzo pragną w to wierzyć.

A ty jesteś od tego, żeby siedzieć, jęczeć i bezradnie wyglądać pomocy.

I nic na to nie możesz poradzić. Nic a nic.

Szarpnęła się znów, głupio i bezsilnie. Więzy pozaciskały się jeszcze bardziej.

Rzeczywiście pozostawało tylko czekać. I wyglądać pomocy.

## 7.

Obrazy transmitowane przez kamery zaczęły się poruszać w chwiejnym rytmie. Tuż obok ekranów zajaśniała mapa Centrum, na której pojawiło się dziesięć czerwonych kropek. Kamieńczyk wpatrzył się w nie z uwagą.

- Start A. - zaczął objaśniać prowadzący. - Plac na Rozdrożu. Start B. Rondo Jazdy Polskiej. Start C. Pomnik Lotnika. Start D. Plac Zawiszy. Start E. Rondo Daszyńskiego. Start F. Towarowa, róg Solidarności. Start G. Aleja Solidarności, róg Jana Pawła. Start H. Plac Bankowy. Start I. Pomnik Nike. Start J. Plac Zamkowy. Poszli!

Prowadzący zniknął, zastąpiony przez obraz pierwszej z kamer.

Wyścigowiec zbiegał w dół, po nasypie ślimaka, łączącego wiadukt na placu Na Rozdrożu z Koszykową. Obraz chwiał się, w jego prawym górnym rogu widniała cyfra 1.

- Wcale się nie kryje - zauważył pułkownik niespokojnie. - Taki dobry jest?

Operatorzy zmienili widok na dwójkę.

Zawodnik startował z ronda Jazdy Polskiej. Nisko pochylony, tuż przy ziemi, przekradał się pomiędzy stertami gruzu. Wreszcie przebiegł kawałek ulicą Waryńskiego, trzymając się głównie przy ścianach budynków. Dopadł stacji metra, zaczął zbiegać po schodach w dół.

Kamera numer trzy mijała właśnie Teatr Ochoty, przesuwając się skrupulatnie po okolicy. Następnie zawodnik przebiegł przez skrzyżowanie Krzyckiego z Reja, schronił się w parku. Część drzew i krzewów utraciła liście, strasząc czarnymi, oślizgłymi badyłami. Pomiedzy nimi pojawiały się gdzieniegdzie nieśmiałe żdźbła trawy, usiłując przywrócić życie martwej strefie. Trójka przemyczał od krzewu do krzewu, rozglądając się uważnie.

Z kolei Numer Cztery zgrabnie wspinał się na barykadę, rozpostartą w poprzek Alei Jerozolimskich, tuż przy placu Zawiszy.

- Liczę na pana, kapitanie! - wywarczał pułkownik, oczy mu się zwężyły z każdym słowem. - Mam szczerą nadzieję, że tym razem mnie pan nie zawiedzie!

Wnet Czwórka znalazł się po drugiej stronie barykady, wstępując posłuszenie do Krainy Fioletu.

Kamieńczyk zacisnął pięść.



# Rozdział 15

*Po linie idziesz sam  
I w całym cyrku cicho tak  
I krok za krokiem musisz iść  
Nie ma odwrotu musisz spaść*

*Wszyscy czekają żebyś spadł  
Balansujesz po to żeby spaść  
Wędrujesz po to żeby spaść  
Ta cisza jest dla ciebie*

*Ach jaki zaraz będzie gwar  
Nikt nie oddycha przez ten czas  
Ściśnięte pięści każdy drży  
Paznokcie white w dłoń do krwi*

*Wszyscy czekają żebyś spadł  
Balansujesz po to żeby spaść  
Wędrujesz po to żeby spaść  
Wędrujesz sam na linie*

Republika  
Sam na linie

## 1.

Drakkar ruszył przed siebie, kuląc się nisko przy ziemi. Wypadł przez kolejne zdewastowane drzwi. Przebiegł wzdłuż budynku, w kierunku ulicy Emilii Plater, rozchlapując na boki wodę z kałuż. Pełno w niej tego cyjankowego świństwa, pomyślał przelotnie, i zaraz ciarki przespacerowały mu się po plecach. Czy aby na pewno kombinezony „pięćsetki” były dobrym pomysłem?

Na wysokości kolejnych drzwi przemknął w poprzek chodnika i jednym skokiem przesadził murek, wiodący do podziemnego parkingu. Wylądował na dachu samochodu, który wraz z martwym kierowcą utkwiał tam na zawsze. Zeskoczył, pobiegł pomiędzy autami, kierując się w prawo, z powrotem do hotelu. Dotarł do wind dla gości hotelowych, prowadzących do głównego hallu, minął je. Kawałek dalej znajdowały się windy służbowe, a za nimi klatka schodowa.

- Jestem w Marriocie - zameldował Filozofowi.

Cisza.

- Gapa jeden, zgłoś się! - zażądał gwałtownie.

Cisza. Brak łączności.

ANI SŁOWA STRÓŻOM. WIESZ, ŻE BĘDĘ WIEDZIAŁ NATYCHMIAST - wyświetlił

mu się w głowie tekst MMS-a. - IDZIESZ SAM!

ODWAŻYSZ SIĘ?

Nie tracąc więcej czasu, Drakkar wpadł na schody i ruszył w górę.

Startując z poziomu minus jeden, miał przed sobą czterdzieści dwa piętra.

## 2.

Piątka szedł ulicą Prosta wyjątkowo pewnym siebie krokiem. Owszem, dbał o minimum bezpieczeństwa, trzymając się pod ścianami, jednak nie przykładął się specjalnie do zabawy w podchody.

Kamieńczyk zmarszczył brwi. Kolejny, który zdaje się iść na pewniaka. Czyżby Hieny również kupiły ten mecz?

Obraz zmienił się znowu, teraz swoją wersję przekazywał Szóstka, z rogu Towarowej i Solidarności. Dopadł w mig wysokiego, nowoczesnego budynku i wbiegł do środka.

Siódmy Wyścigowiec nie różnił się zbyt od kolegów pod względem doboru strategii. Też czym prędzej dopadł budynków w poszukiwaniu schronienia. Wybrał było kino Femina, przemyskając wśród opustoszałych sal.

Ósemka wychynął z Błękitnego Wieżowca. Przez chwilę przyglądał się wiertnicom Drwali, zaparkowanym pod ratuszem. Pomiedzy maszynami chodzili Stróże, skrupulatnie rozglądając się wokół. Wyścigowiec wycofał się więc. Wymknął się z wieżowca tylnym wyjściem, od Corazniego, zaczął kluczyć pomiędzy budynkami.

Dziewiąty zawodnik zachował się dosyć romantycznie. Przez jakiś czas patrzył na pomnik Nike, bogini zwycięstwa, widniejący na tle ciemniejącego nieba.

- Się nie masz na co patrzeć, stary? - ofuknął go Kamieńczyk. - Widoki będziesz podziwiał później, teraz to jedź!

Jakby w odpowiedzi na to ponaglenie, Wyścigowiec pobiegł nasypem w górę, do Senatorskiej.

Ostatnia kamera przekazała obraz numer 10. Przez chwilę widać było charakterystyczne budynki warszawskiej Starówki, kamera wycelowała na moment do góry, wyłowiła Kolumnę Zygmunta zza kłębów drutu kolczastego. Wreszcie mężczyzna odwrócił się i ruszył biegiem. Dotarł do kościoła Świętej Anny, przywarł plecami do jego fasady i zaczął się rozglądać uważnie.

- Jak państwo widzicie, wszyscy uczestnicy są już w strefie - oznajmił prowadzący, skracając głowę w stronę wyimaginowanej publiczności. - Teraz więc będziemy musieli polegać na naszych realizatorach, niech nam wyławiają najciekawsze kawałki.

Odwrócił się z powrotem ku ekranom, rozsiadł wygodnie w krześle.

## 3.

Jedynka skręcił z Koszykowej w Marszałkowską. Nie krył się wcale, jakby zamierzał postawić na prędkość dotarcia do celu. Dobiegł do placu Konstytucji.

Wtem przystanął, jak gdyby kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Grupa mężczyzn opróżniała wystawę sklepu jubilerskiego. Ten, który stał na czujce, krzyknął coś do pozostałych, podnosząc broń.

Jedynka padł na ziemię natychmiast, po czym zaczął się gorliwie wycofywać na czworakach. Za późno. Bandyci wybiegli za nim, otoczyli go.

- Neeee! - zaczął wrzeszczeć Wyścigowiec. - Neeee!

Obraz pokazywał zamykający się krąg czarnych postaci, potem rozległ się huk kilku wystrzałów. Kamera zadygotała kilkakrotnie i zamarła skierowana w niebo.

- Niemożliwe - sarknął Kamieńczyk z niedowierzaniem. - Jakim cudem znalazł się tutaj ktoś aż tak głupi?

Powolnym ruchem wyjął komórkę.

#### 4.

*I wypadł z gry, obwieścił Kajmanowi SMS. Plac Konstytucji.*

Operator zaczepił komórkę z powrotem na taśmę piersiową.

- Jednego mniej - przekazał Artyście. - Pułkownik donosi.

Tamten niespodziewanie nachmurzył się, przyciskając do piersi broń.

- Śmierdzi mi to - oznajmił przez zęby. - Gość za dużo wie.

Kajman nie odpowiedział. Też to czuł, delikatny powiew nieuchwytnego przekonania, że coś jest bardzo, ale to bardzo nie tak. Ale na razie wolał udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem. Zawinął Drakkara, a potem... Się wie.

*Cel na placu Starynkiewicza, ogłosił kolejny SMS.*

#### 5.

Filozof zwijał się jak w ukropie.

Przykucał w pierwszym lepszym miejscu, dającym choćby złudzenie bezpieczeństwa, otwierał laptopa. Analizował obrazy z Orbiterów, cały czas pozostając na nasłuchu oddziałów Stróżów. Na ich podstawie wydawał przez komunikator polecenia Ariemu, a Neonowi na głos:

- Wolne! Ruszaj!

- Pierwsza w prawo, potem trzydzieści metrów.

- Szpital, drugie drzwi!

- Neon, Hiena na dziesiątej!

- Potwierdzam, cel zdjęty!

Zaraz potem zrywał się sam i biegł naprzód co sił. Przeskakiwał kolegów o parę lokalizacji, przykucał, otwierał laptopa. I znowu to samo: błyskawiczna analiza. Obserwacja. Hasło. Bieg!

Dopał podziemi Collegium Anatomicum. Krótki rzut oka, ocena sytuacji... Bezpiecznie?

Duży basen z formaliną wypełniony był ludzkimi ciałami. W osobnych kadziach znajdowały się same nogi, głowy, ręce... Zakład Anatomii Prawidłowej przechowywał tu preparaty dla studentów.

Filozof pokręcił głową. Jego trupa tu nie było, z pewnością.  
Otworzył laptopa. Przebiegł wzrokiem po ekranach, nakazał:  
- Akademia Medyczna. Powoli!  
Wtem przełknął ślinę. O cholera.  
Drakkar od dawna już się nie odzywa. Drakkar!

- Gapa dwa? - rzucił w przestrzeń.

Cisza.

- Gapa dwa, zgłoś się!

Brak łączności.

Filozof odetchnął głęboko. No cóż, Drakki nie amator, poradzi sobie. A Ari, gdzież ten znowu lezie?! Fakt, zapieprza zgrabnie w tym kombinezonie, ale niestety kompletnie nietaktycznie. Nie szuka osłony przed kulami, nie kryje się...

- ZAWRÓĆ! Skręć w prawo. Nie tutaj. W prawo!

Popatrzył w obraz Orbitera i doklepał pośpiesznie:

- I pamiętaj, że udajesz Drakkara! NA LITOŚĆ BOSKĄ, PODNIEŚ BRONÍ!

## 6.

Dwójka znalazł się w kłopotach.

Tunel metra zagrodzony był przez zmiażdżone, poskręcane wagony. Płatanina żelastwa stanowiła trudną do przebycia przegrodę, przytrzymując stalowymi szponami setki martwych ciał.

Wyścigowiec dreptał nerwowo od prawej strony do lewej, w tę i z powrotem, sprawdzając, który z otworów stanowi najmniejsze ryzyko. Kilka razy spojrzał wstecz, zastanawiając się zapewne, czy jednak nie warto by zawrócić. W końcu podjął decyzję: podszedł do pociągu, wyszukał oparcie dla stopy, schwycił coś, podciągnął się.

Tymczasem Dziesiątka minął upiorny Ogród Saski, pełen czarnych, bezlistnych krzewów i drzew. Skręcił z Królewskiej w Marszałkowską, zaczął przedzierać się wśród trupów ludzi i wraków samochodów. Nie miał odwagi iść środkiem ulicy, przygotowanym dla pojazdów Drwali.

W końcu zmienił decyzję. Spojrzał w górę, na częściowo wypalone budynki przy Marszałkowskiej. Popatrzył z powrotem na ulicę.

- Tędy nie da rady - mruknął. - Pójdziemy górą.

Zszedł z chodnika, ostrożnie stawiając nogi pomiędzy ciałami. Zaczął się pięć wzwyż po ruinach budynku, bardzo ostrożnie i powoli.

Obraz na ekranie zmienił się znowu.

- No a ty idź, kutasie złamany - powiedział zawodnik w metrze. - I po chuja się pchałeś w ten pierdolony syf?

Dwójka zdołał przebrnąć mniej więcej przez połowę katastrofy. W odległości kilkunastu metrów przed nim widniała już wolna przestrzeń tunelu. Nadal jednak zadanie miał niełatwe. Powyginany metal otaczał go ze wszystkich stron. Zewsząd wyglądały ku niemu czarno-zielone twarze, zastygłe w pełnym cierpienia wrzasku.

Kamera filmowała otoczenie powoli i ostrożnie, tak samo jak poruszał się jej

właściciel. Oglądała uważnie każdą krawędź, zanim wreszcie zdecydowała się pokazać kładzioną na niej dłoń.

- Byle draśnięcie i koniec - wymamrotał Wyścigowiec do siebie. - Ale mnie pojechało, że w to wlałem. Wiem, że to oglądacie, chłopaki! - podniósł głos. - Każdy z was srałby tu po gaciach, równo. Ja idę dalej. A wy możecie się pierdolić! - Zamilkł, przyglądając się kolejnej krawędzi.

Zawodnik numer trzy obserwował patrol Stróżów, przechadzający się koło Filtrów. Popatrzył na niewysoki parkan broniący posesji, pokręcił głową. Opadł na ziemię i zaczął pełznąć wzdłuż murku, otaczającego Filtry. Wychylał się zza niego co jakiś czas, sprawdzając położenie Stróżów i Orbiterów.

Nieulekły pan Numer Pięć szedł ulicą Prosta, nie kryjąc się prawie wcale. Minął skrzyżowanie z Żelazną, dotarł do ronda ONZ. Tam bez cienia wahania wszedł do Volkswagon Banku.

Jakiś ruch pod sufitem zwrócił jego uwagę. Piątka spojrzał do góry, czerwone światełko oślepiło kamerę... Obraz zgasł w nagłej eksplozji.

- W strefie bywają nie tylko Stróże i Wyścigowcy - oznajmił spiker beznamiętnie. - Pojawiają się także Hieny. Należałoby o tym pamiętać.

*5 Killed In Action, zapikał cicho kolejny SMS.* Rondo ONZ.

Ósemka i Dziewiątka wpadli na siebie bez zapowiedzi. Ósemka właśnie wychodził z ulicy Gamerskiego, wyrżał czujnie za róg, w Senatorską. Prosto w oczy drugiemu Wyścigowcowi, który właśnie robił to samo.

Zakłęli jednocześnie, starli się w gwałtownym pojedynku, przewracając na ziemię. Obrazy z obu kamer pokazywały jednocześnie płataninę kombinezonów, jakieś szarpnięcia, ciosy... trudno było zrozumieć, co się dzieje. Z głośników dobiegały jedynie nieartykułowane wrzaski i charczenia. Przez jakiś czas kamera Ósemki była jakby na górze, potem jej miejsce zajęła Dziewiątka.

Wtem rozległ się przeraźliwy krzyk. Dziewiątka odskoczył szybko i powstał, patrząc, jak jego przeciwnik z przerażeniem ogląda sterczący mu z prawego ramienia ostry pręt.

Z kamery Ósemki widać było pordzewiały kawałek metalu, zlewany wciąż tryskającą krwią. Ranny żył jednak, najwyraźniej tak blisko granic strefy stężenie cyjanków nie było zbyt duże.

- Pomóż mi... - wybełkotał pokonany. - Szpital...

Dziewiątka cofnął się kilka kroków. Pokręcił głową, odwrócił się i zaczął biec przed siebie Senatorską.

Ósemka wstał. Zaczął rozpaczliwie szarpać lewą ręką wystający mu z ciała metal. Kawałek po kawałku wyciągał go do przodu, wyjąc z bólu. W pewnym momencie metal zaklinował się, widocznie coś blokowało go na drugim końcu.

Wyścigowiec rozejrzał się wokół. Przestał krzyczeć, teraz dyszał ciężko. Zawrócił w kierunku granicy strefy i podreptał przed siebie, potykając się. Lewą ręką przytrzymał ramie, spoglądając co chwila na ranę: spomiędzy palców wciąż ściekała mu krew.

Tymczasem Czwórka skreślił w prawo, w Lindleya. Na skrzyżowaniu z Nowogrodzką zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na Urząd Skarbowy i wyraźnie, dokładnie przed kamerą, wystawił w tamtym kierunku wyprostowany środkowy

palec prawej ręki.

Podbiegł do siatki, ograniczającej teren szpitali Akademii Medycznej. Przecisnął się ostrożnie przez szeroki, ziejący w ogrodzeniu otwór i ruszył do przodu, klucząc pomiędzy budynkami.

*Cel w Collegium Anatomicum, zaraportował zwięźle Kamieńczyk.*

Tymczasem Dziesiątka był już blisko dachu.

Wspinał się bez żadnego zabezpieczenia, szło mu to nad wyraz sprawnie. Czasem nawet pozwalał sobie na nieco bardziej ryzykowne wybicia, przechwyty bez trzech punktów podparcia. Z pewnością nie była to dla niego pierwszozna.

Wycelował właśnie w próg pokoju, z którego odpadła cała ściana. Zawiesił się na nim rękami, podciągnął się...

Zawył z bólu, kamera zarejestrowała setki szczurów, kłębiących się przy jego rękach. Wnet zaczął osuwać się bezwładnie. Widać było ścianę, szybko uciekającą w górę. Poszarpane, skrwawione kikuty rąk próbowały zatrzymać upadek, wodząc po murze bezradnie i znacząc na nim ciemny, zapewne krwawy ślad. Obraz wciąż uciekał w dół, w ślad za nim pomknęła rzeka szarych ciał. Rozległo się głucho uderzenie, wrzask urwał się, obraz znikł.

- *So far, so good...* - mruknął Kamieńczyk do siebie.

*10 KIA. Marszałkowska.*

Popatrzył na komórkę. Przez chwilę pożałował, że nie nakazał Kajmanowi i Artyście odmeldowywać się na każdym etapie, ale machnął ręką. Tak lepiej, tak bezpieczniej. I im też będzie łatwiej, niewątpliwie.

Tymczasem organizatorzy zrobili krótki przegląd uczestników wyścigu.

Obraz z jedyneką, ciemny.

Dwójka walczył w tunelu metra, otoczony przez coraz bardziej zacieśniający się krąg zielono-czarnych ciał.

Trójka klęczał na rogu Filtrowej i Krzywickiego, klęcząc pod nosem w kierunku wciąż niechających odejść Stróżów.

Czwórka wbiegł do wykafelkowanej, pustej sali prosektoryjnej w Collegium Anatomicum. Przemykał wśród dużych marmurowych stołów z rzeźbionymi rynienkami odpływu.

Obraz z kamery piątej, ciemny.

Szóstka dotarł właśnie do Hali Mirowskiej. Wszedł do budynku, usiadł na schodach na piętro. Sapał ciężko, zmęczony.

Siódemka dochodził także do Hali Mirowskiej, wejściem od Ptasiej, poruszając się wyjątkowo ostrożnie.

Ósemka przyglądał się posterunkowi Stróżów na placu Bankowym. Spojrzał znowu na sterczący mu wciąż z ramienia pręt i ruszył w kierunku opuszczonej obecnie bazy Drwali, za którą znajdował się posterunek. Widocznie postanowił poprosić o pomoc.

Dziewiątka mijał właśnie poszarpane resztki Dziesiątki, przedzierając się wśród trupów i wraków na Marszałkowskiej. Masa szczurów wciąż kłębiła się nad zwłokami; szeroki, ciemny pas, biegnący przez kombinezon, był coraz słabiej rozpoznawalny. Dziewiątka rzucił tylko krótkie: „o kurwa!” i przyśpieszył ruchy.

Dziesiąty obraz był ciemny.

## 7.

Metalowa drabinka otoczona okrągłymi stalowymi obręczami doprowadziła go wreszcie do klapy na dach.

Drakkar wydostał się na górę, czując, jak serce łomocze zmęczeniem. Przykucnął, rozglądając się wokół.

Powierzchnia dachu była zadziwiająco mała. Niski, zaledwie półmetrowy murek wyznaczał jej granice, poza tym żadnych barier, linek, nic. Ze środka dachu sterczały wyloty wentylacji, parę stalowych lin, a z tyłu, za nimi, metalowa konstrukcja biało-czerwonego masztu, widocznego z dołu zaledwie we fragmencie. W noktowizorach wydawała się czarno-zielona. Kałuże wody po wczorajszym deszczu migotały odbłaskami księżycowego światła.

Drakkar zadarł głowę, popatrzył na Fiołka, górującego w ciemnościach nad strefą śmierci. Nieziemskie liście wyciągały się ku ciemnemu niebu jakby w triumfalnym geście.

Nagle... wionął odeń zapach gorzkich migdałów!

Drakkar wstrzymał oddech. Spocił się momentalnie, serce znów przyśpieszyło rytm. Obmacał w panice zawory, zaczął oglądać kombinezon... Zapach jednak musiał być złudzeniem, minął równie szybko, jak się pojawił.

Ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć na mokrej powierzchni, spadochroniarz podpełzł do krawędzi dachu. Wyjął lornetkę, zaczął uważnie obserwować Dworzec Centralny. Nic, cisza, spokój. Z prawej strony, pomiędzy wpijających się chciwie w ziemię korzeni Fiołka, wystawały również gdzieś ruiny Dworca Śródmieście.

Ani jednego człowieka, zero Stróżów ani ich Orbiterów. Drakkar sapnął z powątpiewaniem: za dobrze to wszystko wygląda. Zbyt łatwo, podejrzenie bezpiecznie.

- Gapa jeden? - rzucił w eter kontrolnie.

Nic. Zero odpowiedzi.

- A niech to szlag!

## 8.

Ekran laptopa rozbłysł czerwienią.

ALARM, ALARM, ALARM! EUROPA DO GÓRY! ALARM!

Filozof wpatrzył się w wyskakującą na pierwszy plan wstążkę SKYWATCH-a. Naszła go absurdałna chęć, by po prostu kliknąć i zamknąć okienko. I udawać, że się go nigdy nie widziało.

- Musimy się streszczać! - zamiast tego powiedział do Neona, siląc się na spokój. - SKYWATCH wyje na alarm. Europa do góry!

- Drakkar wie? - zatrzeszczał Ateciak natychmiast.

- Brak łączności.

Neon milczał przez chwilę. Filozof widział w okienku na ekranie, jak przykucnięty za jakimś gzymsem, kręci niespokojnie głową.

Kliknął na program maskujący, sprawdzając go po raz chyba setny z rzędu. Na pewno te obrazy nie dochodzą do Stróżów? Uff, na pewno.

- Wyślij Wodzowi SMS-a, że będziemy za pół godzinki - zdecydował Neon. -  
Będziemy musieli się streszczać. Pogoń Ariego.

- Oj, nie wiem. Chłopak ledwo sobie radzi z taktyką. Niech idzie w swoim tempie.

- Fakt. Przez cyjanki zapierdala jak mała, ale broń go uwiera. Dobra, ruszył się.  
Idę za nim, bez odbioru!

Skręć, Różyczko, pomyślał Filozof błagalnie, zamykając laptopa i szykując się do kolejnego odskoku. Nie leć do nas dzisiaj, po prostu gdzieś skreć. Dobrze?

Bo inaczej to już naprawdę za bardzo będziemy mieli przejebane.



# Rozdział 16

*B.A.S.E. = Building (budynek), Antenna (nadajnik telekomunikacyjny), Span (przęsło/most), Earth (ziemia/skala) - skoki spadochronowe wykonywane nie z pokładu samolotu, lecz ze wszystkich obiektów stałych (fixed objects) wymienionych powyżej, i oczywiście także innych, jak kominy, zapory wodne, maszty wysokiego napięcia, dźwigi, skocznie narciarskie, pomniki... Wszystkiego, co jest wystarczająco wysokie, aby można było oddać skok.*

## 1.

Pokazano widok z kamery numer osiem. Wyścigowiec zbliżył się właśnie do jednej z wież, które lśniły przed nim w świetle noktowizorów. Kamera sunęła powoli, obraz drżał i chwiało się. Najwyraźniej człowiek ledwo szedł, potykając się i słabnąc. Jęczał i płakał, ale wciąż parł przed siebie. Do Stróżów. Do ludzi.

Zachwiał się, oparł o pobliską obudowę wieży. Nagle wydał z siebie wysoki, przeraźliwy okrzyk i tak jak stał, upadł.

- A to ci niespodzianka - zadumał się prowadzący. - Cyjanek? Tutaj, prawie na granicy strefy? Czy to możliwe, że Drwale borują Fiołkowi w zębach przez cały dzień, a potem nie czyszczą swoich zabawek? - Pokręcił głową z dezaprobatą. - To straszne, panowie, jak można!

Wstał, podszedł do mapy i dotknięciem palca zgasił żywą czerwień kropki numer osiem, zastępując ją ponurym fioletem.

## 2.

Trójka wciąż klęczał na rogu Filtrowej i Krzywickiego. Patrol zatrzymał się na dobre. Stróże raz na jakiś czas kiwali głowami, jakby prowadząc ożywioną konwersację. Ani razu nie spojrzeli w kierunku zawodnika, a ten wnet zaczął się niecierpliwić. Popatrzył do tyłu, jak gdyby sprawdzał, czy opłaca mu się zawracać. W końcu poderwał się i pognął przed siebie, w Filtrową.

Patrol odwrócił się jednocześnie. Dostrzegli intruza, część z nich podążyła wprost za nim, część pobiegła Nowowiejską.

Wyścigowiec przebiegł kawałek Filtrową, wpadł do jednego z budynków. Skreślił w korytarz, przywarował plecami do ściany. Podniósł broń. Za wszelką cenę starał się wytłumić głęboki, niespokojny oddech. Szczelny kombinezon dosyć wydawnie tłumił dźwięki, być może Stróże go nie usłyszą.

Przez chwilę panowała cisza. Zawodnik rozglądał się uważnie, wreszcie powoli, cicho ruszył korytarzem...

Kopnięte z mocą drzwi opadły na podłogę tuż przed nim, część oddziału wdarła się przez okno do gabinetu i teraz wysypała się na korytarz. Kilku innych stanęło mu w pewnej odległości za plecami. Wzięli go z dwóch stron, w korytarzu złowrogo

błyskały lufy.

Trójka wyprostował się. Opuścił broń, pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie powiedział nic.

Jeden ze Stróżów podszedł do niego, przyłożył wylot lufy karabinu do gardła. Tamten pojął, w czym rzecz, odchylił głowę. Tak najszybciej, tak najmniej boli.

Stróż nacisnął spust.

Kamera zalała się czerwienią, obraz zgasł.

### 3.

Szóstka złowił kątem oka jakiś ruch. Natychmiast przetoczył się po schodach, przywierając do balustrady, po czym podniósł wzrok. Na galeryjce naprzeciw niego ktoś wystawił dużą, białą tablicę biurową, na której widniały wyraźnie nakreślone markerem litery. *Dogadamy się?* – brzmiał napis. *Nic nie mów, konkurencja słyszy.*

Zawodnik numer sześć pomyślał przez chwilę, po czym wystawił nad barierkę rękę z uniesionym kciukiem. Schował ją zaraz.

Tablica zjechała w dół, by po chwili pojawić się ponownie. Teraz widniało na niej: *Wykończymy pozostałych, podzielimy się kasą.*

Kamera pokazała widok z numeru siedem. Nad balustradką uniósł się pośpiesznie wystawiony do góry kciuk.

Siódemka wstał. Przeszedł pustą antresolą do schodów, zabierając ze sobą tablicę. Powoli, ostrożnie schodził, obserwując uważnie Szóstkę. Tamten także podniósł się i zdążał ku niemu, przyglądając się badawczo.

Stanęli wreszcie naprzeciwko, popatrując po sobie w napięciu. Wreszcie Szóstka sięgnął po tablicę i marker. *500 000 wystarczy*, nabazgrał pośpiesznie i dodał pod spodem znak zapytania.

Siódemka pokiwał gorliwie głową. Odebrał marker tamtemu. *Byle wyjść*, dopisał.

Szóstka odłożył tablicę. Podali sobie dłonie.

Ruszyli naprzód, plecy w plecy, osłaniając się wzajemnie.

### 4.

Czwórka wybrnął z labiryntu szpitali między Nowogrodzką a Oczki, wyslizgnął się przez lekko uchylone, wielkie, ciężkie drzwi Collegium Anatomicum. Nisko schylony, przebiegł przez pierwszą linijkę ulicy Chałubińskiego, przywarował pod wiaduktem, którym niegdyś samochody jeździły ponad skrzyżowaniem z Jerozolimskimi. Rozejrzał się, przeskoczył tory tramwajowe, znów przywarował pod drugą częścią wiaduktu. Przemknął przez pozostałe jezdnie i zanurkował pomiędzy gruzami, zaścielające wejście do patio Marriotta.

- Chodzisz jak ostatnia pizda, kolego kapitanie - parsknął Kamieńczyk wzgardliwie. - Aż tak ci padło na psychę? Zapominasz, jak trzymać broń?

Umilkł, przeżuując spieszne myśli. Nie, to niemożliwe. Drakkar to zawodowiec, takie rzeczy ma wmurowane w odruchy. A zatem pewnie specjalnie udaje, że bojowo jest do niczego, tak przed kamerami. Jeżeli przeciwnicy mają podgląd na wyścig,

lepiej, żeby go lekceważyli. Jasne jak dzień.

- Proszę państwa! - obwieścił prowadzący, odwracając się do kamer. - Oto mamy pierwszego zawodnika, który przekroczył wewnętrzną granicę strefy śmierci. Brawo, Czwórka! - Zawiesił na chwilę głos.

- Czy nadal będzie mu się tak dobrze wiodło? Czy może jednak wyprzedzą go zjednoczeni... chwilowo! - zastrzegł z dość cynicznym uśmiechem - ...koledzy? A może Dwójka wypłacze się wreszcie z pułapki metra? Albo Dziewiątka będzie szybszy, też jest już blisko? - Uśmiechnął się jeszcze raz, oczy mu błyszczały niesamowitym, wewnętrznym ogniem. - Wciąż możecie obstawiać, pamiętajcie! - Odwrócił się z powrotem ku ekranom. - A wyścig trwa!

## 5.

Dziewiątka przekroczył granicę strefy śmierci, przebiegając przez skrzyżowanie Marszałkowskiej ze Świętokrzyską. Na chwilę przykucnął na schodach wiodących do klubu Underground, rozejrzał się bacznie. Wreszcie ruszył w kierunku Pałacu Kultury.

- Witamy kolejnego zawodnika w naszym wewnętrznym kręgu! - rzucił prowadzący, kiwając głową z wyraźną aprobatą. - A oto i jeszcze jeden - dodał z ożywieniem.

Następny obraz pokazał widok z kamery Dwójki, zbliżającego się do wyjścia na peron metra. Człowiek szedł środkiem tunelu, w ogóle się nie kryjąc. Milczał, kamera zataczała powolne, leniwe kręgi.

- Psycha mu klękła - skomentował Kamieńczyk leniwie. - Żołnierska wszak to rzecz.

Obraz zmienił się znowu. Szóstka z Siódmką przebiegli przez rondo ONZ. Skręcili w Świętokrzyską, potem w Emilii Plater. Biegli tuż obok siebie, każdy pilnował swojej strony. Współpraca na razie układała im się doskonale.

Dwójka wyszedł ze stacji metra, rozglądając się dookoła. Otwarta przestrzeń jakby dodała mu sił i przywróciła instynkt samozachowawczy. Nieomalże przywarł plecami do ściany, przesuwając się bokiem i odgarniając nogą ścielące mu się u stóp trupy. Dotarł w ten sposób do przejść pod rondem Dmowskiego. Popatrzył w głąb korytarza, kamera zawiesiła się na tym obrazie na dłużej.

Znowu zmiana obrazu. Dziewiątka dotarł do Złotych Tarasów.

## 6.

SKYWATCH przesłał kolejny meldunek. Filozof wpatrywał się w ekran szeroko otwartymi oczami, jakby nie mógł uwierzyć.

- Skręciła, suka! - zameldował pośpiesznie. - Słyszysz, Neon? Róża skręciła nad Hiszpanię! Przynajmniej od tej strony mamy luz.

- Jest ktoś na górze, kto się nami opiekuje - odparł Neon z wyraźną ulgą. - Dobra, zepnij się teraz, obejrzyj jeszcze wszystko dookoła, dokładnie. Za parę minut wchodzimy!

- Tajest!

## 7.

- Gapa jeden?

Nic.

Drakkar wstał. Zawrócił do torby, porzuconej na ziemi. Wyjął z niej złożony magazynowo spadochron. Rozplątał linki, rozłożył czaszę na ziemi. Delikatnie, ostrożnie wszedł w uprząż.

Kiedy już się podopinał, chwycił taśmy nośne i podniósł je.

Wiało wprost z idealnego kierunku, 040 stopni. Czasza podniosła się nieomalże natychmiast, chętna do lotu.

Drakkar pociągnął jeszcze kilkakrotnie za taśmy nośne, napęniając komory powietrzem.

I pobiegł wprost przed siebie.

Dobiegł do krawędzi dachu, po czym odbił się mocno. Skoczył.

Spadochron zachwiał się, ze skrajnych komór uszła część powietrza, część czaszy załamała się. Skoczek poleciał w dół.

Chwycił natychmiast za kołki, zapompował gwałtownie. Spadochron załapał powietrze, wypłaszczył lot. Na szczęście nie zszedł z kierunku - gdyby się odwrócił, człowiek z miękkim plask! spotkałby się na pełnej prędkości ze ścianą hotelu.

Ale nic takiego się nie stało. Więc teraz bezszelestnie szybował nad Śródmieściem.

Wiatr wiał jak na zamówienie. Nie za silnie, tak że na pełnej kontrze spadochron swobodnie przesunął się do przodu. Ale i nie za słabo, lądowanie powinno być łatwe.

Drakkar zawisł nad dachem dworca, szykując się do przyziemienia. Jeżeli ktokolwiek spostrzegłby go teraz, ustrzeliłby z łatwością, niczym kaczkę.

Na szczęście nic podobnego nie nastąpiło. Wokół wciąż panowała cisza. Drzazgi, opadające z rozpadającego się Fiołka, też jakby ogłosiły chwilę przerwy lub zawieszenie broni. A może po prostu jeszcze nie zdążył umrzeć kolejny liść.

Drakkar zaczął wypatrywać najlepszego miejsca do lądowania. Dach dworca był częściowo zrujnowany, tu i ówdzie ostre kawałki metalowych belek wyzierały z dziur. Spadochroniarz wycelował bezbłędnie. Wylądował, zgasił czaszę. Wyplątał się z uprząży, upchnął spadochron przy pierwszej lepszej dziurze.

Dotarł do jednego z dwóch otworów w dachu, stanowiących wyjścia awaryjne. Ten bliższy zionął czernią. Stalowa kłapa, zabezpieczające wyjście, pozostała nietknięta tylko na drugim, dalszym z nich.

Kapitan Żelański zsunął się w otwór.

# Rozdział 17

*Na górze Róże  
Na dole Fiołki  
Niedługo wszyscy  
Pójdziemy w aniołki*

Graffiti na murze w pobliżu zakazanej strefy

## 1.

*Titititatititi.  
9 w złotych tarasach  
Titititatititi.  
7 i 8 przy wejściu od PKiN uwaga współpracują  
Titititatititi.  
2 dochodzi jerozolimskimi  
Titititatititi.  
CEL wchodzi od mariota*

## 2.

Drakkar przycupnął na stalowej belce. Zamarł w bezruchu.

Znajdował się pomiędzy dachem a podwieszką, stanowiącą sufit hali głównej dworca. Rozejrzał się uważnie. Gdzieś tutaj powinien być snajper.

I to, być może, niejeden.

O ile słusznie przypuszczali wraz z Filozofem, Ari nie był jedynym Wyścigowcem, który bynajmniej nie szedł wzorowo uczciwie, w pojedynkę. A jeśli chciałoby się zapewnić swojej drużynie zwycięstwo w turnieju, coś prostszego niż zacząć się właśnie tu ze snajperką i powoli, metodycznie, eliminować przeciwników?

Minuty kapały niestrudzenie, a Drakkar wciąż nie dostrzegł nikogo. Powoli zaczynał tracić nadzieję, narastała w nim niepewność. Ale przecież to miejsce było wręcz wymarzone, sam nie znalazłby lepszego. Jeżeli snajper ułożyłby się na środku, z tyłu konstrukcji, kontrolowałby całą salę. Wyjście z peronów, wejścia z zewnątrz do hali, plus do tego ewentualna wspinaczka po ścianach.

Ale czy on tu w ogóle jest?

Spokojnie, tylko spokojnie. Drakkar wiedział dobrze, że na przykład Artysta potrafił godzinami leżeć bez ruchu i czekać. Czekać... na znak.

Drakkar zaczął przesuwac się powoli, aż dotarł do miejsca, gdzie odłamki Fiołka przebiły dach dworca i podsufitka ziała dziurami.

Wyjrzał na dół, ostrożnie.

Hala dworca stanowiła jedno wielkie ponure rumowisko. Tu i ówdzie piętrzyły

się sterty gruzu, pomiędzy nimi wałały się pogieęte kawałki stali. Wypalone pozostałości sklepików i kawiarenek ziały czernią.

I masa zwłok. Znieruchomiały, zastygły tłum.

Drakkar wzdrygnął się lekko. Przyłożył do oczu lornetkę, skierował ją ku tablicy odjazdów.

Napis głosił:

WITAMY ZWYCIĘZCĘ.

Na murku przed tablicami leżała aksamitna poduszka, przez noktowizor nie można było odróżnić koloru, ale zapewne był to czerwony.

Na poduszce pendrive.

Nie brakuje wam poczucia humoru, chłopaki, pomyślał Drakkar.

Jakiś cień przykuł jego uwagę. Drobnny, nieznaczny ruch.

Ktoś był na półpiętrze, tuż przy wejściu do apteki. Krył się za marmurową balustradą, ale śladowe poruszenia wskazywały wyraźnie jego pozycję. Wystarczająco wyraźnie, by zobaczyć go również z dołu.

Drakkar uśmiechnął się lekko. Wabik. Wystawia się, specjalnie. Kolega snajper jest więc na górze. Musi tu być.

Zaczął pełznąć naprzód, powoli, na czworakach, ostrożnie wykonując każdy ruch.

Wiedział, że ma obecnie trudniejsze zadanie od przeciwnika. Tamten zapadł w rodzaj transu, w którym wyostrzone zmysły reagują na każdy szelest i każdy ruch. Jednocześnie człowiek jest jakby nieobecny, przenosząc całe swoje istnienie w czuwanie właśnie.

Ten, który idzie ku niemu, musi stać się po prostu nieobecnym. Niewidzialnym, niesłyszalnym, niematerialnym.

Kiedyś Drakkar tak właśnie chodził... wiedząc, że ma Artystę za plecami. Snajpera gotowego przesłać śmiertelny prezent każdemu, kto stanie Drakkarowi na drodze.

Ale to było kiedyś, a teraz jest teraz.

Drakkar jakimś cudem dostrzegł przeciwnika dosłownie w ostatniej chwili. Jeszcze paręnaście sekund i wszedłby w jego pole widzenia. Na całe szczęście zatrzymał się, jak gdyby szósty zmysł krzyknął: stop!

Snajper leżał o paręnaście metrów w bok i przód, przykryty maskującym kocem, zespolony w jedno z karabinem. Ani drgnął.

Drakkar wycofał się. Przywarł do ziemi. Podniósł do oczu lornetkę.

Powiodł spojrzeniem po całej sylwetce, dokładnie, powoli. Prześlizgnął po lufie...

W jednej chwili trzewia ścięły się mrozem.

To niemożliwe. To po prostu, kurwa, niemożliwe!

Co to za broń? Blaser?

Patrz, patrz jeszcze raz!

Blaser Tactical?

Lufa... zamek...litery... zaczernione, ale znasz je pamięć, doskonale je znasz!

c-e-d-o-n-u-l-l-i

Nie ustępuję nikomu.

Drakkar przesunął językiem po spierzchniętych wargach.

Artysta?!

Co on tu robi, do kurwy nędzy? TUTAJ!?

Powinien przecież siedzieć z dziewczynami i czekać, aż Drakkar dostarczy mu w pokorze pendrive'a. A nie wystawiać się jak ostatni idiota!

W poszarpanych drzwiach wejściowych do hali mignęła skulona postać. Ktoś przemknął obok kiosku i wślizgnął się za ścianę.

Warujący na podwyższeniu zauważył go zapewne, gdyż od razu ruszył do schodów. Przycupnął przy nich, przyczajony.

Ledwo dostrzegalnie Artysta przyłożył się do broni.

### 3.

Kajman przywarował przy wejściu na antresolę. Kątem oka zerknął w kierunku Artysty, przyczajonego pod sufitem: obstawiasz mnie, stary?

Artysty nie było widać, jak zwykle. Znaczy, wszystko w porządku.

Wyścigowiec krył się pod schodami, jak szczur. Poruszał się sprawnie i zwinnie, Kajman gotów byłby przysiąc... że zna gościa i to nie od dziś.

Sprzężenie, mające podejrzenie wiele wspólnego z telepatią, a może po prostu ze zgraniem ludzi wielokrotnie wspólnie doświadczających stanu zagrożenia: wiesz, gdzie jest ten drugi i wiesz, że go znasz, że jesteście tej samej, drapieżnej krwi. Czujesz go i po prostu wiesz.

A zatem to Drakkar?

Kajman nie widział numeru Wyścigowca, ale skoro Kamieńczyk informował o nadejściu celu, z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł założyć, że to właśnie on.

Spiął się więc, przygotował.

Czas wdrożyć PLAN.

### 4.

Teraz!

Drakkar skoczył ku Artyście. Błyskawiczne uderzenie w tył głowy i snajper odjechał w przejściowy niebyt. Kask uchronił go od poważniejszych obrażeń, ale cios był wystarczająco silny, by odebrać świadomość. Snajper miękko opadł na kolbę blasera.

Drakkar sprawnie wyjął spod niego karabin, unieruchomił mu ręce i nogi paskami zaciskowymi. Położył się obok i spojrzał w dół.

### 5.

Kajman był cierpliwy. Jak gad.

Wyczekiwał, aż zawodnik połknie przynętę, poruszając się czasem odrobinę - ale tylko taką odrobinę, którą kapitan Żelański mógłby zauważyć swym osławionym szóstym zmysłem. Broń Boże za dużo na raz, aby tylko tamten nie nabrał podejrzeń, że to jednak może być podpucha.

Chyba zadziało, bo Wyścigowiec zaczął pełznąć w górę schodów. Broń trzymał luzem, nie na taśmie. I czał się, czał... nieskończenie powoli.

Kajman czekał, obrócony doń prawie tyłem. I tylko obserwował kątem oka. Jak gad.

A potem, gdy tamten był już całkiem blisko, Kajman cały zmienił się w sprężynę, wyrzucając flarę jednym ruchem ciała.

Uczestnik spojrział przez noktowizor na pędzący ku niemu blask. System ochrony przed silnym źródłem światła zadziałał doskonale: obraz zgasł natychmiast. Nim zdążył powrócić do normy, Kajman dopadł wroga i kopnięciem wytrącił mu broń z ręki. Poleciała dobre parę metrów, wylądowała na posadzce z głuchym stuknięciem.

Kajman przygwoździł gościa do ziemi. Pryśło oko fioletowej kamery. A zaraz po nim noktowizyjne gogle.

- Witamy w piekle, kapitanie. Ani drgnij, bo się rozhermetyzujesz.

Nie był pewien, czy Drakkar odbiera częstotliwość ogólną, ale po wyrazie szeroko otwartych ciemnych oczu wnosił, że niewątpliwie docenia powagę sytuacji.

STÓJ!

Jakich, kurwa, ciemnych oczu? Poświeć no tu latarką...

A jakże, ciemnych. Ciemnobrazowych. Nie inaczej.

Kapitanie Żelański, przechodził pan jakieś operacje plastyczne na tęczęwkach ostatnio? Bo jeżeli nie, to...

Kajman odwrócił się do Artysty. Chyba mamy kłopot, chciał zawołać - i wtedy właśnie zobaczył zjeżdżającą z nieba łufę MP-5, skierowaną mu prosto w twarz.

Niewypowiedziane słowa zamarły na ustach.

## 6.

- O kurwa - wyszeptał Filozof, blednąc.

Wpatrywał się w ekran i, jak rzadko kiedy w życiu, nie był w stanie wykrztusić ani słowa więcej. Obracał w głowie polecenia, jakie mógłby, jakie powinien wydać Ariemu i Neonowi. Żadne z nich nie miało jakiegokolwiek sensu.

Do Dworca Centralnego kierowała się wylazła Bóg wie skąd armia Hien.

- Zawracajmy - spróbował wyszeptać, ale słowa nie przecisnęły się przez gardło.

Przed paroma chwilami na jednym z obrazów kradzionych Orbiterom rozpoznał Drakkara, skaczącego z Marriotta - a zatem mógł być pewien, że Drakki jest wewnątrz Dworca. I co teraz? Zostawić go tam i zwiać?

No ale co innego pozostaje: iść w ślad za nim, bez żadnych szans? Owszem, można - a nawet trzeba - podejmować czasem dobrze skalkulowane ryzyko... Ale tu idzie tłum, zrozum dobrze: cała ARMIA HIEN!

Spieprzaj, żałować będziesz później. I dasz na mszę w intencji poległych bohaterów. A teraz... Lepszy żywy pies niż martwy lew!

- Neon, przyklej się do Ariego, jak możesz najbliżej - wyszeptał ochryple. - Będziemy mieć spore towarzystwo. Najdalej za pięć-dziesięć minut.

Złożył laptopa. Wstał.

I ruszył w kierunku Centralnego, przeklinając pobladłymi wargami własną



bezgraniczną głupotę.

## 7.

Drakkar poderwał się błyskawicznie.

Kajman zdjął Wyścigowca! KTÓREGO? Jeżeli to Ari?

Odciał linę, którą Artysta przywiązał się do belki, zabezpieczając sobie szybką drogę odwrotu. Lina sklarowana była w przytroczonej torbie i zabezpieczona gumkami. Drakkar podniósł nieprzytomnego snajpera, przewiesił go sobie przez plecy, zabierając również jego broń.

Przeszedł szybko po stalowej belce, aż do dziury w podsufitce nad półpiętrzem. Położył Artystę, paskami zaciskowymi skrępował mu nadgarstki i kostki. Przywiązał linę do belki. Odpiął torbę ze sklarowaną resztą liny, sprawdził, czy karabińczyk przypięty jest do uprząży i czy lina dobrze przechodzi przez ósemkę.

Rozejrzał się wokół, odszukał odłamek deski. Podbiegł, przyniósł go i położył prostopadłe na belce, tak że oba jego końce wystawały poza nią. Umieścił torbę z liną na jednym końcu deski.

Poszedł dalej, aż do miejsca, gdzie otwarta przestrzeń hali kończyła się i zaczynały się pomieszczenia techniczne. Tam też po obu stronach półpiętra znajdowały się przybudówki, w których niegdyś mieściły się toalety. Drakkar dotarł nad prawą z nich, tuż obok apteki.

Przywiązał linę do belki, przewiesił nogi w dół. Zjechał na dach przybudówki, ściskając w prawej ręce gotową do strzału MP-5.

Kajman podniósł głowę znad pochwyconego Wyścigowca.

- Nie widziałeś gdzieś tu może Artysty? - zatrzeszczał na ogólnym kapitan Żelański. - Mam z nim do omówienia parę spraw...

Z głosu kapał mu jad.

## 8.

Ari stapał po szkle.

Stawiał krok za krokiem po śliskiej, najeżonej ostrymi krawędziami powierzchni. I modlił się do dobrego Pana Boga, żeby całe to strzelająco-wybuchające kurestwo dookoła wreszcie się skończyło. I żeby on i Milka, razem i bezpiecznie, wylądowali wreszcie w domu. Albo jeszcze lepiej: jak najdalej stąd.

Hala Dworca Centralnego, zasłana trupami, majaczyła upiornie w snopach białego, księżycowego światła. Głuche uderzenia co jakiś czas odzywały się z góry: odłamane fragmenty Fiołka waliły w dach. Niektóre z nich przebijały go, roztrzaskiwały podsufitkę i migocząc w blasku księżyca, spadały dalej. Tu i ówdzie pobłyskiwały sterczące w różnych kierunkach, opalizujące drzazgi.

Pendrive był już niedaleko, Ari widział purpurową poduszkę w chwiejnym, migotliwym świetle zawieszanej nad nią latarki. Jeszcze tylko paręnaście, no, może parędziesiąt kroków. Idź, chłopie! Zepnij się i idź!

Aha: i pamiętaj, żeby trzymać uniesioną broń!

## 9.

Kajman popatrywał na przybysza z odrętwieniem. A więc skończyło się, wybijały myśli w głowie żałobny dzwon. Skończyło się, szkoda, że właśnie tak.

- Najpierw ustalmy, kogo tu mamy - wycedził Drakkar i przeniósł wzrok na Wyścigowca. - Przedstawisz się nam, chłopczyku? Jaki twój szczęśliwy numererek? Raz, dwa, trzy? O, proszę, dziewiątka...

Tamten wpatrzył się weń z zaciętą, milczącą nienawiścią. Niewątpliwie nie był to Ari.

A jednak go znam, pomyślał Kajman. Kurwa, ja tego gościa znam...

- Zdejmij mu hełm - zarządził Drakkar ostro, zdecydowanie. - Koniec maskarady. Już.

Wyścigowiec nawet się nie szarpnął. Wbijał w nich tylko coraz bardziej mroczny wzrok, jakby mu już było wszystko jedno. I nie przerażała go śmierć.

- Przejdź na wewnętrzny - odezwał się Kajman, pokazując na palcach trzy-trzy-pięć. - Nie chcemy mieć tu wszystkich Stróżów na głowie...

Drakkar przestawił radio jednym ruchem lewej ręki, nie spuszczać obu adwersarzy z przyrządów celowniczych.

- Artysta leży na górze - rzekł Kajman w odrętwieniu. - Idziesz stamtąd, więc pewnie wiesz. Jesteście kwita. Na zawsze.

- Artysta owszem, leży na górze... I zwali się zaraz stamtąd z wielkim hukiem, jeżeli nie wypuścicie dziewczyn. Rozumiesz, co mówię?

Kajman na chwilę stracił oddech. Serce zabiło mu z łomotem, który pewnie słyszał cały Dworzec Centralny. Musiał słyszeć, takiego hałasu nie było tu od lat.

- Pojechało cię na starość, kapitanie - odparł, przełykając ślinę z wysiłkiem, a potem zaczął trajkotać jak szalony: - Dziewczyny? Chyba pomyliłeś imprezy. Tu się gra o milion euro na pendrive. Panienki dalej na lewo i pytać o burdelmamę...

Drakkar skoczył naprzód niczym kot. Odepchnął Kajmana, szerokim cięciem rozharatał kombinezon Wyścigowca. I zerwał mu maskę.

- Tak myślałem, że skądś go znam - orzekł nad wykrzywionym trupem.

Kajman otworzył szeroko oczy. KOSA! We własnej osobie!

No to już wiemy, kto podkładał te ładunki, zaklął w myślach. Bohater, kurwa jego mać! Pierdolona wtyka mafii! Ale w takim razie...

- Ustalmy fakty, kapitanie - rzucił, nagle przykładowie spokojny. - Nie pracujesz dla Hien?

Tamten milczał, patrząc na niego wnikliwie. Kajman ciągnął, z coraz bardziej dojmującym chłodem, kładącym mu się na piersiach:

- I, jak to zwykle ty, gwizdzesz na kasę?

- A wy dwaj co tu, do kurwy nędzy, robicie? - wypalił Drakkar gwałtownie. - Powinniście siedzieć z dziewczynami i czekać, aż wam przyniosę prezenty! Nie interesuje was pendrive z milionem euro na koncie?

- Jakimi dziewczynami?

Zamilkli, patrząc na siebie w napięciu. I naraz, jak na komendę, wypowiedzieli

obaj:

- Ki chuj tu wodę miesza?

# Rozdział 18

*I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,  
i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut - zło.  
Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.  
Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?*

Krzysztof Kamil Baczyński  
*Elegia o... (chłopcu polskim)*

## 1.

Ari skierował się do murku przy tablicach rozkładów jazdy, przywarł doń plecami. Rozejrzał się dookoła.

Pendrive wciąż leżał na aksamitnej poduszeczce.

Jeżeli wszystko poszło zgodnie z planem, Drakkar powinien być już zlikwidować tych, którzy mogliby stanowić jakiekolwiek zagrożenie.

A jeżeli nie dał rady? Albo nie zdążył?

O to się nie martw, chłopie. W czym jak w czym, ale w zabijaniu kolega Drakkar jest naprawdę dobry. Teraz ty zrób swoje: po prostu idź i zabierz fanta. I wynoście się stąd!

Neon czał się gdzieś za plecami, niewidoczny, nieuchwytny. Ari nawet nie mógł się za nim porządnie rozejrzeć, bo przecież ostatnia rzecz, jaka była im potrzebna, to uwiecznienie Neona na kamerach Wyścigu. A i Filozof zamilkł, nie udzielał już swoich drogocennych rad. Rozmył się w eterze, jakby go nigdy nie było.

Łup, łup, łup! Odłamki Fiołka opadały niezmordowanie.

No to nie masz co się zastanawiać, chłopaku! Twoja decyzja i tylko twoja. Jesteś sam!

Na co czekasz? Aż któraś kilkumetrowa fioletowa drzazga strzaska pendrive'a, a wraz z nim szansę na odzyskanie Milki? Ruszaj, już!

Ari spał się z całych sił.

I skoczył w przód.

## 2.

- Gapa dwa, gapa dwa - powtarzał Filozof jak oszalały. - Słyszysz mnie?

Drakkar przycisnął hełm do ucha.

- Gapa jeden?!

- Idzie tu armia Hien! - zadyszał tamten, na poły z ulgą, na poły z przerażeniem. -

Z drugiej strony armia Stróżów! Będzie napierdalanka jak jasny chuj! Zwijajcie fanta i wypieprzamy stąd!

- Gdzie jesteś?

- Zaraz wchodzę na salę! Kurrwa, tylko... - Dźwięk umilkł w ostrym, niepokojącym charkocie.

Drakkar uchwycił ruch kątem oka, odwrócił się ku sali. Jakiś Wyścigowiec biegł ku poduszeczce, biegł co sił...

Ari? Tak!

- Oślaniaj go! - ryknął Kajmanowi, przypadł do barierki i zaczął siać gradem kul.

Z podziemi naprzeciwko wychynęli Siódemka z Ósemką, strzelając gęsto.

Przystopowali jednak pod naporem ognia z antresoli i skryli się w jednym z kiosków.

Ari pochwycił pendrive'a i zawrócił za murek. Przycisnął się do niego najściślej, jak tylko mógł. O kurwa, dyszał ciężko, o kurwaokurwa... Udało się!

KONIEC WYŚCIGU, zajaśniał fioletowy napis na tablicy odjazdów. GRATULACJE! - oznajmiły przyjazdy.

Ari zerwał z kasku kamerę, zmiażdżył ją butem. Rozejrzał się śpiesznie. Neon, do cholery, Neon! Gdzie jesteś? Miałeś mi siedzieć na plecach!!!

W kiosku, w którym skryła się pozostała dwójka zawodników, rozległy się krótkie, szybkie serie strzałów. A potem wypadł stamtąd Neon i popędził do Ariego.

W strzaskanych drzwiach od strony Alei Jerozolimskich pojawił się Filozof. Dodreptał do nich obu nieco chwiejnym krokiem, zamachał ręką wystarczająco czytelnie, by zrozumieli: Dwójka nie żyje. Łatwo nie było.

Ari odetchnął z ulgą. Wcisnął czym prędzej jadownice fioletowego pendrive'a Filozofowi prosto w dłoń.

- Pilnuj tego draństwa - poprosił, siląc się na spokój. - Ja ledwo żyję, jeszcze zgubię albo co...

Chryste, co ja bym dał, żeby to był ten drugi pen drive, jęknął Filozof w duchu. Ten mój! Pierdolę milion euro nagrody, byle dorwać te cholerne algorytmy...

- Wszyscy do mnie! - zakomenderował Drakkar. - Na górę, już!

Pobiegli po schodach. Filozof z Neonem spojrzeli na Kajmana... i od razu wzięli go na cel. Puścił więc broń, po czym podniósł ręce, powolnym, wyraźnym ruchem.

Drakkar zabrał broń Artysty. Przymierzył się, celując w wystający z otworu w suficie kawałek deski. Strzelił.

Deska podskoczyła, zrzucając torbę z liną. Sploty uwolniły się w drodze na ziemię, lina zawisała swobodnie. Drakkar podbiegł do niej, chwycił, szarpnął mocno.

Artysta stoczył się z belki, zawisł na linie. Drakkar opuszczał go śpiesznie, wreszcie puścił linę, pozwalając, by tamten spadł z około metra nad posadzką. Kajman przyglądał się temu w milczeniu.

- Przejdźcie wszyscy na trzy-trzy-pięć - nakazał Drakkar. - Żebyśmy się dobrze rozumieli.

Trącił butem Artystę. Ten zajęczał i zaczął się budzić, potrząsając głową i rozglądając się niemrawo.

- Wyjaśnimy sobie wszystko później - ciągnął kapitan. - Proponuję chwilowe zawieszenie broni, póki nie wyleziemy z tego gówna i nie dowiemy się, o co tu chodzi. Bierzcie broń.

- Zapierdalamy, panowie, zapierdalamy! - ponaglił Filozof. - Zaraz tu będzie kawaleria!

Artysta przerzucił wzrok na Kajmana, który gorliwie kiwał głową, wyciągał kciuk i

robił, co tylko mógł, by podkreślić, że całym sobą popiera propozycję Drakkar. Tak, tak, będziemy się dogadywać i wyrównywać rachunki. Ale później, nie tutaj, nie teraz. Może jutro, kochany.

Pierdolony zdrajca.

Masa ludzka wtoczyła się do sali przez boczne drzwi, szerokim strumieniem czarnych mrówek kierując się ku schodom. Wnet zasypała półpiętro chaotycznym gradem kul.

- Hieny! - zakrzyczał Filozof. - Albo Stróże... - dodał ciszej, niepewnie.

- Neon na dół na lewo, Filozof na prawo - zakomenderował Drakkar natychmiast.

- Ari środkiem! Schodzicie, my osłaniamy. Ruszać!

Trzy postacie przewiesiły się błyskawicznie przez balustradę, zeszły w dół, znajdując oparcie dla stóp w poszarpanych kulami tablicach. Zeskoczyli, przywarowali przy ziemi. Neon i Filozof przyczaili się przy krawędziach murku, okalającego zejście na perony. Zaczęli ostrzeliwać przybyłych metodycznym, ciągłym ogniem. Tamci przywarli więc przy prowizorycznych przesłonach zrujnowanej sali.

Ari przyczaił się na środku za murkiem, oddychając głęboko i przygryzając wargi.

Uniósł broń. Opuścił. Nie, nie może, nie potrafi. Nie będzie strzelał do Stróżów, którzy tyle razy chronili go z narażeniem życia!

A jeżeli to Hieny?

Nie, to przecież Stróże!

A jeżeli...

Drakkar miał rację: nie powinien był tu przychodzić. To nie dla niego. Nie jest mordercą. Ma jaja, tak. Ale on jest od ratowania ludzi, a nie od zabijania. To głupie, że tak bardzo chciał udowodnić wszystkim, że jest inaczej: Drakkarowi, Milce... Żuczkowi?

W nagłym olśnieniu pojął, że na tym właśnie zależało mu najbardziej. Pokazać Zygmunтови. Udowodnić mu, że młodszy brat też potrafi, i to nie gorzej niż on sam.

Kule świstały wokół, a Ari czuł, jak ogarnia go coraz większa jasność, niczym trans.

Zamrugął oczami, w których pojawiły się łzy. Zdało mu się, że brat stanął przed nim, uśmiechając się.

- Poszedłeś do boju, kiedy było trzeba, stary - powiedział Żuczek z uznaniem. - Ale nie musisz zabijać. I wiesz co? O wiele bardziej mi się taki podobasz.

Ari zamrugął znów, czując, jak łzy spływają mu po twarzy.

Moment przerwy w strzelaniu, Neon zmieniał magazynek, klęcząc. Któryś z atakujących skorzystał z okazji, uniósł się, wycelował. W ułamku chwili Ari zrozumiał, że tamten mierzy w niego, odwrócił więc wzrok od brata. Podniósł broń, zawahał się... Kula pomknęła ku niemu, uderzyła w pierś, rzuciła na kolana.

Ari zobaczył jeszcze, że Żuczek znów się uśmiechnął. W powitaniu. Więc uśmiechnął się też.

- Strzelaj! - ryknął Drakkar z góry ponieważ.

Zobaczył, jak Ari wali się na kolana, osuwa na ziemię... Machnął ręką dwa razy, wskazując Kajmanowi i Artyście obie krawędzie barierki, po czym rzucił się desperacko w dół. Zeskoczył z półpiętra, prawie nie dotykając tablic. Kajman i

Artysta podążyli tuż za nim.

Drakkar klęknął przy Arim, patrząc na niego szeroko otwartymi, osłupiałymi oczami.

Neon i Filozof odwrócili się naraz. Poruszyli zbielełymi ustami, z których nie wydarł się żaden dźwięk. Kajman i Artysta zajęli ich miejsca przy krawędziach murku. Kule znów zagrzechotały o marmurową okładzinę.

- Ruszaj, nie ma czasu, ruszaj! - krzyknął Kajman. - Na dół, już!

Neon z Filozofem przedostali się przez murek, zeskoczyli na nierówne, powygryzane schody, prowadzące w dół do peronów. Drakkar porwał Ariego z ziemi, przewiesił go przez murek, opuścił Neonowi wprost w ramiona. Ten zachwiał się, zdołał jednak ustać. Drakkar zeskoczył na schody, wyjął broń Ariemu z rąk i podał ją Artystcie, który już dołączył do nich wraz z Kajmanem. Odebrał Ariego Neonowi, zarzucił go sobie na plecy.

- Na dół! - pogonił Filozof. - Do tuneli, już!

Pognali w dół schodów.

### 3.

Filozof prowadził, za nim biegł Drakkar, dźwigając Ariego, wreszcie Neon, prowadząc Kajmana i Artystę, idących tyłem. Czas kurczył się w zastraszającym tempie, pościg ruszył już za nimi.

Na dole schodów Filozof skręcił w lewy korytarz, oddział podążył za nim. Ominęli poczerniały, spalony kiosk, Filozof szykował się już, by zbiec po zrujnowanych schodach ruchomych w dół, na perony...

- Nie! - krzyknął Drakkar, wysforował się śpiesznie i poprowadził ich za sobą korytarzem.

Skręcił w lewo na pierwszym skrzyżowaniu, za zrujnowanym barem. Przeszedł kilka kroków, przystanął, spojrzał w lewo. Przez przewróconą barierkę z metalu i szkła mogli teraz obserwować z góry perony. Na razie były puste, ścigający jednak zbiegali się ku nim z wszystkich stron. W zieleni noktowizorów widać było ich sylwetki, ostrożnie, lecz nieustępliwie prące do przodu.

- To Hieny - nieomalże wyszeptał Filozof. - I Stróże. Będzie wojna!

Drakkar przyklęknął i puścił Ariego. Wyrwał metalową kratownicę, odgradzając sklepienie tunelu kolejki podmiejskiej. Wejście stanęło przed nimi otworem. Drakkar zarzucił ponownie Ariego na plecy i zaczął schodzić po metalowych wspornikach ścian.

Pozostali popatrzyli na niego zdziwieni, wnet jednak zrozumieli plan.

Wychodząc na perony, byliby idealnie wystawieni na strzał. Kolumnada wspierająca strop mogła im dać jedynie chwilowe schronienie, musieliby przedzierać się od kolumny do kolumny, podczas kiedy tamci – gdy tylko by dotarli do wejść na schody ruchome – mieliby ich jak na dłoni.

A tak wchodzili w tunel, biegnący za ścianą sali. Mogli się tamtędy ulotnić niezauważeni... O ile zrobiliby to wystarczająco szybko, by nie dostrzegli ich ścigający, wysypujący się coraz liczniej na korytarze i kierujący ku zejściom na

perony.

Ruszyli więc śladem Drakkara co tchu.

Zeskoczyli do tunelu, stanęli na torach, nasłuchując uważnie. Gdzieś na peronach rozbrzmiała szybka, krótka wymiana strzałów, która momentalnie przerodziła się we wściekłą kanonadę.

- Ruchy, panowie, ruchy! - rzucił Filozof, odwracając się w stronę placu Zawiszy.

- Nie! - zatrzymał go Drakkar. - Nie tam!

Tamten obrzucił go pytającym spojrzeniem.

- Wąskie gardło. Tunele łączą się w jeden, wychodzący wprost na posterunek Stróżów. Pewnie i Hieny obstawiły go jako drogę odwrotu. Będzie jatka, jak nic.

Odwrócił się w kierunku Dworca Śródmieście, popatrzył w mrok.

- Musimy przejść tamtędy - oznajmił spokojnie. - Pod Fiołkiem. A potem... Te tunele mają kilka wyjść awaryjnych, wydostaniemy się gdzieś w strefie i wymkniemy się z niej niespostrzeżeni.

Popatrzyli po sobie, przelatykając ślinę. Iść wprost pod Fiołka?

Ale skoro nie ma innego wyjścia...

- Prowadź, Drakkar - rzucił Neon zdecydowanie. - Co racja, to racja. Prowadź!

Drakkar ruszył do przodu, wciąż dźwigając na plecach Ariego.

Nikt nie ośmielił się mu powiedzieć, że to nie ma sensu i że powinien go już zostawić.

#### 4.

Dworzec Śródmieście przedstawiał się znacznie gorzej niż Centralny.

Tamten też był w ruinie. I też napotykało się tam co rusz zwłoki ludzkie. Ale tutaj...

Fiołek całkowicie objął to miejsce w posiadanie. Opalizujące korzenie wiły się wśród peronów, zaglądały ciekawie do ruin kiosków. Niektóre z nich były grube i potężne, o co najmniej kilkumetrowej średnicy. Od nich oddzielały się coraz to cieńsze odnogi, zalewając salę węzowymi splotami. Te z kolei, dotarłszy do celu, przemieniały się w fioletową pajęczynę włóśników, ssących chciwie znaleziony pokarm.

Dworzec zaścielały sterty trupów. Ludzie wyruszyli w pewien zimowy poniedziałek do pracy i dotarli nie dalej niż tu. Korzenie Fiołka żarłocznie wrastały w ich ciała, chciwie je oplatając w poszukiwaniu węgla i wodoru. Azotu twór miał dość w atmosferze... i oto triumfalnie wysyłał w świat swoją wiadomość: HCN.

Zatrzymali się, porażeni lękiem mieszanym z odrazą. Dalsza droga prowadziła przez korytarze, zacieśniające się w oddali splotami opalizujących korzeni.

- Pamiętajcie, żeby nie strzelać - ostrzegł Drakkar, zerknąwszy na chromatograf. - Stężenie cyjanowodoru powyżej pięciu i czterech dziesiętnych procenta!

- Próg tworzenia mieszanin wybuchowych z powietrzem - wyszeptał Filozof, patrząc w osłupieniu na strzałkę, zakreślającą czerwone pole drżącymi ruchami. - Racja, racja. Żadnych strzałów, panowie! W razie konieczności tylko nóż.

Nie skomentowali. Stali, wpatrując się w widniejące przed nimi tunele. Jakoś nie



mieli siły, czy też odwagi, by zrobić ten pierwszy krok.

Kolejna kanonada rozległa się hukami za ich plecami. Najwyraźniej impreza zamierzała się przenieść z Centralnego tu, na Śródmieście.

Drakkar poprawił Ariego na plecach, ruszył do przodu.

Poszli za nim.

Zdobywali dworzec powoli, krok po kroku.

Ostrożnie wspinali się po śliskich, obłych korzeniach, modląc się, by nie natrafić na jakiegokolwiek pęknięcia w ich strukturze. Ostra krawędź opalizującego materiału rozorałaby kombinezon w mgnieniu oka. A wtedy... wiadomo.

Zaciskając zęby, przedzierali się przez potraskane szczątki sklepików, pogięte resztki metalowych sprzętów, walające się tu i ówdzie fragmenty sklepienia. Przechodzili po zapadłych, zasnutych opalizującymi pajęczynami ciałach, modląc się w duchu, by zdołali kiedyś zapomnieć ten widok.

Dotarli wreszcie do tunelu.

Drakkar poszedł pierwszy. Zdjął Ariego z pleców, przepchnął go nad korzeniem. Przecisnął się w ślad za nim, zeskoczył. Począł na pozostałych, patrząc przed siebie z ledwo skrywanym lękiem.

Masa korzeni przebijała ściany tunelu, unosząc ze sobą trupy, pozostawiając gdzieś tam nieliczne, wąskie otwory przejść. Nie wiadomo, czy nie ślepych... Drakkar zadrżał, odwrócił się do kolegów.

Stanęli za nim, wbijając ponury wzrok w płataninę obcego tworu i ludzkich ciał.

- Z tyłu mamy tylko Stróżów i Hieny - powiedział Filozof powoli. - Jak myślicie... Może damy im radę? - Spojrzał w bok i pokręcił głową z powątpiewaniem, patrząc na splątaną masę. - Ożeż ty kurwo! - wykrzyknął nagle.

Przypadł do ziemi i zaczął gorliwie grzebać wśród zwłok.

Pomieszał mu się rozum, orzekli w duchu ze zgrozą. Dopiero po chwili Neon zrozumiał:

- Trup?! Twój trup?

Filozof tylko pokiwał głową, wyciągając jakiś przedmiot ze splątanej miazgi ubrania. Miał przy tym minę, jakby pragnął go ucałować ze czcią.

Wzdrygnęli się, odwracając wzrok na moment. Opanowali się jednak pośpiesznie, popatrzyli po sobie. Co robimy?

- Wchodzimy w to, panowie - zdecydował Drakkar, schylając się po Ariego. - Damy radę. Naprzód!

Neon podszedł do niego, położył rękę na ramieniu.

- Zostaw go - powiedział cichym, łagodnym tonem. - Zostaw go już.

- Tutaj?! - Drakkar podniósł głos do krzyku: - Na pożarcie tej bestii?

- Tak, tutaj - odparł Ateciak poważnie. - Są sobie przeznaczeni, zawsze byli. Ari i Fiołek. Właśnie tak.

Drakkar potrząsnął głową, chciał coś powiedzieć, lecz nie zdołał wykrztusić ani słowa przez zaciśniętą krtani.

- Zakleimy mu tę dziurę po kuli - zaproponował Filozof. - Korzenie nie przecisną się przez kombinezon, Fiołek go nie ruszy. A Ari... po prostu będzie go pilnował, wiesz?

Wyjął szeroką taśmę klejącą z zasobnika, przyklepnął nad Arim. Szybкими

ruchami oderwał kilka kawałków plastra i umiejscowił je na piersi strażaka. Potem oparł go plecami o ścianę, z martwymi oczami skierowanymi w stronę Fiołka.

- No, już - powiedział łagodnym tonem, jakby przemawiał do dziecka. - Możemy iść. Ari zostaje pilnować. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen. Tak? - Spojrzał na Drakkara z wyczekiwaniem.

Ten zwiesił głowę.

- Tak - wyszeptał. - Amen. Tak.

Milczeli przez chwilę.

Wreszcie Neon klepnął Drakkara w ramię, podszedł do pierwszej przeszkody. Ostrożnie zdjął plecak z butlami z tlenem, ścisnął w dłoniach, wsunął w szczelinę. Odetchnął głęboko, sprawdzając, czy sprzęt nie uległ uszkodzeniu.

- No to naprzód. - Podciągnął się, oparł but o rozwidlenie korzenia i popęzł naprzód..

Stłoczyli się za nim, czekając na swoją kolej.

Każdy drżał, mając w to wejść.

## 5.

Idziesz przed siebie. Po prostu idziesz. Nie masz innego wyboru.

Wielki, gruby korzeń Fiołka przebija się przez sklepienie tunelu, zagradza ci drogę. Lekko fosforyzuje w ciemnościach, przez noktowizor wygląda to, jakby płonął. Ten ogień nie daje jednak ani odrobiny światła, czerń zaczyna się tuż nad nim, w oddali widać opalizujące połyski innych korzeni. Wiesz, że są fioletowe, choć noktowizory przekazują obraz wyłącznie w odcieniach zieleni.

Patrzysz na ziejący czernią otwór. Wąski. Cholernie wąski.

Wiesz, że zaraz tam wejdiesz.

Boisz się. Serce zasuwa serią z karabinu maszynowego, w ustach pustynia, płuca desperacko szukają powietrza, jakby nie wierzyły, że jest tu w pobliżu jakiegokolwiek tlenu.

Nieważne. Wejdiesz tam i tak.

Wyciągasz ręce ku górze, macasz obcy twór. Powoli, jakbyś obszukiwał podejrzanego, kryjącego w ubraniu setki skalpeli. Jedno pęknięcie w gładkiej powierzchni korzenia rozetnie ci rękawicę niczym idealnie naostrzona brzytwa. Przy tym stężeniu cyjanków dookoła będzie to ostatnia rzecz, jaką poczujesz.

Chwytasz rozwidlenie korzenia. Jest tam miejsce i dla drugiej ręki. Dobrze, teraz znajdź miejsce na nogę. Najpierw trzy punkty podparcia, dopiero potem możesz iść dalej. Nie będziesz ryzykował jakiegokolwiek innej metody wspinaczki. Nie tu.

Kolejna odnoga korzenia odchodzi gdzieś w bok, przebija ścianę tunelu i wśród gruzów pędzi w dal w łakomym poszukiwaniu pożywienia.

Da się na niej stanąć? Da.

Stajesz więc, podciągasz się. Wstrzymując oddech, powoli wsuwasz brzuch na połyskującą, gładką powierzchnię korzenia.

Leżysz na nim. Nic strasznego się nie stało. Oddychasz z ulgą. Dobrze. To teraz naprzód, wsuń się w szczelinę między nim a potrzaskanym sklepieniem tunelu.

Wąsko. Cholernie wąsko. I nie wiadomo, jak jest dalej, może szerzej, a może jeszcze wężiej. A może całkiem ciasno, zakleszczysz się i już nie wyjdiesz. Koledzy wyciągną cię albo nie. Wtedy poczekasz chwilę, pomyślisz o paru rzeczach, które jeszcze na ciebie czekały... a potem jednym ruchem zdejmiesz kask.

Ta myśl zapiera ci dech w piersiach niczym dobrze wymierzony cios.

Rzeczy, które na ciebie czekały.

Tych jest najbardziej żal.

I nie do ciebie należy decyzja, czy kiedykolwiek będzie ci dane je przeżyć. Teraz, w tych cyjankach, rozumiesz to z całą oczywistością.

Nic od ciebie nie zależy. Nic.

Dopiero tu, w tym wypełnionym trucizną tunelu, otwierają ci się wewnętrzne oczy. Śmierć jest tuż obok, jest osobą, stoi przy tobie i przygląda ci się uważnie.

Zamykasz oczy, przeciskasz się jeszcze kawałek w przód.

Przyjdź, kiedy zechcesz, Pani.

Ta myśl sprawia ci nagłą ulgę. Przesuwasz się więc dalej, o kolejnych kilkanaście centymetrów. W końcu i tak nic od ciebie nie zależy. Ty tylko zrobisz, co swoje: postarasz się przeżyć, jak potrafisz najlepiej.

A jeśli Ona zechce cię wziąć, no cóż, to jej sprawa, kiedy to zrobi i jak. Będzie, co ma być.

Poddajesz się Jej dobrowolnie, wdzięczny za zdjęcie z ciebie ciężaru decyzji.

Prześwit między korzeniem a ścianą jest tak wąski, że musisz wypuścić powietrze z płuc, by przecisnąć się jeszcze odrobinę dalej. Czy kombinezon to wytrzyma? Nie wiesz.

Może tak, a może nie.

Powoli, ostrożnie przesuwasz się kolejny kawałek wprzód. Nie, tam już jest za wąsko, nie da się iść dalej. Chcesz się cofnąć. Nie możesz. Szarpiesz się gwałtownie, bez efektu. Nie masz wyjścia, teraz już nie masz go naprawdę. Pułapka zatrzęsła się. Ani w przód, ani w tył. Masa ziemi nad tobą staje się nagle tak porażająco realna, wręcz czujesz na ciele te tysiące ton. Zaczynasz się dusić.

A zatem jak to było? Jednym ruchem zdejmiesz kask? Tak?

Cała uległość wobec Pani Śmierci idzie precz, masz ochotę wierzgać i krzyczeć. Co, myślałeś, że kupisz Ją takim tanim trikiem? Oto jest ostateczna prawda: Ona i tak robi z tobą, co zechce. I nie potrzebuje na to twojego przyzwolenia. Więc możesz teraz tylko skamleć i błagać, że jeszcze nie teraz, jeszcze nie... Jeszcze nie!

Ona i tak robi z tobą, co zechce.

A ty jesteś uwięziony w tym potrzasku, nie ruszysz się w przód ani w tył.

Po twarzy płyną łzy, nie ma żadnego powodu, żeby się ich wstydić. Co to mówiłeś kiedyś o Śmierci? Podczas zapijanych imprez o trzeciej nad ranem, kiedy część towarzystwa idzie spać i zostaje tylko kilku, by dyskutować o czymś ważnym. O Życiu i Śmierci, na przykład.

No więc jak to było? Co to mówiłeś wtedy, człowieczku?

Nieważne. Nic z tego, co było mówione, nie istnieje teraz, zatrzęsnięte w kleszczach pomiędzy żarłocznym, obcym korzeniem a posępną ścianą muru. Teraz jest tylko strach, cała filozoficzna otoczka idzie precz. Jesteś zwierzęciem, ogarniętym najbardziej podstawowym instynktem: chęcią przetrwania.

Nie poddawaj się! Walcz. Myśl. Walcz.

Rozluźnij się. Jeżeli wystarczająco się zwiotczysz, może dasz radę. Może to nie będzie wygrana w wielkim stylu, z podniesionym czołem i dumnie naprężonymi muskularni. Kogo to obchodzi. Masz przeżyć, tylko to się teraz liczy.

Inaczej i tak nie będzie komu opowiadać, jakim to byłeś bohaterem.

Rozkładasz się więc na korzeniu niczym rozpląszczona żaba. Na nic, wciąż nie możesz przejść. No, to jeszcze troszkę luźniej, pokorniej. Płaszcz się, jeszcze troszkę. I jeszcze.

Wreszcie Fiołek z satysfakcją przyjmuje twoje poddanie, ustępuje, pozwala ci przesunąć się dalej. Odrobinę, mały kawałek. Tyle tylko, żebyś miał powód, by jeszcze trochę się popłaszyc.

Robisz to więc natychmiast, bez cienia żenady. Jesteś malutki, słabiutki i taki właśnie pełniesz do przodu. Do przodu! I tylko to się liczy.

Pochwyciłeś coś przed sobą, dobrze, podciągnij się. To coś jest miękkie, za miękkie na korzeń... Trup?

Rozwierasz palce ze zduszonym krzykiem. Za chwilę jednak chwytasz to znów i z uporem przesz nadal w przód. Przecież nie masz wyboru. Chcesz żyć.

Szczelina rozszerza się wreszcie, wypuszczając cię ze swych upiornych objęć. Zsuwasz się w luźniejszą przestrzeń z ulgą bliską kolejnych łez. Wiesz, że są tu i inni, tak samo pełni panicznego strachu, a potem miotani nagłym szczęściem ocalenia. Są tuż obok, przed tobą, za tobą, czują dokładnie to samo co ty. Nieważne, w życiu jeszcze nie czułeś się aż tak bardzo sam.

Przed tobą kolejna szczelina. Wygląda na jeszcze węższą od poprzedniej.

Nie wejdiesz tam. Nie!

No coś ty. Przecież wiesz, że nie masz wyboru. Wejdiesz tam i tak.

...wyciągasz ręce ku górze, macasz obcy twór powoli. Jakbyś obszukiwał podejrzanego, kryjącego w ubraniu setki skalpeli. Jedno pęknięcie w gładkiej powierzchni korzenia rozetnie ci rękawicę niczym idealnie naostrzona brzytwa. Przy tym stężeniu cyjanków dookoła to będzie ostatnia rzecz, jaką poczujesz... Ale wejdiesz tam i tak.

# Rozdział 19

*Jeszcze zdążymy w dżungli ludzkości siebie odnaleźć  
Tęskność zawrotna przybliży nas  
Zbiegną się wreszcie tory sieroce naszych dwóch planet  
Cudnie spokrewnią się ciała nam*

*Jest już za późno, nie jest za późno...*

*Jeszcze zdążymy tanio wynająć małą mansardę  
Z oknem na rzekę lub też na park  
Z łóżem szerokim, piecem wysokim, ściennym zegarem  
Schodzić będziemy codziennie w świat*

*Jest już za późno, nie jest za późno...*

*Jeszcze zdążymy naszą miłością siebie zachwycić  
Siebie zachwycić i wszystko w krąg  
Wojna to będzie straszna, bo czas nas będzie chciał zniszczyć  
Lecz nam się uda zachwycić go*

*Jest już za późno...*

Edward Stachura  
*Jest już za późno, nie jest za późno*

## 1.

Drabinka prowadząca na powierzchnię była jednym z najpiękniejszych widoków w ich życiu. Czepiali się metalowych szczebli rozdygotanymi rękami, aż wreszcie wypęzli na zewnątrz pomiędzy blokami, ustawionymi w podkowę między Alejami Jerozolimskimi a Widokiem.

Podczołgali się do najbliższej kupy gruzu i oparli o nią plecami, zziajani, zmęczeni. Ubrania pod kombinezonami lepiły się od potu.

W tym momencie lufa MP-5 głucho stuknęła o hełm Drakkara.

- No dobrze, kapitanie - wycedził Artysta z płomieniem w oczach. - Teraz pójdzie pan ze mną na małą wycieczkę. To niedaleko. Zapraszam.

Drakkar nie ruszył się, przezornie pozostając na ziemi.

- Najpierw wyjaśnijmy, co się stało z dziewczynami, dobrze? - poprosił. - Potem pójdę z tobą, gdzie chcesz.

- Z jakimi dziewczynami? - Kajman podniósł się, ściskając w dłoniach broń. Nie unosił jej, demonstrował tylko, że wciąż ma i nie należy tego faktu lekceważyć. - Dowiem się w końcu, o kim mowa?

Filozof i Neon poderwali się w ślad za nim. Również nie unieśli broni, ale ich

zacięte miny nie wróżyły Artyście niczego dobrego.

- Zwinęliście Milkę i Eli, żeby się odegrać na Drakkarze i dobrać do forsy wyścigu - wycedził lodowato Filozof. - Pieniądze mamy w dupie, zatrzymajcie je sobie. Ale oddajcie dziewczyny. Są z naszego zespołu.

- To, że Drakkar jest chujem, którego stać na każde skurwysynstwo - wyrzekł Artysta, równie lodowato i powoli - to jeszcze nie znaczy, że każdy, kto się z nim kiedykolwiek zadawał, zaraził się podobną chorobą. Nie wiem, o czym mówicie... panowie oficerowie! - Końcówka zabrzmiała wyjątkowo szyderczo.

- Tylko spokojnie! - zatrajkotał Kajman pojednawczo. - Artysta, ty nie wiesz, tam był Kosa w wyścigu! Z armią Hien na plecach! A skoro tak, to pewnie on rozpieprzył nam Rosomaki. Drakkar jest czysty. Przyszli tu tylko po swoje dziewczyny! Myślą, że to nasza robota... - Ścichł, odwrócił wzrok. - A swoją drogą, koledzy Osy, jak wpadliście na genialny pomysł, że bylibyśmy w stanie zgłosić Drakkara do wyścigu? - dodał ze złością. - Tak jesteśmy dziani, żeby mieć kontakty gdzie trzeba?

Filozof i Neon popatrzyli po sobie w popłochu: faktycznie, o tym nie pomyśleli.

Drakkar wypuścił z siebie powietrze ze świstem.

Artysta milczał i tylko wpatrywał się w Kajmana coraz bardziej zwięzającymi się oczami. Wreszcie powolnym ruchem odsunął lufę od hełmu Drakkara, który wyprostował się, równie powoli.

- Jak rozumiem, ktoś wam nadał, że Drakki robi dla Hien? - rzucił Filozof z namysłem.

- Kaaaa...mieńczyk? - odparł prędko Kajman, nie do końca szczerze, przecież to Artysta pierwszy uparł się jak głupi, że co Drakkar, to najgorsze.

A pułkownik mógł przecież tylko iść tym tropem.

Filozof szarpnął wieczko laptopa, otworzył gwałtownie.

- Zaraz sprawdzimy!

Przebiegł palcami po klawiszach.

- Właściciel komórki, na którą mieliśmy odesłać wiadomość o pendrivie, znajduje się nieopodal, na Solcu. Widzi go z pięć BTS-ów, jasno i wyraźnie. - Podniósł twarz. - Ma któryś z panów aktualny numer telefonu Kamieńczyka?

- Mhm, wysyłał nam SMS-y, informujące o przebiegu wyścigu - potaknął Kajman. - Nasi złamali szyfry.

Filozof prychnął, co było nie najlepszym pomysłem do wykonania w masce gazowej. Przez chwilę walczył z zaplutym ustnikiem, wreszcie wydukał:

- Nikomu nie udało się złamać tych szyfrów. Nikomu!

No, może mnie by się teraz udało, pomyślał, pieszcząc w myślach zabezpieczony drugi pendrive. Ale o tym sza.

- Kamieńczyk musiał mieć dostęp do oryginalnej transmisji - ciągnął już spokojniej. - Nie ma cudów, panowie. Dawajcie ten numer!

Kajman spojrzał na komórkę, odczytał szereg cyfr. Filozof wklepał je w klawiaturę.

- No i mamy bingo - odetchnął głośno. - Właściciel tej komórki, zgadnijcie, gdzie się teraz znajduje? Dokładnie, co do milimetra?

- Na Solcu? - rzucił Kajman, głupio, niepotrzebnie, przecież i tak już wszystko było jasne jak słońce.

- Porwał Eli? - wyrwało się Neonowi z niekłamany zdziwieniem, zaraz jednak odpowiedział sam sobie: - Podpucha.

- I w razie czego alibi dla koleżanki - dokończył gładko Filozof. - Przecież, bidula, nie mogła mieć z tym nic wspólnego, skoro też była porwana.

- Co mu obiecaliście? - spytał Drakkar, patrząc surowo na Kajmana. - Co mieliście zrobić?

- Przynieść twojego trupa razem z pendrive'em - odpowiedział tamten powoli.

Drakkar popatrzył przeciągle na Artystę.

- Ja miałem... mam inne plany - wydusił tamten i odwrócił wzrok.

- No to nieźle się kolega pułkownik poustawiał - rzucił szybko Neon. - Tak czy inaczej jest wygrany: albo Drakkar przyniesie mu fanta, albo dwaj byli koledzy przyniosą mu Drakkara. A jeszcze sobie zapewnił podgląd na wyścig, dla wszelkiej pewności. Dobry jest!

Filozof zerknął na niego z politowaniem:

- Jeżeli Kamieńczyk miał podgląd akcji, to albo był klientem, w co wątpię, znając jego dość przeciętną sytuację finansową, albo dla hajsu pomagał organizatorom. Potrzebowali przecież kogoś z dostępem do strefy, choćby po to, żeby porozstawiał nadajniki...

- Widzieliśmy go przy tym, kurwa mać! Pamiętasz? Jak on i Eli chodzili po strefie z bagażami, a my darliśmy łacha, że piknik sobie robią?

Drakkar podniósł głowę, popatrzył po kolegach.

- Może dlatego tak strasznie chciał mieć Eli w Osach? - powiedział powoli. - Żeby się mogli przejść po strefie, nie wzbudzając podejrzeń? Jeśli by się tam próbował pchać sam, bez obstawy, ktoś by od razu zaczął wnikać, co i jak, po co i dlaczego. A tak wszyscy taktownie odwracali wzrok.

Popatrzyli po sobie wszyscy trzej, oczy im ściemniały.

- Mając wyścig na głowie lada moment, Eli potrzebowała dostać się do nas jak najprędzej - wykrztusił Neon. - Pomajstrowała przy pierwszym lepszym spadochronie i gotowe. Padło na Żuka.

- No, za niskie otwarcia też miały z tym coś wspólnego - dociął nieustępliwie Kajman. - Ale fakt, pan pułkownik nieźle namieszał. Nam wtłoczył inną historyjkę: że Drakki robi dla mafii i oczyszcza okolicę ze Stróżów. Ale to robił Kosa, a tego Kamieńczyk nie mógł wiedzieć. Chyba że byli w zмовie?

- Nie sądzę - ocenił Filozof. - Kamieńczyk nie zawracałby sobie głowy wami, gdyby był z nim dogadany. Po mojemu, Kosa to konkurencja.

- No ale jakby się z tego pułkownik wyłgał później, po wszystkim? - zachodził w głowę Kajman. - Przecież zniknięcia Drakkara nie dałoby się nie zauważyć.

- W wersji półoficjalnej Drakkar wygrał wyścig i zwiął z forszą. Tylko wy dwaj wiecie, że nie żyje. Ale do gazet z tym nie pójdziecie, skoro sami pomogliście mu wyprawić się na tamten świat. I raczej za bardzo wam tego nie żal.

- A Milka?

- Coś tam jedna baba z drugą plecie trzy po trzy, była porwana, a teraz nie jest. I szukaj wiatru w polu.

- O, skurwysyn. Ale nas wydymał!

- Kajman, wyciągaj komórkę - zarządził Drakkar twardo. - Pisz. *Wszystko zgodnie z*

*planem. Przesyłka w drodze.*

Pokiwali z aprobatą głowami, wszyscy, nawet Artysta.

- Jeśli mnie tak koniecznie chce, proszę bardzo, niech bierze. A wy, panowie, szykujcie się do wejścia na punkt. A potem... Macie jakieś zapasowe wyjście ze strefy? - Drakkar wpatrzył się w Kajmana.

Ten potaknął.

- Dojdziemy do skarpy przy Trasie W-Z. Mamy tam taki swój tajny tunelik...

- Tylko nie tunelik! - zaprotestował Filozof gwałtownie. - Tylko nie tunelik - dodał szeptem. - Ja mam klaustrofobię. - Odwrócił głowę w bok.

- Mały, krótki - powiedział Kajman uspokajająco. - Pestka w porównaniu z tym tam.

- Dasz radę. - Drakkar poklepał kolegę po ramieniu. - No, stary, nie świruj. Na pewno dasz.

Filozof przełknął ślinę. Otworzył gwałtownie laptopa, jakby w nadziei, że kontakt z elektroniką uspokoi go, przeniesie w znany, bezpieczny, stabilny świat.

- O kurwa! - jęknął, rzuciwszy okiem na ekran. - O kurwa!

- Co jest?

- POLSKA DO GÓRY! WARSZAWA, POZNAŃ, ŁÓDŹ!

Neon podskoczył do niego natychmiast:

- Przecież ścierwo skreśliła! Na Hiszpanię! Co jest, wróciła się?

Filozof skierował spojrzenie na zneruchomiałego Drakkar.

- Mamy alarm. Różyczka leci!

- Ślij SMS-a Wodzowi. Będziemy za godzinę, może pół!

- Nie damy rady zgarnąć dziewczyn i dotrzeć na Bemowo na czas! Niech woła wsparcie!

- Damy radę. Musimy!

- Będiesz miał sporo na sumieniu, jeśli to spierdolisz - zapluł się Neon. -

Wsparcie nie zdąży się przygotować i Róża przywali...

Drakkar przymknął oczy.

- Napisz Wodzowi - odezwał się cicho, chrapliwie - że zrobimy, co w naszej mocy, by dotrzeć na czas. Ale na wszelki wypadek niech szykuje wsparcie.

- Wsparcie, jasne! - zawarczał Filozof. - Szerszenia, ćwierć zespołu i kamerzystę. Wódz nas za to ukrzyżuje!

- Kamieńczyk czeka na Solcu - oznajmił Kajman znad swojej komórki. - Za ile będziemy?

- Wcale - odezwał się Artysta szyderczo. - Dziewczyny idą do piachu. Przecież jest misja do wykonania.

- Piętnaście minut, zdążymy. Panowie, czas start!

Powstawali: chwiejnie, niezdarnie. Kajman przeszedł parę kroków w kierunku Powiśla, potykając się i powłócząc nogami. Pozostali poszli jego śladem.

- Co jest, kurwa, stać! - rzucił Drakkar, nie ruszywszy się z miejsca.

Odwrócili się ku niemu, popatrzyli zmęczonym, pytającym wzrokiem.

- Kajman i Artysta z przodu - zarządził twardo. - Neon, prowadzisz mnie i Filozofa, plus obstawiasz boki. Filozof, ty i ja tyłem. Oddział, ruszać się! Chcecie, żeby teraz, po tym wszystkim, byle duppek nas zdjął?



Wzięli się w garść, zawstydzeni. Ustawili we wskazanym szyku, podnieśli gotową do strzału broń.

- Od razu lepiej. Kajman, prowadzisz. Naprzód!

## 2.

Kamieńczyk liczył sekundy.

Jeszcze tylko kilkaset, kilkadziesiąt, jeszcze tylko odrobinę cierpliwości. I Kajman z Artystą przyniosą mu... przyszłość.

Przyszłość, w której razem z Eli, nareszcie spokojni i szczęśliwi, będą korzystać z uroków życia. Zostawią za sobą całe to bezsensowne użeranie się z oporną rzeczywistością, a ta nareszcie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zmieni się w białe piaski plaż i kołyszące się wachlarze palm.

Spojrzał tęsknie na drzwi, za którymi tkwiła związana Eli. Poczekaj jeszcze, kochana, jeszcze troszkę. Wytrzymajmy w kamuflażu te parę chwil. Wiesz, jak to bywa: wszystko się może zepsuć w ostatnim momencie. Chcesz sprawdzić poczucie humoru Pana Boga? Wyjaw Mu swe plany.

Więc poczekajmy jeszcze te parę chwil.

## 3.

Kajman z Artystą wtaszczyli ciało do przedpokoju, z wyraźnym wysiłkiem. Kamieńczyk przywarł do niego chciwym spojrzeniem: Drakkar! Tak, to na pewno Drakkar!

- Bez kombinezonów? - spytał oschle, by nie wypaść z roli, choć chciało mu się krzyczeć z radości.

- Mamy tu niedaleko taki mały namiocik dekontaminacyjny, szefie - wyjaśnił Kajman. - Wiatr się kończył, poza tym strasznie gorąco w tych kombinezonach. A jeszcze wlec tego drania taki hektar...

Kamieńczyk promieniał.

- Świetna robota, panowie! Niewątpliwie będę o tym pamiętał! - Wyciągnął rękę w wymownym oczekiwaniu.

Artysta skinął głową, krótko, po żołniersku i podał mu jadownicę fioletowego pendrive'a. Wyprostowali się wraz z Kajmanem w postawie zasadniczej.

- Resztą zajmie się drugi zespół - rzucił pułkownik. - Możecie odejść! - Niemożliwe, to już koniec, już po wszystkim, płynęło w myślach.

Kajman z Artystą zasalutowali służbiście.

Titititatititi, zapikała komórka któregoś z nich.

Kajman sięgnął do kieszeni, ale zatrzymał dłoń pod nagle skamieniałym spojrzeniem pułkownika.

- Mogę, szefie? - zapytał spokojnie. - SMS...

Kamieńczyk wzruszył ramionami, choć w gardle załagał się dziwny, chropowaty lęk. Ale jasne, chłopie, patrz. Jutro spotkamy się w pracy, jak gdyby nigdy nic, i wszystko będzie po staremu. Nie można teraz budzić jakichkolwiek podejrzeń.

*Elektryka zdjęta. Milka zabezpieczona, donosił Filozof.*

Kajman odwrócił się do wyjścia.

- Niech tylko szef uważa na tego Gromola - rzucił przez plecy, zatrzymując się na progu. - Czasami dranie zmartwychwstają.

Pułkownik zareagował nieomal błyskawicznie: podniósł broń... Za późno, Drakkar już zawisł mu na barku, zablokował rękę. Pistolet wypalił w bok, kula wydarła ze ściany odłamki gipsu, pył i kurz. A zaraz potem leżeli na Kamieńczyku wszyscy trzej: któryś zaciskał mu paski na rękach, któryś krępował nogi, inny wciskał knebel do ust: szybko, sprawnie, jak za dawnych dobrych czasów, kiedy byli wyśmienicie zgranym zespołem.

Dźwignęli go, wijącego się jak wąż, przenieśli do drzwi. Drakkar otworzył je z hukiem. Spojrzał na Eli, skuloną na łóżku.

- Róża leci - obwieścił zwięźle. - Lecisz z nami czy zostajesz z nim?

Popatrzyła na spętanego na ziemi pułkownika, przeniosła wzrok na Drakkara. Spojrzała mu prosto w oczy. Twardo, nieulekłe.

- Pierdol się, Drakkar! - wyrzekła powoli.

- Koleżanka nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji - powiedział cicho Kajman. - Jeżeli zostaniesz tu z nim, kochanieńka... To na zawsze.

- Małe mieszkanko na Mariensztacie - zaczął mówić Artysta, gwałtownie, niczym w transie, oczy mu płonęły - gdzie miałem żyć ze swoją ukochaną. Puste, ciche, przytulne... w strefie śmierci! - Przeniósł wzrok na Drakkara. - Zostawisz tam człowieka, będzie konał z głodu i pragnienia. Będzie czekał na to, co przyjdzie pierwsze: cyjanki, które otrują szybko i bezboleśnie, a może zdechnie powoli i w mękach. Może przyjdą szczury, zeżrą go żywcem... Będzie... - Machnął ręką, powrócił spojrzeniem do Eli. - Tak, wiem, Solec nie Mariensztat. Ale w sumie niedaleko. Od biedy też może być.

- Pierdolicie się! - powtórzyła słabszym głosem, ale popatrzyła na rozciągniętego na podłodze Kamieńczyka i dodała z mocą: - Wszyscy trzej!

- Nie skorzystam, mam inne gusta - rzucił Drakkar oschle. - A ty zostań, jak chcesz. Porozmyślaj o Żuczku, będziesz miała na to trochę czasu.

Wyszli, zamknęli za sobą drzwi.

Nie krzyknęła, nie jęknęła nawet. Nasłuchiwali przez chwilę, ale najwyraźniej nie zamierzała prosić o łaskę.

Kamieńczyk zacharczał coś niewyraźnie.

#### 4.

Drakkar z Artystą ruszyli ku wyjściu. Tuż przed progiem zatrzymali się, obejrzel. Kajman tkwił przy drzwiach pokoju niczym wmurowany w ścianę posąg. Milczał, bardziej wymownie, niż gdyby zdecydował się krzyczeć.

- Zasłużyli na to! - syknął Artysta wściekle. - Dalej, idziemy!

- Zasłużyli. - Tamten skinął głową. - Jak jasny chuj. Kamieńczyk napuścił nas na siebie jak ostatnich idiotów. Wybacz, Drakki!

Drakkar przełknął ślinę.

- Ta suka załatwiła Żuczka - wyrzekł, z trudem panując nad głosem. - Niech tu zdychają, oboje!

Z pokoju dobiegły ich odgłosy szamotaniny, coś stuknęło głucho, zabrzmiał rozpaczliwy jęk.

- Zasłużyli! - potwierdził coraz bledszy Artysta.

Ale patrzył tylko na Drakkara, jak gdyby wciąż to jego pragnął widzieć tam w środku. Kajman wydobył nóż.

- Zdaje się, że macie sobie parę praw do wyjaśnienia, panowie - rzekł powoli. - Nie przeszkadzajcie sobie. A ja się tam cofnę na chwilę. Z eutanazją.

Zniknął w głębi pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Milczeli przez chwilę.

- Czas zapłacić, skurwielu - wycedził Artysta. - Trzymałeś mi pistolet przy głowie i kazałeś zostawić moją kobietę. Umierała, a ty kazałeś iść dalej. Pamiętasz?

- Uratowałem ci życie, tobie i pozostałym chłopakom! Inaczej wszyscy poszlibyśmy do piachu, jak Sokół! - wybuchnął nagle Drakkar. - Poza tym... Mieliśmy wykonać zadanie, bez względu na koszty! Wiedziałeś o tym, kiedy ją brałeś ze sobą!

- Jasne, zadanie! - Artysta stanął przed Drakkarem, podniósł HK 416. -

Najświętsze na świecie! Bez skrupułów przespacerujesz się po trupach przyjaciół, by tylko zasłużyć na awans! - Zmrużył oczy, wypluł nienawistnie: - Wiesz dobrze, że załatwiłeś Żuczka nie mniej niż ta zdzira tam za drzwiami, powinienes teraz położyć się obok niej! A mnie... Kurwa, trzymałeś mnie pod spluwą! - Zbliżył chłodny metal lufy do jego szyi. - I jak się teraz czujesz, co?

Drakkar zamknął oczy, zwiesił głowę. Naparł lekko gardłem na stal.

- Masz rację, jestem winien śmierci Ilony - wykrztusił cicho, chrapliwie, prawie nie otwierając ust. - Tylko nie wiem, jak mam prosić o wybaczenie. Bo takiej stracie nie można zadośćuczynić, więc jak można ją wybaczyć? Czekałem, aż się zemścisz, to wszystko, na co było mnie stać. Wystawiałem ci się w oknie co noc. Czemu nie skorzystałeś? Powinienes był.

Artysta wbijał jeszcze przez chwilę wzrok w Drakkara, po czym gwałtownym, szarpanym ruchem wycofał broń. Odwrócił pobladłą twarz.

Cisza krążyła nad nimi niczym wygłodniały sęp.

- Bo wiem, że sam... jestem winien... najbardziej ze wszystkich - zaczął wyduszać Artysta słowo po słowie. - Miałeś rację. Nie powinna nigdy była tam iść, nie powinienem był jej na to pozwolić. Ja... Powinienem teraz sam siebie zamknąć w tym mieszkanku na Mariensztacie!

- Wiesz - wpadł mu w słowo Drakkar - ja...

Cienki skowyt dobiegł ich z pokoju, sprawił, że zamilkli obaj równocześnie, jak na rozkaz.

Skrzypnęły drzwi. Wrócił Kajman, chowając do pochwy nóż, jedynie pobieżnie otarty ze śladów krwi.

- Podobno się śpieszymy? - Popatrzył po kolegach, wpatrzonych w pozdzierane klepki podłogi. - Jakaś Róża leci czy coś?

Artysta z Drakkarem otrząsnęli się, poprawili broń.

- Racja. Ruchy, panowie! - nakazał Drakkar, wciąż nieco drżącym głosem.

Wybiegli na korytarz, popędzili w dół schodami.

## 5.

Milce kręciło się w głowie.

Filozof wtargnął do jej więzienia przez okno, jak gdyby nigdy nic i obsobaczył jak psa. Nakrzyczał, że jest alarm i leci Róża a jej, durnej baby, jeszcze nie ma na starcie. I że ma natychmiast się zbierać, bo popamięta. Zaraz za nim wszedł Neon, całkiem bez słowa. Porozcinali jej więzy, wytargali na zewnątrz i kazali biec za sobą.

Biegła więc co sił w nogach i tylko żałowała, że nie chodziła na poranne zaprawy. Ale ani pisnęła, żeby się zatrzymać i odpocząć, choć płuca paliły żywym ogniem, a stopy pętały się nieporadnie.

Dopiero kiedy zaczęli się przedzierać przez tunel w barykadzie przy trasie W-Z, dotarło do niej, że była w samej strefie! Bez kombinezonu!

Dopadli do busa Os, skrytego w uliczkach Starówki. Dosłownie w parę sekund po nich pojawiły się tam trzy kolejne postacie. Nie zdążyła się przyjrzeć, wepchnięta do wozu opadła bezwładnie na siedzenie. Neon zasiadł za kierownicą i ruszył z piskiem opon, aż Milkę zarzuciło na jednego z przybyszów. Natychmiast otoczył ją ramieniem.

I wtedy poczuła ten zapach...

Podniosła wzrok.

- Spokojnie, maleńka - powiedział Drakkar tkliwie jak nigdy dotąd. - Już dobrze. Już okej.

Okej, powtórzyła za nim w oszołomionych myślach, tylko tyle, aż tyle: po prostu okej?

Dokładnie tak, dziewczynko. Okej.

Nie masz bladego pojęcia, co się tak naprawdę wydarzyło i wątpliwie, żeby kiedykolwiek zechcieli ci to wytłumaczyć. I nie miej złudzeń: tak już będzie zawsze. Oto cena życia wśród służb. Bierz je, jakim jest, lub spadaj do urzędnika, który będzie pracował od ósmej do siedemnastej z przerwą na lunch, a potem dokładnie się spowiadał, z kim był na piwie i o czym rozmawiali.

Tutaj dowiesz się tylko jednego: że już jest okej.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko - to chyba był jeden z tych dwóch typów z Inferna? - przebiegł wzrokiem po Milce i popatrzył na Drakkara bardzo wymownie. Przez chwilę obaj wymieniali poważne spojrzenia. Ale żaden nic nie powiedział, aż w końcu tamten mrugnął powoli - jakby na coś się zgadzał? - i odwrócił wzrok.

Jego bliźniaczy kolega wydobył coś jadłowicie fioletowego z kieszeni, popatrzył na to przez chwilę... A potem wcisnął w dłoń siedzącemu tuż obok Filozofowi. Ten zacisnął pięść z doskonale obojętną miną, i wnet schował to coś do kieszeni.

- Ari nie żyje - odezwał się, patrząc przed siebie, jak gdyby mówił do pustki za oknem. - Został pod Fiołkiem.

Milka zeszywniała, otworzyła szeroko oczy.

Ari...

Gardło zadrapało przez chwilę, jakby szykując się do szlochu, ale oczy pozostały zaskakująco suche. A potem przyszło dziwne odrętwienie, jakby ta informacja nie

niosła ze sobą więcej emocji niż zmiana w spisie ludności powiatowej. Ot, statystyka. Ile żałoby można znieść naraz? Po którymś razie po prostu zapada cisza... Gorsza niż wszelki płacz.

Drakkar przytulił ją mocniej, jakby chciał zamknąć na zawsze w ramionach. Odchyliła głowę, przymknęła powieki.

Bierz, co dają, i nie pytaj o więcej, powiedział jej ktoś kiedyś, dawno temu. Bo jutro już może nie być jutra, a dzisiaj jest dziś.

Nie pytała już więc. O nic.

Bus mknął przez jaśniejący świt.

# Rozdział 20

*...bo kiedy już zakosztujesz lotu, będziesz zawsze chodził po ziemi z oczami  
wzniesionymi ku niebu. Tam bowiem byłeś i tam pragniesz powrócić.  
Leonardo da Vinci*

## 1.

Stali w równym szeregu. Wschodzące słońce połyskiwało od czasu do czasu w złotych odznakach Os. Czarne kaski, trzymane w dłoniach, prezentowały się dumnie niczym broń.

Śmigłowiec kręcił już łopatami wirnika. Wódz stanął przed nimi, popatrzył, przełykając gwałtownie ślinę. Ze wszystkich sił starał się zachować spokój.

- Oddział... - zakomenderował głośno, wtem głos mu zamarł, uwiązł w gardle.

Patrzył po nich, nie mogąc z siebie wydobyć ani słowa. Wreszcie odpuścił sobie oficjalną minę i regulaminowe komendy.

- No to lećcie, dzieci - powiedział drżącym głosem. - W imię Boże.

Pokiwali głowami, bez słów. Odwrócili się i ruszyli do śmigłowca.

Szli w szeregu, patrząc w skupieniu pod nogi. Znów staje się to, co cię miało stać. Właśnie tu, właśnie teraz. Już.

Wdrapali się do środka, z tym dobrze już znanym poczuciem naglej nierealności otaczającego ich świata.

Usiedli na swoich miejsca, zapięli pasy.

Piloci spojrzeli do tyłu, na nich. Zasalutowali, jednocześnie.

Odpowiedzieli im salutem. Przełknęli ślinę.

Maszyna ruszyła.

Milka z Drakkarem popatrzyli po sobie.

Przed wyjściem na start przytulił ją zachłannie, rozpaczliwie. Ale zaraz potem puścił i oboje dołączyli do szeregu, jak gdyby nigdy nic.

Nie będziemy przecież robić scen.

Budynki Aeroklubu zmały, pomknęły w dół. Przez chwilę widać jeszcze było busa i wozy strażackie, jak toczą się w kierunku bramy.

SKYWATCH na razie mówił: okolice Warszawy. Poza tym nic.

Wzbijali się coraz wyżej i wyżej, do chmur.

## 2.

Kajman i Artysta wprosił się do busa, z szaleńczą determinacją przekonując Wodza, że właśnie oni dwaj są mu w tej chwili najbardziej potrzebnymi ludźmi na świecie. Że zrobią wszystko, a nawet jeszcze więcej, jeżeli tylko weźmie ich ze sobą na obserwację skoku do Róży. Jeśli tylko pozwoli im przy tym być.

Pozwolił więc, choć odmówił tyłu innym skoczkom. Może, zauważywszy, że

przybyli tu z Neonem, Filozofem i Drakkarem, postanowił okazać im specjalne względy? A może liczył na to, że przyniosą im szczęście, kto wie.

Zasiedli więc na podłodze z tyłu i starali się zostać niewidzialni. Żeby broń Boże nikt nie wpadł na pomysł, że jednak komuś przeszkadzają.

SKYWATCH prowadził ich śladem Róży. Najpierw skierowali się na południe, Trasą Toruńską, potem Jerozolimskimi do Hynka, Marynarskiej i dalej, aż do mostu Siekierkowskiego. Przekroczyli Wisłę, patrząc na jej wyjątkowo spokojne, odbijające błękit nieba i biel chmur wody. Widok był piękny.

Być może tamci już go nigdy więcej nie zobaczą.

Artysta spuścił głowę. Przez tyle czasu miotał na Drakkara przekleństwa, życząc mu gwałtownego zgonu w męczarniach.

Czy jego modły mogłyby dziś właśnie zostać wysłuchane?

I czy jest jakikolwiek sposób, żeby je teraz odwołać?

Strasznie dużo tego poszło, cholera.

Za dużo chyba.

O wiele za dużo.

Artysta zapatrzył się do wewnątrz, struchlały w poczuciu przeczuwanej winy.

Kajman spojrzał przez okno. Bus pędził na sygnale, za nim jechały wozy Drwali i karetka. Minęli już południową Pragę, przejechali ulicę Czecha. Jeszcze parę chwil i dotrą do Zakrętu.

- Jak myślisz, czy to można... odwołać? - zapytał go nagle Artysta spiętym głosem.

- Różę? - Kajman pokręcił głową w zdziwieniu. - Na pewno nie!

- To, co wygadywałem na Drakkiego - wyjaśnił tamten cicho. - Te wszystkie klątwy. Czy mogę je odwołać teraz?

Kajman popatrzył na niego z zaskoczeniem.

- No, nie wiem - powiedział słabo. - Nie znam się na tym. Może się pomódl?

Artysta westchnął cicho.

- Nie umiem. Jestem niewierzący. Cholera.

- Ja też - powiedział Kajman. - Nic ci w tym nie pomogę, stary. Wiesz co, myśl pozytywnie. Może to wystarczy.

Artysta pokiwał głową, wbił spojrzenie w okno.

Jechali Trasą Lubelską, wijącą się wśród lasów i pól.

Wreszcie Wódz zatrzymał busa, krzycząc głośno:

- To tu!

Strażacy wjechali na pole, przemierzali je wszerz i wzdłuż. Zatrzymali się wreszcie z dwóch stron, przygotowując sprzęt.

Wódz wypadł z busa, pogonił pomagierów ze wsparcia niecierpliwymi ruchami ręki. Zakrzętnęli się co tchu, rozłożyli prowizoryczny kwadrat i rozstawili mu telemetr. Zasiadł za nim bez słów, wbijając w niebo skupiony wzrok.

Stanęli tuż za nim: Kajman, Artysta, Ślimak i Babeta, z drżeniem oczekująca powrotu skaczącego w miejsce Eli Maniora. Wpatrzyli się w górę, osłaniając oczy dłońmi.

Gdzieś tam, pięć kilometrów nad nimi, krążył śmigłowiec, w desperackim poszukiwaniu Róży.

### 3.

Nad wyjściem zamigotało żółte światło, zgasło za chwilę, zastąpione z powrotem przez czerwone. Pilot odwrócił się do tyłu.

- Pięć minut! - krzyknął. - SKYWATCH namierzył ją idealnie. Zgrywa się z naszym GPS-em do milimetrów. Będzie dobrze, dorwiemy ją!

Czas staje w miejscu, sekundy przeciągają się w godziny, a minuty w wieczność. Serce bije jak oszalałe, pot spływa po plecach, nogi drżą.

Zielone światło i brzęczyk.

*Ready, set... go!*

### 4.

Wylatujecie ze śmigłowca równym szykiem.

- Poszli! - oznajmia Wódz, wpatrując się z napięciem w telemetr.

Jest Róża, tuż pod wami.

Doskonale! Pędzicie ku niej co sił.

- Doskonale - mówi Wódz z wyraźnym zadowoleniem. - Już ją prawie mają. Cztery osiemset, kupa czasu. Kaszka z mleczkiem ten skok.

Docieracie do niej wszyscy razem, łeb w łeb. Ustawiacie się na pozycjach... i nagle zaczyna się szok.

Róża nie leci tak równo jak poprzedniczki. Jej płatki to składają się, to prostują, w minimalnych ruchach, ale to już wystarczy: obcy przetrwalnik raz spada szybciej, raz wolniej, musicie więc ciągle korygować wysokość, doginając i wypuchając co sił. Do tego kwiatek obraca się, powoli, lecz nieustępliwie. Płatek, który jeszcze przed chwilą był w zasięgu dłoni, teraz już jest niedostępny. Lecieć za nim czy czekać na kolejny?

Patrzycie na Drakkara, on tu dowodzi.

Czekać, mówi jego zdecydowany ruch dłoni. Czekać na odpowiednią chwilę.

Czekacie więc. A metry nieubłagane lecą w dół. Cztery tysiące pięćset. Cztery. Trzy i pół.

Na dodatek ta zmienna prędkość!

Wianek spadochroniarzy dookoła Róży jest nierówny, ciągle jedni z was są wyżej, a drudzy niżej. Nie możecie tak jej łapać, musicie to zrobić równo, inaczej skończy się to jednym wielkim skwargleniem i płataniną.

- Są dookoła Róży. Czemu jej nie łapią? - niepokoi się Wódz. - Czekają i czekają, już tyle czasu... Po co?

Czekać, mówi Drakkar z góry. Czekać!

Rzut oka na wysokościomierz. Trzy tysiące metrów. Jak tak pójdzie dalej, nie



zdążymy!

Teraz! - nakazuje Drakkar.

W błogosławionej krótkiej chwili Róża wyrównuje lot. Dopadacie jej jednoczesnym kopnięciem. Mamy cię!

- No dobra, mają ją - potwierdza na dole wrośnięty w telemetr Wódz.

Równo doszliście? Jeśli ktokolwiek spieprzył teraz, to koniec. Zaraz się zmieszacie, wszyscy.

Jest równo, na szczęście. Trzymacie płatki, ściskając je z całych sił.

Wchodź, Drakkar. Na litość boską, wchodź!

Ten nie śpieszy się, jakby na przekór wszystkim i wszystkiemu. Powoli nasuwa się nad Różę, wreszcie opada na nią, ale dopiero wtedy, kiedy ma pewność, że sytuacja jest w pełni pod kontrolą.

Masz rację, Drakki, szepczą zbiegłe usta. Nie śpiesz się. Zrób to stabilnie. Jak nas teraz wywali... wszyscy wiemy, co.

Drakkar wbija igłę z esencją.

- Szerszeń wszedł - melduje Wódz z napięciem. - Dwa i pół tysiąca, na moje oko. Jakoś tak.

Pozostali popatrują po sobie w nieśmiałym poczuciu ulgi. Trzydzieści sekund podawania trucizny to zazwyczaj tysiąc pięćset metrów w dół. Powinni zdążyć. Powinni.

Drakkar traci na moment równowagę, jakby kwiat wrzasnął z bólu, wierzgnął i zapragnął go zrzucić.

Ale to tylko złudzenie. Jakaś turbulencja po prostu. Szerszeń zaraz jest z powrotem na znamieniu. Podaje esencję. Czerwona lampka kontrolki pali się równym, jednostajnym światłem.

Szkoda tylko, że te kurewskie metry tak szybko lecą w dół.

Płyn spływa zbyt powoli. Ta Róża jest dziwnie oporna, nie przyjmuje go tak chętnie, jak poprzedniczki.

Nieważne. I tak dostanie wszystko, co do ostatniej kropelki, chce tego czy nie.

- Łykaj maleńka, łykaj - prosi na dole Babeta. - Dobry siarczanik miedzi, w sam raz dla ciebie. Łykaj, Różyczko, proszę cię.

Kolejna turbulencja, Drakkar chwieje się, niemal spada z Róży. Ściskacie płatki silnie, niemal do naderwania mięśni, stabilizując obiekt za wszelką cenę.

Drakkar odzyskuje równowagę, wraca do znamienia. Spoglądacie na to miejsce z napięciem. Wykłuł się?

Na szczęście nie. Przerwał tylko zastrzyk na chwilę. Naciska wyzwalacz, kontrolka znów płonie czerwienią, wewnątrz przetrwalnika giną kolejne zarodniki.

Oddychacie z ulgą, wszyscy równo, jak jeden mąż.

Nagły rzut oka na wysokościomierz, strach zaciska krtań.

Tysiąc metrów.

Powinniście się już rozchodzić!

Rzuć to i uciekaj, krzyczy spanikowany, wewnętrzny głos. Ratuj się, uciekaj stąd!

I zabij wszystkich innych, splącz ich z Różą, niech polecą w dół.

Nie ma mowy, wrzeszczy w odpowiedzi drugi głos. Nie zrobisz tego, ani mi się waży!

- Co tak długo? - szepcze Ślimak w zdenerwowaniu. - Co jest grane? Rozchodźcie się!

Dziewięćset metrów.

Filozof wyjmuje pilocik, leci, trzymając go w ręku. Kupuje czas. W razie czego, po prostu go puści, zapoczątkowując otwarcie.

Drakkar wpatruje się w licznik podajnika. Esencja spływa wciąż do wnętrza Róży.

Tylko czemu tak wolno, czemu, kurwa, tak wolno?

Osiemset.

- No, już! - błagają na dole widzowie. - No, już!

Kap... kap... kap... Spływają ostatnie krople. Ciśnienie w Róży jest chyba zbyt duże, płyn nie chce przejść.

Siedemset. Kurwa jego mać.

Zamknij się. Umieraj z godnością. To ostatnia rzecz, jaką jeszcze masz.

Wódz wbija wzrok w niebo, poruszając bezgłośnie ustami. Może klnie, a może się modli, nie wiadomo.

Wreszcie kontrolka miga na żółto, a potem rozbłyśka błogosławioną zielenią. Poszło!

Drakkar wyjmuje igłę, odwraca się, zsuwając się z Róży i machając rękami do rozejścia.

Sześćset metrów. Rozejście.

- Rozchodzą się - oznajmia Wódz drżącym głosem. - Chwała Bogu!

Filozof uwalnia z dłoni pilocik, otwierając się w miejscu. Pozostali puszczają płatki, odwracają się. Przechodzą do tracka, powinni tak jeszcze pociągnąć jakieś dwie-trzy sekundy, żeby się otwierać w bezpiecznych od siebie odległościach. Odpalą od razu zapasy, te napełniają się szybciej.

Pięćset pięćdziesiąt.

Nie trzeba telemetru, gołym okiem widać wszystko, każdą postać. Pięć osób oddzieliło się od Róży... zaraz, przecież powinno odejść sześć!

Widzowie stoją bez ruchu, wpatrzeni w niebo, które spada im właśnie na głowy. Nagle Artysta przypomina sobie słowa z dzieciństwa, zaczyna się modlić w głos.

*Zdrowaś Mario...*

Milka odwraca się, jakby coś w niej wrzasnęło: STOP!

Widok, który ma przed oczami, zapiera jej dech w piersiach. Jeden z płatków schwytał Drakkara, zaczepiając finezyjnie zawiniętą końcówką o przewód, łączący podajnik ze zbiornikiem.

- Szerszeń się zahaczył - mówi Wódz w osłupieniu. - Nie wyrwie się.

Drakkar musiałby się odwrócić, by się z tego wyplątać, próbuje, nie może. Przewód jest za krótki, trzyma go z tyłu na plecach.

W ułamku sekundy Milka zawraca.

*...łaskiś pełna...*

- Milka się wróciła - oznajmia Wódz drżącym głosem.

Pięćset metrów.

Milka podlatuje do zdradzieckiego płatka. Gorączkowe spojrzenie Drakkara mówi jej wyraźnie: wynoś się!

Nie zostawię cię, odpowiada mu w duchu, z mocą

*...Pan z tobą...*

- Co ty robisz, spierdalaj stamtąd, głupia babo! - wrzeszczy w uniesieniu Wódz.

Czterysta metrów.

Nie teraz, kiedy cokolwiek ode mnie zależy, krzyczy Milka w myślach.

Sięga ku płatkowi, zaczyna mozolnie oswobadzać przewód.

*...Błogosławionaś Ty między niewiastami...*

Trzysta metrów.

Pozostali już się pootwierali i teraz patrzą z przerażeniem w dół, na dwie wciąż walczące z Różą postacie.

Polecimy razem, do samej ziemi. Niechaj będzie i tak.

*...i błogosławion owoc żywota Twojego, Jezus...*

- Zabiją się - szepcze Wódz, kręcąc głową. - Oboje.

Dwieście.

Milka szarpie wściekle końcówkę płatka.

Przewód wyslizguje się na zewnątrz. Drakkar jest wolny.

*...Święta Mario, Matko Boża...*

Sto metrów, nawet mniej.

Bez szans na rozejście.

Na ziemi milczą, skamienieli z rozpaczy, tylko Artysta mówi wciąż, wbijając oczy w niebo:

*...módl się za nami grzesznymi...*

Milka i Drakkar odwracają się od siebie, ciągną za uchwyty zapasów. Startują piloci. Próżny gest, nawet jeżeli zdążą się otworzyć, spadochrony pewnie splączą im się i tak.

- Neeee! - przeraźliwie, z rozpaczą krzyczy Babeta. - Neeee!

*...teraz...*

Róża uderza w grunt z hukiem gromu. W górę wzbija się gigantyczna fontanna pyłu, spoza której nie widać nic. Żadnej czaszy otwierającego się spadochronu, nic.

*...i w godzinę śmierci naszej...*

Strażacy pędzą ku Różzie, tryskając siarczanem miedzi. Na wypadek, gdyby ocalały jeszcze jakieś zarodniki.

*...Amen.*

Artysta rozgląda się po pozostałych. Płaczą. Dopiero wtedy zdaje sobie sprawę z tego, że sam płacze też. Chowa więc twarz w dłonie, pośpiesznie, by nikt nie zauważył łez.

Kajman stoi jak skamieniały. Nie porusza nawet oczami, martwo wbitymi w pobożowisko.

Spadochrony kołują nad nimi, kierują się ku Różzie, zaraz będą lądować. Smród siarki, hojnie polewanej przez Drwali powoduje, że zwykłe podwarszawskie pole kojarzy się z piekłem.

Nagle zrywają się wszyscy i pędzą ku Różzie co sił.

Bojąc się tego widoku.

## 5.

Drakkar leży na ziemi jakieś dwadzieścia metrów od Różzie, częściowo przysłonięty czaszą. Trawa zryta jest szerokim pasem, najwyraźniej spadochron otworzył się pierwszym haustem, a potem w gwałtownym skoku w przód przewlókł Szerszenia po ziemi.

Podbiegają ku niemu, odgarniając gorączkowo materiał.

Krew, wszędzie jest pełno krwi.

Drakkar leży na boku i trochę na wznak. Artysta klęka przy nim, dotykając go drżącymi rękami.

- No daj spokój, nie wygłupiaj się, Drakki - bełkocze nieprzytomnie. - Nie gniewam się już na ciebie. Przysięgam, że nie.

Dotyka mu szyi i zaczyna trząść się rozpaczliwie.

- Chodź, Kajman, sprawdź - mówi drżącym głosem. - Jest puls. A oddech? -

Przykłada ucho do ust. - Też.

Kajman przykłęka od razu, dotyka tętnicy szyjnej i kiwa potwierdzająco głową. Również czuje puls. Zaczyna więc pośpiesznie odcinać linki spadochronu, żeby nagły podmuch wiatru nie targnął czaszą i nie pociągnął Drakkara po ziemi.

- Lekarz! - wydziera się Wódz w kierunku karetki. - Lekarz!

Karetką jednak zatrzymała się w innym miejscu, po drugiej stronie Róży. Patrzą po sobie, pojmując od razu, co się tam dzieje. Milka.

Drakkar otwiera oczy.

Widzi pochylonego nad nim Artystę, który trzęsie się i płacze, bez cienia żenady, jak dziecko. Kajman jest tuż obok, patrzy na niego wciąż ogłupiałym, nieruchomym wzrokiem.

- Milka... - szepcze Drakkar, z trudem poruszając wargami.

- Tam. - Artysta wskazuje ręką miejsce postoju karetki. - Tam.

- Żyje?

Milczą, nie wiedząc, co powiedzieć. Może żyje, lekarze są wciąż przy niej, nie zajmowaliby się tyle czasu trupem, tylko przyjechaliby tu. Ale może wciąż ją reanimują, nie chcąc się poddać. Nie wiadomo.

Drakkar zamyka oczy, biorąc ich milczenie za odpowiedź. Odchyła głowę w bok, składając policzek na miękkiej trawie.

- Żyje! - mówi Artysta z przekonaniem. - Ty też się nie poddawaj. Walcz!

Drakkar kiwa głową, na jego twarz wypełza słaby uśmiech.

- Cholernie niskie otwarcie - szepcze znowu, z wyraźnym wysiłkiem. Na jego wargach lśni krew. - Sorry, Wodzu. Tak wyszło.

- Zawieszę cię za to - mówi Wódz, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. - Zobaczysz. Przynajmniej na najbliższe sto lat.

Karetką jedzie ku nim, migając światłami. Wreszcie dojeżdża, staje.

Wysiadają lekarze, za nimi Milka, podrapana, poobijana, słaniająca się na nogach. Lewą rękę ma zawieszoną w chuście trójkątnej. Dobiega do Drakkara, zapłakana. Ten patrzy jej prosto w oczy, rozumieją się oboje bez słów.

Artysta odsuwa się nieco, spoglądając na nich wzrokiem pełnym ogłupiałej radości. Inni patrzą tak samo, jakby nie pojmując, jak się mógł zdarzyć ten cud.

Lekarz odsuwa ich wszystkich zdecydowanym gestem, przykłęka przy pacjencie. Bada go pośpiesznymi, fachowymi ruchami.

Podbiega drugi, z kołnierzem, inni tymczasem rozstawiają nosze.

- Na pewno złamał parę żeber - mówi lekarz szybko. - I mogą być jakieś obrażenia wewnętrzne. Ale ogólnie nie jest źle. Tak czy inaczej, nie ma co czekać, jedziemy do szpitala.

Zapinają Drakkarowi kołnierz ortopedyczny, po czym delikatnie przenoszą go na nosze.

Dobiegają pozostałe Osy, pełnym niedowierzania wzrokiem patrząc na ledwo przytomnego Drakkara i coraz bardziej rozpromienioną Milkę.

- Upiję się dzisiaj - oświadcza Neon. - Zaleję w trupa. Taki los mi pisany. Szukam współników. Co wy na to?

- Nie będziemy trzeźwieć do rana - zgadza się Filozof natychmiast, ocierając oczy i poprawiając spadochron, przewieszający mu się przez ramię.
- Albo i nawet przez tydzień - dodaje drżącym głosem Wódz.

## 6.

Ruszyli w kierunku busa. Wtem Neon przystanął, odwrócił się do Filozofa, przywołał go gestem ręki. Filuterny błysk przemknął mu przez twarz.

- Słuchaj, stary... - mruknął cicho. - Bo wiesz, widziałem w lusterku... - Podniósł głowę, upewnił się, że nikt ich nie podsłuchuje i dokończył szeptem: - Masz ty tego pendrive'a? Znaczy, wiesz, nie tego swojego, tylko tego... naszego?

Filozof zamrugał, wciąż jeszcze nieco oszołomiony. Pogmerał w pamięci... i wybuchnął śmiechem. Donośnym i radosnym.

A potem poklepał się po kieszeni, podniósł dłoń i pokazał dwa place, ustawione w znak zwycięstwa. Dokładnie, konkretnie: dwa.

Neon nie pytał więcej. Szedł przed siebie, a matematyka plątała mu się coraz bardziej. Bo tak: Drakkar, Milka, Neon, Filozof, Kajman, Artysta, to razem sześć.

Ile to będzie: milion euro dzielone przez sześć?

Szedł i szedł i nijak nie mógł się doliczyć. Oczy zamykały mu się ze zmęczenia i potykał się co krok.

Wreszcie poddał się, machnął ręką.

- A w chuj dużo! - obwieścił doniośle.

Widzowie nie dopytywali, co bohaterski Wiceszerszeń ma na myśli. Uczcili jego uwagę oklaskami, na wszelki wypadek. Bo przecież na pewno była znacząca. Bardzo znacząca. Jak nie, jak tak.

## 7.

Wsiadacie do pojazdów, zamykacie drzwi. Samochody ruszają z wyciem syren, zostawiają za sobą szeroki pas zrytej trawy.

Przed wami spomiędzy lasów wyłania się panorama Śródmieścia.

Poszarpany, pochylony, niczym okaleczony gigant, Fiołek wciąż króluje nad miastem.

Ale wkrótce upadnie, podda się i zniknie.

Ziemia wyjdzie ze strumienia Róż, przynajmniej na jakiś czas.

A wtedy wszystko odżyje znów.

KONIEC

# Spis treści

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Podziękowania](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[1.](#)

2.  
3.  
4.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
8.  
9.  
1.  
2.  
3.  
4.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
1.  
2.  
3.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
1.  
2.



3.  
4.  
5.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
8.  
9.  
10.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
8.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.  
1.  
2.  
3.

4.  
5.  
6.  
7.  
8.  
9.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
1.  
2.  
3.  
4.  
5.  
6.  
7.